

B R A N D O N

SANDERSON

LEGION

WIELE
ŻYWOTÓW
STEPHENA
LEEDSA



Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Przedmowa

Legion

Legion: Pod skórą

Legion: Kłamstwa patrzącego

B R A N D O N
SANDERSON
LEGION
WIELE ŻYWOTÓW STEPHENA LEEDSA

PRZEŁOŻYŁA ANNA STUDNIAREK

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2019

Tytuł oryginału: *Legion: The Many Lives of Stephen Leeds*

Copyright © 2018 by Dragonsteel Entertainment, LLC

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Dark Crayon

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66409-80-4

Wydanie IV

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228 134 743

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk

spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227 213 000

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej

pan@drewnianyrower.com

Przedmowa

W moich książkach przewija się motyw psychologii jako supermocy. Zawsze wierzyłem, że cechy charakteru, które odróżniają nas od innych (sposób, w jaki przetwarzamy informacje, dodajemy sobie motywacji, chronimy psychikę przed złem, jednocześnie ucząc się cenić to, co dobre), mogą być albo naszą największą siłą, albo najbardziej zasadniczym ograniczeniem. To, jak na siebie patrzycie, a także sposób, w jaki wykorzystujecie to, co macie, często jest ważniejszy niż talenty, umiejętności albo nawet supermoce.

Jednakże trzeba zauważyć, że żaden z napisanych przeze mnie cykli nie zajmował się tą kwestią w sposób bardziej oczywisty niż *Legion*. Pierwszą z – jak się ostatecznie okazało – trzech mikropowieści (wszystkie zebrane w tym zbiorze) zacząłem pisać w roku 2011. Założenie było proste: co, gdyby ktoś miał halucynacje, które pomagałyby mu w życiu, zamiast, jak zazwyczaj, rozpraszać? To, co powstało, nie było tak naprawdę rozważaniem realnego zjawiska psychologicznego, a raczej spojrzeniem na to, w jaki sposób różne aspekty osobowości wpływają na nasze interakcje ze światem.

Okazało się to również świetną zabawą. Częściowo historia przygodowa, częściowo komedia, częściowo science fiction z niedalekiej przyszłości. Przez kolejne lata nie umiałem zostawić Stephena Leedsa w spokoju. Obecnie *Legion* jest moją jedyną mikropowieścią, która doczekała się ciągu dalszego. W tej miksturze, którą znajdziecie na kartach, było coś upajającego. Pisanie ich przypominało katharsis – potrzebną chwilę oddechu od innych projektów – i w pewnym sensie są to najbardziej osobiste historie, jakie napisałem. (A zwłaszcza trzecia).

Choć to osobne mikropowieści, napisałem je, by razem tworzyły

spójną opowieść – a ostatnia z nich podsumowuje serię i ją zamyka. Pisanie ich sprawiało mi satysfakcję, jednak jeszcze większą satysfakcję daje mi świadomość, że są ukończone, że historia jest domknięta i mogę w końcu przedstawić Wam ten tom. Zupełnie i całkowicie kompletna historia Stephena Leeda.

Brandon Sanderson

Marzec 2018

Legion

Danielowi Wellsowi, który podsunął mi pomysł.

Nazywam się Stephen Leeds i jestem całkowicie zdrowy na umyśle. Z kolei moje halucynacje są zupełnie szalone.

Odgłosy strzałów dochodzące z pokoju J.C. brzmiały jak fajerwerki. Mamrocząc pod nosem, chwyciłem ochraniacze na uszy wiszące za jego drzwiami – nauczyłem się, że należy je trzymać w tym miejscu – i wszedłem do środka. J.C. sam miał ochraniacze na uszach, trzymał pistolet obiema rękami i celował do zdjęcia Osamy bin Ladena na ścianie.

Jednocześnie słuchał Beethovena. Bardzo głośno.

– Próbowałem rozmawiać! – wrzasnąłem.

J.C. mnie nie słyszał. Opróżnił cały magazynek, celując w twarz bin Ladena i dziurawiąc przy tym ścianę. Nie odważyłem się zbliżyć. Gdybym go zaskoczył, mógłby przypadkiem mnie zastrzelić.

Nie wiem, co by się wydarzyło, gdyby jedna z moich halucynacji mnie zastrzeliła. Jak by to zinterpretował mój umysł? Bez wątpienia znalazłyby się dziesiątki psychologów, którzy chętnie by napisali rozprawę na ten temat. Nie zamierzałem dać im szansy.

– J.C.! – wrzasnąłem, kiedy przerwał, żeby przeładować.

Spojrzał w moją stronę i uśmiechnął się szeroko, zdejmując ochraniacze. Każdy uśmiech J.C. wygląda jak grymas, ale od dawna już nie dawałem mu się zastraszyć.

– Ej, chudy. – Wyciągnął broń w moją stronę. – Może byś tak wystrzelił magazynek albo dwa? Przydałyby ci się ćwiczenia.

Wziąłem od niego pistolet.

– Z tego właśnie powodu mamy w rezydencji strzelnicę. Korzystaj z niej, J.C.

– Zwykle nie wpadam na terrorystów na strzelnicy. No dobra, raz się zdarzyło. Czysty zbieg okoliczności.

Westchnąłem, podniosłem pilota ze stolika i przyciszyłem muzykę. J.C. wyciągnął rękę, skierował lufę pistoletu w powietrze i zdjął mój palec ze spustu.

– Bezpieczeństwo jest najważniejsze, dzieciaku.

Oddałem mu pistolet.

– To i tak wyimaginowana broń.

– Jasne.

J.C. nie wierzy, że jest halucynacją, co jest niezwykle. Większość pozostałych do pewnego stopnia to akceptuje. Nie J.C. Jest duży, ale nie zwalisty, ma prostokątną twarz pozbawioną wszelkich cech charakterystycznych i oczy zabójcy. A w każdym razie tak twierdzi. Może trzyma je w kieszeni.

Włożył nowy magazynek i spojrzał na zdjęcie bin Ladena.

– Nie ma mowy – ostrzegłem go.

– Ale...

– On i tak nie żyje. Dopadli go przed laty.

– Taką historyjkę opowiadamy opinii publicznej, chudy. – J.C. schował broń do kabury. – Wyjaśniłbym ci, ale nie masz certyfikatu bezpieczeństwa.

– Stephen? – odezwał się ktoś od strony drzwi.

Odwróciłem się. Tobiasz to kolejna halucynacja – lub „aspekt”, jak ich czasem nazywam. Chudy i czarnoskóry, ma ciemne plamy na pomarszczonych policzkach. Siwiejące włosy przycina bardzo krótko i nosi luźny, sportowy garnitur bez krawata.

– Zastanawiałem się jedynie, jak długo każesz czekać temu biedakowi.

– Dopóki sobie nie pójdzie.

Dołączyłem do Tobiasza w korytarzu. Oddaliliśmy się od pokoju J.C.

– On był bardzo uprzejmy, Stephenie.

Za naszymi plecami J.C. znów zaczął strzelać. Jęknąłem.

– Pójdę porozmawiać z J.C. – powiedział Tobiasz uspokajającym głosem. – On jedynie stara się nie utracić swoich umiejętności. Chce być dla ciebie użyteczny.

– Jasne, co tylko powiesz.

Zostawiłem Tobiasza i ruszyłem dalej przez luksusową rezydencję.

Miała czterdzieści siedem pomieszczeń. Niemal wszystkie były zajęte. Dotarłem na koniec korytarza i wszedłem do niewielkiego pokoju ozdobionego perskim dywanem i boazerią. Padłem na czarną skórzaną sofę pośrodku.

Ivy siedziała na krześle obok sofy.

– Zamierzasz pracować dalej przy czymś takim? – spytała, starając się przekrzyczeć odgłos wystrzałów.

– Tobias z nim porozmawia.

– Rozumiem.

Ivy zapisała coś w notatniku. Wyglądała na kobietę po czterdziestce, w eleganckim ciemnym kostiumie ze spodniami, z jasnymi włosami upiętymi w kok. Była jednym z aspektów, które miałem najdłużej.

– Jak się czujesz z tym, że twoje aspekty zaczynają ci być nieposłuszne?

Próbowałem się bronić.

– Większość jest posłuszna. J.C. nigdy nie zwracał uwagi na to, co do niego mówię. To się nie zmieniło.

– Nie uważasz więc, że robi się coraz gorzej?

Nie zareagowałem.

Zrobiła notatkę.

– Odesłałeś kolejnego proszącego, prawda? Oni przychodzą do ciebie po pomoc.

– Jestem zajęty.

– Czym? Słuchaniem wystrzałów? Wariowaniem coraz bardziej?

– Nie wariuję coraz bardziej. Mój stan się ustabilizował. Właściwie jestem normalny. Nawet mój realny psychiatra to przyznaje.

Ivy nie odpowiedziała. Wystrzały wreszcie ucichły, a ja westchnąłem z ulgą i uniosłem palce do skroni.

– Oficjalna definicja szaleństwa – stwierdziłem – jest właściwie dość płynna. Dwoje ludzi może mieć dokładnie to samo zaburzenie o dokładnie tym samym stopniu nasilenia, ale jedno może zgodnie z oficjalnymi standardami być uważane za zdrowe psychicznie, a drugie za chore. Granicę szaleństwa przekracza się w chwili, gdy stan umysłowy uniemożliwia funkcjonowanie, prowadzenie

normalnego życia. Zgodnie z tymi standardami nie jestem ani odrobinę szalony.

– Nazywasz to normalnym życiem?

– Działa całkiem nieźle.

Spojrzałem w bok. Ivy jak zwykle zasłoniła kosz na śmieci swoją podkładką.

Po chwili do środka wszedł Tobias.

– Ten proszący nadal tu jest, Stephenie.

– Co takiego? – Ivy spiorunowała mnie wzrokiem. – Każesz biedakowi czekać? Minęły cztery godziny.

– Dobra, w porządku! – Zeskoczyłem z kanapy. – Odeślę go.

Opuściwszy pokój, zszedłem po schodach na parter, do wielkiego holu.

Wilson, mój kamerdyner – który jest realną osobą, nie halucynacją – stał przed zamkniętymi drzwiami do salonu. Spojrzał na mnie znad swoich okularów dwuogniskowych.

– Ty też?

– Cztery godziny, proszę pana?

– Musiałem nad sobą zapanować, Wilsonie.

– Lubi pan wykorzystywać tę wymówkę, panie Leeds. Można by się zastanawiać, czy takie momenty nie są raczej chwilami lenistwa niż panowania nad sobą.

– Nie płacę ci za zastanawianie się nad takimi kwestiami.

Uniósł brew, a ja poczułem się zawstydzony. Wilson nie zasługiwał, żeby na niego warczeć – był wspaniałym służącym i wspaniałym człowiekiem. Nie było łatwo znaleźć służbę skłoną znieść moje... idiosynkrazje.

– Przepraszam – powiedziałem. – Ostatnio czuję się trochę zmęczony.

– Przyniosę panu lemoniadę, panie Leeds. Dla...

– Naszej trójki. – Skinąłem w stronę Tobiasa i Ivy, których Wilson oczywiście nie widział. – I dla proszącego.

– Moja bez lodu – stwierdził Tobias.

– A ja poproszę szklankę wody – dodała Ivy.

– Bez lodu dla Tobiasa. – W zamyśleniu otworzyłem drzwi. – Woda

dla Ivy.

Wilson skinął głową i ruszył wypełnić polecenie. Był naprawdę dobrym kamerdynerem. Bez niego chyba bym oszalał.

W salonie siedział młody mężczyzna w koszulce polo i spodniach. Zerwał się z krzesła.

– Pan Legion?

Skrzywiłem się, słysząc ten przydomek. Został wybrany przez wyjątkowo utalentowanego psychologa. Utalentowanego w dziedzinie dramatyizmu, rzecz jasna. Nie do końca w dziedzinie psychologii.

– Mów mi Stephen. – Przytrzymałem drzwi dla Ivy i Tobiasa. – Co możemy dla ciebie zrobić?

– My? – powtórzył chłopak.

– Taka figura retoryczna.

Wszedłem do środka i zająłem jedno z krzeseł naprzeciwko młodego mężczyzny.

– Ja... no... słyszałem, że pomaga pan ludziom, którym nie chce pomóc nikt inny. – Przełknął ślinę. – Przyniosłem dwa tysiące. Gotówką.

Rzucił na stół kopertę z moim nazwiskiem i adresem.

Otworzyłem ją i szybko przeliczyłem zawartość.

– Za to możesz sobie kupić konsultację.

Tobias spojrzał na mnie z ukosa. Nie podoba mu się, kiedy biorę od ludzi pieniądze, ale nie da się utrzymać rezydencji wystarczająco dużej, by pomieścić wszystkie halucynacje, pracując za darmo. Poza tym, oceniając po ubraniu, dzieciak mógł sobie na to pozwolić.

– Na czym polega problem? – spytałem.

– Moja narzeczona. – Młody mężczyzna wyjął coś z kieszeni. – Zdradza mnie.

– Proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. Ale nie jesteśmy prywatnymi detektywami. Nie śledzimy ludzi.

Ivy przeszła przez pokój, ale nie usiadła. Podeszła do krzesła chłopaka i przyjrzała mu się uważnie.

– Wiem – powiedział chłopak szybko. – Ja po prostu... no, widzi pan, ona zniknęła.

Tobias nadstawił uszu. Lubi dobre tajemnice.

Ivy splotła ręce na piersi i jednym palcem stuknęła w ramię.

– On nie mówi nam wszystkiego.

– Na pewno? – spytałem.

– O tak. – Chłopak założył, że mówiłem do niego. – Zniknęła, ale zostawiła tę wiadomość. – Rozwinął ją i położył na stole. – To dziwne, ale wydaje mi się, że to może być jakiś szyfr. Proszę spojrzeć na te słowa. Nie mają sensu.

Podniosłem papier, spoglądając na słowa, które wskazał. Znajdowały się na drugiej stronie arkusza, nabazgrane pośpiesznie, jak lista rzeczy do zrobienia. Na tej samej kartce powstał później list pożegnalny od narzeczonej. Pokazałem ją Tobiasowi.

– Platon. – Wskazał na zapiski po drugiej stronie. – Cytaty z *Fajdrosa*. Ach, Platon. Zadziwiający człowiek. Niewielu wie, że na pewnym etapie życia był niewolnikiem, sprzedanym na targu przez tyrana, który nie zgadzał się z jego poglądami politycznymi... jak również z tym, że uczynił brata tyrana swoim uczniem. Na szczęście Platona kupił ktoś, kto znał jego dzieła, można by powiedzieć, że wielbiciel, który go uwolnił. Dobrze mieć kochających fanów, nawet w starożytnej Grecji...

Tobias mówił dalej. Miał głęboki, uspokajający głos, słuchanie go sprawiało mi przyjemność. Przyjrzałem się wiadomości, a później spojrzełem na Ivy, która wzruszyła ramionami.

Drzwi się otworzyły i do środka wszedł Wilson z lemoniadą i wodą dla Ivy. Na zewnątrz zauważyłem J.C. Z wyciągniętą bronią zajrzał do środka i przyjrzał się młodemu mężczyźnie. Zmrużył oczy.

– Wilsonie – wziąłem od niego lemoniadę – czy byłbyś tak miły i posłał po Audrey?

– Oczywiście, proszę pana.

W głębi duszy wiedziałem, że tak naprawdę nie przyniósł szklanek dla Ivy i Tobiasa, choć udawał, że stawia coś przy pustych krzesłach. Mój umysł uzupełnił resztę, wyobrażając sobie napoje i Ivy podchodzącą, by wyjąć szklankę z dłoni Wilsona, który próbował ją postawić w miejscu, gdzie jego zdaniem siedziała. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

Wilson wyszedł.

– I jak? – spytał młody mężczyzna. – Czy może pan...

Przerwał, kiedy uniosłem palec. Wilson nie widział moich projekcji, ale znał ich pokoje. Musieliśmy mieć nadzieję, że Audrey będzie obecna. Miała w zwyczaju odwiedzać siostrę w Springfield.

Całe szczęście po kilku minutach weszła do środka – niestety owinięta szlafrokiem.

– Zakładam, że to ważne – powiedziała, wycierając głowę ręcznikiem.

Podniosłem wiadomość, a później kopertę z pieniędzmi. Audrey pochyliła się w ich stronę. Była ciemnowłosą kobietą, nieco pulchną. Dołączyła do nas przed kilku laty, kiedy pracowałem nad sprawą fałszerstwa.

Przez chwilę mamrotała pod nosem, wyjęła szkło powiększające – bawiło mnie, że trzyma jedno w kieszeni szlafroka, ale taka właśnie była Audrey – i spoglądała to na kopertę, to na kartkę. Jedną rzekomo zapisała narzeczona, a drugą młody mężczyzna.

Pokiwała głową.

– Z pewnością ta sama ręka.

– To niezbyt wielka próbka – powiedziałem.

– Że co? – spytał chłopak.

– W tym przypadku wystarczy – stwierdziła Audrey. – Na kopercie jest twoje pełne nazwisko i adres. Pochylenie linii, rozmieszczenie słów, kształt liter... wszystkie dają tę samą odpowiedź. On ma też bardzo charakterystyczne e. Jeżeli użyjemy dłuższej próbki jako wzorca, w mojej ocenie próbkę na kopercie można uznać za autentyczną z prawdopodobieństwem równym co najmniej dziewięćdziesięciu procentom.

– Dzięki – stwierdziłem.

– Ucieszyłby mnie nowy pies – powiedziała, odchodząc.

– Audrey, nie wyobrażę sobie szczeniaka dla ciebie. J.C. i tak robi dość hałasu! Nie chcę, żeby po domu biegał pies i szczekał.

– Daj spokój. – Odwróciła się w drzwiach. – Będę go karmić udawanym jedzeniem, pić udawaną wodą i wyprowadzać na udawane spacerki. Wszystko, czego może pragnąć udawany pies.

– Wynocha – powiedziałem, ale się uśmiechałem.

Żartowała sobie ze mnie. Miło było mieć parę aspektów, którym nie przeszkadzało bycie halucynacjami. Młody mężczyzna wpatrywał się we mnie z konsternacją.

– Możesz już przestać udawać – powiedziałem do niego.

– Udawać?

– Udawać, że zaskakuje cię, jaki jestem „dziwny”. To była dość amatorska próba. Zakładam, że jesteś studentem przygotowującym pracę magisterską?

Miał panikę w oczach.

– Następnym razem poproś współlokatora, żeby napisał za ciebie wiadomość. – Rzuciłem w niego kartką. – A niech to diabli, nie mam czasu na takie rzeczy.

Wstałem.

– Mógłbyś się zgodzić na wywiad – zaproponował Tobias.

– Po tym, jak mnie oszukał? – warknąłem.

– Proszę. – Chłopak też wstał. – Moja dziewczyna...

– Wcześniej nazywałaś ją narzeczoną. – Odwróciłem się w jego stronę. – Jesteś tutaj, żeby skłonić mnie do wzięcia „sprawy”, w czasie której wodziłbyś mnie za nos, jednocześnie ukradkiem pisząc notatki na temat mojego stanu. Twoim prawdziwym celem jest napisanie pracy magisterskiej albo coś w tym rodzaju.

Wyraźnie posmutniał. Ivy stała za nim i z pogardą kręciła głową.

– Myślisz, że jesteś pierwszym, który wpadł na taki pomysł?

Skrzywił się.

– Nie może mieć pan do mnie pretensji, że spróbowałem.

– Mogę i mam. Często. Wilson! Wezwij ochronę!

– Nie ma takiej potrzeby.

Chłopak zabrał swoje rzeczy. Tak się śpieszył, że z kieszeni jego koszulki wyslizgnął się miniaturowy dyktafon i uderzył z grzechotem o stół.

Uniosłem brew, a on się zarumienił, złapał dyktafon i wybiegł z pokoju.

Tobias wstał i podszedł do mnie z rękami za plecami.

– Biedny chłopiec. I pewnie będzie musiał wracać do domu pieszo. I to w deszczu.

– Pada?

– Stan mówi, że wkrótce zaczniesz. Pomyślałeś może, że nie robiliby tego tak często, gdybyś od czasu do czasu zgodził się na wywiad?

– Mam już dość powoływania się na mnie w studiach nad przypadkiem. – Machnąłem ręką z irytacją. – Mam dość bycia obmacywanym i trącanym. Mam dość bycia wyjątkowym.

– Co takiego? – Ivy była wyraźnie rozbawiona. – Wolałbyś raczej całymi dniami siedzieć za biurkiem? Zrezygnować z obszernej rezydencji?

– Nie mówię, że nie ma to swoich zalet. – Wilson wrócił do pokoju i patrzył, jak chłopak wybiega przez frontowe drzwi. – Upewnij się, że rzeczywiście sobie poszedł, dobrze, Wilson?

– Oczywiście, proszę pana.

Podał mi tacę z korespondencją, która przyszła tego dnia, i wyszedł.

Przejrzałem listy. Wilson wcześniej usunął rachunki i reklamy. Pozostał jedynie list od mojego ludzkiego psychologa, który zignorowałem, oraz niczym się niewyróżniająca biała koperta sporych rozmiarów.

Zmarszczyłem czoło, wziąłem ją i rozerwałem krawędź. Wyjąłem zawartość.

W środku była tylko jedna rzecz. Pojedyncza fotografia, rozmiar dwanaście na dwadzieścia centymetrów, czarno-biała. Uniosłem brew. Przedstawiała kamieniste wybrzeże, na którym dwa nieduże drzewka trzymały się skały wbijającej się w ocean.

– Z tyłu nic – powiedziałem, kiedy Tobias i Ivy spojrzeli mi przez ramię. – Nic więcej w kopercie.

– Założę się, że ktoś jeszcze próbuje załatwić sobie wywiad – stwierdziła Ivy. – Ale radzi sobie z tym lepiej niż ten dzieciak.

– Nie robi zbyt wielkiego wrażenia. – J.C. precyzyjnie się obok Ivy, która uderzyła go pięścią w ramię. – Skały. Drzewa. Nuda.

– Nie wiem... – powiedziałem. – Ono coś w sobie ma. Tobias?

Tobias wziął ode mnie zdjęcie. A przynajmniej ja tak to postrzegałem. Najpewniej nadal trzymałem fotografię w ręku, ale nie czułem jej tam, gdyż postrzegałem, że wziął ją Tobias. To zadziwiające, jak umysł wpływa na percepcję.

Tobias przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zdjęcie. J.C. bawił się bezpiecznikiem pistoletu.

– Czy to nie ty ciągle gędzisz o bezpiecznym posługiwaniu się bronią? – syknęła do niego Ivy.

– Jest bezpiecznie. Lufa nie celuje w nikogo. Poza tym ja całkowicie panuję nad każdym mięśniem swojego ciała. Mógłbym...

– Bądźcie cicho. – Tobias podniósł zdjęcie do oczu. – Mój Boże...

– Proszę, nie używaj imienia Pana nadaremno – powiedziała Ivy.

J.C. prychnął.

– Stephen – powiedział Tobias. – Komputer.

Podszedłem razem z nim do komputera i usiadłem, a Tobias patrzył mi przez ramię.

– Wyszukaj Samotny Cyprys.

Uruchomiłem wyszukiwanie w grafice. Pojawiło się kilkadziesiąt ujęć tej samej skały, ale na każdym z nich rosło większe drzewo. Było dorosłe, wręcz wydawało się stare.

– W porządku – wtrącił J.C. – Nadal drzewa. Nadal skały. Nadal nuda.

– To Samotny Cypr, J.C. – stwierdził Tobias. – Bardzo sławny, uważa się, że ma co najmniej dwieście pięćdziesiąt lat.

– I co z tego? – spytała Ivy.

Uniosłem zdjęcie, które dostałem pocztą.

– Na tym ma najwyżej... ile? Dziesięć lat.

– Pewnie nawet mniej – odparł Tobias.

– Czyli żeby to zdjęcie było realne, musiałyby zostać zrobione w drugiej połowie osiemnastego wieku. Dziesięciolecia przed wynalezieniem aparatu fotograficznego.

* * *

– Posłuchajcie, to na pewno fałszywka – powiedziała Ivy. – Nie wiem, dlaczego obaj tak bardzo się tym przejmujecie.

Wraz z Tobiasem spacerowałem korytarzem rezydencji. Minęły dwa dni, a ja nadal nie umiałem pozbyć się z głowy tego obrazu.

Nosiłem zdjęcie w kieszeni marynarki.

– Mistyfikacja byłaby najbardziej racjonalnym wyjaśnieniem, Stephenie – dodał Tobias.

– Armando uważa, że zdjęcie jest autentyczne – zauważyłem.

– Armando jest świrem. – Dziś Ivy miała na sobie elegancki szary kostium.

– Prawda.

Znów sięgnąłem do kieszeni. Retusz fotografii nie wymagałby wiele pracy. W dzisiejszych czasach sfałszowanie zdjęcia nie było wielkim problemem. Właściwie każdy dzieciak z Photoshopem mógł stworzyć realistycznie wyglądające fałszywki.

Armando przepuścił zdjęcie przez profesjonalne oprogramowanie, sprawdził warstwy i zrobił mnóstwo innych rzeczy, które były zbyt skomplikowane technicznie, bym je zrozumiał, ale przyznał, że to nic nie znaczy. Utalentowany artysta mógłby oszukać te testy.

Dlaczego więc zdjęcie tak mnie dręczyło?

– Mam wrażenie, że ktoś próbuje coś udowodnić – powiedziałem. – Jest wiele drzew starszych niż Samotny Cyprys, ale niewiele rośnie w tak charakterystycznych miejscach. To zdjęcie miało zostać od razu rozpoznane jako niemożliwe, przynajmniej dla osób znających się na historii.

– Co tym bardziej sugeruje mistyfikację, nie sądzisz? – spytała Ivy.

– Być może.

Ruszyłem w przeciwną stronę, a moje aspekty umilkły. W końcu usłyszałem trzaśnięcie drzwi na dole. Pośpieszyłem na półpiętro.

Wilson właśnie wspinał się po schodach.

– Proszę pana?

– Wilson! Przyszła poczta?

Zatrzymał się na półpiętrze i wyciągnął srebrną tacę. Megan, jedna ze sprzątaczek – realna, rzecz jasna – przeszła pośpiesznie za jego plecami i ominęła nas, idąc ze spuszczoną głową.

– Wkrótce rzuci pracę – zauważyła Ivy. – Naprawdę powinieneś zachowywać się mniej dziwnie, a przynajmniej spróbować.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić, Ivy – mruknąłem, przeglądając pocztę. – Z wami w pobliżu.

Tutaj! Kolejna koperta, taka sama, jak pierwsza. Rozerwałem ją z niecierpliwością i wyciągnąłem kolejne zdjęcie.

To było bardziej niewyraźne. Przedstawiało mężczyznę stojącego przy umywalce, z ręcznikiem na szyi. Jego otoczenie było staroświeckie. Ta fotografia również była czarno-biała.

Odwróciłem zdjęcie w stronę Tobiasa. Wziął je i uniósł do otoczonych zmarszczkami oczu.

– I co? – spytała Ivy.

– Wygląda znajomo – stwierdziłem. – Czuję, że powinienem go kojarzyć.

– Jerzy Waszyngton – wyjaśnił Tobias. – Jak się wydaje, przy porannym goleniu. Dziwi mnie, że nie miał nikogo, kto by go golił.

– Był żołnierzem. – Wziąłem zdjęcie z powrotem. – Pewnie przyzwyczał się robić pewne rzeczy samodzielnie.

Przeciagnałem palcami po błyszczącym zdjęciu. Pierwsze dagerotypy – wczesny rodzaj zdjęć – pojawiły się w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku. Wcześniej nikomu nie udało się stworzyć trwałych obrazów tego rodzaju. Waszyngton zmarł w roku 1799.

– Słuchajcie, to musi być fałszywka – stwierdziła Ivy. – Zdjęcie Jerzego Waszyngtona? Mamy założyć, że ktoś cofnął się w czasie, a jedynym pomysłem, na jaki wpadł, było sfotografowanie Jerzego w łazience? Ktoś się z nami bawi, Steve.

– Możliwe – przyznałem.

– Ale naprawdę jest niezwykle do niego podobny – zauważył Tobias.

– Tyle tylko, że my nie mamy żadnych zdjęć, które by go przedstawiały – sprzeciwiła się Ivy. – Nie ma więc jak tego udowodnić. Posłuchajcie, ktoś musiał jedynie znaleźć podobnego aktora, upozować go do zdjęcia i gotowe. Bez żadnego retuszu.

– Zobaczmy, co sądzi o tym Armando. – Odwróciłem zdjęcie. Z drugiej strony zapisano numer telefonu. – Ale najpierw niech ktoś pójdzie po Audrey.

* * *

– Możecie podejść do Jego Wysokości.

Armando stał przy swoim trójkątnym oknie – zajmował jedno ze szczytowych pomieszczeń rezydencji. Sam tego zażądał.

– Mógłbym go postrzelić? – spytał mnie cicho J.C. – Wiesz, w jakieś mało ważne miejsce? Może w stopę?

– Jego Wysokość to usłyszał – powiedział Armando ze swoim lekkim hiszpańskim akcentem i przeniósł na nas ponure spojrzenie. – Stephenie Leedsie. Czy spełniłeś obietnicę, którą mi złożyłeś? Muszę odzyskać swój tron.

– Pracuję nad tym, Armando. – Podąłem mu zdjęcie. – Mamy kolejne.

Armando westchnął i wziął zdjęcie. Był chudy, a czarne włosy zaczesywał gładko do tyłu.

– Armando łaskawie zgadza się rozważyć twoją prośbę.

Uniósł zdjęcie.

– Wiesz co, Steve – Ivy rozglądała się po pokoju – jeśli zamierzasz tworzyć halucynacje, naprawdę powinieneś się postarać, by były mniej irytujące.

– Cisza, kobieto. Rozważyłaś już prośbę jego wysokości?

– Nie wyjdę za ciebie, Armando.

– Byłabyś królową!

– Bez tronu. A o ile nic się nie zmieniło od ostatniego razu, kiedy to sprawdzałam, Meksyk ma prezydenta, nie cesarza.

– Baronowie narkotykowi zagrażają moim poddanym. – Armando przyglądał się zdjęciu. – Oni umierają z głodu i są zmuszani uginać się przed kapryсами obcych mocarstw. To hańba. Zdjęcie jest autentyczne.

Oddał mi je z powrotem.

– I to wszystko? – spytałem. – Nie musisz przeprowadzić żadnych testów na komputerze?

– Czyż nie jestem ekspertem od fotografii? Czyż nie przyszedłeś do mnie ze swoimi żalonymi błaganiami? Rzekłem. Jest autentyczne. Żadnych sztuczek. Ale fotograf to błazen. Nie ma pojęcia o sztuce. Razi mnie pospolita natura tych zdjęć.

Odwrócił się do nas plecami i znów wyjrzał przez okno.

– A czy teraz mogę go postrzelić? – spytał J.C.

– Kusi mnie, żeby ci na to pozwolić.

Obróciłem zdjęcie. Audrey spojrzała na notkę z tyłu i nie udało jej się powiązać charakteru pisma z żadnym z profesorów, psychologów i innych grup, które ciągle chciały prowadzić na mnie badania.

Wzruszyłem ramionami i wyjąłem telefon. Numer był miejscowy. Ktoś odebrał po jednym sygnale.

– Halo? – powiedziałem.

– Czy mogę pana odwiedzić, panie Leeds? – Głos kobiety z lekkim akcentem z Południa.

– Kim pani jest?

– Osobą, która przysłała panu zagadki.

– Cóż, tego się domyśliłem.

– Mogę pana odwiedzić?

– Cóż... pewnie tak. Gdzie pani jest?

– Pod rezydencją.

Rozległ się trzask, a po chwili dzwonienie, gdy ktoś nacisnął brzęczyk przy frontowej bramie.

Spojrzałem na pozostałych. J.C. przecisnął się do okna i z wyciągniętą bronią spoglądał na podjazd. Armando patrzył na niego z ponurą miną.

Wraz z Ivy wyszedłem z apartamentu Armanda i skierowałem się w stronę schodów.

Po chwili podbiegł do nas J.C.

– Masz broń?

– Normalni ludzie nie chodzą po własnym domu z pistoletem pod pachą.

– Chodzą, jeśli chcą żyć. Idź po broń.

Po chwili wahania westchnąłem.

– Wpuść ją, Wilson! – zawołałem.

Sam jednak udałem się do własnych pokoi – największych w kompleksie – i wyjąłem pistolet z szuflady stolika nocnego. Schowałem go do kabury pod pachą i znów włożyłem marynarkę. Broń dobrze robiła mi na samopoczucie, ale naprawdę kiepsko strzelam.

Zanim dotarłem do schodów prowadzących w stronę frontowego wejścia, Wilson zdążył je otworzyć. W wejściu stała ciemnoskóra kobieta po trzydziestce, ubrana w czarną kurtkę i elegancki kostium. Nosiła krótkie dredy. Zdjęła okulary przeciwsłoneczne i skinęła mi głową.

– Salon, Wilson – poleciłem, zbliżając się do podestu.

Kamerdyner zaprowadził kobietę we wskazane miejsce, a ja wszedłem do środka i czekałem, aż zrobią to również J.C. i Ivy. Tobias już siedział wewnątrz i czytał jakąś historyczną książkę.

– Lemoniady? – spytał Wilson.

– Nie, dziękuję.

Zamknąłem drzwi, zostawiając kamerdynera na zewnątrz.

Kobieta krążyła po pokoju i podziwiała jego wystrój.

– Elegancki lokal. Kupił pan to wszystko za pieniądze od ludzi, którzy proszą pana o pomoc?

– Większość pochodzi od rządu.

– Mówi się, że pan dla nich nie pracuje.

– Teraz już nie. Tak czy inaczej, spora część pochodzi z grantów. Od profesorów, którzy chcieli mnie badać. Zacząłem żądać dużych sum za ten przywilej, zakładając, że to ich zniechęci.

– Ale tak się nie stało.

– Nic ich nie zniechęca. – Skrzywiłem się. – Proszę usiąść.

– Postoję. – Przyglądała się obrazowi van Gogha. – Tak przy okazji, mam na imię Monica.

– Monica – powtórzyłem i wyjąłem dwa zdjęcia. – Szczerze mówiąc, wydaje mi się zadziwiające, że spodziewała się pani, iż uwierzę w pani absurdalną historyjkę.

– Jeszcze jej panu nie opowiedziałam.

– Ale zamierza pani. – Rzuciłem fotografie na stół. – Historyjkę o podróżach w czasie i, najwyraźniej, fotografie, który nie umie korzystać z lampy błyskowej.

– Jest pan geniuszem, panie Leeds. – Nie odwróciła się w moją stronę. – Wedle niektórych świadectw, które czytałam, jest pan najinteligentniejszym człowiekiem na całej planecie. Gdyby te zdjęcia miały jakąś oczywistą skazę... albo nawet nie taką oczywistą...

wyrzuciłby je pan. Z pewnością by pan do mnie nie zadzwonił.

– Oni się mylą.

– Oni...?

– Ludzie, którzy nazywają mnie geniuszem. – Usiadłem na krześle obok Tobiasza. – Nie jestem geniuszem. Tak naprawdę jestem dość przeciętny.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Niech pani sobie wierzy, w co chce. Ale nie jestem geniuszem.

Moje halucynacje są.

– Dzięki – powiedział J.C.

– Niektóre z moich halucynacji są – poprawiłem się.

Monica odwróciła się w moją stronę.

– Akceptuje pan to, że rzeczy, które pan widzi, nie są realne?

– Tak.

– A jednak pan z nimi rozmawia.

– Nie chciałbym zranić ich uczuć. Poza tym bywają użyteczne.

– Dzięki – powiedział J.C.

– Niektóre z nich bywają użyteczne – poprawiłem się. – Tak czy inaczej, są powodem, dla którego tu pani jest. Potrzebuje pani ich umysłów. A teraz proszę mi opowiedzieć swoją historię, Monico, albo przestać marnować mój czas.

Uśmiechnęła się i w końcu podeszła, by usiąść.

– To nie tak, jak pan myśli. Nie ma maszyny czasu.

– Ach tak?

– Nie wydaje się pan zaskoczony.

– Podróż w czasie w przeszłość jest bardzo, ale to bardzo mało prawdopodobna. Nawet gdyby jednak do niej doszło, nie wiedziałbym o niej, gdyż doprowadziłaby do powstania rzeczywistości alternatywnej, w której mnie nie ma.

– Chyba że to właśnie jest rzeczywistość alternatywna.

– A w takim przypadku podróż w czasie w przeszłość również jest dla mnie bez znaczenia, gdyż ktoś powracający do swoich czasów doprowadziłby do powstania rzeczywistości alternatywnej, w której również mnie nie ma.

– Taka jest w każdym razie jedna z teorii. Ale to nieistotne. Jak już

powiedziałam, nie ma żadnej maszyny czasu. A przynajmniej nie w potocznym rozumieniu tego słowa.

– Czyli te zdjęcia to fałszywki? Zaczyna mnie pani bardzo szybko nudzić, Monico.

Położyła na stole trzy kolejne zdjęcia.

– Szekspir – powiedział Tobias, gdy zacząłem je unosić, jedno po drugim. – Kolos Rodyjski. Och... a to bardzo sprytne.

– Elvis? – spytałem.

– Najwyraźniej tuż przed śmiercią.

Tobias wskazał na zdjęcie przygasającej legendy popu siedzącej w swojej łazience z opadającą głową.

J.C. prychnął.

– Jakby w okolicy nie było nikogo, kto wygląda jak ten gość.

– Pochodzą z aparatu – Monica pochyliła się – który robi zdjęcia przeszłości.

Przerwała dla efektu. J.C. ziewnął.

– Problem z każdym z nich – rzuciłem zdjęcia na stół – polega na tym, że zasadniczo nie da się ich zweryfikować. To fotografie rzeczy, dla których nie ma żadnej innej dokumentacji zdjęciowej, więc nie da się wykorzystać drobnych nieścisłości dla podważenia ich autentyczności.

– Widziałam urządzenie w działaniu – odparła Monica. – Jego autentyczność potwierdziły rygorystycznie przeprowadzone próby. Stanęliśmy w czystym pomieszczeniu, które sami przygotowaliśmy, wzięliśmy kartki, narysowaliśmy na nich wzory i unieśliśmy je. Następnie spaliliśmy kartki. Wynalazca tego urządzenia wszedł do pokoju i zrobił zdjęcia. Dokładnie przedstawiały nas i trzymane przez nas kartki z wzorami.

– Cudownie. Gdybym tylko miał powód, by wierzyć w pani słowa.

– Może sam pan sprawdzić urządzenie. Wykorzystać je, by znaleźć odpowiedź na dowolne pytanie z historii.

– Moglibyśmy – wtrąciła Ivy – gdyby nie zostało ukradzione.

– Mógłbym to zrobić – powtórzyłem, ufając Ivy. Miała doskonałe wycucie podczas przesłuchania i czasami mi podpowiadała. – Tyle tylko, że urządzenie zostało skradzione, prawda?

Monica odchyliła się do tyłu i zmarszczyła czoło.

– Nie było trudno się domyślić, Steve – powiedziała Ivy. – Nie byłoby jej tutaj, gdyby wszystko działało poprawnie, a gdyby naprawdę chciała nam coś udowodnić, przyniosłaby aparat, żeby się nim pochwalić. Mogłabym uwierzyć, że jest w jakimś laboratorium, zbyt cenne, by je ruszyć. Ale wtedy zaprosiłaby nas do swojej siedziby, zamiast przychodzić do nas. Mimo pozorów spokoju, jest zdesperowana. Widzisz, jak cały czas stuka palcami w podłokietnik krzesła? Zauważyłeś też, że na początku rozmowy próbowała pozostać w pozycji stojącej, górując nad nami, jakby chciała podeprzeć swój autorytet? Usiadła dopiero, kiedy poczuła się niezręcznie, widząc cię rozluźnionego.

Tobias przytaknął.

– „Nigdy nie rób na stojąco niczego, co możesz robić na siedząco, i nigdy nie rób na siedząco niczego, co możesz robić na leżąc”. Chińskie przysłowie, zwykle przypisywane Konfucjuszowi. Oczywiście nie istnieją żadne oryginalne teksty Konfucjusza, więc jeśli coś mu przypisujemy, przeważnie w mniejszym lub większym stopniu się domyślamy. Jak na ironię, jednym z nielicznych elementów jego nauczania, których jesteśmy całkowicie pewni, jest Złota Reguła... a jego wypowiedź na ten temat często przypisuje się błędnie Jezusowi z Nazaretu, który wyraził tę samą koncepcję innymi słowami...

Nie przerywałem mu, jego spokojny głos wznosił się i opadał, omywając mnie jak fala. Treść się nie liczyła.

– Tak – powiedziała w końcu Monica. – Urządzenie zostało skradzione. I właśnie dlatego tu jestem.

– Innymi słowy, mamy problem. Mógłbym potwierdzić autentyczność tych zdjęć jedynie wtedy, gdybym miał dostęp do urządzenia. Ale nie mogę dotrzeć do urządzenia, dopóki nie wypełnię zadania, które dla mnie macie. A to oznacza, że równie dobrze mógłbym je wykonać i odkryć, że zostałem oszukany.

Upuściła na stół jeszcze jedno zdjęcie. Kobieta w okularach przeciwsłonecznych i trenczu stojąca na dworcu kolejowym. Zdjęcie zostało zrobione z boku, a ona spoglądała na wiszący wyżej monitor.

Sandra.

– Oho – mruknął J.C.
– Skąd to pani ma? – spytałem, wstając.
– Mówiłam panu...
– Koniec z gierkami! – Uderzyłem dłońmi o blat. – Gdzie ona jest? Co pani wie?

Monica cofnęła się, miała szeroko otwarte oczy. Ludzie nie wiedzą, jak postępować ze schizofrenikami. Czytali historie, oglądali filmy. Wywołujemy w nich strach, choć statystycznie nie jesteśmy bardziej skłonni do aktów przemocy niż przeciętni ludzie.

Oczywiście co najmniej kilkunastu autorów rozpraw na mój temat twierdzi, że wcale nie jestem schizofrenikiem. Połowa sądzi, że sobie to wszystko wymyśliłem. Druga połowa uważa, że cierpię na coś innego, coś nowego. Cokolwiek mi dolega – jakkolwiek działa mój mózg – tylko jedna osoba naprawdę mnie rozumiała. A była to kobieta, której zdjęcie Monica właśnie rzuciła na stół.

Sandra. W pewnym sensie ona to wszystko zaczęła.

– Zrobienie tego zdjęcia nie było trudne. Kiedy jeszcze udzielał pan wywiadów, opowiadał pan o niej. Wyraźnie miał pan nadzieję, że ktoś przeczyta wywiad i dostarczy panu informacje na jej temat. Może miał pan nadzieję, że ona przeczyta, co ma pan do powiedzenia i wróci do pana...

Zmusiłem się, by znów usiąść.

– Wiedział pan, że poszła na dworzec kolejowy – mówiła dalej Monica. – I o której. Nie wiedział pan, do którego pociągu wsiadła. Zaczęliśmy robić zdjęcia, aż ją odnaleźliśmy.

– Na tym dworcu musiało być z dziesięć blondynek o odpowiednim wyglądzie.

Nikt naprawdę nie wiedział, kim była. Nawet ja.

Monica wyjęła plik zdjęć, co najmniej dwadzieścia. Każde przedstawiało kobietę.

– Uznaliśmy, że ta, która nawet wewnątrz budynku nosiła ciemne okulary, to z największym prawdopodobieństwem ona, ale na wszelki wypadek zrobiliśmy zdjęcie każdej kobiety we właściwym wieku, która tego dnia pojawiła się na dworcu.

Ivy położyła mi dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, Stephenie – powiedział Tobias. – Mocny ster utrzyma statek na kursie nawet w czasie sztormu.

Odetchnąłem powoli.

– Mogę ją zastrzelić? – spytał J.C.

Ivy przewróciła oczyma.

– Przypomnij mi, czemu go tu trzymamy?

– Ze względu na moją szorstką męską urodę?

– Posłuchaj – mówiła dalej Ivy. – Monica właśnie podważyła swoją własną historyjkę. Twierdzi, że przyszła do ciebie tylko dlatego, że skradziono aparat... ale jak zdobyła bez niego te zdjęcia Sandry?

Pokiwałem głową, z trudem zapanowałem nad kłębiącymi się myślami i wypowiedziałem oskarżenie na głos.

Monica uśmiechnęła się przebiegle.

– Mieliśmy pana na oku w związku z innym projektem. Pomyśleliśmy, że mogłyby... się przydać.

– A niech to. – Ivy wstała i spojrzała Monice prosto w twarz, skupiając się na źrenicach. – Myślę, że tym razem może mówić prawdę.

Wpatrywałem się w zdjęcie. Sandra. Minęło prawie dziesięć lat. Wciąż czułem ból na myśl o tym, jak mnie porzuciła. Porzuciła po tym, jak pokazała mi, jak ujarzmić zdolności mojego umysłu. Przeciągnąłem palcem po zdjęciu.

– Musimy to zrobić – powiedział J.C. – Musimy zająć się tą sprawą, chudy.

– Jeśli jest szansa... – Tobias pokiwał głową.

– Aparat został pewnie ukradziony przez kogoś od nich – domyśliła się Ivy. – W takich sytuacjach często się to zdarza.

– Zabrał go jeden z waszych ludzi, prawda? – spytałem.

– Tak – przyznała Monica. – Ale nie mamy pojęcia, dokąd się udał. Przez ostatnie cztery dni wydaliśmy dziesiątki tysięcy dolarów, próbując go odnaleźć. Od początku proponowałam pana. Inne... frakcje w naszej firmie nie chciały wyrazić zgody na zwrócenie się do kogoś, kogo uważają za nieprzewidywalnego.

– Zrobię to – powiedziałem.

– Doskonale. Mam zabrać pana do naszych laboratoriów?

– Nie. Proszę mnie zabrać do domu złodzieja.

* * *

– Pan Balubal Razon – czytał Tobias z kartoteki, kiedy wchodziliśmy po schodach. W samochodzie rzuciłem na nią okiem, ale byłem zbyt zamyślony, by skupić się na szczegółach. – Z pochodzenia Filipińczyk, ale urodzony w Stanach. Doktorat z fizyki na uniwersytecie stanowym Maine. Bez wyróżnienia. Mieszka sam.

Dotarliśmy na szóste piętro bloku mieszkalnego. Monica dostała zadyszki. Ciągle podchodziła za blisko J.C., który marszczył brwi.

– Jeśli mogę coś dodać – Tobias opuścił kartkę – Stan poinformował mnie, że chmury deszczowe rozproszyły się, zanim do nas dotarły. W najbliższym czasie możemy się spodziewać jedynie słonecznej pogody.

– I całe szczęście. – Odwróciłem się do drzwi, przy których straż pełniło dwóch mężczyzn w czarnych garniturach. – Wasi? – Wskazałem na nich brodą i odwróciłem się do Moniki.

– Tak.

Monica przez całą drogę rozmawiała przez telefon ze swoimi zwierzchnikami.

Wyjęła klucz do mieszkania i przekręciła go w zamku. Wnętrze wyglądało koszmarnie. Na parapecie stał rząd pudełek po chińszczyźnie na wynos, jakby jakiś plantator zamierzał wyhodować przyszłoroczne plony kurczaka generała Tso. Wszędzie leżały sterty książek, a na ścianach wisiały zdjęcia. Nie z podróży, ale zwyczajne, jakie mógłby robić zapalony fotograf-amator.

Musieliśmy ustawić się gęsiego, żeby przejść przez drzwi i minąć sterty książek. Kiedy wszyscy znaleźliśmy się w środku, zrobiło się bardzo ciasno.

– Czy mógłbym prosić, żeby została pani na zewnątrz? Trochę tu mało miejsca.

– Mało miejsca? – powtórzyła, marszcząc czoło.

– Ciągle przechodzi pani przez J.C. To dla niego bardzo

nieprzyjemne, nie lubi, kiedy mu się przypomina, że jest halucynacją.

– Nie jestem halucynacją – warknął J.C. – Mam najnowocześniejszy sprzęt maskujący.

Monica przez chwilę mi się przyglądała, po czym podeszła do drzwi, stanęła między dwoma strażnikami i obserwowała nas z dłońmi opartymi na biodrach.

– W porządku, ludzie – powiedziałem. – Do roboty.

– Niezłe zamki. – J.C. trącił jeden z łańcuchów na drzwiach. – Grube drewno, trzy zasuwki. O ile się nie mylę... – Szturchnął coś, co wyglądało jak skrzynka na listy na ścianie obok drzwi.

Otworzyłem ją. W środku był rewolwer w idealnym stanie.

– Ruger bisley, przerobiony na zamówienie na większy kaliber. – J.C. chrząknął. Otworzyłem to wirujące coś, w czym były naboje, i wyjąłem jeden. – W magazynku linebaugh kaliber .500 – mówił dalej J.C. – To broń dla kogoś, kto wie, co robi.

– Ale porzucił ją – wtrąciła Ivy. – Za bardzo się śpieszył?

– Nie – odparł J.C. – To był jego rewolwer do strzelania przez drzwi. Miał inną broń podręczną.

– Rewolwer do strzelania przez drzwi? – powtórzyła Ivy. – Wy naprawdę coś takiego macie?

– Potrzeba czegoś o dużej zdolności penetracji, co może przebić się przez drewno, kiedy ktoś próbuje wyważyć drzwi. Ale odrzut tej broni już po kilku strzałach robi krzywdę w rękę. Przy sobie z pewnością nosił coś mniejszego kalibru.

J.C. przyjrzał się broni.

– Ale nigdy z niego nie strzelano. Hm... możliwe, że ktoś mu go dał. Może poszedł do przyjaciela i spytał, jak może zapewnić sobie bezpieczeństwo? Prawdziwy żołnierz poznaje broń, która do niego należy, wielokrotnie z niej strzelając. Żaden rewolwer ani pistolet nie strzela idealnie prosto. Każdy ma swoją osobowość.

– To uczone. – Tobias ukląkł przy stercie książek. – Historyk.

– Wydajesz się zaskoczony – powiedziałem. – W końcu ma doktorat. Spodziewałbym się, że będzie bystry.

– Ma doktorat z fizyki teoretycznej, Stephenie. A to są wyjątkowo mało znane traktaty historyczne i teologiczne. Poważna lektura.

Trudno być czytany naukowcem z więcej niż jednej dziedziny. Nic dziwnego, że żyje samotnie.

– Różańce. – Ivy podniosła jeden ze sterty książek i przyjrzała mu się uważnie. – Zużyty, często odmawiany. Otwórz jedną z tych książek.

Podniosłem ją z podłogi.

– Nie, tamtą. *Bóg urojony*.

– Richard Dawkins? – Zacząłem przerzucać kartki.

– Znany ateista. – Ivy spoglądała mi przez ramię. – Na marginesach Razon wypisywał kontrargumenty.

– Żarliwy katolik w morzu świeckich naukowców – dodał Tobias. – Tak... wiele z tych dzieł jest religijnych lub ma religijne konotacje. Tomasz z Akwinu, Daniel W. Hardy, Francis Schaeffer, Pietro Alagona...

Ivy wskazała na coś wiszącego na ścianie.

– To jego identyfikator z pracy.

Napis głosił dużymi literami: *Azari Laboratories, Inc.* Firma Moniki.

– Zawołaj Monicę – powiedziała Ivy. – Powtarzaj to, co będę ci mówić.

– Monica! – zawołałem.

– Wolno mi już wejść?

– To zależy. – Powtórzyłem słowa, które szeptała mi Ivy. – Zamierza mi pani powiedzieć prawdę?

– O czym?

– O tym, że Razon sam wymyślił aparat, a do Azari zgłosił się dopiero, kiedy miał działający prototyp.

Monica zmrużyła oczy.

– Identyfikator jest zbyt nowy. Żadnych śladów zużycia czy podrapania od używania albo noszenia w kieszeni. Zdjęcie zrobiono co najwyżej przed dwoma miesiącami, o czym świadczy jego zarost – na fotografii z Mount Vernon, która stoi na kominku, jest gładko ogolony. Poza tym to nie jest mieszkanie dobrze opłacanego inżyniera. Popsuta winda? Północno-wschodnia część miasta? Ta dzielnica ma nie tylko kiepską reputację, ale też znajduje się zbyt daleko od waszych biur. On nie ukradł waszego aparatu, Monico... choć zaczynam się zastanawiać, czy to nie wy próbujecie mu go ukraść. Czy

to dlatego uciekł? Nie przyszedł do nas z prototypem. A przynajmniej nie z działającym. Miał jedno zdjęcie... to przedstawiające Waszyngtona... i mnóstwo obietnic. Potrzebował pieniędzy, żeby stworzyć urządzenie działające stabilnie, bo to, które skonstruował, najwyraźniej przestało działać po kilku dniach.

– Przez osiemnaście miesięcy pracował z przepustką dającą mu ograniczony dostęp do laboratoriów. Dostał oficjalny identyfikator, kiedy w końcu zmusił ten przeklęty aparat do działania. I naprawdę go ukradł. Zgodnie z kontraktem, który podpisał, cały sprzęt miał pozostać w naszych laboratoriach. Wykorzystał nas jako dogodne źródło gotówki, a kiedy tylko mógł, uciekł z nagrodą, wcześniej zaś wykasował wszystkie dane i zniszczył wszystkie inne prototypy.

– Prawda? – spytałem Ivy.

– Nie umiem tego ocenić. Przepraszam. Gdybym słyszała bicie jej serca... Może mógłbyś przyłożyć ucho do jej piersi?

– Z pewnością byłaby zachwycona.

J.C. się uśmiechnął.

– Ja z pewnością byłbym zachwycony.

– Daj spokój – powiedziała Ivy. – Zrobiłbyś to tylko po to, żeby zajrzeć jej pod kurtkę i zobaczyć, jaki pistolet nosi.

– Beretta M9. Już zajrzałem.

Ivy spiorunowała mnie wzrokiem.

– O co ci chodzi? – Próbowałem udawać niewiniątko. – To on to powiedział.

– Chudy – wtrącił J.C. – M9 jest nudne, ale skuteczne. Sposób, w jaki ta kobieta się porusza, świadczy, że umie posługiwać się bronią. To dyszenie, kiedy wspinała się po schodach? Udawała. W rzeczywistości jest o wiele sprawniejsza. Próbuje udawać, że jest jakąś kierowniczką czy inną biurwą w laboratorium, ale widać po niej, że zajmuje się ochroną.

– Dzięki – powiedziałem mu.

– Jest pan bardzo dziwnym człowiekiem – stwierdziła Monica.

Skupiłem się na niej. Rzecz jasna, słyszała jedynie moją część wymiany zdań.

– Wydawało mi się, że czytała pani wywiady ze mną.

– Owszem. Nie oddają panu sprawiedliwości. Wyobrażałam sobie, że będzie pan szybko przechodził z jednej osobowości do drugiej.

– To zaburzenie dysocjacyjne tożsamości – stwierdziłem. – Coś zupełnie innego.

– Doskonale! – wtrąciła Ivy. Uczyła mnie na temat różnych zaburzeń psychologicznych.

– Tak czy inaczej, chyba jestem zaskoczona odkryciem, kim pan naprawdę jest.

– To znaczy?

– Kierownikiem średniego szczebla. – Wydawała się zaniepokojona.

– Tak czy inaczej, pytanie pozostaje. Gdzie jest Razon?

– To zależy. Czy musi przebywać w określonym miejscu, żeby użyć aparatu? To znaczy, czy musiał udać się do Mount Vernon, żeby zrobić tam zdjęcie przeszłości, czy też może w jakiś sposób ustawić aparat, by fotografował dowolną lokalizację?

– Musi udać się na miejsce. Aparat patrzy w przeszłość w dokładnie tym miejscu, w którym się znajduje.

Z tym wiązały się pewne problemy, ale na razie odsunąłem je na bok. Razon. Dokąd się udał? Spojrzałem na J.C., który wzruszył ramionami.

– Najpierw patrzysz na niego? – Głos Ivy brzmiał bezbarwnie. – Naprawdę?

Popatrzyłem na nią, a ona się zarumieniła.

– Ja... ja właściwie też nie mam pomysłu.

Wtedy J.C. zachichotał.

Tobias podniósł się, powoli i z namaszczaniem, jak odległa formacja chmur wznosząca się w niebo.

– Jerozolima – powiedział cicho, kładąc palce na książce. – Udał się do Jerozolimy.

Wszyscy popatrzyliśmy na niego. To znaczy ci z nas, którzy mogli.

– A dokąd jeszcze mógłby się udać człowiek wierzący, Stephenie? Po latach kłótni ze współpracownikami, kiedy ze względu na swoją wiarę był uważany za głupca? O to w tym wszystkim chodzi, dlatego skonstruował ten aparat. Udał się, by odpowiedzieć na pytanie. Dla nas, dla siebie. Pytanie, które zadawano od dwóch tysięcy lat.

Wyruszył, by zrobić zdjęcie Jezusa z Nazaretu, przez wiernych zwanego Chrystusem, po jego zmartwychwstaniu.

* * *

Zażądałem pięciu miejsc w pierwszej klasie. To nie podobało się zwierzchnikom Moniki, z których część mnie nie akceptowała. Poznałem jednego z nich na lotnisku, niejakiego pana Davenporta. Było od niego czuć dymem z fajki, a Ivy skrytykowała jego brak gustu w doborze butów. Postanowiłem jednak nie spytać go, czy moglibyśmy skorzystać z firmowego odrzutowca.

Siedzieliśmy teraz w pierwszej klasie samolotu. Leniwie przerzucałem kartki grubej książki spoczywającej na wysuwanej tacy przy fotelu. Za moimi plecami J.C. chwalił się Tobiasowi bronią, którą udało mu się przemyścić i ukryć przed ochroną.

Ivy drzemała przy oknie, obok miała puste miejsce. Monica siedziała obok mnie i wpatrywała się w ten pusty fotel.

– Czyli Ivy siedzi przy oknie?

– Tak. – Przewróciłem kartkę.

– Tobias i marine są za nami.

– J.C. to Navy SEAL. Zastrzeliby panią za taką pomyłkę.

– A to dodatkowe miejsce?

– Puste. – Przerzuciłem kartkę.

Czekała na wyjaśnienie. Nie podałem go.

– Co zamierzacie zrobić z tym aparatem? – spytałem. – Zakładając jego autentyczność, do czego nie jestem jeszcze przekonany.

– Zastosowań są całe setki. Egzekwowanie przestrzegania prawa... szpiegostwo... tworzenie prawdziwych relacji z wydarzeń historycznych... przyglądanie się wczesnym fazom rozwoju planety dla celów naukowych...

– Niszczenie starożytnych religii...

Uniosła brew.

– Czyżby był pan człowiekiem religijnym, panie Leeds?

– Część mnie jest. – To było szczerą prawdą.

– Cóż. Załóżmy, że chrześcijaństwo jest oszustwem. A może ruchem zapoczątkowanym przez ludzi o dobrych intencjach, który jednak nieproporcjonalnie się rozrósł. Czy ujawnienie tego faktu nie posłużyłoby większemu dobru?

– Nie jestem przygotowany do udziału w takiej debacie. Potrzebowałaby pani Tobiasa. On jest filozofem. Oczywiście, wydaje mi się, że w tej chwili drzemie.

– Właściwie, Stephenie – Tobias wsunął głowę między nasze fotele – nawet interesuje mnie ta rozmowa. Przy okazji, Stan obserwuje nasze postępy. Mówi, że może nas czekać trochę turbulencji.

– Na coś pan patrzy – powiedziała Monica.

– Patrzę na Tobiasa. Chce kontynuować rozmowę.

– Mogłabym z nim porozmawiać?

– Pewnie tak, przeze mnie. Ale muszę panią ostrzec. Proszę ignorować wszystko, co mówi o Stanie.

– Kim jest Stan?

– Astronautą, którego Tobias słyszy, rzekomo krążącym wokół Ziemi w satelicie. – Przerzuciłem kartkę. – Stan jest w zasadzie niegroźny. Daje nam prognozy pogody i inne takie.

– Ja... rozumiem. Stan jest innym z pańskich szczególnych przyjaciół?

Zaśmiałem się.

– Nie. Stan nie jest prawdziwy.

– Chyba mówił pan, że nikt z nich nie jest.

– Cóż, to prawda. Są moimi halucynacjami. Ale Stan jest wyjątkowy. Tylko Tobias go słyszy. Tobias jest schizofrenikiem.

Zamrugła zaskoczona.

– Pańska halucynacja...

– Tak?

– Pańska halucynacja ma halucynacje.

– Tak.

Odchyliła się do tyłu wyraźnie zaniepokojona.

– Wszyscy mają swoje problemy. Ivy cierpi na tryfobię, choć przeważnie nad tym panuje. Proszę tylko nie zbliżać się do niej z gniazdem os. Armando jest megalomanem. Adoline ma nerwicę

natręctw.

– Jeśli możesz, Stephenie – powiedział Tobias. – Powiedz jej, że uważam Razona za bardzo odważnego człowieka.

Powtórzyłem jego słowa.

– Dlaczego? – spytała Monica.

– Bycie jednocześnie naukowcem i osobą religijną wymaga zawarcia niepewnego wewnętrznego rozejmu – stwierdził Tobias. – Sednem nauki jest zaakceptowanie tylko tych prawd, które można udowodnić. Sednem wiary jest zdefiniowanie Prawdy jako z samej swej istoty niemożliwej do udowodnienia. Razon jest odważnym człowiekiem ze względu na to, co robi. Niezależnie od tego, co odkryje, jedna z dwóch rzeczy, które są dla niego bardzo ważne, zostanie zaprzeczona.

– Może być zelotą – zauważyła Monica. – Maszeruje ślepo naprzód, próbując znaleźć ostateczne potwierdzenie, że od samego początku miał rację.

– Być może. Ale prawdziwy zelota nie potrzebowałby potwierdzenia. Potwierdzenie zapewniłby mu Pan. Nie, ja widzę tu coś innego. Człowieka, który próbuje połączyć naukę i wiarę, pierwszą osobę, być może w całej historii ludzkości, która rzeczywiście odnalazła sposób na zastosowanie nauki do najważniejszych prawd religii. Uważam to za szlachetne.

Tobias znów oparł się na swoim fotelu. Monica siedziała zamyślona, a ja przerzuciłem ostatnie kartki książki. Kiedy skończyłem, wcisnąłem ją do kieszeni na fotelu przede mną.

Zasześciła zasłona, ktoś przeszedł z klasy ekonomicznej do pierwszej.

– Cześć! – odezwała się przyjaznym głosem kobieta idąca przejściem między fotelami. – Nie mogłam nie zauważyć, że macie tu dodatkowe miejsce, i pomyślałam sobie, że może pozwolicie mi na nim usiąść.

Kobieta wyglądała na niecałe trzydzieści lat, miała okrągłą, niebrzydką twarz, śniadą hinduską cerę i ciemnoczerwoną kropkę na czole. Nosiała skomplikowany czerwono-złoty strój, z tym hinduskim niby szalem przerzuconym przez ramię i owiniętym wokół niej. Nie wiem, jak je nazywają.

– Co to ma być? – spytał J.C. – Ej, Ahmed. Chyba nie zamierzasz wysadzić samolotu, co?

– Nazywam się Kalyani. I z całą pewnością nie zamierzam niczego wysadzić.

– Hm. Rozczarowujące.

J.C. znów usadowił się wygodniej i zamknął oczy – a raczej udawał. Jedno trzymał lekko uchylone i zwrócone w stronę Kalyani.

Ivy obudziła się z drzemki i przeciągnęła.

– Czemu my go w ogóle trzymamy?

– Ciągle się pan rozgląda – zauważyła Monica. – Czuję się tak, jakbym przegapiła całą rozmowę.

– Bo tak jest. Monico, przedstawiam pani Kalyani. Nowy aspekt i powód, dla którego potrzebowaliśmy tego pustego miejsca.

Kalyani dziarsko wyciągnęła rękę w stronę Moniki i uśmiechnęła się szeroko.

– Ona cię nie widzi, Kalyani.

– Och, rzeczywiście! – Kalyani uniosła obie ręce do twarzy. – Bardzo przepraszam, panie Steve. Jestem bardzo początkująca.

– Nic się nie stało. Monico, Kalyani będzie naszą tłumaczką w Izraelu.

Kalyani się ukloniła.

– Jestem lingwistką.

– Tłumaczka... – Monica spojrzała na książkę, którą odłożyłem. Podręcznik gramatyki, składni i słownictwa języka hebrajskiego. – Właśnie nauczył się pan hebrajskiego.

– Nie. Przerzuciłem kartki, by przywołać aspekt, który się nim posługuje. Kompletnie nie radzę sobie z językami.

Ziewnąłem i zacząłem się zastanawiać, czy zostało jeszcze dość czasu, bym podłapał dla Kalyani trochę arabskiego.

– Niech pan to udowodni – powiedziała Monica.

Uniosłem brew.

– Muszę zobaczyć. Proszę.

Odwrociłem się z westchnieniem do Kalyani.

– Jak powiedzieć: „Chciałbym poćwiczyć mówienie po hebrajsku. Czy może pan mówić do mnie w swoim języku?”.

– Hm... „Chciałbym poćwiczyć mówienie po hebrajsku” brzmi dość niezręcznie w tym języku. Może raczej „Chciałbym poprawić znajomość hebrajskiego”?

– Jasne.

– *Ani rotzeh leshapher et ha'ivrit sheli* – powiedziała Kalyani.

– A niech to diabli – mruknąłem. – Trudno to zapamiętać.

– Nie przeklinaj! – zawołała Ivy.

– To nie takie trudne, panie Steve. Proszę spróbować. *Ani rotzeh leshapher et ha'ivrit sheli*.

– Eni roti zili szaper hap... er haw...

– Ojej – westchnęła Kalyani. – To... koszmarne. Może będę podpowiadać po jednym słowie.

– Brzmi nieźle.

Przywołałem gestem jedną ze stewardes, tę, która na początku lotu wyjaśniała po hebrajsku zasady bezpieczeństwa.

Uśmiechnęła się do nas.

– Tak?

– Yyy...

– *Ani* – powiedziała cierpliwie Kalyani.

– *Ani* – powtórzyłem.

– *Rotzeh*.

– *Rotzeh...*

Wymagało to pewnego przyzwyczajenia, ale w końcu powiedziałem wszystko. Stewardesa nawet mi pogratulowała. Całe szczęście przetłumaczenie jej słów na angielski było o wiele prostsze – Kalyani tłumaczyła wszystko na bieżąco.

– Ma pan koszmarny akcent, panie Steve – stwierdziła Kalyani, kiedy stewardesa odeszła. – Czuję się zażenowana.

– Popracujemy nad tym. Dzięki.

Kalyani uśmiechnęła się i ucisnęła mnie, później próbowała zrobić to samo z Monicą, która nic nie zauważyła. Wreszcie Hinduska zajęła miejsce obok Ivy i obie zaczęły przyjaźnie rozmawiać, co mnie ucieszyło. Zawsze jest łatwiej, kiedy moje halucynacje dobrze się dogadują.

– Już wcześniej mówił pan po hebrajsku – oskarżyła mnie Monica. –

Znał pan ten język jeszcze przed odlotem, a ostatnie kilka godzin spędził pan, odświeżając jego znajomość.

– Może pani w to wierzyć, jeśli pani chce.

– Ale to niemożliwe – mówiła dalej. – Nie można się nauczyć zupełnie nowego języka w ciągu kilku godzin.

Nie chciało mi się jej poprawiać i wyjaśniać, że wcale się go nie nauczyłem. Gdyby tak było, mój akcent nie byłby tak koszmarny i Kalyani nie musiałyby mi podpowiadać słowo po słowie.

– Siedzimy w tym samolocie, bo chcemy odnaleźć aparat, który robi zdjęcia przeszłości – stwierdziłem. – Naprawdę tak trudno pani uwierzyć, że właśnie nauczyłem się hebrajskiego?

– W porządku. Będziemy udawać, że tak właśnie pan zrobił. Ale skoro jest pan zdolny tak szybko się uczyć, dlaczego do tej pory nie nauczył się pan każdego języka... każdej dziedziny wiedzy, wszystkiego?

– W moim domu nie ma dość pokoi. Jeśli mam być szczery, ja po prostu wcale nie chcę. Chętnie bym się od tego wszystkiego uwolnił, żeby żyć prostszym życiem. Czasem myślę, że ta cała banda kiedyś doprowadzi mnie do szaleństwa.

– Czyli... nie jest pan szalony?

– Na Boga, nie. – Popatrzyłem na nią z ukosa. – Pani w to nie wierzy.

– Widzi pan ludzi, których tu nie ma, panie Leeds. Trudno o tym zapomnieć.

– A jednak mam dobre życie. Proszę mi powiedzieć. Dlaczego mnie uznałaby pani za szaleńca, a mężczyznę, który nie umie utrzymać posady, zdradza żonę i nie panuje nad złością nazywa pani zdrowym psychicznie?

– Cóż, może nie do końca...

– Wielu „zdrowych na umyśle” ludzi nie panuje nad tym wszystkim. Ich stan psychiczny – stres, niepokój, frustracja – nie pozwala im czuć szczęścia. W porównaniu z nimi sędzę, że jestem absolutnie zrównoważony. Choć przyznam, że miło by było mieć święty spokój. Wcale nie chcę być kimś wyjątkowym.

– I stąd się to wszystko wzięło, prawda? Te halucynacje?

– Och, została pani psychologiem? W czasie lotu przeczytała pani

książkę na ten temat? Gdzie jest pani nowy aspekt, żebym mógł ucisnąć jej rękę?

Monica nie połknęła haczyka.

– Tworzy pan te urojenia, żeby móc na nie zrzucić różne rzeczy. Swoją błyskotliwość, którą uważa pan za obciążenie. Swoje poczucie odpowiedzialności... muszą pana ciągnąć za sobą i zmuszać do pomagania ludziom. To pozwala panu udawać, panie Leeds. Udawać, że jest pan normalny. Ale to właśnie jest prawdziwym urojeniem.

Odkryłem, że pragnę, by samolot przyspieszył, a lot się skończył.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem tej teorii. – Tobias odezwał się cicho za moimi plecami. – Może ona na coś wpadła, Stephenie. Powinniśmy wspomnieć o tym Ivy...

– Nie! – warknąłem, odwracając się do niego. – Ona już dosyć grzebała w moim umyśle.

Odwróciłem się z powrotem. Monica patrzyła na mnie w ten szczególny sposób, w jaki patrzą „zdrowi psychicznie” ludzie, kiedy mają kontakt ze mną. To spojrzenie człowieka zmuszonego do trzymania niestabilnego dynamitu w rękawicach kuchennych. To spojrzenie... boli o wiele bardziej niż sama choroba.

Postanowiłem zmienić temat.

– Proszę mi coś powiedzieć. Jak to się stało, że pozwoliliście Razonowi uciec?

– Nie chodzi o to, że zaniedbaliśmy środki bezpieczeństwa – odparła oschle Monica. – Aparat był bezpiecznie zamknięty, ale nie mogliśmy przecież trzymać go przez cały czas z dala od człowieka, któremu płaciliśmy, żeby go skonstruował.

– Jest w tym coś więcej. Bez urazy, ale jest pani przebiegłym korporacyjnym szczurem. Ivy i J.C. od dawna wiedzieli, że nie jest pani inżynierem. Albo jest pani oślizgłym dyrektorem, obarczonym zadaniem zajęcia się niepożądanymi elementami, albo oślizgłym szefem ochrony, który robi dokładnie to samo.

– Która właściwie część miała mnie nie urazić? – spytała chłodno.

– Jak to możliwe, że Razon miał dostęp do wszystkich prototypów? – pytałem dalej. – Bez wątplenia skopiowaliście projekt tak, żeby o tym nie wiedział. Z pewnością przekazaliście wersje aparatu innym

studiom, żeby mogli rozłożyć je na części i odtworzyć za pomocą inżynierii odwrotnej. Wydaje mi się dość naciągane, że jakimś sposobem odnalazł je wszystkie i zniszczył.

Przez chwilę stuknęła palcem w podłokietnik.

– Żaden z nich nie działa – przyznała w końcu.

– Dokładnie skopiowaliście projekty?

– Tak, ale to nic nie dało. Pytaliśmy Razona, a on powiedział, że wciąż są usterki. Zawsze miał jakieś wyjaśnienie, zresztą w końcu miał też problemy z własnymi prototypami. To dziedzina nauki, którą nikt się wcześniej nie zajmował. Jesteśmy pionierami. Muszą być jakieś usterki.

– Same prawdziwe stwierdzenia. A ja w żadne z nich nie wierzę.

– On coś robił z tymi aparatami – przyznała. – Coś, co sprawiało, że pod jego nieobecność przestawały działać. Mając dość czasu, mógł zmusić każdy z prototypów do działania. Jeśli w nocy podmieniliśmy któryś z nich na jedną z naszych kopii, Razon umiał zmusić ją do działania. A później podmienialiśmy ją z powrotem i u nas nie działała.

– Czy inni ludzie mogli używać aparatów w jego obecności?

Pokiwała głową.

– Mogli nawet z nich korzystać przez pewien czas po jego wyjściu. Ale każdy aparat zawsze po jakimś czasie przestawał działać i musieliśmy ściągać Razona z powrotem, żeby go naprawił. Musi pan zrozumieć, panie Leeds. Aparaty działały dopiero od kilku miesięcy. Przez większość swojej kariery w Azari Razon był uznawany przez prawie wszystkich za szarlatana.

– Ale zakładam, że nie przez panią.

Nie odpowiedziała.

– Bez niego, bez tego aparatu, pani kariera jest skończona – powiedziałem. – Finansowała go pani. Popierała. A kiedy w końcu aparat zaczął działać...

– On mnie zdradził – szepnęła.

Jej spojrzenie było bardzo nieprzyjemne. Przyszło mi na myśl, że jeśli rzeczywiście odnajdziemy pana Razona, powinienem pozwolić, by J.C. dopadł go jako pierwszy. J.C. pewnie chciałby go zastrzelić, ale

Monica rozerwałaby go na strzępy.

* * *

– Cóż – odezwała się Ivy – dobrze, że wybraliśmy sobie miasto na uboczu. Gdybyśmy odnaleźli Razona w dużej metropolii, świętym mieście trzech religii, niezmiernie popularnym wśród turystów z całego świata, byłoby naprawdę ciężko.

Uśmiechnąłem się, kiedy wychodziliśmy z lotniska. Jeden z dwóch zbirów, ochroniarzy Moniki, wyruszył na poszukiwanie samochodów, które jej firma dla nas zamówiła.

Uśmiech ledwie uniósł kąciki moich ust. W czasie drugiej części lotu nie poświęciłem zbyt wiele czasu na naukę arabskiego. Spędziłem go, myśląc o Sandrze. To nigdy nie jest produktywne zajęcie.

Ivy patrzyła na mnie z troską. Czasami okazywała mi wręcz macierzyńskie uczucia. Kalyani swobodnym krokiem podeszła do grupki ludzi rozmawiających po hebrajsku.

– Ach, Izrael. – J.C. podszedł do nas. – Zawsze chciałem tu przybyć, choćby po to, by sprawdzić, czy uda mi się prześlizgnąć przez ich ochronę. Wiadomo, jest najlepsza na świecie.

Na plecach niósł czarny worek marynarski, którego nie rozpoznawałem.

– Co to?

– Karabinek M4A1. Z dołączonym celownikiem typu ACOG i granatnikiem M203.

– Ale...

– Mam tu kontakty – powiedział cicho. – Raz SEAL, na zawsze SEAL.

Samochody przyjechały, choć kierowcy wydawali się skonsternowani faktem, że cztery osoby zażądały dwóch aut. Tymczasem ledwie się zmieściliśmy. Wsiadłem do tego z tyłu, razem z Monicą, Tobiaszem i Ivy, która usiadła między mną a moją zleceniodawczynią.

– Chciałbyś o tym porozmawiać? – spytała cicho Ivy, zapinając pas.

– Nie wiem, czy ją odnajdziemy, nawet za pomocą tego czegoś.

Sandra potrafi unikać zainteresowania, a ślad jest zbyt zimny.

Monica popatrzyła na mnie, na ustach miała pytanie – najwyraźniej sądziła, że odezwałem się do niej. Zaraz jednak uświadomiła sobie, komu towarzyszy, i nic nie powiedziała.

– Wiesz, mogła mieć dobry powód, żeby odejść. Nie mamy kompletnego obrazu – zauważyła Ivy.

– Dobry powód? Taki, który wyjaśnia, dlaczego w ciągu dziesięciu lat ani razu się do nas nie odezwała?

– To możliwe.

Nie zareagowałem.

– Mam tylko nadzieję, że nie zaczniesz nas gubić. Aspekty, które znikają albo się zmieniają?

Stają się koszmarami, pomyślałem. Tej ostatniej części nie musiała wypowiadać na głos.

– To już się nie powtórzy – stwierdziłem. – Teraz panuję nad sytuacją.

Ivy wciąż tęskniła za Justinem i Ignaciem. Jeśli mam być szczery, ja też.

– A... to polowanie na Sandrę. Czy chodzi jedynie o sympatię, jaką do niej czujesz, czy może o coś jeszcze?

– A o co jeszcze mogłoby chodzić?

– To ona nauczyła cię, jak zapanować nad umysłem. – Ivy odwróciła wzrok. – Nie mów mi, że nigdy się nie zastanawiałeś. Może ona zna więcej tajemnic. Na przykład... lekarstwo.

– Nie bądź głupia. Podoba mi się tak, jak jest.

Ivy nie odpowiedziała, choć widziałem, że Tobias patrzy na mnie w lusterku wstecznym. Uważnie mi się przypatruje. Ocenia moją szczerłość.

Szczerze mówiąc, ja również ją oceniałem.

Droga do Jerozolimy trwała długo – lotniska zawsze buduje się z dala od centrum. Po niej nastąpiło gorączkowe lawirowanie ulicami starożytnego, a jednocześnie nowoczesnego miasta. Wszystko przebiegło względnie spokojnie, choć raz prawie przejechaliśmy gościa sprzedającego oliwki. U celu wysiedliśmy z samochodów i wkroczyliśmy w tłum rozgadanych turystów i pobożnych

pielgrzymów.

Budynek przed nami miał kształt pudełka i prostą starożytną fasadę z dwoma wielkimi, łukowatymi oknami.

– Bazylika Grobu Świętego – powiedział Tobias. – Wedle tradycji wybudowana na miejscu ukrzyżowania Jezusa z Nazaretu, jednocześnie znajduje się nad jednym z tradycyjnych miejsc jego pochówku. Ta wspaniała konstrukcja była pierwotnie dwoma budynkami, wzniesionymi w czwartym wieku na rozkaz Konstantyna Wielkiego. Zastąpiła świątynię Afrodyty, która zajmowała ten sam teren przez jakieś dwieście lat.

– Dziękuję, Wikipedio – mruknął J.C., zarzucając na ramię karabinek szturmowy. Już zdążył się przebrać w mundur polowy.

Tobias stał z rękami za plecami i spokojnie kontynuował swój wywód.

– Czy ta tradycja jest zgodna z prawdą i wydarzenia historyczne rzeczywiście nastąpiły w tej lokalizacji, pozostaje kwestią dyskusyjną. Choć tradycja stara się wyjaśniać sprzeczności, na przykład utrzymuje, że świątynię Afrodyty wybudowano, by powstrzymać wczesnych chrześcijan przed oddawaniem czci w tym miejscu, udowodniono, że bazylika w kluczowych punktach dokładnie naśladuje kształt pogańskiej świątyni. Ponadto sam fakt, że kościół leży wewnątrz murów Jerozolimy, jest ważnym argumentem przeciwko, gdyż grób Jezusa z pewnością znajdował się poza miastem.

– Dla nas nie liczy się, czy jest autentyczna, czy nie. – Minąłem Tobiasa. – Razon z pewnością tu był. To jedno z najbardziej oczywistych miejsc, może wręcz najbardziej oczywiste, by rozpocząć poszukiwania. Monico, mogę prosić na słowo?

Dołączyła do mnie, a jej zbiry poszły sprawdzić, czy potrzebujemy biletów, żeby wejść do środka. Ochrona wydawała się bardzo solidna, ale też bazylika znajdowała się na Zachodnim Brzegu, a ostatnio było kilka incydentów z terrorystami.

– Czego pan chce? – spytała mnie Monica.

– Czy aparat od razu wypluwa zdjęcia? Czy zapisuje wyniki w formie cyfrowej?

– Nie. Robi zdjęcia jedynie na kliszy. Średni format, żadnych

cyfrowych kopii. Razon się przy tym upierał.

– A teraz trudniejsza kwestia. Rzecz jasna, uświadamia sobie pani problemy związane z aparatem, który robi zdjęcia dokładnie w miejscu, w którym się człowiek znajduje, i tylko w przeszłości?

– Co ma pan na myśli?

– Jedynie to: nie jesteśmy teraz w tym samym miejscu, co dwa tysiące lat temu. Planeta się porusza. Jeden z teoretycznych problemów związanych z podróżami w czasie polega na tym, że gdybyśmy cofnęli się o sto lat do dokładnie tego samego punktu, w którym się teraz znajdujemy, najpewniej wyładowałibyśmy w przestrzeni kosmicznej. Nawet gdybyśmy mieli ogromne szczęście i planeta znajdowałaby się dokładnie w tym samym miejscu na orbicie, obrót Ziemi oznaczałby, że trafilibyśmy w zupełnie inne miejsce na jej powierzchni. Albo pod powierzchnią, albo setki metrów w powietrzu.

– To śmieszne.

– To nauka.

Spojrzałem na fasadę kościoła. To, co tu robimy, jest śmieszne, pomyślałem.

A jednak...

– Wiem jedynie – powiedziała – że Razon musiał się udać do danego miejsca, żeby zrobić jego zdjęcie.

– W porządku. Jeszcze jedno. Jaki on jest? To znaczy osobowość?

– Szorstki – odpowiedziała natychmiast. – Apodyktyczny. I zazdrośnie pilnuje swojego sprzętu. Z pewnością udało mu się uciec z aparatem również dlatego, że wielokrotnie przekonywał nas o swojej nerwicy natręctw związanej z rzeczami, które do niego należą, więc zaczęliśmy go traktować zbyt pobłaźliwie.

W końcu nasza grupka weszła do kościoła. Zatęchłe powietrze niosło szepty turystów i odgłosy szurania po kamiennej posadzce. Wciąż było to działające miejsce kultu.

– Coś przegapiliśmy, Steve. – Ivy dołączyła do mnie. – Ignorujemy ważną część układanki.

– Masz jakieś pomysły? – Rozglądałem się po ozdobnym wnętrzu bazyliki.

– Pracuję nad tym.

– Chwileczkę. – J.C. podszedł do nas swobodnym krokiem. – Ivy, myślisz, że coś przegapiliśmy, ale nie wiesz, co to jest, i nie masz pojęcia, co by to mogło być?

– Zasadniczo tak – odparła.

– Ej, chudy – zwrócił się do mnie – wydaje mi się, że brakuje mi miliona dolarów, ale nie wiem dlaczego i nie mam pojęcia, jak mogłem je zarobić. Ale jestem całkowicie pewien, że mi ich brakuje. Gdybyś więc mógł coś z tym zrobić...

– Błazen z ciebie – stwierdziła Ivy.

– To, co przed chwilą powiedziałem – mówił dalej J.C. – to była metafora.

– Nie – sprzeciwiła się – to był dowód logiczny.

– Że co?

– Który miał zademonstrować, że jesteś idiotą. I wiesz co? Udało się! *Quod erat demonstrandum*. Możemy stwierdzić z całą pewnością, bez najmniejszej wątpliwości, że w rzeczy samej jesteś idiotą.

Odeszli, nie przerywając kłótni. Pokręciłem głową i wszedłem dalej w głąb kościoła. Miejsce, w którym rzekomo doszło do ukrzyżowania, oznaczała pozłacana alkowa, pełna turystów i wiernych. Z niezadowoleniem założyłem ręce na piersi.

– O co chodzi? – spytała Monica.

– Miałem nadzieję, że zabronią robienia zdjęć z lampą błyskową. Tak jest w większości podobnych miejsc.

Gdyby Razon próbował użyć swojej, byłoby bardziej prawdopodobne, że ktoś go zauważy.

Może i było zakazane, ale stojący w pobliżu ochroniarze najwyraźniej nie zwracali uwagi na to, co robili ludzie.

– Zaczniemy szukać. – Monica krótko skinęła na swoich ludzi.

Całą trójką ruszyli w tłum, realizując nasz wąty plan – próbowali znaleźć w jednym ze świętych miejsc kogoś, kto pamiętał Razona.

Ja czekałem i patrzyłem na dwóch pobliskich ochroniarzy, którzy rozmawiali ze sobą po hebrajsku. Jeden pomachał do drugiego i zaczął odchodzić – najwyraźniej schodził ze służby.

– Kalyani, do mnie.

– Oczywiście, oczywiście, panie Steve.

Dołączyła do mnie energicznym krokiem i razem zbliżyliśmy się do odchodzącego ochroniarza.

Mężczyzna posłał mi zmęczone spojrzenie.

– *Cześć* – powiedziałem po hebrajsku z pomocą Kalyani. Najpierw mamrotałem cicho, co chciałem powiedzieć, by mogła to dla mnie przetłumaczyć. – *Przepraszam za swój kiepski hebrajski!*

Zatrzymał się i uśmiechnął.

– *Nie jest taki zły.*

– *Jest koszmarny.*

– *Jest pan Żydem?* – domyślił się. – *Ze Stanów.*

– *Nie Żydem, choć rzeczywiście przyjechałem ze Stanów. Po prostu sądzę, że człowiek powinien się nauczyć języka kraju, który chce odwiedzić.*

Ochroniarz się uśmiechnął. Wydawał się sympatycznym gościem – jak większość ludzi. I wszyscy lubią, kiedy cudzoziemcy próbują się posługiwać ich językiem. Idąc, trochę jeszcze pogadaliśmy, a ja odkryłem, że on rzeczywiście schodzi ze służby. Ktoś miał po niego przyjechać, ale widziałem, że nie przeszkadza mu rozmowa ze mną, kiedy czekał. Próbowałem wyraźnie dać mu do zrozumienia, że chciałem poćwiczyć hebrajski, rozmawiając z kimś, dla kogo to język ojczysty.

Nazywał się Moshe i niemal codziennie pracował na tej samej zmianie. Jego zadaniem było rozglądanie się, czy ktoś nie zamierza zrobić czegoś głupiego, i powstrzymywanie takich prób – choć wyznał mi, że o wiele ważniejsze było niedopuszczenie do ataku terrorystycznego na terenie bazyliki. Nie należał do stałego personelu, ale był dodatkową ochroną zatrudnioną na czas wakacji, kiedy rząd obawiał się przemocy i chciał, by strażnicy byli lepiej widoczni w miejscach publicznych. W końcu kościół znajdował się na terytorium spornym.

Po kilku minutach zacząłem kierować rozmowę na temat Razona.

– *Z pewnością musi pan widzieć różne ciekawe rzeczy. Zanim tu przyszliśmy, odwiedziliśmy Grób w Ogrodzie. Był tam taki zwariowany Azjata, który wrzeszczał na wszystkich.*

– *Poważnie?*

– *Poważnie. Jestem przekonany, że był ze Stanów, bo miał amerykański akcent, ale rysy azjatyckie. W każdym razie miał ten wielki aparat na statywie, jakby był najważniejszym człowiekiem w całej okolicy i nikt inny nie zasługiwał, żeby robić zdjęcia. Pokłócił się z ochroniarzem, który nie chciał mu pozwolić na używanie lampy błyskowej.*

Moshe się roześmiał.

– *Tu też był.*

Kalyani zachichotała, kiedy przetłumaczyła jego słowa.

– *Dobry pan jest, panie Steve.*

– *Naprawdę? – spytałem od niechcienia.*

– *Pewnie. To musiał być ten sam gość. Był tu... zaraz, dwa dni temu. Ciągłe klął na tych, którzy go potrącali, próbował mnie przekupić, żebym usunął ich wszystkich z drogi i zrobił mu miejsce. Ale kiedy już zaczął robić zdjęcia, nie przeszkadzało mu, że ktoś mu wszedł przed obiektyw. I robił zdjęcia całego kościoła, a nawet na zewnątrz, w różnych bezsensownych miejscach!*

– *Prawdziwy świr, nie?*

– *Tak. – Strażnik się roześmiał. – Ciągłe widzę takich turystów. Ciągłą ze sobą wielkie wymyślne aparaty, na które wydają absurdalnie dużo pieniędzy, ale nie skończyli żadnych kursów fotografii. Wie pan, ten gość nie wiedział nawet, kiedy wyłączyć lampę błyskową. Używał jej przy każdym zdjęciu, nawet na słońcu i nawet przy tamtym ołtarzu, przy którym świecą te wszystkie lampy!*

Roześmiałem się.

– *Wiem! Amerykanie! – Zawahał się. – Yyy, bez urazy.*

– *Nic się nie stało – odparłem, przekazując w odpowiedzi to, co podpowiedziała mi Kalyani. – Jestem z Indii.*

Zawahał się i przechylił głowę.

– *Och! Tak mi przykro, panie Steve. Nie pomyślałam.*

– *Nic się nie stało.*

Strażnik się roześmiał.

– *Dobrze pan mówi po hebrajsku, ale tym razem chyba zamierzał pan powiedzieć coś innego.*

Również się roześmiałem i wtedy właśnie zobaczyłem idącą w naszą stronę kobietę. Machała ręką. Podziękowałem ochroniarzowi za rozmowę i znów zacząłem rozglądać się po bazylice. Monica i jej ludzie w końcu mnie odnaleźli, jeden chował kilka zdjęć Razona.

– Nikt go tu nie widział, Leeds – stwierdziła. – To ślepa uliczka.

– Naprawdę? – Ruszyłem w stronę wyjścia.

Tobias dołączył do nas, znów trzymał ręce za plecami.

– Jakież to cud, Stephenie – powiedział do mnie. Skinął w stronę uzbrojonego strażnika przy wejściu. – Jerozolima, miasto, którego nazwa dosłownie oznacza „pokój”. Jest pełna wysepki spokoju, takich jak ta, w których ludzie oddawali się modłom, zanim jeszcze powstała większość państw. Jednak tu przemoc zawsze znajduje się na wyciągnięcie ręki.

Przemoc...

– Monico. – Zmarszczyłem czoło. – Powiedziała pani, że zanim zwróciliście się do mnie, samodzielnie szukaliście Razona. Czy oznaczało to również sprawdzenie, czy był na liście pasażerów wylatujących ze Stanów?

– Tak. Mamy kontakty w Departamencie Bezpieczeństwa Krajowego. Nikt o nazwisku Razona nie opuścił kraju samolotem, ale o fałszywe dowody tożsamości nie jest tak trudno.

– Ale czy na fałszywym paszporcie dostałby się do Izraela? Jednego z najlepiej zabezpieczonych krajów na świecie?

Zmarszczyła czoło.

– Nie pomyślałam o tym.

– Wydaje mi się to ryzykowne.

– Doskonały moment, by o tym wspomnieć, Leeds. Mówi pan, że jego tu jednak nie ma? Zmarnowaliśmy...

– Jest tutaj – rzuciłem od niechcenia. – Znalazłem ochroniarza, który z nim rozmawiał. Razon robił zdjęcia wszędzie dookoła.

– Nie widział go nikt, z kim rozmawialiśmy.

– W tym miejscu ochrona i kapłani widzą tysiące turystów. Nie można pokazać im zdjęcia i oczekiwać, że sobie przypomną. Trzeba się skupić na czymś, co łatwo zapamiętać.

– Ale...

Uniosłem dłoń.

– Potrzebuję chwili ciszy.

Dostał się do tego kraju, pomyślałem. Potulny inżynierek z wyjątkowo cennym sprzętem, na fałszywym paszporcie. W mieszkaniu miał rewolwer, ale nigdy z niego nie wystrzelił. Skąd go wziął?

Idiota.

– Czy może się pani dowiedzieć, kiedy Razon kupił tamten rewolwer? Prawa dotyczące broni w tym stanie powinny umożliwić wyśledzenie jego pochodzenia, prawda?

– Pewnie. Zajmę się tym, kiedy dotrzemy do hotelu.

– Proszę to zrobić teraz.

– Teraz? Ma pan pojęcie, która jest w...

– Proszę i tak to zrobić. Obudzić ludzi. Zdobyć odpowiedzi.

Spiorunowała mnie wzrokiem, ale odeszła na bok i wykonała kilka telefonów. Słyszałem strzępy gniewnych rozmów.

Tobias pokręcił głową.

– Powinniśmy wcześniej to zauważyć.

– Wiem.

W końcu Monica zatrzasnęła klapkę telefonu i wróciła do nas.

– W archiwum nie ma żadnych danych dotyczących tego, by Razon kiedykolwiek kupował broń palną. Ta z jego mieszkania nie była nigdzie zarejestrowana.

Miał pomoc. Oczywiście, że miał pomoc. Planował to od lat i miał dostęp do tych wszystkich zdjęć, by udowodnić, że mówi prawdę.

Znalazł kogoś, kto go wyposażył. Chronił. Kogoś, kto dał mu tę broń i fałszywy dowód tożsamości. Pomógł przeniknąć do Izraela.

Do kogo w takim razie się zgłosił? Kto mu pomagał?

– Ivy. Potrzebujemy... – Umilkłem. – Gdzie jest Ivy?

– Nie mam pojęcia – odparł Tobias.

Kalyani tylko wzruszyła ramionami.

– Zgubił pan jedną ze swoich halucynacji? – spytała Monica.

– Tak.

– No to proszę ją przywołać z powrotem.

– To nie działa w taki sposób.

Zacząłem kręcić się po kościele i rozglądać, niektórzy kapłani patrzyli na mnie z ukosa. W końcu zajrzałem do wnętrza i zatrzymałem się gwałtownie.

J.C. i Ivy pośpiesznie przerwali pocałunek. Ona miała rozmazany makijaż, a J.C. – co niewiarygodne – odłożył broń i nie zwracał na nią uwagi. Zdarzyło mu się to pierwszy raz.

– Chyba jaja sobie ze mnie robicie. – Uniosłem dłoń do twarzy. – Wy dwoje? Co wy wyprawiacie?

– Nie byłem świadoma, że musimy informować cię o charakterze naszych związków – odparła chłodno Ivy.

J.C. jedynie uniósł kciuk i uśmiechnął się szeroko.

– Nieważne. Czas iść. Ivy, wątpię, by Razon działał sam. Wjechał do tego kraju na fałszywym paszporcie, inne elementy też do siebie nie pasują. Czy mógł mieć tu jakąś pomoc? Może lokalną organizację, która pomogła mu uniknąć podejrzeń i wjechać do miasta?

– Możliwe. – Ivy musiała przyśpieszyć, żeby dotrzymać mi kroku. – Chciałabym powiedzieć, że nie jest niemożliwe, by działał sam, ale po zastanowieniu uważam to za mało prawdopodobne. Sam to wymyśliłeś? Dobra robota!

– Dzięki. A ty jesteś rozczochrana.

W końcu dotarliśmy do samochodów i wsiedliśmy do nich, ja razem z Monicą, Ivy i J.C. Obaj mięśniacy wraz z pozostałymi aspektami zajęli auto jadące przodem.

– Może mieć pan rację w tej kwestii – stwierdziła Monica, kiedy samochody ruszyły.

– Razon jest inteligentny. Z pewnością poszukał sobie sojuszników. Mogła to być inna firma, może izraelska. Czy ktokolwiek z waszych konkurentów wie o tej technologii?

– O niczym takim nie słyszałam.

– Steve – odezwała się Ivy.

Siedziała między mną a Monicą. Zdążyła już poprawić fryzurę, a teraz chowała pomadkę. Najwyraźniej próbowała udawać, że wcale nie zauważyłem jej z J.C.

A niech to diabli, pomyślałem. Zawsze zakładałem, że ta dwójka się nie znosi. Pomyślisz o tym później, poleciałem sobie.

– Tak?

– Spytaj Monicę o coś w moim imieniu. Czy Razon kiedykolwiek zwrócił się do jej firmy z takim projektem? Zrobienia zdjęć, żeby udowodnić prawdziwość chrześcijaństwa?

Przekazałem jej pytanie.

– Nie. Gdyby to zrobił, powiedziałabym panu. Szybciej by to nas doprowadziło do tego miejsca. Nigdy się do nas nie zwrócił.

– Dziwne – mruknęła Ivy. – Im dłużej pracujemy nad tą sprawą, tym lepiej widzimy, że Razon zadał sobie niewiarygodnie dużo trudu, by dotrzeć tutaj, do Jerozolimy. Dlaczego nie wykorzystać środków, które już miał? Azari Laboratories?

– Może pragnął swobody – powiedziałem. – Aby wykorzystywać swoje urządzenie tak, jak zechciał.

– Jeśli tak – stwierdziła Ivy – to nie zwróciłby się do konkurencyjnej firmy, jak zasugerowałeś. Gdyby tak postąpił, znów znalazłby się w podobnej sytuacji. Zagadnij Monicę. Wygląda, jakby się nad czymś zastanawiała.

– I jak? – zwróciłem się do Moniki. – Ma pani coś do dodania?

– Cóż, kiedy wiedzieliśmy już, że aparat działa, Razon rzeczywiście spytał nas o kilka projektów, których chciał się podjąć. Odkrycie prawdy o zamachu na Kennedy'ego, potwierdzenie prawdziwości filmu Pattersona i Gimlina przedstawiającego Wielką Stopę, tego typu rzeczy.

– A wy je od razu odrzuciliście – domyśliłem się.

– Nie wiem, ile czasu poświęcił pan na rozważanie potencjalnych konsekwencji istnienia tego urzędnika, panie Leeds. Pańskie pytania w samolocie sugerują, że przynajmniej pan zaczął. My zaś to zrobiliśmy. I jesteśmy przerażeni. To zmieni świat. Chodzi o coś więcej niż rozwiązywanie tajemnic. Oznacza koniec obecnego rozumienia prywatności. Gdyby komuś udało się dotrzeć do miejsca, w którym kiedykolwiek był pan nagi, mógłby zrobić pańskie rozebrane zdjęcia. Proszę sobie wyobrazić konsekwencje dla paparazzich. Cały system sprawiedliwości wywróci się do góry nogami. Żadnych ław przysięgłych, sędziów, adwokatów i sądów. Wystarczy, że policja uda się na miejsce zbrodni i zrobi zdjęcie. Jeśli ktoś jest podejrzany, podaje

alibi... A oni mogą sprawdzić, czy rzeczywiście w podanym czasie znajdował się we wskazanym miejscu. – Pokręciła głową, wydawała się udręczona. – A co z historią? Bezpieczeństwem narodowym? Tajemnice staną się o wiele trudniejsze do zachowania. Państwa będą musiały zamykać miejsca, w których kiedyś przekazywano ważne informacje. Nie będzie można niczego zapisywać. Kurier przewożący tajne dokumenty przeszedł ulicą? Następnego dnia można się po prostu ustawić we właściwym miejscu i zrobić zdjęcie wnętrza koperty. Sprawdziliśmy to. Niech pan sobie wyobrazi taką władzę. A teraz niech pan sobie wyobrazi, że każdy człowiek na Ziemi ją ma.

– A niech to – szepnęła Ivy.

– Innymi słowy, nie. Nie pozwolilibyśmy panu Razonowi na zrobienie zdjęć potwierdzających prawdziwość chrześcijaństwa lub ją podważających. Jeszcze nie. Najpierw musielibyśmy poważnie przedyskutować tę kwestię. Sądzę, że o tym wiedział. To wyjaśnia, dlaczego uciekł.

– Co nie powstrzymało was przed przygotowywaniem przynęty, która miała skłonić mnie do współpracy z wami. Podejrzewam, że skoro zrobiliście coś takiego wobec mnie, to i wobec innych ważnych ludzi. Zbieraliście środki, by zdobyć strategicznych sojuszników, prawda? Może kogoś z bogatej elity? Żeby pomógł wam wykorzystać sytuację, kiedy wieść o nowej technologii się rozejdzie?

Mocno zacisnęła wargi i patrzyła prosto przed siebie.

– Razonowi pewnie wydawało się to wyrachowane. Nie chcieliście mu pomóc przynieść ludzkości prawdy, ale zbieraliście materiał do przekupstwa? A nawet szantażu.

– Nie mam prawa prowadzić dalej tej rozmowy – stwierdziła Monica.

Ivy prychnęła.

– Cóż, wiemy, dlaczego odszedł. Wciąż wątpię, by udał się do konkurencyjnej firmy, ale z pewnością do kogoś się zwrócił. Może izraelskiego rządu? Albo...

Zapanowała ciemność.

* * *

Kiedy odzyskałem przytomność, byłem oszołomiony i zamroczony.

– Wybuch – powiedział J.C.

Kucał obok mnie. Ja byłem... byłem gdzieś przywiązany. Na krześle. Ręce skrępowane za plecami.

– Spokojnie, chudy – powiedział J.C. – Spokojnie. Wyszadzili samochód przed nami. My skręciliśmy. Uderzyliśmy w budynek przy drodze. Pamiętasz?

Ledwie i niezbyt wyraźnie.

– Monica? – wychrypiałem i rozejrzałem się.

Przywiązano ją do sąsiedniego krzesła. Kalyani, Ivy i Tobias również byli skrępowani i zakneblowani. Nigdzie nie widziałem ochroniarzy Moniki.

– Udało mi się wyczołgać z rozbitego samochodu – mówił dalej J.C. – Ale ciebie nie mogę wydostać.

– Wiem.

Lepiej było nie przypominać J.C., że jest halucynacją. Byłem pewien, że w głębi duszy doskonale wie, kim w rzeczywistości jest. Po prostu nie lubił się do tego przyznawać.

– Posłuchaj. To trudna sytuacja, ale zachowasz przytomność umysłu i wydostaniesz się żywy. Rozumiesz, żołnierzu?

– Tak.

– Powtórz.

– Tak – powiedziałem cicho, ale z naciskiem.

– W porządku. Pójdę rozwiązać pozostałych.

Ruszył dalej i uwolnił moje pozostałe aspekty.

Monica jęknęła i potrząsnęła głową.

– Co...

– Myślę, że dokonaliśmy poważnego błędu w ocenie sytuacji – powiedziałem. – Przykro mi.

Zaskoczyło mnie, jak spokojnie zabrzmiały moje słowa, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo byłem przerażony. W głębi duszy jestem naukowcem – a przynajmniej większość moich aspektów taka jest. Nie

posługuję się przemocą.

– Co widzisz? – Tym razem mój głos zadrżał.

– Małe pomieszczenie. – Ivy rozmasowywała nadgarstki. – Żadnych okien. Słyszę wodę w rurach i dochodzące z zewnątrz słabe odgłosy ruchu ulicznego. Nadal jesteśmy w mieście.

– Zabierasz nas do naprawdę uroczych miejsc. – Tobias skinieniem głowy podziękował J.C., który pomógł mu się podnieść.

Tobias zaczynał się starzeć.

– Te rozmowy, które słyszymy, są po arabsku – dodała Kalyani. – Czuję też zapach przypraw. Zatar, szafran, kurkuma, sumak... może w pobliżu jest jakaś restauracja?

– Tak... – Tobias przymknął oczy. – Stadion piłkarski, gdzieś daleko. Przejeżdżający pociąg. Zwalniający. Zatrzymujący się... Samochody, rozmowy. Galeria handlowa? – Gwałtownie otworzył oczy. – Dworzec kolejowy Malha. Jedyne w mieście, który znajduje się w pobliżu stadionu piłkarskiego. W tym miejscu jest duży ruch. Krzyki mogą ściągnąć pomoc.

– Albo sprawić, że zginiemy – sprzeciwił się J.C. – Te więzy są mocno zaciągnięte, chudy. Moniki też.

– Co się dzieje? – spytała Monica. – Co się stało?

– Zdjęcia – powiedziała Ivy.

Popatrzyłem na nią.

– Monica chodziła ze swoimi zbirami po całym kościele i pokazywała te zdjęcia Razona. Pewnie pytali o niego każdego, kogo napotkali. Jeśli rzeczywiście z kimś współpracował...

Jęknąłem. Oczywiście. Sojusznicy Razona z pewnością wypatrywali każdego, kto go poszukiwał. Monica sprawiła, że na naszych plecach pojawiła się wielka tarcza celownicza.

– W porządku – powiedziałem. – J.C. Musisz nas stąd wyciągnąć. Co powinienem...

Drzwi się otworzyły.

Natychmiast odwróciłem się w stronę tych, którzy nas uwięzili. Nie zobaczyłem tego, czego się spodziewałem. Zamiast islamskich terrorystów z tej czy innej organizacji stało przed nami kilku Filipińczyków w garniturach.

– Ach... – powiedział Tobias.

– Panie Leeds. – Mężczyzna stojący na ich czele mówił z wyraźnym akcentem. Przejrzał teczkę pełną dokumentów. – Wedle wszelkich doniesień jest pan bardzo interesującym i bardzo... rozsądnym człowiekiem. Przepraszamy za to, jak był pan do tej pory traktowany, i chętnie zapewnilibyśmy panu lepsze warunki.

– Wyczuwam, że zaproponuje umowę – ostrzegła Ivy.

– Nazywam się Salic. Reprezentuję pewną grupę, której interesy mogą się okazać zgodne z pańskimi. Słyszał pan o MNLF, panie Leeds?

– Moro National Liberation Front, Narodowy Front Wyzwolenia Moro – podpowiedział Tobias. – Grupa filipińskich rewolucjonistów walcząca o oderwanie swojego regionu od Filipin i utworzenie własnego państwa.

– Słyszałem o nim – odparłem.

– Cóż, mam dla pana propozycję. Mamy urządzenie, którego pan szuka, ale posługiwanie się nim sprawia nam pewne kłopoty. Ile by nas kosztowało zapewnienie sobie pańskiej pomocy?

– Milion dolarów amerykańskich – odparłem bez wahania.

– Zdrajca! – rzuciła Monica.

– Wy mi nawet nie płacie, Monico – powiedziałem z rozbawieniem. – Nie możecie mieć do mnie pretensji, że zawieram lepszą umowę.

Salic się uśmiechnął. Był w pełni przekonany, że zdradzę Monicę. Czasem warto mieć reputację żyjącego w samotności amoralnego dupka.

Tyle tylko, że w rzeczywistości prawdziwa jest jedynie samotność. I może jeszcze dupek. Kiedy te dwa elementy się łączą, większość ludzi zakłada również brak moralności.

– MNLF to organizacja paramilitarna – mówił dalej Tobias. – Jednak rzadko uciekają się do przemocy, więc to dość zaskakujące. Ich główny konflikt z rządem Filipin dotyczy religii.

– Przecież zawsze o to chodzi – burknął J.C. i zaczął się przyglądać przybyszom w poszukiwaniu broni. – Ten gość nosi ukryty pistolet. – Wskazał przywódcę. – Myślę, że wszyscy są uzbrojeni.

– W rzeczy samej – zgodził się Tobias. – Możesz traktować MNLF

jako filipiński odpowiednik IRA albo palestyńskiego Hamasu. To drugie wydaje się nawet lepszym porównaniem, gdyż MNLF jest powszechnie uważane za organizację islamską. Większość Filipin jest katolicka, ale mieszkańcy regionu Bangsamoro, w którym działa MNLF, przeważnie wyznają islam.

– Rozwiążcie go. – Salic wskazał na mnie.

Jego ludzie wzięli się do dzieła.

– On kłamie w jakiejś kwestii – stwierdziła Ivy.

– Tak – zgodził się Tobias. – Myślę... Tak, on nie jest z MNLF. Może próbuje rzucić na nich winę. Stephenie, MNLF bardzo pilnuje, by wśród cywilów nie było ofiar. To bojownicy o wolność, ale działają zgodnie z bardzo ścisłym kodeksem, który określa, komu mogą zrobić krzywdę. Ostatnio skupiają się na dążeniu do pokojowej secesji.

– To z pewnością zmniejsza ich popularność wśród szeregowych członków – zauważyłem. – Czy są jakieś grupy rozłamowe?

– O co chodzi? – spytał Salic.

– Nic takiego. – Wstałem i roztarłem nadgarstki. – Dziękuję. Bardzo chciałbym zobaczyć urządzenie.

– Tędy proszę.

– Sukinsyn! – zawołała za mną Monica.

– Nie przeklinaj! – Ivy zacisnęła wargi.

Wszystkie aspekty podążyły za mną, a strażnicy zamknęli drzwi, zostawiając Monicę samą w pomieszczeniu.

– Tak... – Tobias szedł za mężczyznami, którzy eskortowali mnie po schodach w górę. – Stephenie, sądzę, że to Abu Sajjaf. Pod przywództwem niejakiego Kadafiego Dżandżalaniego odłączyli się od MNLF, ponieważ ta organizacja ich zdaniem nie była gotowa posunąć się dostatecznie daleko. Dżandżalani niedawno zginął i przyszłość ruchu stoi pod znakiem zapytania, ale jego celem było stworzenie czysto islamskiego państwa w tym rejonie. Uważał zabijanie każdego, kto mu się sprzeciwiał, za... elegancki sposób osiągnięcia swoich celów.

– Chyba mamy zwycięzcę – powiedział J.C. – W porządku, chudy. Oto, co musisz zrobić. Kiedy ten gość za tobą będzie robił krok, kopnij go. On spadnie na następnego, a wtedy ty rzucisz się na Salica. Obróć

go wokół siebie, żeby osłaniał cię przed ostrzałem z tyłu, wyjmij broń z jego kieszeni i zacznij strzelać przez jego ciało do ludzi na dole.

Ivy miała taką minę, jakby jej było niedobrze.

– To straszne!

– Nie myślisz, że on nas wypuści, prawda? – spytał J.C.

– Abu Sajjaf – wtrącił uprzejmie Tobias – ma na swoim koncie liczne morderstwa, zamachy bombowe i porwania na Filipinach. Są również bardzo brutalni wobec miejscowych, działają raczej jak zorganizowana rodzina przestępcza niż prawdziwi rewolucjoniści.

– Czyli... odpowiedź brzmi nie, co?

Kiedy dotarliśmy na parter, Salic zaprowadził nas do pomieszczenia na uboczu. Siedzieli w nim dwaj kolejni mężczyźni, ubrani jak żołnierze, z granatami u pasa i karabinami szturmowymi w rękach.

Między nimi na stole spoczywał średnioformatowy aparat fotograficzny. Wyglądał... zwyczajnie.

– Potrzebuję Razona – powiedziałem i usiadłem. – Żeby zadawać mu pytania.

Salic prychnął.

– Nie będzie z panem rozmawiał, panie Leeds. Proszę mi zaufać.

– Czyli on z nimi nie współpracuje? – spytał J.C. – Chyba nie rozumiem.

– I tak go sprowadźcie.

Zacząłem ostrożnie badać aparat.

Cały problem w tym, że nie miałem pojęcia, co robię. Dlaczego, ale to dlaczego nie zabrałem ze sobą Ivansa? Powinienem wiedzieć, że na tym wyjeździe będę potrzebował mechanika.

Ale jeśli zabierałem ze sobą zbyt wiele aspektów – trzymałem zbyt wiele z nich jednocześnie przy sobie – działy się złe rzeczy. Jednak w tej chwili ta kwestia nie miała znaczenia. Ivans znajdował się na sąsiednim kontynencie.

– Ktoś coś? – spytałem pod nosem.

– Na mnie nie patrz – stwierdziła Ivy. – Ja często mam problem nawet z pilotem do telewizora.

– Przetnij czerwony drut – dodał J.C. – To zawsze jest czerwony

drut.

Popatrzyłem na niego ponuro, po czym odkręciłem część aparatu, żeby wydawało się, że wiem, co robię. Ręce mi drżały.

Całe szczęście Salic posłał kogoś, by wypełnił moją prośbę. Później uważnie mi się przyglądał. Pewnie czytał o Incydencie Longway, kiedy rozłożyłem, naprawiłem i ponownie złożyłem skomplikowany system komputerowy na tyle szybko, by powstrzymać detonację. Ale to wszystko zrobił Ivans, z pewną pomocą China, naszego specja od komputerów.

Bez nich byłem kompletnie bezużyteczny. Próbowałem robić wrażenie, że jest inaczej, aż żołnierz przyprował Razona. Rozpoznałem go ze zdjęcia, które pokazała mi Monica. Z trudem. Miał pękniętą wargę, z której sączyła się krew, podbite lewe oko, a do tego utykał. Kiedy usiadł na stołku obok mnie, zorientowałem się, że nie ma jednej ręki. Kikut owinięto zakrwawioną szmatą.

Zakaszła.

– Ach, pan Leeds, jak sądzę – powiedział z lekkim filipińskim akcentem. – Ogromnie mi przykro, że pana tu widzę.

– Ostrożnie. – Ivy przyjrzała się Razonowi, stała tuż obok niego. – Tamci obserwują. Nie zachowuj się zbyt przyjaźnie.

– Och, zupełnie mi się to nie podoba. – Kalyani podeszła do skrzyń na końcu pomieszczenia i skuliła się za nimi, jakby chciała się ukryć. – Czy w pańskim towarzystwie często tak będzie, panie Steve? Bo ja się do tego za bardzo nie nadaję.

– Jest panu przykro, że mnie pan tu widzi? – zwróciłem się szorstko do Razona. – Ale wcale nie jest pan zaskoczony. To pan pomógł Monice i jej kumplom zdobyć materiały, którymi mogli mnie szantażować.

Jego zdrowe oko otworzyło się odrobinę szerzej. Wiedział, że to nie były materiały, które mogły posłużyć do szantażu. A przynajmniej taką miałem nadzieję. Czy on to dostrzeże? Czy zorientuje się, że przybyłem tu, by mu pomóc?

– Zrobiłem to... pod przymusem.

– Dla mnie i tak pozostaje pan sukinsynem – warknąłem.

Ivy oparła dłonie na biodrach.

– Nie przeklinaj!

– To nieważne – powiedziałem. – Pokaże mi pan, jak sprawić, żeby to urządzenie zadziało.

– Nie zrobię tego!

Przekręciłem śrubę, w głowie miałem płataninę myśli. Jak mogłem się zbliżyć do niego na tyle, by móc porozmawiać przyciszonym głosem, ale jednocześnie nie wzbudzać podejrzeń?

– Zrobi to pan albo...

– Ostrożne, idioto! – Razon zerwał się z krzesła.

Jeden z żołnierzy w nas wycelował.

– Broń nie jest odbezpieczona – stwierdził J.C. – Nie ma się czym przejmować. Na razie.

– To bardzo delikatny sprzęt. – Razon odebrał mi śrubokręt. – Nie wolno go uszkodzić. – Zdrową ręką zaczął odkręcać śrubę. Później zapytał bardzo cicho: – Jest pan tu z Monicą?

– Tak.

– Nie można jej ufać. – Zawahał się. – Ale ona nigdy mnie nie pobiła ani nie obcięła mi ręki, więc może nie powinienem mówić, komu należy ufać.

– Jak pana dopadli? – szepnąłem.

– Pochwaliłem się matce. A ona pochwaliła się swojej rodzinie. Wieści dotarły do tych potworów. Mają kontakty w Izraelu.

Zachwiał się, a ja go podtrzymałem. Miał bladą twarz. Zdecydowanie nie był w dobrej formie.

– Odezwali się do mnie. – Zmusił się do dalszego odkręcania śruby. – Twierdzili, że są chrześcijańskimi fundamentalistami z mojego kraju gotowymi sfinansować moją operację poszukiwania dowodów. Prawdę poznałem dopiero przed dwoma dniami. To...

Upuścił śrubokręt, kiedy Salic podszedł bliżej. Terrorysta machnął ręką, a wtedy jeden z jego żołnierzy chwycił Razona za okrwawioną rękę i szarpnął go. Razon krzyknął z bólu.

Następnie żołnierze rzucili go na ziemię i zaczęli bić kolbami. Patrzyłem na to przerażony, a Kalyani zaczęła płakać. Nawet J.C. odwrócił wzrok.

– Nie jestem potworem, panie Leeds. – Salic kucnął przy moim

krześle. – Jestem człowiekiem, który ma do dyspozycji ograniczone zasoby. W większości sytuacji bardzo trudno odróżnić jednego od drugiego.

– Proszę, niech pan powstrzyma żołnierzy – szepnąłem.

– Wie pan, ja naprawdę próbuję znaleźć pokojowe rozwiązanie. – Salic nie przerwał bicia. – Moi ludzie są potępiani za wykorzystanie do walki jedynych środków, które mamy do dyspozycji, środków ludzi zdesperowanych. To środki, po które sięgali wszyscy rewolucjoniści, w tym założyciele pańskiego kraju, by zdobyć wolność. Jeśli to konieczne, będziemy zabijać, ale może wcale nie będziemy musieli. Na tym stole leży pokój, panie Leeds. Naprawi pan to urządzenie, a ocali pan życie tysięcy ludzi.

– Do czego pan go potrzebuje? – Zmarszczyłem czoło. – Czym dla pana jest? Umożliwi panu szantaż?

– Umożliwi naprawienie świata. Potrzebujemy jedynie kilku zdjęć. Dowodu.

– Dowodu, że chrześcijaństwo jest fałszywe, Stephenie. – Tobias podszedł do mnie. – Dla nich to będzie trudne zadanie, bo islam traktuje Jezusa z Nazaretu jako proroka. Nie wierzą jednak w jego zmartwychwstanie, jak również wiele cudów przypisywanych jego późniejszym wyznawcom. Za pomocą właściwego zdjęcia mogliby spróbować osłabić chrześcijaństwo, religię wyznawaną przez większość Filipińczyków, i w ten sposób wywołać niepokój w regionie.

Co dziwne, musiałem przyznać, że mnie kusilo. Rzecz jasna, nie pomoc takiemu potworowi jak Salic. Ale widziałem sens w jego słowach. Dlaczego by nie wziąć aparatu i udowodnić, że wszystkie religie są fałszywe?

To by wywołało chaos. W niektórych częściach świata mogłoby zginąć wielu ludzi.

Naprawdę?

– Wiare nie tak łatwo osłabić – rzuciła lekceważąco Ivy. – To by nie wywołało problemów, których on się spodziewa.

– Ponieważ wiara jest ślepa? – spytał Tobias. – Może masz rację. Wielu wciąż by wierzyło, mimo faktów.

– Jakich faktów? – spytała Ivy. – Zdjęć, które mogą być wiarygodne

albo nie? I powstały dzięki nauce, której nikt nie rozumie?

– Już próbujesz bronić tego, co jeszcze nie zostało odrzucone – odparł spokojnie Tobias. – Zachowujesz się, jakbyś wiedziała, co się wydarzy, i już musiała się bronić przed dowodem, który być może dopiero zostanie znaleziony. Ivy, nie rozumiesz? Jakich faktów byś potrzebowała, by spojrzeć na te sprawy racjonalnie? Jak możesz zachowywać się tak logicznie w tak wielu kwestiach, a jednocześnie być tak ślepa w tej jednej?

– Cicho! – powiedziałem do nich. Uniosłem dłonie do głowy. – Cicho!

Salic popatrzył na mnie ze zmarszczonym czołem. Dopiero wtedy zauważył, co jego żołnierze zrobili Razonowi.

Wykrzyknął coś w tagalogu albo innym filipińskim języku – może to ich powinienem się uczyć, nie hebrajskiego. Żołnierze się cofnęli, a Salic ukląkł, by przekreślić leżącego Razona na plecy.

Razon błyskawicznie wsunął zdrową rękę pod marynarkę Salica, sięgając po broń. Salic odskoczył, a jeden z żołnierzy krzyknął. Rozległ się pojedynczy cichy trzask.

Wszyscy znieruchomieli. Jeden z żołnierzy wyciągnął pistolet z tłumikiem i pod wpływem paniki zastrzelił Razona. Naukowiec osunął się na ziemię, jego martwe oczy patrzyły ślepo, a pistolet Salica wyślizgnął się z jego palców.

– Och, ten biedak. – Kalyani uklękła obok niego.

W tej właśnie chwili ktoś zaatakował jednego z żołnierzy przy drzwiach, obalił go od tyłu.

Natychmiast rozległy się krzyki. Zerwałem się z krzesła i wyciągnąłem rękę po aparat. Salic złapał go pierwszy, przycisnął jedną ręką, a później sięgnął po pistolet na podłodze.

Zakląłem, cofnąłem się niezgrabnie i rzuciłem za stertę skrzyń, gdzie wcześniej ukrywała się Kalyani. W pomieszczeniu rozległy się strzały, a z jednej ze skrzynek obok mnie poleciały drzazgi, gdy trafiła w nią kula.

– To Monica! – Ivy ukryła się za biurkiem. – Wydostała się i atakuje ich.

Kiedy odważyłem się wyjrzeć na zewnątrz, jeden z gości w garniturach osunął się na ziemię obok ciała Razona. Pozostali

strzelali do Moniki, która schroniła się na klatce schodowej prowadzącej w dół do miejsca, gdzie nas wcześniej więziono.

– A niech to wszyscy diabli! – J.C. przykucnął obok mnie. – Udało się jej uciec bez żadnej pomocy. Chyba zacznam ją lubić!

Salic wrzeszczał w tagalogu. Nie próbował mnie dopaść, ale krył się obok swoich strażników. Mocno przyciskał aparat do siebie, a wkrótce dołączyli do niego dwaj kolejni żołnierze, którzy zbiegli po schodach z góry.

Domyślałem się, że wymiana ognia wkrótce wzbudzi zainteresowanie. Ale nie dość szybko. Przygwoździli Monicę. Ledwie ją widziałem przyczajoną na klatce schodowej. Próbowwała znaleźć sposób, by się wydostać i zacząć strzelać do swoich przeciwników z broni, którą ukradła powalonemu strażnikowi. Jego stopy wystawały zza pobliskich drzwi.

– Dobra, chudy – powiedział J.C. – To twoja szansa. Coś trzeba zrobić. Dopadną ją, zanim przyjdzie pomoc, a my stracimy aparat. Pora na bohatera.

– Ja...

– Mógłbyś uciec, Stephenie – zaproponował Tobias. – Tuż za nami jest kolejne pomieszczenie. Będzie miało okna. Nie mówię, że powinienes to zrobić, po prostu pokazuję ci możliwości.

Kalyani kulila się w kącie i jęczała. Ivy leżała pod stołem, wciskała palce w uszy i z namysłem przyglądała się wymianie ognia.

Monica próbowała wychylić się i strzelić, ale wtedy ścianę obok niej podziurawiły kule, zmuszając ją do wycofania. Salic wciąż coś wrzeszczał. Kilku z jego żołnierzy zaczęło strzelać do mnie, więc znów się ukryłem.

Kule uderzały w ścianę nad moją głową, zasypując mnie odłamkami kamienia. Oddychałem głęboko.

– Nie mogę tego zrobić, J.C.

– Możesz. Posłuchaj, oni mają granaty. Widziałeś je na pasach żołnierzy? Jeden z nich w końcu pomyśli, wrzuci granat na klatkę schodową i będzie po Monice. Zginie.

Gdybym pozwolił im zatrzymać aparat – taka władza w rękach takich ludzi...

Monica krzyknęła.

– Została trafiona! – zawołała Ivy.

Wyostałem się zza skrzynek i pobiegłem w stronę zabitego żołnierza leżącego na środku pomieszczenia. Upuścił pistolet. Salic zauważył mnie, kiedy chwyciłem broń i uniosłem ją. Ręce mi drżały.

To się nie uda. Nie zrobię tego. To niemożliwe.

Zginę.

– Nie martw się, dzieciaku. – J.C. chwycił mój nadgarstek. – Mam cię.

Przesunął moją rękę w bok, a ja wystrzeliłem, właściwie nie patrząc. Później zrobił kilka ruchów pistoletem, za każdym razem zatrzymywał się jedynie na moment, żebym mógł pociągnąć za spust. Po chwili było już po wszystkim.

Wszyscy uzbrojeni mężczyźni leżeli na ziemi. Zapanowała całkowita cisza. J.C. puścił mój nadgarstek, a wtedy moja dłoń opadła, jakby była z ołowiu.

– Naprawdę to zrobiliśmy? – spytałem, patrząc na zabitych.

– A niech mnie diabli. – Ivy wyjęła palce z uszu. – Wiedziałam, że musi być jakiś powód twojej obecności, J.C.

– Nie przeklinaj, Ivy. – Uśmiechnął się szeroko.

Upuściłem pistolet – pewnie nie była to najmądrzejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu, ale też nie do końca panowałem nad sobą. Pośpieszyłem do Razona. Nie wyczułem pulsu. Zamknąłem jego oczy, ale pozostawiłem uśmiech na wargach.

Tego właśnie pragnął. Chciał, żeby go zabili, by nie został zmuszony do wyjawienia swoich tajemnic. Westchnąłem. Później, sprawdzając teorię, wsunąłem palce do jego kieszeni.

Coś ukłuło mnie w palce, a kiedy je wyciągnąłem, były zakrwawione.

– Co, do...?

Tego się nie spodziewałem.

– Leeds? – odezwała się Monica.

Podniosłem wzrok. Stała w drzwiach, przyciskając rękę do barku, który był zalany krwią.

– Ty to zrobiłeś?

– J.C.

– Twoja halucynacja? Zastrzeliła tych ludzi?

– Tak. Nie. Ja...

Nie byłem pewien. Wstałem i podszedłem do Salica, który został trafiony w sam środek czoła. Pochyliłem się i podniosłem aparat, a później, odwrócony plecami do Moniki, odkręciłem jeden element.

– Yyy... panie Steve? – Kalyani pokazała palcem. – Ten chyba nie jest do końca martwy. Ojej.

Popatrzyłem. Jeden ze strażników, którego postrzeliłem, przekręcał się na plecy. Trzymał coś w zakrwawionej ręce.

Granat.

– Spadamy! – krzyknąłem do Moniki, chwyciłem ją za ramię i wybiegłem z pomieszczenia.

Wybuch uderzył mnie w plecy jak potężna fala.

* * *

Dokładnie miesiąc później siedziałem w swojej rezydencji i popijałem lemoniadę. Plecy wciąż mnie bolały, ale rany od odłamków się goiły. Nie było aż tak źle.

Monica nie zwracała większej uwagi na gips na ramieniu. Siedziała w salonie, w którym spotkałem ją po raz pierwszy, i trzymała własną szklankę.

Jej dzisiejsza propozycja nie była dla mnie zaskoczeniem.

– Obawiam się, że zwróciła się pani do niewłaściwej osoby. Muszę odmówić.

– Rozumiem.

– Popracowała nad tym grymasem niezadowolenia – powiedział z uznaniem J.C., który opierał się o ścianę. – Robi się coraz lepszy.

– Gdyby tylko zechciał pan spojrzeć na aparat...

– Kiedy widziałem go ostatnio, składał się z co najmniej szesnastu części. Nie ma nad czym pracować.

Zmrużyła oczy. Wciąż podejrzewała, że celowo go upuściłem, kiedy wybuchł granat. Co gorsza, w kolejnych wybuchach i pożarze, który po nich nastąpił, ciało Razona uległo takiemu zwęgleniu, że właściwie

nie dało się go rozpoznać. Wszystkie przedmioty, które miał przy sobie – tajemnice, które wyjaśniały, jak naprawdę działał aparat – zostały zniszczone.

– Jeśli mam być szczery – pochyliłem się – nieszczęśliwie mnie zmartwiło, że nie umiecie naprawić tego urządzenia. Nie jestem pewien, czy świat jest gotów na informacje, które mogłoby dostarczyć.

„A w każdym razie nie jestem pewien, czy świat jest gotów na ludzi takich jak wy panujących nad tymi informacjami”, dodałem w myślach.

– Ale...

– Nie wiem, co takiego mógłbym zrobić, czego nie zrobili wasi inżynierowie, Monico. Po prostu musimy zaakceptować fakt, że ta technologia zginęła razem z Razonem. O ile to, co zrobił, było czymś więcej niż oszustwem. Jeśli mam być szczery, coraz bardziej skłaniam się ku takiej możliwości. Żaden zwyczajny naukowiec nie zniósłby tortur, jakim poddano Razona, nie wyjawiając terrorystom wszystkiego, czego chcieli się dowiedzieć. A on nic nie powiedział, bo nie miał czego. To wszystko oszustwo.

Westchnęła i wstała.

– Przegapia pan szansę na wielkość, panie Leeds.

– Moja droga. – Podniosłem się. – Do tej pory powinna się pani zorientować, że wielki już byłem. Zamieniłem wielkość na przeciętność i odrobinę zdrowia psychicznego.

– Powinien pan poprosić o zwrot. Bo nie jestem pewna, czy dostrzegłam w panu jedno albo drugie.

Wyjęła coś z kieszeni i rzuciła na stół. Duża koperta.

– A to co? – spytałem, podnosząc ją.

– W aparacie znaleźliśmy film. Udało nam się odzyskać tylko jedną klatkę.

Po chwili wahania wyciągnąłem zdjęcie. Było czarno-białe, jak wszystkie wcześniejsze. Przedstawiało mężczyznę, brodatego i odzianego w szatę, siedzącego – choć nie widziałem na czym. Jego twarz robiła uderzające wrażenie. Nie ze względu na swój kształt, ale ponieważ była zwrócona w stronę aparatu. Aparatu, który pojawił się w tym miejscu dopiero po dwóch tysiącach lat.

– Sądzimy, że to triumfalne wejście do Jerozolimy. W każdym razie z tyłu jest coś, co wygląda na bramę zwaną Piękną. Trudno to ocenić.

– Słodki Jezu... – szepnęła Ivy, podchodząc do mnie.

Te oczy... Wpatrzyłem się w zdjęcie. Te oczy.

– Ej, chyba mieliśmy nie przeklinać w twojej obecności – rzucił do niej J.C.

– To nie było przekleństwo. – Z szacunkiem dotknęła zdjęcia. – Jedynie stwierdzenie faktu.

– Niestety, ono nic nie znaczy – powiedziała Monica. – Nie ma żadnego sposobu, by potwierdzić tożsamość mężczyzny. A nawet gdyby nam się udało, nie oznaczałoby to jeszcze potwierdzenia czy zaprzeczenia prawdziwości chrześcijaństwa. To wydarzyło się przed jego śmiercią. Ze wszystkich zdjęć, które zrobił Razon...

Pokręciła głową.

Wsunąłem zdjęcie z powrotem do koperty.

– Ono nie skłoni mnie do zmiany zdania.

– Nie oczekiwałam tego. Proszę je uznać za zapłatę.

– W końcu niewiele dla was zrobiłem.

– I nawzajem. – Wyszła z pokoju. – Dobranoc, panie Leeds.

Potarłem palcem kopertę, słuchając, jak Wilson odprowadza Monicę do drzwi, a później je za nią zamyka. Pozostałem Ivy i J.C. zajętych rozmową o jego przeklinaniu, po czym wróciłem do holu, położyłem dłoń na balustradzie i zacząłem się wspinać po schodach.

Dotarłem na piętro. Mój gabinet znajdował się na końcu korytarza. Oświetlała go samotna lampka na biurku, zasłony były zaciągnięte, gdyż na zewnątrz zapadł już zmrok. Podeszedłem do biurka i usiadłem. Tobias siedział na jednym z dwóch pozostałych krzeseł.

Podniosłem książkę – ostatnią z dużej sterty – i zacząłem przerzucać kartki. Zdjęcie Sandry – to z dworca kolejowego – wisiało tuż obok na ścianie przymocowane pinezką.

– Czy oni się domyślili? – spytał Tobias.

– Nie. A ty?

– Nigdy nie chodziło o aparat, prawda?

Z uśmiechem przewróciłem kartkę.

– Przeszukałem jego kieszenie tuż po jego śmierci. Rozciąłem sobie

o coś palce. Odłamki szkła.

Tobias zmarszczył czoło, jednak po chwili namysłu zaczął się uśmiechać.

– Stłuczone żarówki?

Pokiwałem głową.

– Nie chodziło o aparat, ale o lampę błyskową. Kiedy Razon robił zdjęcia w bazylice, używał lampy błyskowej nawet na zewnątrz, w pełnym słońcu. Nawet jeśli jego obiekt był dobrze oświetlony, nawet jeśli próbował uwiecznić coś, co wydarzyło się w ciągu dnia, jak na przykład pojawienie się Jezusa przed grobem po zmartwychwstaniu. Dobry fotograf nie popełniłby takiego błędu. A on był dobrym fotografem, o czym świadczą zdjęcia wiszące w jego mieszkaniu. Miał wyczucie światła.

Przerzuciłem kartkę, sięgnąłem do kieszeni i coś z niej wyjąłem. Położyłem to na stole. Lampa błyskowa, którą odkręciłem od aparatu tuż przed wybuchem.

– Nie jestem pewien, czy to coś w mechanizmie lampy, czy w żarówkach, ale wiem, że wymieniał żarówki, kiedy chciał, żeby to coś przestało działać.

– Pięknie.

– Zobaczymy. Ta lampa nie działa, sprawdziłem. Nie wiem, co z nią jest nie tak. Pamiętasz, że w rękach ludzi Moniki aparaty po jakimś czasie przestawały działać? Cóż, wiele lamp błyskowych ma kilka takich żarówek. Przypuszczam, że tylko jedna z nich miała coś wspólnego z efektami temporalnymi. Te specjalne żarówki szybko się wypalały, po mniej więcej dziesięciu zdjęciach.

Przerzuciłem kilka kartek.

– Zmieniasz się, Stephenie – powiedział w końcu Tobias. – Zauważyłeś to bez Ivy. Bez któregoś z nas. Wkrótce możesz nas już nie potrzebować.

– Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie. Nie chcę być tym człowiekiem.

– A jednak gonisz za nią.

– A jednak – szepnąłem.

Jeden krok bliżej. Wiedziałem, do którego pociągu wsiadła Sandra.

Z kieszeni jej płaszcza wystawał bilet. Z trudem odczytałem numer.

Pojechała do Nowego Jorku. Przez dziesięć lat szukałem tej odpowiedzi – która była jedynie małą częścią o wiele większego pytania. Ślad miał dziesięć lat, ale to już coś.

Po raz pierwszy od lat robiłem postępy. Zamknąłem książkę i usiadłem wygodniej, spoglądając na zdjęcie Sandry. Była piękna. Taka piękna.

Coś zaszeleściło w ciemnym pomieszczeniu. Ani ja, ani Tobias się nie poruszyliśmy, kiedy na wolnym krześle usiadł niski, łysiejący mężczyzna.

– Nazywam się Arnaud – powiedział. – Jestem fizykiem specjalizującym się w mechanice temporalnej, przyczynowości i teoriach kwantowych. Jak sądzę, ma pan dla mnie pracę.

Odłożyłem ostatnią książkę na stertę tych, które przeczytałem w ciągu miesiąca.

– Tak, Arnaudzie. Mam.

Podziękowania

Jak zawsze na podziękowania zasługuje moja cudowna żona Emily, która musi znosić nieprzewidywalne życie zawodowego pisarza. Urzędujący Peter Ahlstrom miał dużo dodatkowych zadań przy tym projekcie. Inną osobą, o której muszę wspomnieć, jest Moshe Feder, jeden z pierwszych czytelników tej książki, z którym od samego początku dyskutowałem o swoich wątpliwościach, możliwościach i przypuszczeniach. Mój agent, Joshua Bilmes, był jak zawsze wspaniały. Do pozostałych wczesnych czytelników zaliczają się: Brian T. Hill, Dominique Nolan, Kaylynn ZoBell, Ben Olsen, Danielle Olsen, Karen Ahlstrom, Dan Wells, Alan Layton i Ethan Skarstedt.

Szczególnie chciałbym podziękować wydawnictwu Subterranean Press za umożliwienie mu publikacji tego utworu. Bill Schafer i Yanni Kuznia byli wspaniali. Bardzo cieszy mnie również kolejna piękna okładka Jona Fostera, którego dzieła ozdabiały pierwsze wydania *Z Mgły Zrodzonego* w twardej oprawie.

Brandon Sanderson

Legion: Pod skórą

*Gregowi Creerowi
Pierwszej osobie poza mną samym,
która przeczytała jedną z moich książek.
Dziękuję za zachęcanie, przyjacielu!*

Część pierwsza

1

– O co jej chodzi?

Ivy krążyła wokół stołu z rękami założonymi na piersi. Jasne włosy upięła dziś w ciasny kok przebity kilkoma szpilami robiącymi wrażenie niebezpiecznych.

Staralem się ją zignorować, ale bezskutecznie.

– Może o pieniądze? – Ciemnoskóry, dostojny Tobias przyciągnął krzesło do stolika, by móc usiąść obok mnie. Jego zwyczajowy sportowy garnitur bez krawata dobrze pasował do tego wnętrza z kryształowymi żyrandolami i cichą muzyką fortepianową. – Wiele kobiet dostrzega jedynie majątek Stephena, a nie jego przenikliwość.

– To córka potentata z branży nieruchomości. – Ivy machnęła lekceważąco ręką. – Pieniędzy ma po dziurki w nosie. – Pochyliła się nad stołem, przyglądając się mojej towarzyszce. – Nosie, nad którym chirurdzy plastyczni napracowali się tak samo, jak nad jej klatką piersiową.

Zmusilem się, żeby się uśmiechnąć i skupić na mojej towarzyszce. Byłem przyzwyczajony do Ivy i Tobiasa. Polegałem na nich.

Ale czasem piekielnie trudno dobrze się bawić na randce, jeśli towarzyszą na niej halucynacje.

– No tak... – odezwała się Sylvia, dziewczyna, z którą umówilem się na kolację. – Malcolm powiedział mi, że jesteś jakimś rodzajem detektywa?

Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało. W obcisłej czarnej sukience i z diamentową biżuterią wyglądała wspaniale. Była znajomą mojego przyjaciela, który aż za bardzo się o mnie martwił. Zastanawiałem się,

jak dużo Sylvia dowiedziała się na mój temat, zanim zgodziła się na randkę w ciemno.

– Detektywem? – powtórzyłem. – Cóż, pewnie można tak powiedzieć.

– Właśnie to zrobiłam! – Sylvia zachichotała.

Ivy przewróciła oczyma. Nie skorzystała z krzesła, które przyciągnął dla niej Tobias.

– Choć, jeśli mam być szczery – zwróciłem się do Sylvi – określenie „detektyw” może przywołać na myśl niewłaściwe skojarzenia. Ja po prostu pomagam ludziom, którzy mają bardzo szczególne problemy.

– Jak Batman! – powiedziała Sylvia.

Tobias parsknął, wypluwając lemoniadę. Poplamił obrus, choć Sylvia – rzecz jasna – nie mogła tego zobaczyć.

– Nie... do końca.

– To był taki głupi żarcik. – Sylvia pociągnęła kolejny łyk wina z kieliszka. Wypiła całkiem sporo jak na posiłek, który dopiero się zaczynał. – Jakie problemy rozwiązujesz? To znaczy, z komputerami? Z bezpieczeństwem? Logiczne?

– Tak. Wszystkie trzy i inne też.

– To... nie wydaje mi się bardzo wyspecjalizowane.

Miała rację.

– Trudno mi to wyjaśnić. Jestem specjalistą, tyle tylko, że w wielu różnych dziedzinach.

– Na przykład?

– Dowolnie. Zależy od problemu.

– Ona coś ukrywa. – Ivy wciąż trzymała ręce założone na piersi. – Mówię ci, Steve. O coś jej chodzi.

– Jak każdemu – odparłem.

– Słucham? – Sylvia zmarszczyła czoło, kiedy kelnerka ze ściereczką przerzuconą przez ramię zabrała nasze talerze z resztkami sałatki.

– Nic takiego.

Sylvia poprawiła się na krześle i pociągnęła kolejny łyk.

– Rozmawiałeś z nimi, prawda?

– Czyli jednak coś czytałaś na mój temat.

– Nigdy nie dość ostrożności. Po świecie chodzą prawdziwi

psychopaci.

– Zapewniam cię, że mam wszystko pod kontrolą. Widzę różne rzeczy, ale umiem bez najmniejszych wątpliwości odróżnić to, co jest realne, od tego, co nie jest.

– Ostrożnie, Stephenie – powiedział Tobias. – To niebezpieczne terytorium jak na pierwszą randkę. Może porozmawiacie o architekturze?

Uświadomiłem sobie, że stukam widelcem o talerzyk z chlebem, i przestałem.

– Ten budynek został zaprojektowany przez Rentona McKaya – mówił dalej Tobias swoim uspokajającym głosem. – Zwróć uwagę na otwarty charakter pomieszczenia, z ruchomymi elementami wyposażenia i wznoszącymi się geometrycznymi wzorami. Mogą co roku przebudowywać wnętrze, tworząc restaurację, która jest w połowie jadalnią, a w połowie instalacją artystyczną.

– Moja psychika nie jest aż tak interesująca. Nie tak, jak ten budynek. Wiedziałaś, że został stworzony przez Rentona McKaya? To...

– Czyli widzisz rzeczy – przerwała mi Sylvia. – Jak wizje?

Westchnąłem.

– Nic tak wielkiego. Widzę ludzi, których tu nie ma.

– Jak ten gość. W tamtym filmie.

– Pewnie. Właśnie tak. Tyle tylko, że on był szalony, a ja nie.

– Ależ tak – powiedziała Ivy. – Cóż za doskonały sposób, by ją uspokoić. Wyjaśnij ze wszystkimi szczegółami, jak bardzo nie jesteś szalony.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś psychoterapeutką? – warknąłem do niej. – Doceniłbym odrobinę mniej sarkazmu.

Dla Ivy stanowiło to spory problem. Sarkazm był w pewnym sensie jej ojczystym językiem, choć płynnie posługiwała się również „surowym rozczarowaniem” i „łagodną protekcjonalnością”. Była również dobrą przyjaciółką. Cóż, wyobrażoną przyjaciółką.

Miała też problem ze mną i kobietami. A w każdym razie od czasu, kiedy Sandra nas porzuciła.

Sylvia siedziała sztywno wyprostowana i patrzyła na mnie, a ja

dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że odezwałem się na głos do Ivy. Kiedy zauważyła, że na nią spoglądam, przylepiła do twarzy uśmiech równie fałszywy jak czerwony barwnik numer 6. Skrzywiłem się w duchu. Była całkiem atrakcyjna, wbrew temu, co twierdziła Ivy – a choć moje życie zrobiło się całkiem tłoczne, było też bardzo samotne.

– Czyli... – Sylvia urwała. Przyniesiono przystawki. Wybrała koszycki z sałaty nadziewane mięsem. Ja zamówiłem danie z kurczaka, które wydawało mi się bezpieczne. – Czyli, no... Zwracałeś się do jednej z nich tuż przed chwilą? Wyobrażonej osoby?

Najwyraźniej uznała, że grzeczne będzie pytanie o to. Może poradnik dobrych manier prawdziwej damy uwzględniał również rozdział o uprzejmej rozmowie na temat problemów psychologicznych.

– Tak. To było jedno z nich. Ivy.

– Dama?

– Kobieta. Damą bywa tylko czasami.

Ivy prychnęła.

– Twoja dojrzałość jest oszałamiająca, Steve.

– Ile z twoich osobowości jest kobietami? – Sylvia jeszcze nie tknęła jedzenia.

– To nie osobowości. Nie są częścią mnie. Nie cierpię na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości. Jeśli już, jestem schizofrenikiem.

Ta kwestia jest przedmiotem dyskusji wśród psychologów. Mimo halucynacji nie pasuję do definicji schizofrenii. Nie pasuję do żadnej definicji. Ale jakie to ma znaczenie? Doskonale sobie radzę. Przeważnie.

Uśmiechnąłem się do Sylvii, która wciąż jeszcze nie zaczęła jeść.

– To nic wielkiego. Moje aspekty są pewnie skutkiem dzieciństwa, którego większość spędziłem w samotności.

– Dobrze – powiedział Tobias. – A teraz przekieruj rozmowę jak najdalej od twoich dziwactw i zacznij rozmawiać o niej.

– Tak – zgodziła się Ivy. – Dowiedz się, co ukrywa.

– A czy ty masz rodzeństwo? – spytałem.

Sylvia zawahała się, ale w końcu sięgnęła po sztucce. Nigdy

wcześniej widok poruszającego się widelca nie ucieszył mnie tak bardzo.

– Dwie siostry, obie starsze. Maria jest konsultantką w firmie marketingowej. Georgia mieszka na Kajmanach. Jest prawniczką...

Rozluźniłem się, kiedy mówiła dalej. Tobias uniósł szklanę z lemoniadą, jakby chciał mi pogratulować. Uniknęliśmy katastrofy.

– Prędzej czy później będziesz musiał z nią to omówić – stwierdziła Ivy. – Nie jesteśmy czymś, co ona może zignorować.

– Tak – odpowiedziałem cicho. – Ale jak na razie wystarczy mi przetrwanie pierwszej randki.

– Co mówiłeś? – Sylvia spojrzała na nas, przerywając swoją opowieść.

– Nic takiego.

– Mówiła o swoim ojcu – podpowiedział Tobias. – Bankierze. Obecnie na emeryturze.

Ucieszyłem się, że jedno z nas słuchało uważnie.

– Jak długo pracował w bankowości? – spytałem.

– Czterdzieści osiem lat! Ciągłe powtarzaliśmy, że nie musi dłużej...

Uśmiechnąłem się i zacząłem kroić kurczaka, kiedy ona mówiła.

– Okolica bezpieczna – powiedział ktoś za moimi plecami.

Wzdrygnąłem się i obejrzałem przez ramię. Stał tam J.C., miał na sobie strój pomocnika kelnera i niósł tacę pełną brudnych naczyń. J.C. jest szczupły, żyłasty, ma kwadratową szczękę i jest zimnokrwistym zabójcą. A w każdym razie tak twierdzi. Chyba chodzi mu o to, że lubi mordować płazy.

Rzecz jasna, był halucynacją. J.C., talerze, które niósł, pistolet, który ukrywał w kaburze pod białą marynarką kelnera... same halucynacje. A mimo to kilka razy uratował mi życie.

Co nie znaczyło, że ucieszył mnie jego widok.

– Co ty tu robisz? – syknąłem.

– Mam oko na zamachowców.

– Jestem na randce!

– To oznacza, że jesteś rozproszony. Doskonała okazja do zamachu!

– Kazałem ci zostać w domu!

– Jasne. Zamachowcy też to usłyszeli. Dlatego musiałem przyjść. –

Sprzedził mi kuksańca. Poczułem go. Mógł być wyobrażony, ale mnie wydawał się całkowicie realny. – Ona jest niezła, chudy. Dobra robota!

– Jest w połowie z plastiku – zauważyła oschle Ivy.

– Tak samo, jak mój samochód – sprzeciwił się J.C. – A wciąż wygląda niezłe. – Wyszczrzył się do Ivy i pochylił do mnie. – Pewnie nie mógłbyś... – Skinął na Ivy, a później uniósł ręce do klatki piersiowej i zrobił gest, jakby coś obejmował dłońmi.

– J.C. – odezwała się Ivy beznamiętnym tonem. – Czyżbyś właśnie próbował skłonić Steve'a, by wyobraził sobie mnie z większym biustem?

J.C. wzruszył ramionami.

– Jesteś najbardziej obmierzłą nieistotą na całej planecie – powiedziała. – Naprawdę. Powinieneś czuć się dumny. Nikt nigdy nie wyobraził sobie niczego bardziej obleśnego.

Ta dwójka ciągle się schodziła i rozstawała. Najwyraźniej przegapiłem kolejne rozstanie. Naprawdę nie miałem pojęcia, co o tym sądzić – moje aspekty nigdy wcześniej nie wchodziły w związku.

Co ciekawe, J.C. był absolutnie niezdolny do wypowiedzenia na głos pytania, czy mógłbym sobie wyobrazić Ivy o innej figurze. Nie lubił konfrontować się z faktem, że jest halucynacją. Czuł się z tym niezręcznie.

J.C. wciąż rozglądał się po sali. Mimo oczywistych problemów miał bystry wzrok i był doskonałym ochroniarzem. Zauważał rzeczy, których ja nie dostrzegałem, więc być może dobrze, że postanowił do nas dołączyć.

– O co chodzi? – spytałem. – Coś jest nie tak?

– To tylko paranoja – stwierdziła Ivy. – Pamiętasz, jak kiedyś uznał, że listonosz jest terrorystą?

J.C. przestał się rozglądać i skupił uwagę na ciemnoskórej kobiecie siedzącej trzy stoliki dalej. Miała na sobie elegancki kostium ze spodniami, a gdy tylko na nią popatrzyłem, odwróciła się do okna. To okno odbijało nasz stół, a na zewnątrz było ciemno. Wciąż mogła nas obserwować.

– Sprawdzę to. – J.C. odszedł.

– Stephenie... – odezwał się Tobias.

Przeniosłem wzrok na nasz stół. Sylvia znów się na mnie gapiła, jej widelec wisiał luźno, jakby zupełnie o nim zapomniała, a oczy miała szeroko otwarte.

Zmusiłem się, żeby się roześmiać.

– Przepraszam! Coś mnie rozproszyło.

– Co?

– Nic takiego. Mówiłaś coś o swojej matce...

– Co cię rozproszyło?

– Aspekt – przyznałem niechętnie.

– To znaczy halucynacja.

– Tak. Zostawiłem go w domu. Przyszedł tu z własnej woli.

Sylvia wpatrywała się intensywnie w swoje jedzenie.

– Interesujące. Powiedz mi coś więcej.

Znów była uprzejma. Pochyliłem się.

– To nie tak, jak myślisz, Sylvio. Moje aspekty są częścią mnie, zbiornikami na wiedzę. Jak... wspomnienia, które krążą wokół mnie.

– Ona tego nie kupuje – zauważyła Ivy. – Oddycha szybko. Palce napięte... Steve, ona wie o tobie więcej, niż sądzisz. Nie zachowuje się, jakby była zaszokowana, ale raczej, jakby została umówiona na randkę z Kubą Rozpruwaczem i próbowała zachować spokój.

Pokiwałem głową, przyjmując te informacje.

– Nie ma się czym martwić. – Czy już tego nie mówiłem? – Każdy z moich aspektów pomaga mi w jakiś sposób. Ivy jest psychologiem, Tobias historykiem...

– A co z tym, który właśnie przybył? – Sylvia podniosła wzrok i spojrzała mi w oczy. – Tym, który przyszedł, choć się go nie spodziewałeś?

– Skłamałem – poradził Tobias.

– Skłamałem – powtórzyła Ivy. – Powiedz jej, że jest tancerzem baletowym albo cokolwiek.

Ja jednak powiedziałem prawdę:

– J.C. to były Navy SEAL. Pomaga mi w tego typu sprawach.

– Tego typu sprawach?

– Ochrona. Tajne operacje. Sytuacje, w których mogę znaleźć się w niebezpieczeństwie.

– Czy on każe ci zabijać ludzi?

– To nie tak. To znaczy, w pewnym sensie tak. Ale on zwykle żartuje.

Ivy jęknęła. Sylvia wstała.

– Przepraszam. Muszę skorzystać z łazienki.

– Oczywiście.

Sylvia sięgnęła po szal i torebkę i wyszła.

– Nie wróci? – zwróciłem się do Ivy.

– Żartujesz sobie? Właśnie jej powiedziałeś, że niewidzialny mężczyzna, który każe ci zabijać ludzi, przyszedł do ciebie, kiedy tego nie chciałeś.

– To nie była jedna z naszych najspokojniejszych interakcji – zgodził się Tobias.

Ivy usiadła z westchnieniem na miejscu Sylvi.

– Ale przynajmniej było lepiej niż ostatnim razem. Wytrzymała... jak długo? Pół godziny?

Tobias spojrzał na stojący na sali zegar szafkowy.

– Dwadzieścia minut.

– Musimy to jakoś przezwyciężyć – szepnąłem. – Nie możemy tracić głowy za każdym razem, gdy pojawia się możliwość ewentualnego romansu.

– Nie musiałeś jej mówić tego, co powiedziałeś o J.C. – stwierdziła Ivy. – Mogłeś coś wymyślić. A ty powiedziałeś jej prawdę. Przerazającą, zawstydzającą, pełną J.C. prawdę.

Podniosłem drinka. Lemoniadę w fikuśnym kieliszku do wina. Pokręciłem nim.

– Moje życie jest fałszywe, Ivy. Fałszywi przyjaciele. Fałszywe rozmowy. Kiedy Wilson ma wolne, zdarza się, że przez cały dzień nie rozmawiam z żadną realną osobą. Pewnie nie chcę zacząć związku od kłamstw.

Całą trójką siedzieliśmy w milczeniu, aż J.C. podbiegł do nas z powrotem. Uskoczył na bok, kiedy mijał go prawdziwy kelner.

– Co? – spytał, spoglądając na Ivy. – Już odstraszyliście laskę?

Uniosłem kieliszek w jego stronę.

– Nie bądź tak surowy wobec siebie, Stephenie. – Tobias oparł dłoń

na moim ramieniu. – Sandra nie jest kobietą, którą łatwo zapomnieć, ale blizny w końcu się zagoją.

– Blizny się nie goją, Tobiasie. To w pewnym sensie definicja słowa „blizna”. – Poruszyłem kieliszkiem, spoglądając na światło odbijające się od lodu.

– Tak, jasne, cokolwiek – stwierdził J.C. – Uczucia, metafory i takie tam. Posłuchajcie, mamy problem.

Spojrzałem na niego.

– Kobieta, którą widzieliśmy wcześniej? – J.C. pokazał palcem. – Ona...

Urwał. Miejsce kobiety było puste, jej posiłek porzucony.

– Czas iść? – spytałem.

– Tak – odparł J.C. – Już.

2

– Zen Rigby – powiedział J.C., kiedy wypadliśmy z restauracji. – Prywatna ochrona, co w tym przypadku stanowi wyszukane określenie dla „zabójcy na etacie”. Lista jej przypuszczalnych ofiar jest równie obszerna, jak twój profil psychologiczny, chudy. Dowodów brak. Jest dobra.

– Zaczekaj – powiedziała Ivy idąca po mojej drugiej stronie. – Chcesz powiedzieć, że na kolacji rzeczywiście pojawił się zamachowiec?

– Najwyraźniej – odparłem.

J.C. mógł wiedzieć jedynie to, co ja wiedziałem, więc jeśli mówił takie rzeczy, musiał je wyciągnąć z głębi moich wspomnień. Ze względu na misje, które wykonywałem, zdarzało mi się przeglądać listy tajnych agentów, szpiegów i zawodowych zabójców.

– Cudownie. – Ivy nie patrzyła na J.C. – Teraz już nie da się z nim wytrzymać.

Kiedy wychodziliśmy z restauracji, J.C. poradził, żebym popatrzył na listę rezerwacji. Jedno spojrzenie wystarczyło, by informacje trafiły do mojego umysłu, a aspekty uzyskały do nich dostęp.

– Carol Westminster. – J.C. wybrał nazwisko z listy. – Już wcześniej używała tego pseudonimu. To na pewno Zen.

Zatrzymaliśmy się przy punkcie odbioru samochodów z parkingu, deszcz sprawiał, że opony przejeżdżających obok aut świszczały na wilgotnej nawierzchni drogi. Pogoda stłumiła nieco zwyczajowy odór miasta – nie śmierdziało już jak niemyty bezdomny, lecz jak niedawno wykąpany bezdomny. Jakiś mężczyzna spytał mnie o kwit parkingowy, ale zignorowałem go, bo wysyłałem właśnie SMS-a do Wilsona, by przyprowadził nasz samochód.

– Powiedziałeś, że jest na etacie, J.C. – Nie przerywałem wysyłania wiadomości. – Dla kogo pracuje?

– Nie jestem pewien. Kiedy słyszałem o niej ostatnio, szukała nowego domu. Zen nie jest jednym z tych zabójców wynajmowanych do przypadkowej roboty. Firmy zatrudniają ją na dłuższy czas, wykorzystują do sprzątnięcia bałaganu i rozwiązywania problemów w nie do końca legalny sposób.

W głębi umysłu wiedziałem to wszystko, ale J.C. musiał mi powiedzieć. Nie jestem szalony, jedynie podzielony. Niestety, moje aspekty... cóż, one bywają odrobinę stuknięte. Tobias stał z boku i mamrotał, że Stan – głos, który czasem słyszy – nie ostrzegł go przed deszczem. Ivy ostentacyjnie nie patrzyła na nieduże tunele wygryzione przez korniki w pobliskim słupku. Czy zawsze było tak źle?

– To mógł być zbieg okoliczności. – Tobias pokręcił głową i przerwał rozglądanie się w deszczu. – Zabójcy też ludzie i czasami wychodzą na kolację.

– Pewnie tak – odparł J.C. – Ale jeśli to zbieg okoliczności, będę zirytowany.

– Nie możesz się doczekać, aż kogoś dziś zastrzelisz? – spytała Ivy.

– Oczywiście. Ale nie o to chodzi. Nienawidzę zbiegów okoliczności. Życie jest o wiele prostsze, kiedy można po prostu założyć, że wszyscy próbują cię zabić.

Wilson napisał: *Przyszedł stary znajomy. Chciał z panem porozmawiać. Jest w samochodzie. W porządku?*

Kto? – odpisałem.

Yol Chay.

Zmarszczyłem czoło. Yol? Czy ta zabójczyni była jego?

W porządku, odpisałem ponownie.

Za kilka minut, napisał do mnie Wilson.

– Hej. – J.C. pokazał palcem. – Popatrzcie no tylko.

W pobliżu Sylvia wsiadała do samochodu z mężczyzną w garniturze. Glen, reporter z „Maga”. Zamknął drzwi za Sylvia, posłał mi spojrzenie, wzruszył ramionami, uchylił staromodną fedorę i wsiadł z drugiej strony.

– Wiedziałam, że o coś jej chodzi! – stwierdziła Ivy. – To wszystko było ustawione! Założę się, że nagrywała całą randkę.

Jęknąłem. „Mag” był brukowcem najgorszego gatunku – to znaczy oprócz zmyśleń publikował dość prawdy, by ludzie w pewnym stopniu mu wierzyli. Przez większość życia unikałem zainteresowania mediów, ale ostatnio gazety i strony internetowe z wiadomościami się mnie uczepiły.

J.C. pokręcił z irytacją głową i odbiegł, by sprawdzić okolicę, kiedy my czekaliśmy na samochód. Ivy założyła ręce na piersi.

– Ostrzegałam cię, że coś jest nie tak.

Staliśmy pod markizą razem z pracownikami odprowadzającymi samochody na parking, a deszcz stukał nad naszymi głowami.

– Wiem.

– Zwykle jesteś bardziej podejrzliwy. Martwię się, że kobiety znów stają się twoim słabym punktem.

– Zapamiętam.

– A J.C. znów był nieposłuszny. Przyszedł tu z własnej woli, kiedy kazałeś mu zostać w domu? Nawet nie przedyskutowaliśmy tego, co wydarzyło się w Izraelu.

– Rozwiązaliśmy sprawę. Nic więcej się nie wydarzyło.

– J.C. strzelał z twojego pistoletu, Steve. On, aspekt, zastrzelił prawdziwych ludzi.

– Poruszał moją ręką. To ja strzelałem.

– Takie zacieranie granic między nami nigdy wcześniej nie miało miejsca. – Spojrzała mi w oczy. – Znów próbujesz odnaleźć Sandrę. Sądzę, że celowo zepsułeś tę randkę, żeby mieć powód, by unikać

kolejnych.

– Wyciągasz pochopne wnioski.

– Miejmy nadzieję. Osiągnęliśmy równowagę, Steve. Wszystko się układało. Nie chcę znów się martwić znikającymi aspektami.

Moja limuzyna w końcu podjechała, prowadził ją Wilson – mój kamerdyner. Był późny wieczór, a etatowy kierowca pracował jedynie standardowe osiem godzin dziennie.

J.C. podbiegł do nas i próbował zajrzeć do wozu przez przyciemniane okno.

– Kto tam siedzi z tyłu?

– Yol Chay – odparłem.

– Hm. – J.C. podrapał się po brodzie.

– Myślisz, że jest w to zamieszany?

– Dałbym za to twoją głowę.

Cudownie. Cóż, spotkania z Yolem przynajmniej zawsze były interesujące. Jeden z odprowadzających auta na parking otworzył przede mną drzwi. Chciałem wsiąść, ale J.C. położył mi dłoń na piersi, żeby mnie powstrzymać, wyciągnął pistolet i zajrzał do środka.

Spojrzałem na Ivy i przewróciłem oczyma, ale ona nie patrzyła na mnie. Z czułym uśmiechem przyglądała się J.C. Ta dwójka nie przestawała mnie zadziwiać.

J.C. cofnął się, skinął głową i zdjął rękę z mojej piersi. Yol Chay rozsiadł się w mojej limuzynie. Miał na sobie biały garnitur, srebrną muszkę i starannie wypastowane czarno-białe oksfordki. Stroju dopełniały ciemne okulary w zdobionej diamentami oprawie – wyjątkowo dziwaczny ubiór jak na pięćdziesięcioletniego koreańskiego biznesmena. Jednak w przypadku Yola strój był wręcz stonowany.

– Steve! – Yol nadstawił pięść do żółwika. Mówił z niezbyt silnym koreańskim akcentem, moje imię wypowiedział jako „Sti-va”. – Jak się masz, ty zwariowany psie?

– Zostałem porzucony. – Pozwoliłem, by moje aspekty wsiadły przodem, żeby parkingowy nie zamknął przed nimi drzwi. – Moja towarzyszka nie wytrzymała nawet godziny.

– Co takiego? Co jest nie w porządku z tymi kobietami?

– Nie wiem. – Wszedłem do środka i zająłem miejsce, podobnie zrobiły moje aspekty. – Pewnie pragną towarzystwa mężczyzny, który nie przypomina im seryjnego zabójcy.

– Nuda. Kto by się nie chciał z tobą umówić? Prawdziwa z ciebie okazja! Jedno ciało, czterdziestu ludzi. Nieskończona różnorodność.

Niezupełnie rozumiał, jak funkcjonują moje aspekty, ale mogłem mu to wybaczyć. Sam często nie byłem tego do końca pewien.

Yol podał mi kubek lemoniady. Kilka lat wcześniej pomogłem mu rozwiązać pewien problem – mało która sprawa była dla mnie tak przyjemna i bezstresowa. Nawet jeśli musiałem nauczyć się grać na saksofonie.

Yol objął gestem resztę limuzyny.

– Ilu jest dzisiaj?

– Tylko troje.

– Szpieg też?

– Nie jestem z CIA – powiedział J.C. – tylko z sił specjalnych, durniu.

– Wkurzył się na mój widok? – Yol szczyrzył się pod tandetnymi ciemnymi okularami.

– Można by to tak określić – odparłem.

Yol uśmiechnął się jeszcze szerzej, po czym wyciągnął telefon i nacisnął kilka przycisków.

– J.C., właśnie podarowałem w twoim imieniu dziesięć kawałków Brady Campaign to Prevent Gun Violence. Pomyślałem, że chciałbyś o tym wiedzieć.

J.C. zawarczał. Dosłownie zawarczał.

Odchyliłem się i przyjrzałem Koreańczykowi. Za naszą limuzyną jechała kolejna, pełna jego ludzi. Yol musiał poinstruować Wilsona, dokąd ma jechać, bo to nie była droga do domu.

– Udajesz, że widzisz moje aspekty, Yol. Większość ludzi tego nie robi. Dlaczego?

– Dla ciebie to nie zabawa, prawda? – Wciąż siedział wygodnie rozparty.

– Nie.

– W takim razie dla mnie też nie.

Z jego telefonu dobiegło ptasie świergotanie.

– Tak w rzeczywistości brzmi krzyk orła – stwierdził Tobias. – Większość ludzi jest zaskoczona, kiedy słyszy, jak się naprawdę porozumiewają, gdyż amerykańskie media, pokazując orły, wykorzystują odgłos wydawany przez myszołowa rdzawosternego. Uważają, że orzeł nie brzmi wystarczająco dostojnie. I tak oto sami się okłamujemy w kwestii tożsamości naszego narodowego symbolu...

A jednak Yol wykorzystywał go jako dzwonek w swoim telefonie. Interesujące. Mężczyzna odebrał i zaczął mówić po koreańsku.

– Czy my naprawdę musimy mieć kontakty z tym żartownisiem? – spytał J.C.

– Lubię go. – Ivy siedziała obok Yola. – Poza tym sam powiedziałaś, że najprawdopodobniej był zamieszany w tę sprawę z zabójczynią.

– No cóż, moglibyśmy wyciągnąć z niego prawdę. Wykorzystać starą metodę perswazji w pięciu punktach. – J.C. zacisnął pięść i uderzył nią w drugą dłoń.

– Koszmarny jesteś – stwierdziła Ivy.

– Co takiego? On jest taki dziwny, że pewnie jeszcze by go to rajcowało.

Yol się rozłączył.

– Jakież problemy? – spytałem.

– Wieści o mojej najnowszej płycie.

– Dobrze?

Wzruszył ramionami. Wydał pięć płyt. Wszystkie były spektakularną klapą. Ale Yol zarobił miliard dwieście milionów na inwestycjach na rynku towarowym i taki drobiazg jak kiepska sprzedaż jego płyt z rapem nie mógł go powstrzymać przed wydawaniem kolejnych.

– Tak... – powiedział Yol. – Mam problem, przy którym mogę potrzebować pomocy.

– W końcu! Lepiej, żeby nie chodziło o próby zmuszenia ludzi do słuchania tej jego koszmarnej muzyki. – J.C. się zawahał. – Właściwie, gdybyśmy potrzebowali nowego rodzaju tortur...

– Czy ta praca wiąże się z kobietą imieniem Zen? – spytałem.

Yol zmarszczył czoło.

– Kto to?

- Zawodowa zabójczyni. Obserwowała mnie podczas kolacji.
 - Może chciała umówić się na randkę? – rzucił wesoło Yol.
- Uniosłem brew.
- Nasz problem może się wiązać z pewnym niebezpieczeństwem, a wynajęcie takich... jednostek nie jest poniżej godności naszych konkurentów. Ale ona nie pracuje dla mnie, przysięgam.
 - To zadanie. Jest interesujące?
- Yol uśmiechnął się szeroko.
- Musisz odzyskać zwłoki.
 - Ooo... – powiedział J.C.
 - Szkoda naszego czasu – stwierdził Tobias.
 - Chodzi o coś więcej. – Ivy uważnie przyglądała się Yolowi.
 - Jaki jest haczyk? – spytałem.
 - Nie same zwłoki są ważne. – Yol pochylił się w moją stronę. – Ale to, co te zwłoki wiedzą.

3

- Innovation Information Incorporated. – Kiedy wjeżdżaliśmy przez strzeżoną bramę kompleksu, J.C. przeczytał tabliczkę przed wejściem.
- Nawet ja widzę, że to głupia nazwa. – Zawahał się. – Bo to jest głupia nazwa, prawda?
- Nazwa nie jest zbyt subtelna – odparłem.
- Firma założona, prowadzona i, niestety, nazwana przez inżynierów – stwierdził Yol. – Czekają na nas w środku. Musisz wiedzieć, Steve, że proszę cię o coś więcej niż przyjacielską przysługę. Jeśli załatwisz dla mnie tę sprawę, spłacisz dług z nawiązką.
- Jeśli w to rzeczywiście jest zamieszana zawodowa zabójczyni – powiedziałem niechętnie – to nie wystarczy. Nie zaryzykuję życia dla twojej przychylności.
- A co powiesz na bogactwo?
- Mam pieniądze.
- Nie pieniądze, bogactwo. Całkowitą niezależność finansową.

Te słowa skłoniły mnie do zastanowienia. Owszem, miałem pieniądze. Ale moje urojenia wymagały dużo przestrzeni i inwestycji. Wielu pokoiów w rezydencji, wielu miejsc w samolocie za każdym razem, kiedy latałem, flot samochodów i kierowców za każdym razem, kiedy chciałem wyjechać gdzieś na dłużej. Pewnie mógłbym kupić mniejszy dom i zmuszać aspekty do mieszkania w piwnicy albo szopach na trawniku. Cały problem w tym, że kiedy byli nieszczęśliwi – kiedy iluzja zaczynała się rozpadać – robiło się... nieciekawie.

W końcu zacząłem sobie z tym radzić. Niezależnie od tego, jak wypaczona była moja psychika, w tej chwili mój stan był o wiele stabilniejszy niż na początku. I chciałem, by tak zostało.

– Czy tobie osobiście coś zagraża? – spytałem go.

– Nie wiem. To możliwe.

Yol podał mi kopertę.

– Pieniądze?

– Udziały w I3. Kupiłem tę firmę przed sześcioma miesiącami. Pracują nad prawdziwie rewolucyjnymi pomysłami. Ta koperta daje ci dziesięć procent udziałów. Już załatwiłem całą papierkową robotę. Są twoje, niezależnie od tego, czy ostatecznie weźmiesz tę robotę. Honorarium za konsultację.

Przesunąłem palcami po kopercie.

– Jeśli nie rozwiążę twojego problemu, będą bezwartościowe, prawda?

Yol uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze myślisz. Ale jeśli go rozwiążesz, ta koperta może być warta dziesiątki milionów. Może nawet setki milionów.

– A niech to diabli – mruknął J.C.

– Nie przeklinaj. – Ivy uderzyła go w ramię.

Przy takim rozwoju sytuacji za chwilę mogli zacząć na siebie wrzeszczeć albo się obściskować. Nigdy nie umiałem tego ocenić.

Popatrzyłem na Tobiasa, który siedział naprzeciwko mnie. Pochylił się, splótł dłonie przed twarzą i spojrzał mi w oczy.

– Z takimi pieniędzmi moglibyśmy wiele dokonać. Może w końcu mielibyśmy dość środków, by ją wyśledzić.

Sandra wiedziała o mnie bardzo wiele, o tym, jak myślałem.

Rozumiała aspekty. Do diabła, to ona nauczyła mnie, jak działają. Urzekła mnie. A później odeszła. Bez pożegnania.

– Aparat – powiedziałem.

– Aparat jest zepsuty. Arnaud powiedział, że zrozumienie mechanizmu jego działania może mu zająć całe lata.

Znów pomacałem kopertę.

– Ona aktywnie przeciwstawia się wszystkim twoim wysiłkom, by ją odnaleźć, Stephenie. Nie możesz temu zaprzeczyć. Sandra nie chce zostać odnaleziona. By do niej dotrzeć, potrzebujemy środków. Swobody, by przez jakiś czas móc ignorować sprawy, pieniędzy, by przewycięzać przeszkody.

Spojrzałem na Ivy, która pokręciła głową. Nie zgadzała się z Tobiasem w kwestii tego, co powinniśmy robić z Sandrą – ale swoje powiedziała już wcześniej.

Popatrzyłem z powrotem na Yola.

– Zakładam, że muszę się zgodzić, zanim będę mógł się dowiedzieć, na czym polega ta technologia, którą się zajmujecie?

Yol rozłożył szeroko ręce.

– Ufam ci, Steve. Pieniądze są twoje. Wejdz do środka. Wysłuchaj ich. Tylko o to proszę. Później będziesz się mógł zgodzić albo nie.

– W porządku. – Schowałem kopertę do kieszeni. – Wysłucham, co twoi ludzie mają do powiedzenia.

4

I3 było jedną z „nowych” firm technologicznych, z wystrojem wewnątrz przypominającym przedszkole – ściany w jaskrawych barwach podstawowych, na każdym skrzyżowaniu worki sako.

Yol wyciągnął kilka lodów na patyku z zamrażarki i rzucił po jednym swoim ochroniarzom. Ja założyłem ręce za plecami i pokręciłem głową, ale wtedy on pomachał w powietrzu obok mnie.

– Jasne. – Ivy wyciągnęła rękę.

Pokazałem palcem, a wtedy Yol rzucił loda w jej stronę.

Co było niejakim problemem.

Ci, którzy blisko ze mną współpracują, wiedzą, że wystarczy zrobić gest, a mój umysł wypełni go szczegółami. Ale ponieważ Yol rzeczywiście rzucił prawdziwym lodem, moja wyobraźnia na chwilę przestała działać.

Lód rozdzielił się na dwa. Ivy złapała jeden, a drugi – prawdziwy – ominęła, pozwalając, by uderzył w ścianę i spadł na ziemię.

– Dwóch nie potrzebuję.

Ivy przewróciła oczami, przeszła nad leżącym na ziemi lodem i odwinęła swój, ale wyglądała, jakby czuła się niezręcznie. Za każdym razem, kiedy w mojej umiejętności pośredniczenia między moim wyobrażonym światem a rzeczywistością pojawiała się luka, znajdowaliśmy się na niebezpiecznym terytorium.

Ruszyliśmy dalej, mijając sale konferencyjne o szklanych ścianach. Większość z nich była pusta, co o tej porze nie zaskakiwało, ale na każdym stoliku spoczywały konstrukcje z małych plastikowych klocków w różnych stadiach rozbudowy. Najwyraźniej w I3 spotkaniom biznesowym i rozmowom towarzyszyło mnóstwo klocków Lego.

– Recepcjonistka przy wejściu jest nowa – zauważyła Ivy. – Miała problem ze znalezieniem identyfikatorów dla gości.

– Albo też mało kto ich odwiedza – dodał Tobias.

– Zabezpieczenia mają koszmarne – warknął J.C.

Popatrzyłem na niego i zmarszczyłem czoło.

– Wszystkie drzwi są na kartę. To dobre zabezpieczenie.

J.C. prychnął.

– Karty? Proszę cię. Popatrz tylko na te wszystkie okna. Jaskrawe kolory, zachęcające dywany... zaraz, czy to huśtawka? To miejsce wręcz krzyczy „przytrzymaj drzwi dla gościa, który idzie za tobą”. Karty są bezużyteczne. Przynajmniej większość ekranów nie jest zwrócona w stronę okien.

Mogłem sobie wyobrazić, jak to miejsce wyglądało w ciągu dnia – swobodna atmosfera, kosze ze smakołykami w korytarzach i chwytliwe hasła na ścianach. Tego rodzaju otoczenie miało wprawiać twórcze jednostki w dobry nastrój. Jak wybieg dla nerdów.

Unoszące się zapachy sugerowały bufet, pewnie darmowy, by inżynierowie nie chodzili głodni – i nie opuszczali budynku. Po co wracać do domu, skoro o szóstej można coś zjeść na miejscu. A skoro już tu jesteś, to równie dobrze możesz trochę popracować...

W tej chwili jednak wrażenie swobodnej kreatywności wydawało nieprzekonujące. Mijaliśmy inżynierów pracujących do późna, ale pochylali się nad komputerami. Spoglądali na nas, po czym kulili się jeszcze bardziej i już na nas nie patrzyli. Nikt nie grał w piłkarzyki i flipery na wspólnej sali. Wydawało się, że mimo późnej pory to miejsce powinien wypełniać przyjemny gwar rozmów. Tymczasem jedynymi odgłosami były przyciszone szepty i od czasu do czasu pikanie jednego z automatów do gier.

Ivy popatrzyła na mnie i wydawała się zadowolona, że zauważyłem to wszystko. Gestem zasugerowała, że powinienem sięgnąć głębiej. „Co to wszystko oznacza?”.

– Inżynierowie wiedzą – powiedziałem do Yola. – Doszło do naruszenia bezpieczeństwa, a oni są tego świadomi. Martwią się, że firma jest zagrożona.

– Owszem. Wieści nie powinny do nich dotrzeć.

– Jak do tego doszło?

– Znasz tych gości z IT. – Yol patrzył na mnie przez migoczące ciemne okulary. – Swoboda przepływu informacji, zaangażowanie pracowników, wszystkie te bzdury. Ci na górze zorganizowali spotkanie, by wszystko wyjaśnić, i zaprosili każdego poza cholerną sprzątaczką.

– Nie przeklinaj – powiedziała Ivy.

– Ivy wolałaby, żebyś nie przeklinał – przekazałem.

– A ja przekląłem? – W głosie Koreańczyka brzmiało szczere zaskoczenie.

– Ivy bywa nieco purytańska. Yol, co to za technologia? Co oni tu rozwijają?

Yol zatrzymał się przed salą konferencyjną – bezpieczniejszą, gdyż jedynym szkłem było nieduże kwadratowe okienko w drzwiach. W środku czekała grupka mężczyzn i kobiet.

– Pozwolę, żeby to oni ci opowiedzieli – odparł Yol, gdy jeden z jego

ochroniarzy przytrzymał przed nami otwarte drzwi.

5

– Każda komórka pańskiego ciała zawiera siedemset pięćdziesiąt mega danych – powiedział inżynier. – Dla porównania, każdy z pańskich palców zawiera tyle samo informacji, co cały internet. Rzecz jasna, te informacje się powtarzają i są redundantne, ale pozostaje faktem, że komórki stanowią doskonały magazyn danych.

Inżynier Garvas był sympatycznym mężczyzną ubranym w koszulę z kołnierzykiem zapinanym na guziki, na kieszeni zawiesił duże okulary przeciwsłoneczne. Nie miał zbyt wielkiej nadwagi, ale jego zaokrąglona sylwetka świadczyła, że większość czasu spędzał za biurkiem. Mówiąc, jednocześnie budował na stole dinozaura z klocków Lego, Yol zaś krążył na zewnątrz i rozmawiał przez telefon.

– Czy ma pan jakiegokolwiek pojęcie o możliwym potencjale? – Garvas umieścił głowę dinozaura na swoim miejscu. – W miarę upływu lat urządzenia ulegają miniaturyzacji, a ludzie mają dość noszenia nieporęcznych laptopów, telefonów, tabletów. Naszym celem jest znalezienie sposobu, by się ich pozbyć, poprzez wykorzystanie ludzkich ciał.

Spojrzałem na aspekty. Ivy i Tobias siedzieli razem z nami przy stole. J.C. stał przy drzwiach i ziewał.

– Ludzkie ciało jest niewiarygodnie wydajną maszyną – odezwał się inny inżynier, chudy, podekscytowany mężczyzna imieniem Laramie. On z kolei budował z klocków coraz wyższą wieżę. – Ma doskonałe zdolności magazynowania danych, komórki, które same się replikują, i własne źródło energii. Do tego ciało jest bardzo długowieczne jak na dzisiejsze standardy produkcyjne.

– Innymi słowy zmienialiście ludzkie ciała w komputery – powiedziałem.

– One już są komputerami – stwierdził Garvas. – Po prostu dodawaliśmy kilka nowych opcji.

– Proszę sobie wyobrazić – odezwała się Lorelee, chuda kobieta o trójkątnej twarzy. – Co by było, gdyby zamiast chodzić z laptopem, mógł pan wykorzystywać wbudowany organiczny komputer? Pański palec staje się twardym dyskiem. Oczy są ekranem. Zamiast dźwigać nieporęczną baterię, wystarczy zjeść na śniadanie dodatkową kanapkę.

– To brzmi dziwnie – stwierdził J.C.

– Jestem skłonny się zgodzić – odparłem.

– Przepraszam? – spytał Garvas.

– Takie powiedzenie. Czyli palec służy do przechowywania danych. Wygląda jak... Co właściwie? No... pendrive?

– Zamierzał powiedzieć „paluszek” – stwierdził Laramie. – Musimy przestać używać palców jako przykładu.

– Ale on był taki zgrabny! – sprzeciwiła się Lorelee.

– Tak czy inaczej, to, co robiliśmy, nie zmieniało wyglądu organów.
– Garvas uniósł kciuk.

– Przeszliście tę procedurę? – spytałem. – Testowaliście ją na sobie?

– Dziwadła. – J.C. przestąpił niezręcznie z nogi na nogę. – Będzie chodzić o zombiaki. Jestem tego pewien.

– Przeprowadziliśmy jedynie bardzo początkowe próby – stwierdził Garvas. – Większość z tego, co panu właśnie opowiedzieliśmy, to nasze marzenie, cel. Tutaj pracowaliśmy wyłącznie nad kwestią magazynowania danych i zrobiliśmy duże postępy. Informacje, które umieszczamy w komórkach, pozostają w nich i są odtwarzane w procesie replikacji. Mój kciuk służy jako kopia zapasowa mojego laptopa. Jak pan widzi, nie ma żadnych efektów niepożądanych.

– Trzymamy je w DNA mięśni – dodał podekscytowany Laramie. – W pańskim materiale genetycznym i tak jest mnóstwo nieistotnych danych. My to naśladujemy, wystarczy, że dodamy małe łańcuchy znaków z oznaczeniami, które każą ciału go zignorować. Jak komentowanie w kodzie.

– Przepraszam – odezwał się J.C. – ale nie mówię po geekowemu. Co on właściwie powiedział?

– „Komentowanie” w programowaniu oznacza, że autor pisze linijkę kodu, ale każe programowi ją zignorować – wyjaśniła Ivy. –

W ten sposób można zostawiać innym programistom informacje na temat kodu.

– Zgadza się – stwierdził J.C. – Bełkot. Spytaj go o zombie.

– Steve. – Ivy zwróciła się bezpośrednio do mnie, ostentacyjnie ignorując J.C. – Ci ludzie mówią poważnie i są podekscytowani. Ich oczy błyszczą, kiedy mówią, ale jest w nich pewna rezerwa. Są wobec ciebie uczciwi, ale jednocześnie się boją.

Zwróciłem się do trojga inżynierów.

– Mówicie, że to całkowicie bezpieczne?

– Pewnie – odparł Garvas. – Ludzie od lat robią to samo z bakteriami.

– Problemem nie jest magazynowanie danych, ale dostęp do nich – dodała Lorelee. – Jasne, możemy przechowywać informacje w naszych komórkach, ale zapis i odczyt są bardzo trudne. Musimy wprowadzić dane do wnętrza, a żeby je odzyskać, usuwamy komórki.

– Jeden z naszych współpracowników, Panos Maheras, pracował nad prototypowym sposobem zapisywania danych z użyciem wirusa – mówił dalej Garvas. – Wirus niosący dane przenika do komórek i następnie wprowadza zmiany do DNA.

– Cudownie – jęknęła Ivy.

Skrzywiłem się.

– To całkowicie bezpieczne – powtórzył Garvas, ale brzmiał trochę nerwowo. – Wirus Panosa ma zabezpieczenia, które powstrzymują go przed nadmiernym namnażaniem się. Na razie prowadziliśmy próby jedynie w ograniczonym zakresie i byliśmy bardzo ostrożni. Proszę też pamiętać, że wirus był tylko jednym ze sposobów, nad którymi pracowaliśmy.

– Świat wkrótce się zmieni. – W głosie Laramiego brzmiała ekscytacja. – Prędzej czy później będziemy zdolni zapisywać genetyczny twardy dysk każdego ciała, wykorzystując jego własne hormony do...

Uniosłem rękę.

– Czego mógłby dokonać wasz wirus w chwili obecnej?

– W najgorszym przypadku? – spytała Lorelee.

– Nie przyszedłem tu po to, by rozmawiać o kwiatkach i kucykach.

– W najgorszym przypadku – Lorelee popatrzyła na pozostałych – wirus stworzony przez Panosa mógłby zostać wykorzystany do wprowadzenia dużych ilości bezużytecznych danych do ludzkiego DNA... lub usuwania fragmentów ich własnego DNA.

– Innymi słowy... zombie? – powiedział J.C.

Ivy skrzywiła się.

– W normalnej sytuacji nazwałabym go idiotą. Ale... tak, to brzmi trochę jak zombie.

O nie, znowu, pomyślałem.

– Nienawidzę zombie.

Inżynierowie popatrzyli na mnie niepewnie.

– Zombie? – powtórzyła Lorelee.

– W tę właśnie stronę to idzie, prawda? Przypadkiem zmieniacie ludzi w zombie?

– O rany – powiedział Garvas. – To coś znacznie bardziej fascynującego niż to, co naprawdę zrobiliśmy.

Pozostała dwójka popatrzyła na niego, a on wzruszył ramionami.

– Panie Leeds. – Laramie znów popatrzył na mnie. – To nie fantastyka. Usunięcie fragmentów ludzkiego DNA nie zmienia człowieka od razu w zombie, jedynie tworzy nieprawidłową komórkę. Taką, która w naszych eksperymentach miała tendencję do niekontrolowanych podziałów.

Zrobiło mi się zimno.

– Nie zombie. Nowotwory. Stworzyliście wirusa, który wywołuje u ludzi nowotwory.

Garvas się skrzywił.

– W pewnym sensie.

– To był niezamierzony skutek, nad którym da się zapanować – dodał Laramie – i jest niebezpieczny jedynie, gdy się go użyje w złej woli. A dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego?

Wszyscy przez chwilę się na niego gapiliśmy.

– Zastrzelmy go – zaproponował J.C.

– Dzięki niebiosom – odparł Tobias. – Od ponad godziny nie zaproponowałeś, żebyśmy kogoś zastrzelili, J.C. Zaczynałem się martwić, że coś jest nie w porządku.

– Nie, posłuchajcie. Możemy zastrzelić tego tutaj Jajogłowego Myślaka, a wszyscy obecni w tej sali dostaną ważną życiową lekcję. To znaczy, że nie należy być głupim szalonym naukowcem.

Westchnąłem, ignorując aspekty.

– Powiedzieliście, że wirus został stworzony przez mężczyznę imieniem Panos? Chciałbym z nim porozmawiać.

– Nie może pan – odparł Garvas. – On jest... jakby martwy.

– Cóż za zaskoczenie – powiedział Tobias, a Ivy westchnęła i rozmasowała czoło.

– Co takiego? – spytałem, odwracając się do Ivy.

– Yol powiedział, że chodzi o ciało. A ich firma zajmuje się przechowywaniem danych w ludzkich komórkach, więc...

Popatrzyłem na Garvasa.

– On miał to w sobie, prawda? Sposób tworzenia wirusa? Przechowywał dane waszego produktu we własnych komórkach.

– Tak – przyznał Garvas. – I ktoś ukradł jego zwłoki.

6

– Koszmar dla ochrony – stwierdził z naciskiem J.C., kiedy ruszyliśmy w stronę gabinetu Panosa, nieżyjącego specjalisty od składania genów.

– Na ile umiemy to ocenić – powiedziała Lorelee – śmierć Panosa nie była w najmniejszym stopniu podejrzana. Jego upadek nami wstrząsnął, bo był naszym przyjacielem. Ale nikt nie sądził, że to mogło być coś więcej niż zwyczajny wypadek na stoku narciarskim.

– Jasne – mruknął J.C. Dwa pozostałe aspekty szły tuż za nim. – Bo to, że naukowiec pracujący nad morderczym wirusem zginął w dziwnym wypadku, nie jest wcale a wcale podejrzane.

– Wypadki czasem się zdarzają – sprzeciwił się Tobias. – Gdyby ktoś chciał poznać jego tajemnice, przypuszczam, że zabicie go i kradzież jego ciała znajdowałyby się na samym końcu listy możliwych metod.

– Jesteście pewni, że on nie żyje? – spytałem Garvasa, który szedł po

mojej drugiej stronie. – To mogła być mistyfikacja, część skomplikowanego planu szpiegostwa przemysłowego.

– Jesteśmy bardzo pewni – potwierdził inżynier. – Widziałem ciało. Żywy człowiek nie mógłby... no... skrócić szyi w taki sposób.

– Będziemy chcieli to potwierdzić – stwierdził J.C. – Zdobądź raporty koronera, a jeśli to możliwe, również zdjęcia.

Pokiwałem w zamyśleniu głową.

– Najprostsza wersja przebiegu wydarzeń brzmi zupełnie logicznie – zauważyła Ivy. – On umiera. Ktoś odkrywa, że jego komórki zawierają tajne informacje. Kradnie zwłoki. Nie twierdzę, że inne możliwości są wykluczone, ale ich wersja wydaje mi się wiarygodna.

– Kiedy zniknęło ciało? – spytałem.

– Wczoraj – odparła Lorelee. – Czyli dwa dni po wypadku. Dziś miał się odbyć pogrzeb.

Zatrzymaliśmy się w korytarzu przy ścianie pomalowanej wesołe bąbelki, a Garvas użył swojej karty, by otworzyć następne drzwi.

– Macie jakieś tropy? – spytałem go.

– Nic. Albo aż za dużo. Nasza dziedzina badań jest obecnie niezwykle popularna, w wyścigu bierze udział wiele firm biotechnologicznych. Za kradzieżą mógł stać każdy z naszych co bardziej pozbawionych skrupułów konkurentów.

Otworzył dla mnie drzwi. Przejąłem je od niego i przytrzymałem, ku jego konsternacji. Gdybym tego nie zrobił, mógłby przez nie przejść, kiedy moje aspekty próbowały się dostać do środka. Inżynierowie weszli. Kiedy to zrobili, podążyły za nimi moje aspekty, a na końcu ja. Dokąd pobiegł Yol?

– Odkrycie, kto to zrobił, nie powinno być trudne – powiedział do mnie J.C. – Musimy się dowiedzieć, kto wynajął tę zabójczynię, żeby nas obserwowała. Nie rozumiem tylko, dlaczego wszyscy tak bardzo się przejmują. Nerdy przypadkiem wymyśliły maszynę wywołującą raka. Wielka mi sprawa. Jedną już mam.

J.C. uniósł komórkę i zaczął nią machać.

– Masz telefon komórkowy? – spytała z rozdrażnieniem Ivy.

– Pewnie. Wszyscy je mają.

– A do kogo zamierzasz dzwonić? Do Świętego Mikołaja?

J.C. schował komórkę i zacisnął wargi. Ivy zwykle zachowywała się, jakby wszyscy byli prawdziwi, ale wydawało się, że w przeciwieństwie do J.C. w głębi duszy pogodziła się ze swoim brakiem realności. Kiedy szliśmy tym nowym korytarzem, Ivy podeszła do byłego komandosa i zaczęła mówić uspokajająco, jakby poczuła się zawstydzona, że poruszyła kwestię jego urojonej natury.

Ta część budynku nie przypominała już przedszkola, a raczej gabinet dentysty – mniejsze pokoje rozmieszczone po obu stronach beżowego korytarza, a przy każdych drzwiach sztuczna roślina w doniczce. Kiedy dotarliśmy do gabinetu Panosa, Garvas wyciągnął kolejną kartę.

– Dlaczego nie poszliście ze swoim wirusem do rządu? – spytałem go.

– Oni chcieliby go wykorzystać jako broń.

– Nie. – Położyłem dłoń na jego ramieniu. – Wątpię. Taka broń nie posłużyłaby żadnym celom taktycznym. Sprawić, że wrogie oddziały zachorują na raka? Jego rozwój zająłby całe miesiące albo lata, a nawet wtedy jego wartość byłaby marginalna. Taka broń byłaby użyteczna jedynie jako groźba wobec ludności cywilnej.

– W ogóle nie był projektowany jako broń.

– A proch strzelniczy na początku wykorzystywano do fajerwerków.

– Wspomniałem, że szukaliśmy innych metod zapisu i odczytu naszych komórek, prawda? – powiedział Garvas. – Takich, które nie używały wirusa?

Przytaknąłem.

– Powiedzmy tylko, że zaczęliśmy te projekty, bo kwestia wirusa wzbudzała niepokój w niektórych z nas. Badania nad projektem Panosa zostały wstrzymane, kiedy próbowaliśmy znaleźć sposób, by zrobić to wszystko za pomocą aminokwasów.

– Ale i tak powinniście zgłosić się do rządu.

– A jak myślisz, co oni by zrobili? – Garvas spojrzał mi w oczy. – Poklepali nas po głowach? Podziękowali nam? Wie pan, co się dzieje z laboratoriami, które wymyślają takie rzeczy? Znikają. Albo zostają pochłonięte przez rząd, albo zlikwidowane. Nasze badania są ważne...

no i dochodowe. Nie chcemy zostać zamknięci, nie chcemy być przedmiotem potężnego dochodzenia. Chcemy tylko, żeby ten problem zniknął.

Otworzył drzwi, ukazując nieduży, uporządkowany gabinet. Ściany zdobił rząd jednakowo oprawionych zdjęć autorów fantastyki z autografami.

– Wejdźcie – powiedziałem do swoich aspektów, powstrzymując Garvasa.

Cała trójka weszła do gabinetu i zaczęła badać przedmioty na ścianach i biurku.

– Był z pochodzenia Grekiem. – Ivy przyglądała się książkom na półkach i zdjęciom. – Pewnie w drugim pokoleniu, ale nadal znał język.

– Co takiego? – spytał J.C. – Panos to nie jest imię b...

– Uważaj – ostrzegła go Ivy.

– ...meksykańskie?

– Nie. – Tobias pochylał się nad biurkiem. – Stephenie, mógłbyś mi pomóc?

Podszedłem i przesunąłem papiery na biurku, żeby Tobias mógł się przyjrzeć każdemu po kolei.

– Składki dla miejscowego fab labu. Informator z konwentu Linuxa... magazyn dla majsterkowiczów... Nasz przyjaciel był konstruktorem.

– Wyjaśnij mi to jak komuś głupiemu – poprosił J.C.

– To subkultura wielbicieli nowych technologii i innych kreatywnych typów, J.C. Równoległa do, a może wyrastająca z ruchu otwartego oprogramowania. Cenią praktyczne rzemiosło i współpracę, szczególnie w dziedzinie twórczego zastosowania nowych technologii.

– Zachował identyfikator z każdego konwentu, w którym uczestniczył. – Ivy pokazała palcem stertę. – A każdy jest podpisany nie przez gwiazdy, ale przez ludzi, których prelekcji wysłuchał, tak w każdym razie przypuszczam. Rozpoznaję kilka nazwisk.

– Widzicie ten gumowy klin na podłodze? – J.C. chrząknął. – Dywan jest przetarty w jednym miejscu. Często wpychał klin pod drzwi,

blokując je i nie dopuszczając do automatycznego zamknięcia. Zostawiał swój gabinet otwarty, żeby ludzie mogli zajrzeć i pogadać.

Popatrzyłem na kilka nalepek na blacie biurka. „Wspieraj Otwarte Oprogramowanie”, „Informacja dla każdego, słowa powinny być wolne”.

Tobias wskazał mi miejsce przy komputerze. Dostęp nie był chroniony hasłem. J.C. uniósł brew.

Przed śmiercią Panos odwiedzał fora internetowe, na których umieszczał stanowcze, ale uprzejme posty na temat kwestii związanych z informatyką i technologiami.

– Był pełen entuzjazmu – stwierdziłem, przeglądając jego maile – i gadatliwy. Ludzie naprawdę go lubili. Często uczestniczył w konwentach dla nerdów i choć z początku wypowiadał się powściągliwie, to jeśli już zaczął mówić, nie dawało się go powstrzymać. Zawsze przy czymś majstrował. Klocki Lego były jego pomysłem, prawda?

Garvas podszedł do mnie.

– Skąd...?

– Wierzył w to, co robicie. – Zmrużyłem oczy, czytając jeden z postów Panosa na linuksowym forum. – Ale nie podobała mu się struktura waszej firmy, prawda?

– Jak wielu z nas, uważał, że inwestorzy są irytującym, ale niezbędnym elementem pozwalającym nam robić to, co kochamy. – Garvas się zawahał. – Nie sprzedał się, Leeds, jeśli nad tym się pan zastanawia. On by się nie sprzedał.

– Zgadzam się. – Obróciłem się na krześle. – Gdyby ten człowiek zamierzał zdradzić swoją firmę, po prostu umieściłby wszystkie informacje w internecie. Wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne, by sprzedał wasze pliki jakiejś innej złej korporacji, zamiast je po prostu rozdać.

Garvas wyraźnie się rozluźnił.

– Będę potrzebował tej listy waszych konkurentów. I raportów koronera, razem ze zdjęciami ciała. Szczegółów zniknięcia zwłok. Chcę też dostać szczegółowe informacje na temat miejsca zamieszkania Panosa, jego rodziny i wszelkich przyjaciół spoza pracy,

o których wiecie.

– Czyli... zgadza się pan nam pomóc?

– Znajdę ciało, Garvasie. – Wstałem. – Ale najpierw uduszę waszego pracodawcę.

7

Znalazłem Yola siedzącego samotnie w bufecie, w otoczeniu czystych białych stołów oraz zielonych, czerwonych i żółtych krzeseł. Na każdym stole stał słoik z cytrynami.

Wydawało się, że pomieszczenie, puste, ale wypełnione radosnymi barwami... wstrzymuje oddech. Jakby na coś czekało. Gestem kazałem aspektom pozostać na zewnątrz, po czym wszedłem do środka, by samotnie stawić czoła Yolowi. Zdjął swoje krzykliwe ciemne okulary – bez nich wyglądał prawie jak zwyczajny biznesmen. Czy nosił okulary, żeby udawać, że jest gwiazdą, czy też może po to, by ludzie nie widzieli jego przenikliwego spojrzenia, tak pewnego siebie i przebiegłego?

– Wrobiłeś mnie. – Zająłem miejsce obok niego. – Bezlitośnie, jak zawodowiec.

Yol nie zareagował.

– Jeśli ta historia wyjdzie na jaw – mówiłem dalej – i wszystko związane z I3 pójdzie w diabły, będę zamieszany jako właściciel części firmy.

Czekałem, aż Ivy złąją mnie za przekleństwo, choć przecież było łagodne. Ale ona została na zewnątrz.

– Mógłbyś powiedzieć prawdę – stwierdził Yol. – Nie powinieneś mieć problemów z udowodnieniem, że swoje udziały dostałeś dopiero dzisiaj.

– To nic nie da. Jestem tematem, Yol. Ekscentrykiem. Kiedy w grę wchodzi prasa, wątpliwości nie przemawiają na moją korzyść. Jeśli będę w jakikolwiek sposób powiązany, żadne sprzeciwy nie powstrzymają brukowców i ty o tym wiesz. Dałeś mi te udziały

właśnie po to, żebym wylądował w tym bagnie razem z tobą, sukinsynu.

Yol westchnął. Kiedy odsłonił oczy, wyglądał o wiele starzej.

– Może po prostu chciałem, żebyś poczuł się tak samo, jak ja. Kiedy kupiłem to miejsce, nie miałem pojęcia o tej katastrofie z nowotworem. O najgorszym powiedzieli mi dopiero przed dwoma tygodniami.

– Yol, musisz porozmawiać z władzami. Ta sprawa przerasta nas obu.

– Wiem. I zrobiłem to. Federalni dziś wieczorem przyślą urzędników z CDC. Inżynierowie zostaną poddani kwarantannie, ja najprawdopodobniej też. Nikomu innemu jeszcze nie powiedziałem. Jednak rząd się myli, patrzą na to ze złej strony. Tu nie chodzi o chorobę, ale o informacje.

– Zwłoki. – Pokiwałem głową. – Jak I3 mogło do tego dopuścić? Nie uświadamiali sobie, że był dosłownie chodzącym twardym dyskiem?

– Ciało miało zostać skremowane. Zgodnie z wewnętrzną umową. Nikt nie spodziewał się problemów. A informacje mogą wcale nie być tak łatwe do zdobycia. Wszyscy pracownicy mają szyfrować dane, które magazynują wewnątrz swoich komórek. Słyszałeś kiedyś o szyfrze z kluczem jednorazowym?

– Jasne. Szyfr wykorzystujący przypadkową sekwencję znaków i wymagający niepowtarzalnego klucza. Podobno niemożliwy do złamania.

– Z punktu widzenia matematyki to jedyna niemożliwa do złamania forma szyfrowania. Proces jest zbyt niepraktyczny, by wykorzystywać go na co dzień, ale w tym, co tu robią, nie chodzi o praktyczność, jeszcze nie. Zasady obowiązujące w firmie wymagały takiego szyfrowania... zanim umieścili dane w swoich ciałach, kodowali je przy użyciu niepowtarzalnego klucza. Aby odczytać te dane, trzeba mieć właściwy klucz. Niestety, nie mamy tego, z którego korzystał Panos.

– Zakładając, że w ogóle przestrzegali zasad i zakodowali swoje dane.

Yol się skrzywił.

– Zauważyłeś?

– Nasz drogi zmarły nie przejmował się zbytnio zasadami bezpieczeństwa.

– Cóż, musimy mieć nadzieję, że użył klucza... bo jeśli to zrobił, ludzie, którzy mają jego ciało, nie odczytają tego, co w nim przechowywał. A my być może jesteśmy bezpieczni.

– Chyba że znajdą klucz.

Yol popchnął w moją stronę grubą teczkę.

– Zgadza się. Zanim tu przyjechaliśmy, kazałem, by to dla ciebie wydrukowali.

– A co to?

– Wszystkie kontakty internetowe Panosa. Wszystko, co robił przez ostatnie miesiące, każdy mail, każdy post na forum. Niczego nie znaleźliśmy, ale pomyślałem, że na wszelki wypadek powinieneś je dostać.

– Zakładasz, że zamierzam ci pomóc.

– Powiedziałeś Garvasowi...

– Powiedziałem mu, że znajdę trupa. Nie jestem pewien, czy go wam zwrócę.

– W porządku. – Yol wstał i wyjął z kieszeni ciemne okulary. – Mamy swoje dane, Stephenie. Nie chcemy jedynie, by wpadły w niewłaściwe ręce. Powiedz mi, że się ze mną nie zgadzasz.

– Jestem przekonany, że twoje ręce są niewłaściwymi rękami. – Zawahałem się. – Zabiłeś go, Yol?

– Panosa? Nie. Na ile umiem to ocenić, naprawdę zginął w wypadku.

Wpatrywałem się w niego, a on popatrzył mi w oczy, po czym założył te swoje absurdalne okulary. Godny zaufania? W przeszłości go za takiego uważałem. Postukał w plik informacji.

– Dopilnuję, by Garvas i jego ekipa dostarczyli ci całą resztę, o którą prosiłeś.

– Gdyby chodziło tylko o twoją firmę, pewnie pozwoliłbym jej spłonąć.

– Wiem. Ale zagrożeni są też inni ludzie.

Niech go diabli. Miał rację. Wstałem.

– Masz mój numer – powiedział Yol. – Najpewniej będę tu

zamknięty, ale wciąż powinienem móc rozmawiać przez telefon. Ty jednak musisz się stąd wynieść, zanim przyjadą federalni.

– W porządku.

Przecisnąłem się obok niego i skierowałem w stronę drzwi.

– Znalezienie klucza do odszyfrowania nie wystarczy – powiedział Yol. – Nie wiemy, ile jego kopii powstało... i to zakładając, że Panos w ogóle przestrzegał zasad szyfrowania. Znajdź to ciało, Stephenie, i spal je. Żałuję, że nie zrobiłem tego z tym całym budynkiem, i to przed wieloma tygodniami.

Otworzyłem drzwi, wyszedłem i zamachałem do Ivy, Tobiasa i J.C. Ruszyli za mną.

– J.C. – poleciłem – weź tę swoją komórkę. Zadzwoń do pozostałych aspektów. Wyślij ich do Białej Sali. Mamy robotę.

Część druga

8

Mam dużo aspektów. A dokładniej czterdzieści siedem, jako ostatni dołączył do nas Arnaud. Zazwyczaj nie potrzebuję ich wszystkich – właściwie wyobrażanie sobie więcej niż czterech, pięciu jednocześnie jest męczące i na dłuższą metę sobie z tym nie radzę. Ograniczenie to jest kolejną rzeczą, która sprawia, że moi psychologowie zaczynają się ślinić. Psychotyki, dla którego tworzenie fantastycznego świata jest bardziej męczące niż życie w tym realnym?

Od czasu do czasu pojawia się zadanie, które wymaga wyjątkowego wysiłku i do którego potrzebuję uwagi dużej liczby aspektów. Dlatego stworzyłem Białą Salę. Puste ściany, podłoga i sufit w tym samym jednolitym odcieniu matowej bieli, gładkie, chłodne powierzchnie, idealnie równe poza światłami na suficie. Sala była dźwiękoszczelna i spokojna, nic w niej nie odwracało uwagi od dziesiątek wyobrażonych ludzi wchodzących przez podwójne drzwi.

Wygląd aspektów nie jest moim świadomym wyglądem, ale najwyraźniej doceniam różnorodność. Lua, Samoanczyk, był muskularnym gościem o szerokim uśmiechu. Nosił solidne bojówki i kurtkę z dużą liczbą kieszeni – co pasowało do specjalisty od przetrwania. Koreanka Mi Won była naszym chirurgiem i medykiem. Czarnoskóra Ngozi – technik kryminalistyki – miała metr osiemdziesiąt wzrostu, Flip zaś był krępy, gruby i często zmęczony.

I tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Dołączali do mnie stopniowo – jedno po drugim, kiedy musiałem zdobyć jakąś nową umiejętność – napełniając mój przepełniony mózg coraz bardziej różnorodnymi sprawnościami. Zachowywali się jak zwyczajni ludzie i rozmawiali

w kilku różnych językach. Audrey była rozczochrana, wyglądała, jakbym przerwał jej drzemkę. Clive i Owen nosili stroje do golfa, a Clive trzymał na ramieniu kij. Nie wiedziałem, że Owen w końcu wzbudził u niego zainteresowanie sportem. Kalyani, okryta jaskrawym sari z czerwono-złotego jedwabiu, przewróciła oczami, gdy J.C. znów zwrócił się do niej „Ahmed”, ale widziałem, że zaczynał już darzyć ją sympatią. Kalyani nie dało się nie lubić.

– Panie Steve! – powiedziała. – Jak się udała randka? Mam nadzieję, że było miło?

– Był to krok do przodu. – Rozejrzałem się po sali. – Widziałaś Armanda?

– Och! Panie Steve. – Drobna Hinduska wzięła mnie za rękę. – Kilkoro z nas próbowało skłonić go do zejścia na dół. Odmówił. Twierdzi, że prowadzi strajk głodowy do czasu, kiedy odzyska tron.

Skrzywiłem się. Armandowi się pogarszało. Stojąca w pobliżu Ivy popatrzyła na mnie znacząco.

– Panie Steve, powinien pan zaprosić mojego męża Rahula.

– Już ci to wyjaśniałem, Kalyani. Twój mąż nie jest jednym z moich aspektów.

– Ale Rahul jest bardzo pomocny. Jest fotografem, a skoro Armando ostatnio nie pomaga...

– Rozważę to – powiedziałem, co ją wyraźnie uspokoiło.

Kalyani była nowa i nie wiedziała jeszcze, jak to wszystko działa. Nie mogłem tworzyć nowych aspektów na zawołanie, a choć wiele z nich opowiadało o swoim życiu – rodzinie, przyjaciółkach i zainteresowaniach – nigdy tego nie widziałem. I dobrze. Pilnowanie czterdziestu siedmiu halucynacji jest dość trudne. Gdybym musiał sobie jeszcze wyobrażać ich powinowatych, mógłbym rzeczywiście oszaleć.

Tobias odchrząknął, próbując zwrócić uwagę wszystkich zgromadzonych, został jednak zagłuszony przez rozgadaną horde aspektów. Zebranie się razem było dla nich czymś nowym i za dobrze się bawili. Dlatego J.C. wyjął pistolet i wystrzelił raz w powietrze.

Natychmiast zapanowała cisza, którą po chwili zaczęły wypełniać skargi i narzekania aspektów. Wiele z nich przyciskało dłonie do uszu.

Tobias zrobił krok w bok, żeby uniknąć smużki pyłu osypującego się z sufitu.

Spiorunowałem J.C. wzrokiem.

– Masz oczywiście świadomość, geniuszu, że teraz za każdym razem, kiedy tu wejdziemy, będę musiał sobie wyobrażać dziurę w suficie?

J.C. wzruszył lekko ramionami i schował broń do kabury. Miał przynajmniej dość przyzwoitości, by robić wrażenie zażenowanego.

Tobias poklepał mnie po ramieniu.

– Zalepię otwór – obiecał, po czym odwrócił się do tłumu. – Skradziono zwłoki. Zostaliśmy zatrudnieni, żeby je odnaleźć.

Ivy kroczyła między aspektami, rozdając im kartki papieru.

– Szczegóły są opisane tutaj – mówił dalej Tobias. Choć wszyscy wiedzieli to samo, co ja, czasami lepiej było udawać, że dzielę się z nimi informacjami. – Ważne, byście zrozumieli, że stawką jest ludzkie życie. Być może życie wielu ludzi. Potrzebujemy planu, i to szybko. Zabierajcie się do roboty.

Ivy skończyła rozdawanie kartek i stanęła obok mnie. Podała mi ostatni plik papierów.

– Ja już znam szczegóły – stwierdziłem.

– Twoje są inne. To wszystko, co wiesz o konkurentach I3.

Przejrzałem plik i byłem zaskoczony, jak wiele informacji zawierał. W drodze powrotnej rozmyślałem o tym, czego dowiedziałem się od Yola. Nie przeczytałem jego raportu poza spojrzeniem na nazwy trzech firm, które jego zdaniem z największym prawdopodobieństwem mogły ukraść zwłoki. Cóż, informacje na temat każdej z nich najwyraźniej wciąż kryły się z tyłu mojej głowy. Z namysłem przerzuciłem kartki. Nie zajmowałem się firmami biotechnologicznymi od czasu, kiedy Ignacio... nas opuścił. Zakładałem, że wiedza tego rodzaju zniknęła razem z nim.

– Dzięki – powiedziałem do Ivy.

– Nie ma za co.

Moje aspekty rozeszły się po Białej Sali i każde zaczęło pracować nad problemem na swój własny sposób. Kalyani usiadła na podłodze przy ścianie i wyjęła jaskrawoczerwony zakreślacz. Dylan

spacerowała. Lua podchodził do najbliższej osoby i zaczynał rozmowę. Większość zapisywała swoje pomysły, wykorzystując ściany jako białe tablice. Niektórzy szkicowali, inni notowali swoje pomysły jeden po drugim, a jeszcze inni dużo kreślili.

Przejrzałem kartki od Ivy, żeby odświeżyć sobie pamięć, a później zagłębiłem się w materiał otrzymany od Yola. Zawierał raport koronera, ze zdjęciami zabitego mężczyzny, który rzeczywiście wyglądał na bardzo martwego. Raport wypełniła Liza we własnej osobie. Niestety istniała możliwość, że będę musiał ją odwiedzić.

Kiedy skończyłem czytać, w towarzystwie Tobiasa ruszyłem przez pokój, przyglądając się pracy każdego z aspektów. Niektórzy skupiali się na rozważaniu, czy Yol próbuje nami manipulować. Inni – jak Ivy – wykorzystywali wszystko, co wiedzieliśmy na temat Panosa, próbując dojść do miejsca ukrycia klucza. Jeszcze inni pracowali nad problemem wirusa.

Po jednym okrążeniu sali oparłem się o ścianę i podniosłem większy plik papierów, który dał mi Yol – zapis internetowych i mailowych kontaktów Panosa z ostatnich kilku miesięcy. Był gruby, ale tym razem nie musiałem świadomie skupiać się nad tym, co czytałem. Wystarczyło, żebym szybko przejrzał kartki, by zrzucić informacje do umysłu i dać je do zabawy aspektom.

I tak zajęło to ponad godzinę. Kiedy w końcu wstałem i się przeciągnąłem, większość białej przestrzeni sali wypełniały teorie, pomysły i – w przypadku Marindy – duże kwiatowe wzory oraz imponująco szczegółowy rysunek smoka. Splotłem ręce za plecami i znów okrążyłem salę, zachęcając tych, którzy się nudzili, pytając o ich zapiski i przerywając kilka kłótni.

Po drodze minąłem Audrey, która pisała swoje komentarze w powietrzu przed sobą, używając palca zamiast pióra.

Zatrzymałem się i uniosłem brew.

– Widzę, że czujesz się bardzo swobodnie.

Audrey wzruszyła ramionami. Sama mówiła o sobie, że jest „apetycznie zaokrąglona”, miała długie ciemne włosy i ładną twarz. Jak na ekspertkę od grafologii, miała też koszmarne charakter pisma.

– Na ścianie nie zostało zbyt dużo wolnego miejsca – odparła.

– Bez wątpienia.

Patrzyłem na jej unoszący się w powietrzu tekst. Po chwili w miejscu, w którym pisała, pojawiła się duża szklana tafla, przez co wyglądało, jakby Audrey od początku pisała na szkle. Poczulem ból głowy.

Audrey założyła ręce na piersi.

– To już nie jest takie fajne.

– Tak musi być, Audrey. Są zasady.

– Zasady, które wymyśliłeś.

– Zasady, których przestrzegamy wszyscy, dla naszego własnego dobra. – Zacząłem czytać jej zapiski, zmarszczyłem czoło. – Równania biochemiczne? Od kiedy się tym interesujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Pomyślałem, że ktoś powinien się trochę poduczyć z tego zakresu, a ja miałam czas, bo ty ostentacyjnie odmawiałeś wyobrażenia sobie zwierzątka dla mnie.

Oparłem palce na tafli szkła, wpatrując się w jej ściśnięte notatki. Próbowala dojść, jakiego sposobu użył Panos do stworzenia swojego wirusa. Jednak w jej diagramach były duże braki – luki, które wyglądały, jakby zostały dosłownie wyrwane z jej zapisków. To, co pozostało, ledwie wychodziło poza podstawy chemii.

– To się nie uda, Audrey. Tego już po prostu nie umiemy.

– Nie powinno się gdzieś tam kryć?

– Nie. Zniknęło.

– Ale...

– Zniknęło – powtórzyłem stanowczo.

– Jesteś naprawdę pokręcony.

– Jestem najzdrowszy psychicznie ze wszystkich tu zgromadzonych.

– Formalnie rzecz biorąc, jesteś również najbardziej szalony.

Zignorowałem tę uwagę i kucnąłem obok tafli szkła, czytając jej notatki na inne tematy.

– Szukałaś wzorca w tym, co Panos pisał w internecie?

– Myślałam, że w jego wypowiedziach na forach mogą być ukryte wiadomości – wyjaśniła.

Pokiwałem głową. Kiedy uczyłem się analizy pisma ręcznego – i w

ten sposób stworzyłem Audrey – poczytałem też nieco na temat kryptografii. To w pewnym sensie pokrewne dziedziny, a niektóre z moich lektur były poświęcone odkodowywaniu wiadomości poprzez zauważanie celowych zmian w charakterze pisma, np. litery *T* przekreślonej pod innym kątem, by przekazać ukrytą informację.

To znaczyło, że Audrey w niewielkim stopniu zna się na kryptografii. A w każdym razie lepiej niż wszyscy pozostali.

Postukałem w taflę szkła.

– To się może przydać.

– Mogłoby się bardziej przydać, gdybym... gdybyś ty naprawdę znał się na kryptografii. Masz może czas, żeby ściągnąć jeszcze kilka książek?

Wyprostowałem się.

– Chcesz po prostu częściej wyruszać na misje.

– Żartujesz? W czasie takich misji strzelają do ciebie.

– Jedynie od czasu do czasu.

– Wystarczająco często. Mimo że w gruncie rzeczy pogodziłam się ze świadomością, że jestem wytworem wyobraźni, nie chciałabym zobaczyć cię martwego. Jesteś dosłownie całym moim światem, Steve-O. – Zawahała się. – Choć, jeśli mam być szczerą, zawsze się zastanawiałam, co by się stało, gdybyś zażył LSD...

– Zobaczą, co uda mi się zrobić z kryptografią. Skup się na analizie jego wiadomości na forach. Skończ z tą parodią chemii.

Westchnęła, ale wyciągnęła rękę i zaczęła rękawem wymazywać równania. Odszedłem, wyjąłem komórkę i znalazłem kilka książek na temat kryptografii. Gdybym skupił się na tej tematyce, czy stworzyłbym kolejny aspekt? A może Audrey rzeczywiście zyskałaby tę umiejętność, jak sugerowała? Chciałem powiedzieć, że to pierwsze jest bardziej prawdopodobne, ale Audrey – najbardziej samoświadomej z moich aspektów – uchodziły na sucho rzeczy, których zupełnie się nie spodziewałem.

Tobias dołączył do mnie, kiedy przeglądałem podręczniki dostępne w wersji elektronicznej.

– Co możesz powiedzieć? – spytałem go.

– Wszyscy zgadzają się, że technologia może działać, a zagrożenie

jest realne, choć Mi Won chce jeszcze pomyśleć na temat skutków wprowadzenia obcego DNA do mięśni ciała. J.C. sugeruje, żebyśmy potwierdzili w niezależnych źródłach, że I3 rzeczywiście zostało poddane kwarantannie i federalni naprawdę o wszystkim wiedzą. To pozwoli nam się zorientować, na ile pan Chay jest z nami szczery.

– Dobry pomysł. Jak się nazywa ten nasz kontakt w Bezpieczeństwie Krajowym?

– Elsie. Znalazłeś jej kota.

Ach tak, jej kot. Nie wszystkie moje misje wiążą się z terrorystami i losem świata. Niektóre są o wiele prostsze i bardziej przyziemne. Jak na przykład zlokalizowanie teleportującego się kota.

– Zadzwoń do niej – rzuciłem z roztargnieniem. – Zobacz, czy potwierdzi to, co Yol powiedział nam na temat swoich kontaktów z władzami.

Tobias zatrzymał się gwałtownie.

– Zadzwoń do niej?

Podniosłem wzrok znad ekranu i zarumieniłem się.

– Racja. Przepraszam. Przed chwilą rozmawiałem z Audrey.

Zwykle wytrącała mnie z równowagi.

– Ach, nasza najdroższa Audrey. Naprawdę sędzę, że musi być jakimś czynnikiem kompensującym dla twojej psychiki, sposobem upuszczenia nadmiaru pary, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Geniuszowi często towarzyszą dziwactwa. Sam Nikola Tesla darzył nieuzasadnioną i zbijającą z tropu niechęcią perły. Jeśli ktoś miał je na sobie, kiedy go odwiedzał, musiał natychmiast wyjść, mówi się też...

Mówił dalej. Rozluźniłem się, słuchając dźwięku jego głosu, i wybrałem książkę poświęconą zaawansowanej kryptografii. Tobias w końcu powrócił do raportu na temat wniosków aspektów.

– I tak dochodzimy do kwestii dalszych działań. Sugestia Owena wydaje się najsensowniejsza, a Ivy nie uda się dokończyć analizy psychologicznej, jeśli nie dowiemy się więcej o obiekcie. Sugeruję zacząć od odwiedzin u rodziny Panosa. Z kolei Ngozi będzie potrzebować więcej informacji od koronera, tam możemy udać się później.

– Odwróć kolejność. Jest... trzecia nad ranem?

– Szósta.

– Już? – spytałem zaskoczony. Nie czułem się aż tak zmęczony. Ożywiało mnie nowe zadanie, zagadka do rozwiązania. – Tak czy inaczej, będę się czuł swobodniej, odwiedzając tak wcześnie biuro koronera niż budząc rodzinę Panosa. Liza zaczyna pracę o... której właściwie? Siódmej?

– Ósmej.

Miałem więc czas do zabicia.

– Co mamy na korporacje, które mogły za tym stać?

– J.C. ma pewne przemyślenia. Chce z tobą porozmawiać.

Opierał się o ścianę niedaleko miejsca, w którym pracowała Ivy – gadał i ogólnie rzecz, biorąc ją rozpraszał. Chwyciłem go za ramię i odciągnąłem na bok.

– Tobias mówi, że coś dla mnie masz.

– Nasza zabójczyni. Zen Rigby.

– Tak, i co z tego?

J.C. nie mógł mieć żadnych nowych informacji na jej temat – wiedział jedynie to, co wiedziałem ja, a ten zasób przejrzelśmy bardzo starannie.

– Tak się zastanawiałem, chudy. Dlaczego się pokazała, kiedy byłeś na randce?

– Bo jej pracodawcy wiedzieli, że Yol najpewniej zwróci się do mnie.

– Jasne, ale dlaczego zaczęła obserwację tak wcześnie? Posłuchaj, oni mają trupa, prawda?

– Tak zakładamy.

– Dlatego, jeśli miałyby cię pilnować, to po to, by cię śledzić i zobaczyć, czy uda ci się znaleźć klucz. Nie było powodu cię obserwować, zanim pojawił się Yol. W ten sposób się zdradzili, rozumiesz? Powinni poczekać do chwili, gdy zostaniesz wezwany do I3.

Rozważałem to przez jakąś minutę. Lubiliśmy sobie robić żarty z J.C., ale tak naprawdę był jednym z moich najbardziej praktycznych aspektów. Wiele z nich spędzało całe dni na marzeniach i myśleniu. J.C. utrzymywał mnie przy życiu.

– Wydaje się to dziwne – zgodziłem się. – Ale co to znaczy?

– To znaczy, że nie znamy wszystkich faktów. Zen mogła na przykład próbować założyć nam pluskwę z nadzieją, że pójdziemy do I3 i wyjawimy informacje.

Gwałtownie podniosłem na niego wzrok.

– Wymiana garderoby?

– To dobry początek. Ale jest mnóstwo innych powodów, dlaczego mogła być tam tak wcześnie. Może została zatrudniona przez trzecią firmę, która wie, że w I3 coś się dzieje, ale nie do końca ma pojęcie co. A może wcale nie jest zamieszana w tę sprawę.

– Nie wierzysz w to.

– Nie wierzę – zgodził się. – Ale bądźmy ostrożni, dobra? Zen jest niebezpieczna. W czasie tajnych misji parę razy się na nią natknąłem. Pozostawia za sobą trupy... czasem agentów, a czasem niewinnych przechodniów.

Pokiwałem głową.

– Lepiej, żebyś nosił broń – stwierdził J.C. – Wiesz oczywiście, że jeśli dojdzie do konfrontacji, ja nie będę mógł jej zastrzelić.

– Ze względu na starą znajomość? – spytałem, dając mu szansę wyjścia z tego z twarzą. Nie lubiłem zmuszać go do stawiania czoła temu, czym był – wolałem raczej dawać mu powody, dlaczego, mimo że był moim ochroniarzem, tak naprawdę nie mógł wejść w interakcję z nikim, kogo spotykaliśmy.

Pomijając ten jeden raz, kiedy właśnie to zrobił.

– Nie – mruknął J.C. – Nie mogę jej zastrzelić, bo tak naprawdę wcale mnie tu nie ma.

Wzdrygnąłem się. Czy on właśnie...?

– J.C. To dla ciebie bardzo duży krok.

– Nie, ja po prostu już wszystko rozgryzłem. Ten Arnaud to prawdziwy bystrzak.

– Arnaud?

Popatrzyłem przez salę w stronę szczupłego, łysiejącego Francuza, który pojawił się wśród nas jako ostatni.

– Jasne. – J.C. objął mnie ramieniem. – Widzisz, on ma tę teorię. Że nie jesteśmy wytworami wyobraźni czy jak tam masz ochotę nas nazywać w tym momencie. Powiedział... cóż, to było takie nerdowskie

gadanie, ale oznacza, że z całą pewnością jestem prawdziwy. Po prostu nie ma mnie tutaj.

– Naprawdę? – Nie byłem pewien, co o tym myśleć.

– Tak. Powinieneś usłyszeć, co on ma do powiedzenia. Ej, chromowana czacho!

Arnaud wskazał na siebie, a kiedy J.C. zamachał, pośpieszył do nas. J.C. objął drobnego Francuza ramieniem, jakby byli najlepszymi kumplami – gest ten sprawił, że Arnaud poczuł się niezręcznie. Trochę przypominało to kota próbującego zaprzyjaźnić się z myszą.

– Niech on się o tym dowie – stwierdził J.C.

– O tym? O jakim tym mówisz?

Arnaud mówił z gładkim francuskim akcentem, jak masło topiące się na podpieczonym kurczaku.

– No wiesz. Te rzeczy, które mówiłeś o nas.

Arnaud poprawił okulary.

– Hm, no wiecie, w fizyce kwantowej mówimy o prawdopodobieństwie. Zgodnie z jedną z interpretacji wymiary są nieskończone i wszystko, co mogło się wydarzyć, już się wydarzyło. Jeśli to prawda, można z tego wywnioskować, że każdy z nas, aspektów, istniał jako realna osoba w jakimś wymiarze albo dziedzinie prawdopodobieństwa. Interesująca myśl, nie sądzisz, Étienne?

– Rzeczywiście interesująca. To...

– Czyli jestem prawdziwy – wtrącił J.C. – Bystrzak właśnie tak powiedział.

– Nie, nie. Ja jedynie zasugerowałem, że jest prawdopodobne, iż gdzieś, w innym czasie i przestrzeni, rzeczywiście istnieje osoba, która pasuje...

J.C. odepchnął go na bok i objął mnie ramieniem, odwracając mnie od Arnauda.

– Ja już wszystko rozgryzłem, chudy. Widzisz, my wszyscy pochodzimy z tego innego miejsca. A kiedy potrzebujesz pomocy, wyciągasz rękę i nas ściągasz. Jesteś jakimś czarodziejem fizyki.

– Że... czarodziejem fizyki?

– Tak. A ja nie jestem wcale Navy SEALEM. Muszę się z tym

pogodzić. – Przerwał na chwilę. – Jestem Międzywymiarowym Strażnikiem Czasu.

Popatrzyłem na niego i uśmiechnąłem się szeroko.

Ale on był śmiertelnie poważny.

– J.C., to równie absurdalne jak teoria duchów Owena.

– Wcale nie – upierał się J.C. – Wróć pamięcią do tej misji w Jerozolimie. Co się wydarzyło pod koniec?

Zawahałem się. Byłem otoczony, ręce mi drżały, trzymałem pistolet, którym ledwie umiałem się posługiwać. W tej chwili J.C. chwycił mnie za rękę i nią pokierował, dzięki czemu udało mi się zastrzelić wszystkich przeciwników.

– Szybko się uczyć – odparłem. – Fizyka, matematyka, języki... muszę poświęcić jedynie trochę czasu na naukę i mogę stać się ekspertem... poprzez aspekt. Może strzelanie niczym się nie różni. Poczytałem na ten temat, kilka razy poszedłem na strzelnicę i stałem się ekspertem. Ale ta umiejętność jest inna, ty nie możesz mi pomóc, mówiąc, więc nie mogłem jej wykorzystywać, dopóki nie wyobraziłem sobie, że mną kierujesz. Nie różni się to tak bardzo od tego, co robi Kalyani, kiedy prowadzi mnie przez rozmowę w innym języku.

– Naciągasz fakty. Dlaczego to nie działa w taki sposób przy każdej innej umiejętności, jaką zdobyłeś?

Nie wiedziałem.

J.C. się nie poddawał.

– Jestem Strażnikiem Czasu.

– Gdyby to była prawda... a nie jest... nie byłbyś zły na mnie, że wyciągnąłem cię z twojego drugiego życia i uwięziłem tu twojego kwantowego ducha?

– Nie. Na to się pisałem. Takie jest zadanie Strażnika Czasu. Musimy chronić wszechświat, a w tej chwili oznacza to, że ze wszystkich sił chronię ciebie.

– Och, na miłość...

– Ej – przerwał mi J.C. – czy my nie mamy mało czasu? Nie powinieneś się ruszać?

– Do ranka niewiele możemy zrobić. – Pozwoliłem jednak na zmianę tematu i przywołałem gestem Tobiasa. – Niech reszta pracuje.

Ja zamierzam wziąć prysznic i trochę poczytać. Później wyruszamy w drogę.

– Da się zrobić – odparł Tobias. – A zespół pracujący w terenie to?

– Standard. Ty, Ivy, J.C. i... – Rozejrzałem się po sali. – I zobaczymy kto jeszcze.

Tobias popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

– Niech zespół czeka na mnie w garażu, gotowy do wyruszenia, o siódmej trzydzieści.

9

Przełączyłem książkę o kryptografii na syntezytor mowy, podkreśliłem głośność i przyśpieszyłem pięciokrotnie. Prysznic, który później nastąpił, był długi i odświeżający. Nie myślałem o problemie – po prostu się uczyłem.

Kiedy w szlafroku wszedłem do sypialni, odkryłem, że Wilson zostawił dla mnie śniadanie, w tym lemoniadę w wysokiej szklance. Wysłałem mu SMS-a z prośbą, żeby kazał szoferowi przygotować na siódmą trzydzieści SUV-a, który rzucał się w oczy znacznie mniej niż limuzyna.

Przy śniadaniu skończyłem książkę, a później zadzwoniłem do Elsie, mojej wtyczki w Bezpieczeństwie Krajowym. Pechowo wyrwałem ją ze snu, ale i tak była gotowa sprawdzić dla mnie tę sprawę. Następnie połączyłem się z biurem koronera – odpowiedziała poczta głosowa, ale zostawiłem wiadomość dla Lizy – a kiedy ją kończyłem, przyszedł SMS od Elsie. Biuro rzeczywiście poddano kwarantannie, a CDC prowadziło śledztwo, w którym brało udział również FBI.

Niedługo potem wkroczyłem do garażu, ubrany, nieco odświeżony i całkiem punktualny. Na miejscu ujrzałem Wilsona we własnej osobie – kwadratowa twarz, dwuogniskowe okulary i początki siwizny. Strząsnął jakiś pyłek z czapki szofera, po czym założył ją na głowę.

– Chwileczkę. Czy to nie Thomas powinien mieć dziś ranną zmianę?

– Niestety – odparł Wilson – dziś nie przyjdzie do pracy. Ani w ogóle, jeśli wierzyć wiadomości, którą przysłał rano.

– O nie. Co się stało?

– Nie przypomina pan sobie, jak wyjaśnił mu pan, że jest pan satanistą, panie Leeds?

– W dwóch procentach. A Xavier jest bardzo postępowy jak na wyznawcę szatana. Nigdy nie zmusił mnie do złożenia w ofierze niczego poza wyimaginowanymi kurczakami.

– No tak...

Westchnąłem. Straciłem kolejnego służącego.

– Możemy wziąć kierowcę na jeden dzień. Wczorajszy wieczór się przeciągnął. Nie musisz tak wcześnie zaczynać pracy.

– Nie przeszkadza mi to. Ktoś musi na pana uważać, panie Leeds. Czy pan się w ogóle położył?

– Yyy...

– Rozumiem. A czy przypadkiem udało się panu cokolwiek zjeść podczas wczorajszej kolacji, zanim trafił pan na łamy brukowców?

– Historia już poszła w świat?

– Opisana w „Magu” i dziś rano wysłana na Squawkera, razem z demaskatorskim artykułem autorstwa samej panny Bianki. Nie zjadł pan kolacji ani wcześniej lunchu, ponieważ upierał się pan, że nie chce stracić apetytu na randce.

Chodziło raczej o to, że nie chciałem zwymiotować z nerwów.

– Nic dziwnego, że śniadanie tak mi smakowało.

Sięgnąłem do klamki SUV-a.

Wilson położył mi dłoń na ramieniu.

– Nie może się pan tak bardzo skupiać na ratowaniu świata, panie Leeds, że zapomina pan zatroszczyć się o siebie.

Położył mi dłoń na ramieniu, po czym usiadł za kierownicą.

Moja drużyna siedziała wewnątrz, wszyscy poza Audrey, która wpadła do garażu w swetrze i szalu. Po tym, jak przeczytałem książkę, nie pojawił się żaden nowy aspekt – wiedzę zgodnie z własnymi oczekiwaniami zyskała Audrey. Ucieszyłem się – każdy nowy aspekt wywierał na mnie nacisk i zdecydowanie bardziej mi odpowiadało, gdy to stare uczyły się nowych rzeczy. Choć uczestnictwo Audrey w tej

misji mogło wywołać pewne szczególne problemy.

* * *

– Audrey. – Otworzyłem dla niej drzwi. – Już prawie czerwiec. Po co ci szal?

– Cóż – uśmiechnęła się szeroko – jaki sens w byciu wyobrażonym, jeśli nie można ignorować pogody?

Melodramatycznym gestem zarzuciła szal na ramię i wpakowała się do samochodu, po drodze sprzedała kuksańca J.C.

– Jeśli cię zastrzelę, kobieto – warknął – będzie bolało. Moje pociski wpływają na materię międzywymiarową.

– Moje skręcają za róg. I sprawiają, że kwiaty lepiej rosną.

Usadowiła się między Ivy i Thomasem i nie zapięła pasów.

Zapowiadała się interesująca misja.

Wyjechaliśmy na drogę. Był słoneczny dzień i na ulicach panował poranny tłok. Przez jakiś czas wyglądałem przez okno zatopiony w myślach, aż zauważyłem, że J.C. grzebie w torebce Ivy.

– Ej... – powiedziałem.

– Nie odwracaj się.

J.C. odepchnął rękę Ivy, która próbowała odzyskać torebkę. Wyciągnął jej puderniczkę z lusterkiem i uniósł ją, żeby spojrzeć ponad ramieniem przez tylną szybę, nie pokazując jednocześnie swojego profilu.

– Tak – mruknął – ktoś nas najprawdopodobniej śledzi.

– Najprawdopodobniej? – powtórzyła Ivy.

– Nie mogę być pewien. – J.C. poruszył lusterkiem. – Samochód nie ma przedniej rejestracji.

– Myślisz, że to ona? – spytałem. – Zabójczyni?

– Jak już mówiłem, nie mogę być pewien.

– Może istnieje sposób. – Audrey dotknęła głowy i sięgnęła do nowej wiedzy w jej wnętrzu. – Chcesz spróbować hakowania, Steve-O?

– Hakowania? – spytała Ivy. – To znaczy komputerów?

– Nie, heklowania koronek. – Audrey przewróciła oczami. –

Poczekaj, napiszę ci instrukcję.

Przyglądałem się z zainteresowaniem, kiedy notowała listę poleceń, a następnie podała ją mnie. Papier był wyobrażony – dla mnie to jednak bez różnicy. Wziąłem go i przeczytałem instrukcje, po czym spojrzałem na Audrey.

- Zaufaj mi – rzuciła.
- Przeczytałem ci tylko jedną książkę.
- Wystarczyło.

Patrzyłem na nią jeszcze przez chwilę, po czym wzruszyłem ramionami i wyjąłem komórkę. Zawsze warto spróbować. Kierując się jej instrukcjami, zadzwoniłem do F.I.G., gdzie poprzedniego wieczoru zjadłem – cóż, zamówiłem – kolację. Całe szczęście obsługa podająca śniadania była już na miejscu. W słuchawce rozległ się nieznany mi głos.

– Halo?

Postąpiłem zgodnie z instrukcjami Audrey.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Moja żona była wczoraj u państwa na kolacji, ale mieliśmy w domu sytuację awaryjną i musiała wyjść, zanim skończyła jeść. Właściwie śpieszyła się tak bardzo, że zapłaciła firmową kartą kredytową zamiast prywatną. Zastanawiałem się, czy mógłbym podmienić karty.

– W porządku – powiedziała kobieta po drugiej stronie. – Proszę podać nazwisko.

– Carol Westminster.

Podaliśmy fałszywe nazwisko, które wykorzystała Zen do zrobienia rezerwacji.

Minęło kilka minut. Miałem nadzieję, że rachunki z poprzedniego wieczoru nadal są dostępne. I rzeczywiście, po jakimś czasie kobieta znów się odezwała.

– W porządku, jaka będzie nowa karta?

– A której użyła?

– To karta KeyTrust. – W głosie kobiety zabrzmiała podejrzliwość. – Numer kończy się na 3409.

– Och! Czyli to jednak ta właściwa. I tak bardzo dziękuję.

– Dzięki.

Kobieta wydawała się zirytowana, kiedy odkładała słuchawkę. Zapisalem numer w kieszonkowym notatniku.

- I ty to nazywasz hakowaniem? – powiedział J.C. – Jaki w tym sens?
- Zaczekaj, a zobaczysz.

Juz wybieralem numer bankowej infolinii. Wciaz sluchalem muzyki na czekanie, kiedy wjechalismy na autostrade biegnaca na poludnie. J.C. caly czas trzymal lusterko Ivy i mial oko na nasz rzekomy ogon. Skinal glowa. Wjechali za nami na autostrade.

Kiedy w koncu przebilam sie przez kolejne pozycje menu, muzyke na czekanie i ostrzezenia, ze rozmowa moze byc nagrywana, polaczylem sie z miło brzmiącym mężczyzna mówiącym z akcentem z Poludnia.

- W czym moge panu pomoc? – spytal.
- Musze zglosic kradziez karty kredytowej. Wczoraj wieczorem z naszego domu skradziono torebke mojej zony z karta.
- W porzadku. Nazwisko wlasciciela karty?
- Carol Westminster.
- A numer karty?
- Nie mam go. – Probowalem nadac swojemu glosowi poirytowane brzmienie. – Przegapil pan wzmianke, ze zostala skradziona?
- Wystarczy, ze sprawdzi pan w internecie...
- Probowalem! Widze tylko ostatnie cztery cyfry.
- Musi pan...
- Ktos moze w tej wlasnie chwili wydawac moje pieniadze – wtracilem. – Czy mamy na to czas?
- Jest pan ubezpieczony od nieuprawnionego uzycia karty.
- Przepraszam, przepraszam, po prostu sie martwie. To nie panska wina. Po prostu nie wiem, co robic. Prose, moze mi pan pomoc, prawda?

Meczyzna na drugim koncu odetchnal, jakby zmiana tonu mojego glosu sugerowala, ze wlasnie uniknal potencjalnie frustrujacego incydentu.

- W takim razie prose mi podac te ostatnie cztery cyfry. – Wydawal sie o wiele bardziej rozluzniony.
- Komputer mowi, ze to 3409.

– Dobrze, zobaczmy... Zna pan może numer PIN, panie Westminster?

– Yyy...

– A numer ubezpieczenia społecznego powiązany z kartą?

– 805-31-3719 – powiedziałem z dużą pewnością siebie.

Chwila ciszy.

– Nie pasuje do naszych danych.

– Ale to mój numer ubezpieczenia społecznego.

– Numer, który mam, pewnie należy do pańskiej żony, proszę pana.

– A jakie to ma znaczenie?

– Nie mogę pozwolić na wprowadzenie zmian, dopóki nie potwierdzą pańskiej tożsamości.

Mówił obojętnym, spokojnym głosem kogoś przyzwyczajonego do prowadzenia całymi dniami rozmów telefonicznych z ludźmi zasługującymi na uduszenie.

– Jest pan pewien? – spytałem.

– Tak. Przykro mi.

– Cóż, pewnie mógłby pan do niej zadzwonić. Wyszła do pracy, a ja nie mam pod ręką jej numeru ubezpieczenia.

– To mogę zrobić. Czy numer, który mamy w aktach, jest aktualny?

– A który państwo macie? W torebce była też jej komórka.

– 555-626-9013.

– A niech to. – Szybko zanotowałem numer. – To numer skradzionego telefonu. Kiedy dotrze do pracy, będę musiał do niej zadzwonić i poprosić, żeby skontaktowała się z państwem.

– Dobrze. Czy mogę jeszcze jakoś panu pomóc?

– Nie. Dziękuję.

Rozłączyłem się, po czym przekręciłem notatnik, żeby pokazać numer pozostałym.

– Numer telefonu zabójczyni.

– Świetnie – mruknął J.C. – Teraz możesz się z nią umówić.

Znów odwróciłem notes i spojrzałem na numer.

– Wiecie, jak się zastanowić, to szokujące, jak łatwo mi poszło.

– Pierwsza reguła deszyfrowania – stwierdziła Audrey. – Jeśli nie musisz łamać kodu, nie rób tego. Ludzie są zazwyczaj zabezpieczeni

o wiele słabiej niż strategie szyfrowania, które stosują.

– I co z tym zrobimy? – spytałem.

– Najpierw musisz ściągnąć na komórkę taką małą aplikację. J.C., jak myślisz, który z trzech konkurentów z największym prawdopodobieństwem zatrudnił tę kobietę?

– Exeltec – odparł J.C. bez wahania. – Z całej trójki są najbardziej zdesperowani. Lata pompowania funduszy bez widocznych postępów, czują na plecach oddech inwestorów, mają też na swoim koncie posunięcia moralnie wątpliwe i szpiegostwo przemysłowe. W ich sprawie toczyły się trzy śledztwa, ale niczego im nie udowodniono.

– W tym pakiecie są numery telefonów ich dyrektora zarządzającego – powiedziała Audrey.

Uśmiechnąłem się i zająłem komórką. Wkrótce ustawiłem ją tak, by wysyłała na telefon Zen fałszywą identyfikację numeru dzwoniącego, wskazującą, że jestem Nathanem Haightem, właścicielem Exeltecu.

– Niech Wilson będzie gotów zatrąbić – mówiła dalej.

Kazałem mu być w pogotowiu i wybrałem numer.

Jeden sygnał. Dwa.

Ktoś odebrał.

– Halo. – Głos kobiety. – O co chodzi? Jestem zajęta.

Machnąłem na Wilsona. Zatrąbił głośno.

Usłyszałem to również przez telefon. Zen niemal na pewno nas śledziła. Nacisnąłem przycisk na aplikacji, który naśladował zakłócenia na linii, po czym powiedziałem coś, co miało zostać zniekształcone tak bardzo, żeby niewiele było słychać.

Zen zakłęła, po czym powiedziała:

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo denerwują się inni współnicy. Ciągłe zawracanie mi głowy niczego nie przyspieszy. Zadzwońię z raportem, kiedy czegoś się dowiem. Do tego czasu proszę dać mi spokój.

Rozłączyła się.

– To było najdziwniejsze hakowanie, jakie widziałem – stwierdził J.C.

– Bo nie masz pojęcia, czym naprawdę jest hakowanie. – W głosie Audrey brzmiało samozadowolenie. – Wyobrażasz sobie geeków

siedzących przed komputerami. Ale w rzeczywistości większość ludzi zajmujących się obecnie „hakowaniem”... a w każdym razie tak to określają media... rozmawia przez telefon i próbuje wydobyć informacje.

– Czyli wiemy, że ona nas śledzi – powiedziała Ivy – i znamy nazwę konkurencyjnej firmy. Co podpowiada nam, że to oni mają ciało.

– Nie z całkowitą pewnością, ale to bardzo prawdopodobne. – Z namysłem postukałem w telefon. Wilson zjechał z autostrady w stronę śródmieścia. – Jakież rady?

– Musimy uważać, żeby nie wpakować się w sytuację, która nas przerośnie – powiedziała Ivy. – Jeśli to w ogóle możliwe.

– Zgadzam się – stwierdził Tobias. – Stephenie, jeśli znajdziemy dowody, że Exeltec ukradł zwłoki, CDC może uznać, że nalot na ich biura ma sens.

– Moglibyśmy sami zrobić nalot na ich biura – wtrącił J.C. – Wyciąć pośrednika.

– Wolałbym nie robić niczego, co jest otwarcie nielegalne – odparł Tobias.

– Nie martw się. Jako Międzywymiarowy Strażnik Czasu w sytuacjach kryzysowych, zgodnie z paragrafem 876, jestem upoważniony do ignorowania miejscowych przepisów prawa. Posłuchaj, chudy, i tak w końcu będziemy musieli przeniknąć do Exeltecu. Czuję to. Nawet jeśli nie trzymają zwłok w swoim miejscowym biurze, w środku na pewno jest jakiś ślad, który do nich prowadzi.

– Nie wiem, czy moje zdanie się liczy – dodała Audrey – ale zgadzam się z J.C. Włamanie brzmi jak dobra zabawa.

Usiadłem wygodnie i zamyśliłem się.

– Udamy się do koronera – powiedziałem w końcu, na co Tobias i Ivy skinęli głowami. – Wolałbym raczej znaleźć dowody obciążające Exeltec i zorganizować oficjalny nalot. – W mojej głowie zaczął się pojawiać zarys planu. – A poza tym – dodałem – włamanie nie jest jedynym sposobem, by dowiedzieć się, co wie Exeltec...

10

Samochód toczył się ulicą budzącego się miasta, słońce wzniosło się w pełni nad horyzont, a latarnie gasły jak słudzy chylący głowy przed królem. Miejska kostnica znajdowała się w pobliżu szpitala, w rozproszonym kompleksie biurowym, w którym spokojnie pomieściłyby się ze trzy albo cztery obiecujące internetowe start-upy. Mijaliśmy starannie przycięte żywopłoty i drzewka wciąż owinięte ubiegłorocznymi bożonarodzeniowymi lampkami, uśpionymi do czasu ponownego nadejścia sezonu.

– Dobra – powiedział do mnie J.C. – Jesteś gotów?

– Gotów?

– Śledzi nas zabójczyni, chudy. To, co czujesz między łopatkami, to świadomość, że ktoś ma cię na celowniku. I w każdej chwili może pociągnąć za spust.

– Nie bądź śmieszny – sprzeciwiła się Ivy. – Jak długo ona sądzi, że prowadzimy ją do ważnych informacji, nie robi nam krzywdy.

– Pewna jesteś? – spytał J.C. – Bo ja nie. W każdej chwili jej przełożeni mogą uznać, że twoja praca dla Yola to coś bardzo, ale to bardzo złego. Mogą podjąć decyzję o usunięciu konkurencji i podjęciu próby samodzielnego odnalezienia klucza.

Ton, jakim to powiedział, chłodny i bezpośredni, sprawił, że zacząłem się wiercić.

– Po prostu nie lubisz być śledzony – stwierdziła Ivy.

– Masz cholerną rację.

– Nie przeklinaj.

– Posłuchaj – stwierdził J.C. – Zen ma informacje, które naprawdę chcielibyśmy poznać. Może się okazać, że jeśli ją złapiemy, zdobędziemy niezbędne dowody. Wiemy, gdzie ona jest, i to daje nam chwilową przewagę. Jak myślisz, czy uda ci się przeprowadzić cichą ewakuację?

– Nie za bardzo – odparłem.

– I tak warto spróbować. – J.C. pokazał palcem. – Widzisz ten zakręt przed nami, przy wjeździe na parking? Żywopłot ukryje nas przed

jadącym za nami samochodem. Musisz tam wyskoczyć z auta... nie martw się, pomogę ci... a Jeeves niech zaparkuje przed budynkiem tuż obok żywopłotów. W ten sposób zdobędziemy przewagę nad Zen i odwrócimy pościg.

– To lekkomyślne – ostrzegła Ivy.

Owszem, ale kiedy zbliżyliśmy się do zakrętu, podjąłem decyzję.

– Zróbmy to. Wilsonie, wysiadam z samochodu za najbliższym zakrętem. Jedź dalej, jakby nic się nie stało, nie zwalniaj bardziej niż normalnie. Zaparkuj przed kostnicą i zaczekaj.

Wilson poprawił lusterko wsteczne, żeby spojrzeć mi w oczy. Nic nie powiedział, ale widziałem, że się przejmuje.

Zmiana ustawienia lusterka sprawiła, że mogłem się przyjrzeć jadącemu za nami ciemnemu sedanowi. Wymacałem pod pachą pistolet, który kazał mi zabrać J.C. Nie lubiłem takich misji. Wolałbym raczej spędzić dziesięć godzin w jednym pomieszczeniu, próbując rozwiązać zagadkę, albo dostać się do sejfu bez zamka. Dlaczego ostatnio ciągle pojawiała się broń palna?

Przesunąłem się do bocznych drzwi, pochyliłem i złapałem za klamkę. J.C. pojawił się za mną i położył mi dłoń na ramieniu.

– Pięć, cztery, trzy... – odliczał.

Odetchnąłem głęboko.

– Dwa... Jeden!

Uchyliłem drzwi w chwili, gdy Wilson wjechał za żywopłot. J.C. naparł na moje plecy, jakimś cudem popychając mnie w taki sposób, że kiedy opuściłem samochód, przetoczyłem się po ziemi. I tak bolało. Siła dośrodkowa sprawiła, że drzwi zatrzasnęły się za mną, a ja zatrzymałem się i przykucnąłem obok żywopłotu, gdzie czekałem do chwili, aż usłyszałem, że jadące za nami auto zaczyna skręcać.

Dokładnie w chwili, gdy samochód zaczął mijać żywopłot, prześlizgnąłem się na drugą stronę. To znaczyło, że od Zen dzieliła mnie ściana gęstego listowia, która biegła wzdłuż całego parkingu.

Truchtałem z pochyloną głową wzdłuż żywopłotu, dotrzymując kroku jadącej Zen. Minęła parkującego Wilsona i, nie chcąc wzbudzać podejrzeń, ruszyła dalej w stronę innej części parkingu. Przez pojedyncze otwory w listowiu widziałem czarne auto – ciemna

sylwetka kierowcy, ale poza tym nie dostrzegłem nikogo. Samochód zatrzymał się na miejscu parkingowym niedaleko końca żywopłotu.

Przede mną liście zaszeleściły i na drugą stronę prześlizgnął się J.C. z pistoletem w dłoni. Dołączył do mnie.

– Niezła robota – szepnął. – Jeszcze zrobimy z ciebie Strażnika.

– To było twoje popchnięcie. Sprawilo, że się przetoczyłem we właściwy sposób.

– Powiedziałem, że ci pomogę.

Nie odpowiedziałem, bo byłem zbyt zdenerwowany, żeby dalej prowadzić rozmowę. Pojawiło się coś nowego, rozwinięcie mojej wcześniejszej... struktury. Co jeszcze mógłbym nauczyć się robić, gdyby jeden z moich aspektów kierował moimi palcami lub krokami?

Wyjrzałem przez żywopłot i wyciągnąłem pistolet. J.C. gorączkowym gestem kazał mi go schować przed sobą, żeby ludzie w samochodach przejeżdżających ulicą po mojej prawej go nie zobaczyli. Później wskazał głową na otwór w żywopłocie.

Odetchnąłem głęboko, przecisnąłem się przez lukę i przebyłem krótką odległość dzielącą mnie od samochodu Zen. J.C. mnie osłaniał. Przykucnąłem obok auta.

– Gotów? – spytał J.C.

Pokiwałem głową.

– Palec na spuście, chudy. To się dzieje naprawdę.

Znów pokiwałem głową. Okno po stronie pasażera, tuż nad moją głową, było otwarte. Czułem, że pocą mi się ręce, ale i tak poderwałem się na równe nogi i wycelowałem przez otwarte okno do kierowcy.

To nie była zabójczyni.

11

Kierowcą był ciemnowłosy dzieciak, może osiemnastoletni, w bluzie z kapturem. Krzyknął i wypuścił z rąk lornetkę, przez którą patrzył w stronę mojego SUV-a, a kiedy zobaczył mój pistolet, jego twarz pobladła.

To z całą pewnością nie była Zen Rigby.

– Do samochodu, chudy. – J.C. rozglądał się po parkingu. – Tylne siedzenie, żeby nie mógł cię złapać. Powiedz mu, żeby siedział cicho. Nie wzbudzaj podejrzeń.

– Ręce tak, żebym je widział – poleciłem dzieciakowi. Miałem tylko nadzieję, że nie widzi drżenia mojego pistoletu. – I ani słowa.

Otworzyłem tylne drzwi i wślizgnąłem się do środka, ale wciąż do niego celowałem.

Dzieciak zachował milczenie, słyszałem tylko jego ciche łkanie w głębi gardła. Był albo przerażony, albo doskonale grał.

– Gdzie Zen? – spytałem, unosząc pistolet do głowy chłopaka.

– Kto?

– Żadnych gierek. Gdzie ona jest?

– Ja nie... Nic nie wiem... – Dzieciak rzeczywiście się rozplakał.

– A niech to diabli. – J.C. stał przy przedniej szybie. – Myślisz, że on udaje?

– Nie mam pojęcia.

– Powinienem ściągnąć Ivy.

– Nie. – Nie chciałem zostać sam.

Przyjrzałem się zapłakanemu dzieciakowi w lusterku wstecznym. Śródziemnomorski odcień cery... Ten sam nos...

– Niech pan mnie nie zabija – szepnął chłopak. – Ja tylko chciałem się dowiedzieć, co z nim zrobiliście.

– Jesteś bratem Panosa – domyśliłem się.

Dzieciak skinął głową, nie przerywając płaczu.

– A niech to piekło pochłonie – zaklął J.C. – Nic dziwnego, że tak łatwo było zauważyć ogon. Śledziło nas dwoje ludzi, amator i zawodowiec. Jestem idiotą.

Zrobiło mi się zimno. Kiedy rozmawiałem z Zen, słyszałem przez telefon trąbienie Wilsona, więc była w pobliżu, a jednak jej nie zauważyliśmy. Zen przez cały czas była dla nas niewidzialna.

Kiepsko.

– Jak masz na imię? – spytałem chłopaka.

– Dion.

– Dobrze, Dionie, chowam broń. Jeśli jesteś tym, za kogo się

podajesz, to nie musisz się bać. Będziesz musiał pójść ze mną, a jeśli zaczniesz biec, krzyczeć albo coś w tym rodzaju... cóż, będę musiał cię powstrzymać.

Pokiwał głową.

Schowałem broń do kabury, wysiadłem z samochodu i wyciągnąłem chłopaka za ramię. Szybko go przeszukałem i nie znalazłem broni, choć chłopak wyraźnie uważał się za kawał szpiega. Latarka, maska narciarska, lornetka i telefon komórkowy, który wyjąłem i wyłączyłem. Poprowadziłem go przez parking, w pełni świadom, że cała sytuacja musiała wyglądać bardzo podejrzanie dla każdego, kto ją zobaczył. Ale dzięki naukom J.C. zachowywałem się jak ktoś, kto wiedział, co robi – trzymałem dłoń na ramieniu chłopaka i szedłem pewnym krokiem. Przebywaliśmy na terenie kompleksu rządowego i miałem nadzieję, że jeśli ktoś nas zobaczył, uznał mnie za gliniarza.

Jeśli nie, cóż, to nie byłby pierwszy raz, kiedy wezwano do mnie policję. Przypuszczam, że na komendzie zakładali się o częstotliwość interwencji.

Wepchnąłem Diona do SUV-a i sam wsiadłem do środka. Czuję się nieco pewniej za przyciemnianymi szybami i w obecności innych aspektów. Dion przeszedł na tylne siedzenie i tam klapnął, zmuszając Audrey, by usiadła na kolanach Tobiasa – było to tak niespodziewane, że starzejący się aspekt prawie się zakrztusił.

– Wilsonie, ostrzeż mnie, proszę, jeśli ktoś się będzie zbliżać – powiedziałem. – W porządku, Dionie. Gadaj. Dlaczego mnie śledzisz?

– Ukradli ciało Panosa.

– A kiedy mówisz „oni”, chodzi ci o...

– I3.

– Dlaczego mieliby zrobić coś takiego?

– Informacje. Przechowywał je w swoich komórkach, wie pan? Wszystkie ich tajemnice. Wszystkie straszliwe rzeczy, które zamierzali zrobić.

Posłałem spojrzenie J.C., który skrył twarz w dłoniach. Panos opowiadał rodzinie o swoich badaniach. Cudownie. J.C. opuścił ręce i samym ruchem warg powiedział: „Koszmar dla ochrony”.

– A jakie to straszliwe rzeczy zamierzało twoim zdaniem zrobić I3?
– spytałem.

– Ja... – Dion uciekł wzrokiem. – No wie pan. Korporacyjne.

– Na przykład zabrać luźny piątek – domyśliła się Audrey.

Czyli Panos nie do końca zwierzał się bratu. Postukałem palcami w podłokietnik. Rodzina zakładała, że Yol i jego ludzie zabrali zwłoki, żeby zachować swoje informacje w tajemnicy – szczerze mówiąc, nie było to tak dalekie od prawdy. W końcu planowali jego kremację. Po prostu ktoś dopadł Panosa wcześniej.

– A ty mnie śledzisz – zwróciłem się do chłopaka. – Dlaczego?

– Dziś rano było pana pełno w internecie. Wsiadał pan do samochodu z tym dziwnym Azjata, do którego należy I3. Pomyślałem, że pewnie ma pan złamać kod ciała Panosa. To się wydaje oczywiste. To znaczy przecież jest pan jakimś superszpiegiem i hakerem czy coś w tym rodzaju, prawda?

– Dokładnie tym jesteśmy – stwierdziła Audrey. – Steve-O, powiedz mu, że tym właśnie jesteśmy. – Kiedy się nie odezwałem, sprzedała kuksańca Tobiasowi, na którego kolanach wciąż siedziała. – Powiedz mu, dziadku.

– Stephenie. – Tobias wyraźnie czuł się niezręcznie. – Ten dzieciak brzmi, jakby mówił poważnie.

Ivy przyjrzała mu się uważnie.

– Jest szczerzy, przynajmniej na ile umiem to ocenić.

– Powinieneś go uspokoić – odezwał się znów Tobias. – Popatrz na tego biedaka. Wygląda, jakby nadal myślał, że zamierzasz go zastrzelić.

I rzeczywiście, Dion splótł dłonie i spuścił wzrok, ale drżał.

Złagodziłem ton głosu.

– Nie zostałem wynajęty, żeby złamać kod ciała. I3 ma mnóstwo kopii zapasowych swoich danych. Jestem tu, by odnaleźć zwłoki.

Dion podniósł wzrok.

– Zgadza się. I3 ich nie zabrało. Wystarczyłoby im, by zostały skremowane.

– On chyba ci nie wierzy, Steve – powiedziała Ivy.

– Posłuchaj – zwróciłem się do Diona – nie obchodzi mnie, co się

stanie z I3. Chcę tylko, żeby informacje w tych zwłokach zostały zniszczone, jasne? I dlatego musisz tu zaczekać.

– Dlaczego...

– Bo nie wiem, co z tobą zrobić. – Spojrzałem na Wilsona, który pokiwał głową. Będzie miał oko na dzieciaka. – Przesiądź się na przednie siedzenie – poleciałem Dionowi. – Kiedy wrócę, będziemy mogli dłużej porozmawiać o tym wszystkim. Na razie jednak muszę się uporać z bardzo opryskliwą panią koroner.

12

Siedzibą miejskiego koronera było niewielkie, pachnące środkami dezynfekującymi biuro obok miejskiej kostnicy, która z kolei zajmowała kilka pomieszczeń w większym kompleksie medycznym. Liza lubiła, żeby nazywać ją oficjalnie „ekspertem medycyny sądowej” i zawsze była zadziwiająco zajęta jak na kogoś, kto poświęcał większość czasu internetowym gierkom.

Punktualnie o ósmej przeszedłem przez hol kompleksu medycznego – znosząc gniewne spojrzenie ochroniarza, który z trudem mieścił się w niewielkiej kanciapie, jaką dla niego przeznaczono – i uprzejmie zapukałem do drzwi biura koronera.

Sekretarz Lizy – ciągle zapominam, jak ma na imię – z wyraźną niechęcią otworzył drzwi.

– Czeka na pana – przywitał mnie młody mężczyzna. – Ale nie powiedziałbym, że z niecierpliwością.

– Świetnie. Dzięki...

– John – podpowiedział mi Tobias.

– ...John.

Sekretarz pokiwał głową, wrócił do biurka i zaczął przesuwać papiery. Ja ruszyłem krótkim korytarzem do ładnego biura obwieszanego dyplomami i innymi takimi. Zauważyłem jeszcze odbicie Facebooka w szybce osłaniającej jeden z nich, zanim Liza wyłączyła tablet i podniosła na mnie wzrok.

– Jestem zajęta, Leeds – powiedziała.

Liza miała na sobie biały fartuch narzucony na dżinsy i różową bluzkę zapinaną na guziki. Dobijała już sześćdziesiątki i była tak wysoka, że pewnie miała dość odpowiadania na pytania, czy w szkole grała w koszykówkę. Na szczęście jej klienci byli w większości martwi – zdaje się, że ta grupa osób jako jedyna jej nie przeszkadzała.

– Cóż, to nie powinno zająć długo.

Oparłem się o drzwi i założyłem ręce na piersi, głównie po to, by zasłonić pełne uwielbienia spojrzenie Tobiasa. Nie miałem pojęcia, co on widzi w tej kobiecie.

– Nie muszę nic dla ciebie robić. – Liza ostentacyjnie odwróciła się do ekranu komputera, jakby miała mnóstwo roboty. – Nie bierzesz udziału w żadnym oficjalnym śledztwie. O ile nic się nie zmieniło, wydział postanowił cię już nie angażować.

To ostatnie zdanie wypowiedziała odrobinę zbyt triumfalnie. Ivy i J.C. popatrzyli po sobie. Władze ostatnimi czasy... nie darzyły nas szczególną sympatią.

– Zaginęło jedno z waszych ciał. Czy to nie powód do zmartwienia?

– Nie mój problem. Ja swoje już zrobiłam. Stwierdziłam zgon, potwierdziłam tożsamość, sekcja zwłok nie była konieczna. To w kostnicy popełnili błąd. Możesz porozmawiać na ten temat z nimi.

Nie miałem na to szans. Nie wpuściliby mnie do środka – nie mieli uprawnień. Ale Liza mogłaby – niezależnie od tego, co mówiła, to w końcu był jej wydział.

– A policja nie przejęła się naruszeniem zasad bezpieczeństwa? – spytałem. – Sierżant Graves nie kręcił się po okolicy, zastanawiając się, jak mogło dojść do tak koncertowej wpadki?

Liza się zawahała.

– Ach – powiedziała Ivy. – Dobrze zgadłeś, Steve. Naciśnij ją mocniej.

– To twoi podwładni – zwróciłem się do Lizy. – Naprawdę nie chcesz wiedzieć, jak do tego doszło? Mógłbym pomóc.

– Za każdym razem, kiedy „pomogasz”, Leeds, dochodzi do katastrofy.

– Wydaje mi się, że tym razem do katastrofy już doszło.

– Uderz w jej słaby punkt – poradziła Ivy. – Wspomnij o zamieszaniu, jakie to wywoła.

– Pomyśl tylko o papierkowej robocie, Lizo. Zaginęły zwłoki. Śledztwa, pytania, ludzie kręcący się po biurze, spotkania, w których będziesz musiała brać udział.

Liza nie do końca ukryła kwaśną minę. Stojąca obok mnie Ivy uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– A wszystko to – Liza oparła się wygodniej – z powodu ciała, którego nie powinno w ogóle tu być.

– Co masz na myśli?

– Nie było powodu, żebyśmy zatrzymali te zwłoki. Krewni go rozpoznali, nie było podejrzenia udziału osób trzecich. Powinnam oddać ciało zakładowi pogrzebowemu wybranemu przez rodzinę, żeby je zabalsamowali. Ale nie. Nie wolno. Zwłoki miały zostać tutaj i nikt nie chciał mi powiedzieć, dlaczego. Sam komisarz na to nalegał.

– Zmrużyła oczy. – A teraz ty. Co w tym gościu było takiego wyjątkowego, Leeds?

Komisarz? Yol bardzo się postarał, żeby zatrzymać te zwłoki w kostnicy. Gdyby zostały oddane rodzinie, a później objęte ścisłą ochroną, cały świat by się dowiedział, że jest w nich coś wyjątkowego. Szybki telefon, by się upewnić, że Panos pozostanie zamknięty w miejskiej kostnicy, wzbudzał znacznie mniejsze podejrzenia.

Po prostu nie wyszło.

– Musimy coś jej oddać, Steve – powiedziała Ivy. – Ona się zaparła. Czas na duży kaliber.

Westchnąłem.

– Pewna jesteś? – mruknąłem.

– Niestety tak.

– Jedna rozmowa – zaproponowałem, patrząc Lizie w oczy. – Jedna godzina.

Pochyliła się.

– Przekupujesz mnie?

– Tak, i co z tego?

Od niechcienia postukała palcem w blat biurka.

– Jestem ekspertem medycyny sądowej. Publikacje mnie nie

interesują.

– Nie powiedziałem, że ta rozmowa musi być z tobą. Z kimkolwiek zechcesz... kimkolwiek w społeczności medycznej, od kogo chciałabyś coś uzyskać. Dostajesz mnie na wymianę.

Liza się uśmiechnęła.

– Ktokolwiek?

– Tak. Godzina.

– Nie. Tak długo, jak zechce ta osoba.

– To zbyt nieokreślone, Lizo.

– Podobnie jak lista sposobów, na jakie mnie irytujesz. Możesz przyjąć tę propozycję lub ją odrzucić, Leeds. Nie jestem ci nic winna.

– Jeszcze tego pożałujemy, prawda? – spytał Tobias.

Pokiwałem głową, myśląc o godzinach spędzonych na odpowiadaniu na pytania jakiegoś psychologa, który chciałby zdobyć sławę. Kolejna rozprawa w kolejnym piśmie, w której traktowano mnie jak dziwny gatunek strzykwy, wymagający wypreparowania i pokazania światu.

Jednak czas mijał i mogłem albo się zgodzić, albo powiedzieć Lizie, dlaczego te zwłoki były takie ważne.

– Umowa stoi – powiedziałem.

Nie uśmiechnęła się. Uśmiech miał dla Lizy zbyt ludzki charakter. Ale wydawała się zadowolona, kiedy chwyciła klucze leżące na stole i poprowadziła mnie korytarzem. Moje aspekty podążyły za nami.

W miarę jak zbliżaliśmy się do kostnicy, robiło się coraz zimniej. Za pomocą karty magnetycznej Liza otworzyła metalowe drzwi, grube i ciężkie. Pomieszczenie za nimi mogło wyjaśniać, dlaczego zdecydowała się podjąć pracę w tym miejscu – nie tylko było lodowato, ale cały ten chrom pewnie przypominał jej statek kosmiczny, z którego zrzucono ją na powierzchnię naszej planety.

Drzwi zamknęły się za nami z trzaskiem. Liza oparła się o ścianę, założyła ręce na piersi i patrzyła uważnie, żeby zapobiec wszelkim wyskokom.

– Piętnaście minut, Leeds. Do roboty.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu, w którym znajdowały się trzy metalowe stoły na kółkach, blat z różnymi narzędziami medycznymi

i ściana dużych szuflad na zwłoki.

– W porządku – zwróciłem się do czworga aspektów. – Chcę wiedzieć, jak wydostali ciało.

– Potrzebujemy też dowodu. – J.C. rozglądał się po pomieszczeniu. – Coś, co powiąże Exeltec z przestępstwem.

– Byłoby wspaniale, gdyby się udało – powiedziałem do niego – ale lepiej nie róbmy takich założeń. Może wcale go nie mają. Skupcie się na tym, co wiemy. Znajdźcie mi wskazówki, jak złodzieje przechowali lub przenieśli ciało, to może nas do niego doprowadzić.

Pozostali pokiwali głowami. Obróciłem się powoli dookoła własnej osi, obejmując pomieszczenie wzrokiem, absorbując je do podświadomości. Później zamknąłem oczy.

Moje urojenia zaczęły rozmawiać.

– Żadnych okien – stwierdził J.C. – Tylko jedno wyjście.

– Chyba że te kasetony na suficie można zdjąć – zauważyła Ivy.

– Nie – odparł J.C. – Widziałem specyfikację bezpieczeństwa tego budynku. Pamiętacie sprawę Żyły Miedzi? Żadnych korytarzy technicznych. Żadnych przewodów wentylacyjnych. Nic podejrzanego w architekturze.

– Te narzędzia były niedawno używane – stwierdził Tobias. – Nie znam się jednak na ich zastosowaniu. Stephenie, któregoś dnia naprawdę powinienes zwerbować nam koronera.

– Mamy przecież Ngozi – wtrąciła Audrey. – Technika kryminalistyki. Dlaczego jej nie zabraliśmy?

Z twojego powodu, Audrey, pomyślałem. Moja podświadomość dała ci ważną umiejętność i umieściła cię w mojej drużynie. Dlaczego? Brakowało mi tych dni, kiedy miałem kogo pytać o takie kwestie. Kiedy Sandra ze mną była, po raz pierwszy w moim życiu wszystko miało sens.

– To miejsce jest bezpieczne. – W głosie Ivy brzmiało niezadowolenie. – Może to nie był nikt z zewnątrz? Któryś z pracowników kostnicy?

Otworzyłem oczy i spojrzałem na Lizę.

– Czy jeden z pracujących tu ludzi mógł zostać przekupiony?

– Myślałam o tym. – Nadal trzymała ręce na piersi. – Ale tego

wieczoru jako ostatnia wyszłam z biura. Weszłam do środka, wszystko sprawdziłam i zgasiłam światła. Ochrona mówi, że w nocy nikt nie przychodził.

– Wobec tego chciałbym porozmawiać z ochroną. Kto tu jeszcze był tamtego dnia?

Liza wzruszyła ramionami.

– Rodzina. Kapłan. Nigdy sami. Tego pomieszczenia nie może otworzyć nikt poza mną i dwoma naszymi technikami. Nawet ochrona nie wejdzie, nie wzywając jednego z nas. Ale to wszystko bez znaczenia... zwłoki wciąż tu były, kiedy wychodziłam tamtego wieczoru.

– Jesteś pewna?

– Tak, musiałam wpisać pewne liczby do dokumentacji. Specjalnie je sprawdziłam.

– Dobrze by było sprawdzić odciski palców – stwierdził J.C. – Nawet jeśli ci się to nie podoba, może będziemy musieli pójść na komisariat.

Pokiwałem głową.

– Zakładam, że policja już zabezpieczyła ślady.

– Dlaczego miałbyś tak zakładać? – spytała Liza.

Wszyscy na nią popatrzyliśmy.

– Bo... no wiesz. Bo doszło do przestępstwa?

– Skradziono zwłoki – stwierdziła oschle Liza. – Nikomu nie stała się krzywda, nie ma śladów włamania i nie chodzi o pieniądze. Oficjalnie sprawa „jest w toku”, ale uwierz mi, znalezienie tego trupa jest nisko na liście ich priorytetów. Bardziej przejmują się samym włamaniem, za to polecą głowy...

Założyła ręce na piersi, zmieniła ich ułożenie i znów je założyła. Próbowwała udawać wyluzowaną, ale była w oczywisty sposób zaniepokojona. Ivy pokiwała głową wyraźnie zadowolona, że tak dobrze odczytałam Lizę. Cóż, nie było to trudne. Od czasu do czasu zdarzyło mi się coś podłapać od aspektów.

– Kamery monitoringu? – J.C. rozglądał się po kątach.

Powtórzyłem pytanie, by Liza mogła je usłyszeć.

– Tylko w korytarzach – odparła.

– Nie za skąpo?

– Cała okolica jest naszpikowana alarmami. Jeśli ktoś spróbuje się włamać, biurko szefa ochrony rozświetli się jak choinka na Boże Narodzenie. – Skrzywiła się. – Kiedyś włączaliśmy go tylko na noc, ale od dwóch dni jest włączony bez przerwy. Teraz trzeba mieć pozwolenie, jeśli chce się otworzyć cholerne okno...

Popatrzyłem na swój zespół.

– Stephenie – powiedział Tobias – będziemy potrzebować Ngozi.

Westchnąłem. Cóż, rezydencja, z której musieliśmy ją zabrać, nie była aż tak daleko.

J.C. wyciągnął telefon.

– Zadzwoń do niej, jeśli pozwolisz.

– Wątpię, żeby... – zacząłem, ale on już wybierał numer.

– Tak, Ahmed, potrzebujemy twojej pomocy – powiedział. – Co? Oczywiście, że mam twój numer. Nie, wcale cię nie śledziłem. Posłuchaj, możesz znaleźć Ngozi? Skąd mam wiedzieć, gdzie jest? Pewnie po raz setny myje ręce albo coś w tym rodzaju. Nie, jej też nie śledziłem. – Opuścił telefon i posłał nam udręczone spojrzenie. Znow uniósł aparat i po chwili mówił dalej. – Świetnie. Zróbmy wideokonferencję.

Patrzyłem z Tobiasem ponad ramieniem J.C., kiedy na ekranie pojawiła się twarz Kalyani, radosna i podekscytowana. Pomachała nam i odwróciła telefon w stronę Ngozi, która siedziała na łóżku i czytała.

Cóż mogę powiedzieć o Ngozi? Pochodziła z Nigerii, miała ciemnobrązową skórę i skończyła studia na Oxfordzie. A do tego panicznie bała się zarazków – tak bardzo, że kiedy Kalyani wyciągnęła telefon w jej stronę, Ngozi wyraźnie się cofnęła. Pokręciła głową, a Kalyani musiała stać z telefonem w wyciągniętej ręce.

– Co się dzieje? – spytała Ngozi z nigeryjskim akcentem.

– Ekspertyza na miejscu przestępstwa – wyjaśniłem.

– Przyjedziesz po mnie?

– Cóż, chyba myśleliśmy... – Zawahałem się i spojrzałem na J.C. – Nie wiem, czy to się uda, J.C. Nigdy wcześniej nie robiliśmy czegoś takiego.

– Ale warto spróbować, nie?

Spojrzałem na Ivy, która wydawała się sceptyczna, ale Tobias

wzruszył ramionami.

– Co nam szkodzi, Stephenie? Wyciągnięcie Ngozi z domu czasem bywa trudne.

– Słyszałam – wtrąciła Nigeryjka. – Nie jest trudne. Wymaga jedynie właściwych przygotowań.

– Tak – zgodził się J.C. – Jak kombinezon przeciwskażeniowy.

– Daj spokój. – Ngozi przewróciłam oczami. – Ja po prostu lubię, jak jest czysto.

– Czysto? – powtórzyłem.

– Bardzo czysto. Wiesz, jak wiele trucizn wyrzucają w powietrze te wszystkie samochody i fabryki? Jak myślisz, dokąd to wszystko trafia? Zastanawiałeś się kiedykolwiek, czym jest to coś czarnego na twojej skórze po tym, jak przytrzymasz się balustrady, schodząc na stację metra? A pomyśl o ludziach. Kaszlą w dłonie, wycierają zasmarkane nozdrza, dotykają wszystkiego i wszystkich i...

– Rozumiemy, Ngozi.

Popatrzyłem na Tobiasasa, który zachęcająco pokiwał głową. J.C. miał rację – telefony mogły się okazać dla moich aspektów użytecznym narzędziem. Wziąłem telefon od J.C. Stojąca w pobliżu Liza przyglądała mi się z pierwszym prawdziwym uczuciem, które okazała od rana – fascynacją. Może i nie była psychologiem, ale lekarze wszelkiego autoramentu uważali moje... dziwactwa za interesujące.

I dobrze. Cokolwiek, byle nie zastanawiała się, jak dużo – lub jak mało – czasu pozostało mi z jej pierwotnych „piętnastu minut”.

– Spróbujemy zrobić to przez telefon – powiedziałem do Ngozi. – Jesteśmy w chłodni. Wszystkie źródła potwierdzają, że ciało było tu wieczorem, a do następnego ranka zdążyło zniknąć. Kamery w korytarzu nie zarejestrowały niczego podejrzanego. – Liza pokiwała głową, kiedy ją o to spytałem. – W tym pomieszczeniu nie ma kamer, ale budynek ma rozbudowany system zabezpieczeń. Jak więc wydostali zwłoki?

Ngozi pochyliła się. Wciąż nie wzięła aparatu od Kalyani, ale przyjrzała mi się z zainteresowaniem.

– Pokaż mi pomieszczenie.

Przeszedłem się dookoła, przesuwając telefon, w pełni świadom, że

z perspektywy Lizy miałem pustą rękę. W tym czasie Ngozi nucila pod nosem. Jakiś musicalowy standard, nie do końca go rozpoznawałem.

Kiedy po kilku minutach skończyłem pokazywanie kostnicy, zwróciła się do mnie:

– Jesteś pewien, że zwłoki zniknęły?

– Oczywiście, że tak.

Skierowałem aparat na wciąż otwartą szufladę.

– Cóż, trudno tu będzie przeprowadzić tradycyjną ekspertyzę – powiedziała Ngozi. – Ale najpierw powinniśmy zadać sobie pytanie: „Czy to konieczne?”. Byłbyś zaskoczony, jak często ludzie zgłaszają kradzież jakiegoś przedmiotu, który następnie zostaje odnaleziony zgubiony... albo ukryty... blisko miejsca, w którym doszło do kradzieży. Jeśli wydostanie zwłok z chłodni byłoby takie trudne, może wcale jej nie opuściły.

Spojrzałem na inne szuflady, po czym z westchnieniem odłożyłem telefon i zacząłem je otwierać, jedną po drugiej. Po kilku chwilach Liza zaczęła mi pomagać.

– Zrobiliśmy to – zauważyła, ale nie przeszkadzała mi w powtórny sprawdzaniu.

Jedynie w trzech szufladach znajdowały się zwłoki, a my sprawdziliśmy każde bardzo dokładnie. Żadne nie należały do Panosa.

Później przejrzałem szafki, szafy wnękowe, a nawet szuflady zbyt małe, by zmieścić w nich ciało. Proces był długi i bezowocny, co mnie ucieszyło. Odkrycie kilku worków pełnych łokci czy czegoś w tym rodzaju nie byłoby szczególnie przyjemne.

Otrzeptałem dłonie i spojrzałem w stronę telefonu i podobizny Ngozi. Kalyani usiadła obok niej na łóżku i obie rozmawiały o tym, że naprawdę powinienem przestać tyle pracować i ustatkować się z jakąś miłą dziewczyną. Do tego najlepiej zdrową na umyśle.

– Co teraz? – spytałem przez telefon.

– Zasada Locarda.

– To znaczy?

– Zasadniczo stanowi ona, że kiedy dochodzi do kontaktu, następuje wymiana i pozostają ślady. My mamy niewiele, bo kiedy ofiara została uprowadzona, była już martwa i pewnie starannie zapakowana

w foliowy worek. Ale sprawca musiał pozostawić ślady swojej obecności. Pewnie nie możemy sobie pozwolić na zebranie śladów DNA w całym pomieszczeniu...

Popatrzyłem z nadzieją na Lizę i zapytałem, na co odpowiedzią było rozbawione parsknięcie. Sprawa nie była dość ważna, by zasłużyć na takie potraktowanie.

– Możemy spróbować sami zebrać odciski palców – powiedziałem do Ngozi. – Ale policja nam nie pomoże.

– Zacznijmy od najbardziej oczywistych punktów kontaktu. Zbliżenie na uchwyt szuflady poproszę.

Wziąłem telefon i zbliżyłem go do uchwytu szuflady.

– Świetnie – powiedziała Ngozi po minucie. – Teraz drzwi do pomieszczenia.

Podszedłem do nich, mijając po drodze Lizę, która patrzyła na zegarek.

– Być może kończy się nam czas, Ngozi – powiedziałem cicho.

– Moja sztuka nie jest czymś, co można poganiać – zauważyła. – Szczególnie kiedy działam na odległość.

Pokazałem jej klamkę drzwi wejściowych, choć nie miałem pewności, czego szukała. Ngozi kazała mi otworzyć drzwi, żeby mogła obejrzeć je z drugiej strony. Skrzydło rzeczywiście było ciężkie, zaprojektowane, by zamykać się za każdym wychodzącym. Kiedy znalazłem się na zewnątrz, nie mogłem ich ponownie otworzyć. Liza musiała je odblokować kartą magnetyczną.

– W porządku, Leeds – powiedziała, kiedy odwróciłem aparat w stronę blachy zaczepowej wewnątrz futryny. – To...

– Bingo – odezwała się Ngozi.

Znieruchomiałem i znów spojrzałem na futrynę. Ignorując dalsze słowa Lizy, ukląknęłem, próbując zobaczyć to, co dostrzegła Ngozi.

– Widzisz te ślady kurzu? – spytała.

– Yyy... nie.

– Przyjrzyj się uważnie. Ktoś przykleił tu taśmę, a później ją zerwał, pozostawiając dość kleju, by przyciągnąć kurz.

Liza pochyliła się obok mnie.

– Słyszałeś, co do ciebie mówiłam?

– Taśma – spytałem. – Masz jakąś taśmę?

– Dlaczego...

– Tutaj – odezwał się J.C., podnosząc z blatu rolkę przezroczystej taśmy klejącej.

Przecisnąłem się obok Lizy, wziąłem taśmę – J.C. musiał odłożyć swój wyimaginowany egzemplarz, zanim zobaczyłem prawdziwy – i pobiegłem z powrotem. Umieściłem pasek na blasze zaczepowej, wyszedłem z kostnicy i pozwoliłem, by drzwi się zamknęły.

Zamknęły się z łoskotem, który zagłuszył brak trzasku zamka. Kiedy popchnąłem drzwi, otworzyły się bez pomocy Lizy.

– Wiemy, jak dostali się do chłodni – powiedziałem.

– I co z tego? – spytała Liza. – Wiedzieliśmy, że jakoś się dostali. Co to daje?

– Mówi nam, że najpewniej był to ktoś, kto odwiedził kostnicę w dniu poprzedzającym zniknięcie zwłok. Może ostatni odwiedzający? Najmniejsza szansa, że taśma została odkryta w ciągu dnia.

– Jestem niemal pewna, że zauważyłabym, gdyby na drzwiach była taśma.

– Naprawdę? Otwierasz je za pomocą karty magnetycznej, co oznacza, że nie musisz niczego naciskać ani przekręcać. Po prostu naciskasz na drzwi, a one się otwierają.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Brzmi prawdopodobnie – przyznała. – Ale kto to zrobił?

– Kto jako ostatni wszedł tego dnia do środka?

– Kapłan. Musiałam wpuścić go osobiście. Inni już poszli do domu, ale ja zostałam po godzinach.

– Musiałaś koniecznie dokończyć tego pasjansa? – spytałem.

– Zamknij się.

Uśmiechnąłem się.

– Znałaś kapłana?

Pokręciła głową.

– Ale był na liście, a jego dowód tożsamości był ważny.

– Stworzenie fałszywego dowodu tożsamości nie stanowi wielkiego problemu – powiedziała do mnie Ivy. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę,

o jaką stawkę toczy się gra.

– To pewnie nasz podejrzany. – Odwróciłem się do Lizy. – Chodź, muszę porozmawiać z waszym szefem ochrony.

Kiedy Liza odklejała taśmę z drzwi, podziękowałem Ngozi za pomoc, wyłączyłem aparat i rzuciłem telefon z powrotem J.C.

– Niezła robota. – Ivy uśmiechnęła się do niego.

– Dzięki. – Wsunął telefon do kieszeni bojówek. – Oczywiście to tak naprawdę wcale nie jest telefon. To ponadprzestrzenny czas...

– J.C. – przerwała mu Ivy.

– Tak?

– Nie psuj tej chwili.

– Och. W porządku.

13

Po drodze do stanowiska ochrony zajrzałem do toalety. Tak naprawdę wcale nie musiałem z niej korzystać, chodziło o Tobiasa.

Doceniałem czystość panującą w pomieszczeniu. Dozowniki mydła były pełne, lustro błyszczało, a na drzwiach wisiała nawet tabelka z godziną ostatniego sprzątnięcia, na której pracownicy musieli się podpisywać, żeby potwierdzić, że wykonali swoje zadanie. Umyłem ręce i przejrzałem się w lustrze, kiedy Tobias robił sobie postój.

Patrzyła na mnie moja własna przyziemna twarz. Nigdy nie jestem tym, czego spodziewają się ludzie. Niektórzy wyobrażają mnie sobie jako ekscentrycznego naukowca, inni jako gwiazdę kina akcji. Dostają zaś dość nijakiego mężczyznę po trzydziestce, doskonale normalnego.

W pewnym sensie często czuję się jak swoja własna Biała Sala. Pusta kartka. Cały charakter dostały aspekty. Ja bardzo staram się nie wyróżniać. Ponieważ nie jestem szalony.

Wysuszyłem dłonie i zaczekałem, aż Tobias umyje ręce, po czym wróciliśmy do pozostałych czekających na korytarzu i ruszyliśmy w stronę stanowiska ochrony. Okazało się okrągłym biurkiem z otworem w środku – często się je widuje w galeriach handlowych

pod napisem „Informacja”. Podszedłem do niego, a strażnik obrzucił mnie spojrzeniem – jakbym był kawałkiem pizzy, a on próbował ocenić, ile czasu spędziłem w lodówce. Nie spytał, czego chciałem. Liza zadzwoniła do niego i kazała mu przygotować nagrania z kamer monitoringu.

Biurko było zbyt małe dla tego masywnego mężczyzny. Kiedy się pochylał, wewnętrzna część blatu wciskała się w jego brzuch – w mojej głowie pojawił się obraz winogrona ściskanego od dołu.

– Ty – powiedział ochroniarz głębokim barytonem – jesteś tym wariatem, tak?

– Cóż, to nie do końca prawda. Widzi pan, standardową definicją szaleństwa jest...

Pochylił się jeszcze bardziej, a mnie zrobiło się żal biednego biurka.

– Jesteś uzbrojony.

– No...

– Ja też – powiedział cicho strażnik. – Nie próbuj żadnych sztuczek.

– No pięknie – mruknęła stojąca obok mnie Ivy. – Niepokojący gość na stanowisku ochrony.

– Podoba mi się – stwierdził J.C.

– To mnie nie dziwi.

Strażnik powoli podniósł pendrive’a.

– Nagrania są tutaj.

Wziąłem go.

– Jest pan pewien, że system alarmowy działał tamtej nocy?

Mężczyzna przytaknął. Zacisnął przy tym dłoń w pięść, jakby sam fakt, że zadałem to pytanie, był ogromną obelgą, za którą czekało mnie lanie.

– Yyy. – Patrzyłem na tę pięść. – Liza mówi, że teraz nie wyłączacie go w ciągu dnia.

– Złapię go – stwierdził strażnik. – Nikt się nie włamie do mojego budynku.

– Po raz drugi.

Ochroniarz spojrział na mnie z ukosa.

– Nikt się nie włamie do pańskiego budynku po raz drugi. Bo raz ktoś już to zrobił. Właściwie... być może nawet zrobili to dwa razy, bo

za pierwszym oblepili drzwi taśmą... choć to można uznać raczej za wniknięcie niż włamanie.

– Nie pyskuj mi tu – mężczyzna pogroził mi palcem – i nie sprawiaj kłopotów. Bo tak ci przywalę, że twoje osobowości wylądują w sąsiednim stanie.

– Auć. – Audrey przerzucała kartki pisma, które znalazła na jego biurku. – Spytaj go, dlaczego, skoro jest tak spostrzegawczy, nie zauważył, że ma rozpięty rozporek.

Uśmiechnąłem się i wyszedłem pośpiesznie. Liza odprowadzała mnie wzrokiem z wejścia do biura.

Na zewnątrz uniosłem pendrive'a i ruszyłem wzdłuż ściany budynku. Pomachałem Wilsonowi, który nie opuścił samochodu. Brat Panosa siedział nadąsany na miejscu pasażera i popijał lemoniadę ze szklanki.

Wraz z aspektami obszedłem budynek dookoła, żebyśmy mogli dobrze przyjrzeć mu się od zewnątrz. Miał niewielkie okna, może dość duże, by się przez nie precyzyjnie. Żadnych schodów pożarowych. Dotarłem do tylnego wyjścia – było zamknięte na klucz. Ale i tak solidnie szarpnąłem za drzwi.

– Ktoś udawał księdza – zwróciłem się do aspektów – i wślizgnął się do środka, żeby obejrzyć ciało i nakleić taśmę. Później wrócili w nocy, żeby wydostać ciało. Dlaczego nie wziął po prostu próbki komórek, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy i znalazł się w jednym pomieszczeniu ze zwłokami?

Popatrzyłem na pozostałych, którzy wydawali się zbici z tropu.

– Pewnie nie wiedzieli, w której części ciała mogą znaleźć zmodyfikowane komórki – stwierdził w końcu Tobias. – W ciele jest mnóstwo komórek. Skąd mieli wiedzieć, w której części znajdowały się potrzebne informacje?

– Możliwe.

Z niezadowoleniem założyłem ręce na piersi. Czegoś nie dostrzegamy, pomyślałem. Bardzo ważnej części tego wszystkiego. To...

Tylne drzwi otworzyły się gwałtownie. Stał w nich zdyszany ochroniarz, rękę trzymał na pistolecie. Spiorunował mnie wzrokiem.

– Chciałem tylko sprawdzić. – Przyjrzałem się otwartym drzwiom. Tu taśma by nie zadziałała, zamek miał zasuwę. – A tak na marginesie, niezły czas reakcji.

Pogroził mi palcem.

– Nie denerwuj mnie.

Zatrzasnął drzwi. Ja ruszyłem dalej, a kiedy wyszedłem za róg, znalazłem się w wąskim przejściu między tym budynkiem a sąsiednim. Nadal szukałem innych wejść. Byłem w połowie drogi, kiedy usłyszałem cichy trzask za plecami.

Obróciłem się na pięcie, podobnie jak moje aspekty. Obok dużego kosza na śmieci stała w swobodnej pozie Zen Rigby, jedną dłoń trzymała we wnętrzu papierowej torby.

– Sig sauer P239 – powiedział cicho J.C., spoglądając na torbę, która bez wątpienia ukrywała pistolet.

– Umiesz rozpoznać broń po odgłosie jej odbezpieczenia? – spytała Ivy.

– Oczywiście.

Wydawał się jednak zawstydzony, kiedy to powiedział, i posłał mi spojrzenie. Czuł, że powinien dostrzec Zen, zanim się do nas podkradła. Ale słyszał i widział jedynie to, co słyszałem i widziałem ja.

– Panie Leeds – odezwała się kobieta.

Podobnie jak poprzedniego wieczoru, miała na sobie kostium ze spodniami i białą bluzkę. Była niska, ciemnoskóra i miała proste czarne włosy. Żadnej biżuterii.

Pochyliłem głowę w jej stronę.

– Musi się pan pozbyć swojego pistoletu – poleciła. – Jeśli można, ostrożnie i powoli, żeby nie doszło do żadnego niefortunnego wypadku.

Spojrzałem na J.C.

– Zrób to – powiedział z wyraźną niechęcią. – Najprawdopodobniej nie spróbuje nas zabić w tym miejscu.

– Najprawdopodobniej? – Audrey pobladła.

Powoli wydobyłem pistolet, pochyliłem się i położyłem go na ziemi, po czym kopnąłem na bok. Zen uśmiechnęła się, ale nadal trzymała torbę w taki sposób, że nie miałyby problemów, by ją unieść i mnie

zastrzelić.

– Wcześniej pan do mnie zadzwonił. Podstęp godny pochwały. Zakładam, że pańskim celem było sprawdzenie, czy pana śledzę?

Skinąłem głową. Trzymałem ręce opuszczone wzdłuż boków i oddychałem szybko. Stanowczo zbyt często lądowałem w takich tarapatach. Nie byłem żołnierzem ani gliniarzem, nie zachowywałem zimnej krwi pod ostrzałem. Nie lubiłem, kiedy ktoś do mnie celował.

– Panuj nad sytuacją, chudy – powiedział J.C. – Giną ci, którzy tracą panowanie. Nie pozwól, by twoje zdenerwowanie wpłynęło na rozwój sytuacji.

– A teraz poproszę tego pendrive’a.

Zamrugalem. Pendrive...

Myślała, że jest na niej kod, który pozwoli odszyfrować dane Panosa. Jak to musiało dla niej wyglądać? Zostałem zatrudniony przez Yola, całą noc pracowałem. Z samego rana udałem się do biura koronera, a później wyszedłem z pendrive’em.

Domyślała się, że zdobyłem coś ważnego. Ivy się roześmiała, choć J.C. wydawał się zaniepokojony. Popatrzyłem na niego.

– Jeśli pomyśli, że ma, czego potrzebuje – powiedział cicho – znajdziemy się w poważnym niebezpieczeństwie. Jeśli oddasz jej pendrive’a, nigdzie z nią nie idź.

Zacząłem się cofać, wciąż z opuszczonymi rękami, aż oparłem się plecami o ścianę budynku. Kobieta wpatrywała się we mnie. Pewnie miała tłumik, ale wystrzał i tak nie byłby bezgłośny. Byliśmy w tym miejscu dość widoczni, więc pewnie wolałaby nie strzelać.

Serce waliło mi w piersi. Zapanować nad sytuacją. Może sprowokować ją do mówienia?

– Kogo skłoniłaś, żeby udawał kapłana?

Zmarszczyła czoło, po czym uniosła torbę z pistoletem.

– O coś pana grzecznie poprosiłam, panie Leeds.

– A ja ci tego nie oddam. Przynajmniej dopóki się nie dowiem, jak odstawiłaś ten numer. To takie moje dziwactwo. Z pewnością jesteś świadoma, że jestem do nich skłonny.

Zawahała się, po czym rozejrzała na boki.

Szuka moich aspektów, pomyślałem. Ludzie w moim otoczeniu

często nieświadomie to robili.

– Dobrze – pochwaliła mnie Ivy. – Zagranie kartą szaleństwa zwykle wytrąca ludzi z równowagi.

Myśl, myśl, myśl. Uderzyłem głową do tyłu.

Trafiłem w okno za plecami. Zawahałem się, po czym zacząłem raz za razem uderzać głową, wstrząsając szkłem.

Zen po chwili znalazła się obok mnie, chwyciła mnie za ramię i odciągnęła od budynku. Spojrzała w okno, ale najwyraźniej nikogo w nim nie zobaczyła, bo rzuciła mnie na ziemię.

– Nie słynę z cierpliwości, panie Leeds – powiedziała cicho.

Kusiło mnie, żeby w tej właśnie chwili oddać jej pendrive'a. Ale powstrzymałem się, tłumiąc niepokój i strach.

Przeciągaj. Jeszcze odrobinę, pomyślałem.

– Wiesz, że to wszystko jest bezcelowe – skłamałem. – Panos już wcześniej ujawnił informacje. W internecie. Za darmo, dla wszystkich.

Prychnęła.

– Wiemy, że I3 udaremniło jego próby, by to zrobić.

Naprawdę? I... oni też?

Przycisnęła pistolet do mojego brzucha.

Okno za jej plecami otworzyło się z trzaskiem.

– Leeds! – wrzasnął ochroniarz. – Ty wariacie! Naprawdę chcesz zginąć? Uduśzę cię... Ej! Co się dzieje?

Zen spojrzała mi w oczy, po czym poderwała się gwałtownie i zniknęła za rogiem. Odchyliłem się do tyłu, a ochroniarz wychylił się z trudem przez okno i zaklął.

– Czy ona miała broń? Do diabła, Leeds! Co ty wyprawiasz?

– Ratuję życie – odparłem zmęczonym głosem i spojrzałem na aspekty. – Idziemy?

– Natychmiast – powiedział J.C.

Zostawiliśmy wrzeszczącego strażnika i skierowaliśmy się w stronę mojego samochodu. Po drodze podniosłem pistolet, a kiedy znaleźliśmy się na wolnej przestrzeni, nie zauważyłem żadnych śladów Zen. Wsiadłem do auta i kazałem Wilsonowi jechać.

Kiedy znaleźliśmy się na drodze, nie poczułem się o wiele bezpieczniejszy.

– Nie wierzę, że spróbowała to zrobić – powiedziała Ivy. – Właściwie na oczach wszystkich, bez dowodów, że w ogóle mamy to, czego szukała.

– Pewnie dostała polecenie, żeby nas sprowadzić – stwierdził J.C. – Jest zawodowcem, nie zachowałaby się tak lekkomyślnie bez nacisków z zewnątrz. Poinformowała swoich zleceniodawców, że możemy coś mieć, i usłyszała, że ma to zdobyć.

Przytaknąłem. Oddychałem głęboko, wdech i wydech.

Ivy przejęła prowadzenie rozmowy.

– Tobiasie, co wiemy o Exeltecu?

– Raport Yola zawierał podstawowe fakty. Firma biotechnologiczna jak I3, ale o wiele bardziej... energiczna, tak można by to określić. Powstała przed pięciu laty i po krótkim czasie wypuściła swój kluczowy produkt, to znaczy lek ograniczający objawy choroby Parkinsona. Niestety dla nich rok później ich konkurenci wyprodukowali o wiele lepszy środek. Sprzedaż produktu Exeltecu gwałtownie spadła. Firma należy do dziesięciu inwestorów, a największy udziałowiec... ten, którego Stephen naśladował przez telefon... pełni obowiązki dyrektora i prezesa zarządu. Ta firma może ich wszystkich bardzo dużo kosztować. Jej ostatnie trzy produkty okazały się niewypałami, a do tego w imię oszczędności pozwolili w zagranicznych zakładach produkcyjnych na praktyki, które są teraz przedmiotem dochodzenia. Mówiąc krótko, są zdesperowani.

Pokiwałem głową, głos Tobiasa mnie uspokajał. Włożyłem pendrive'a do gniazda w laptopie, dziesięciokrotnie przyspieszyłem odtwarzanie i postawiłem maszynę na podłodze, żeby móc kątem oka patrzeć na ekran. Tobias, często najbardziej spostrzegawczy z moich aspektów, pochylił się, żeby przyjrzeć się uważniej.

Z przodu Wilson i Dion zaczęli rozmawiać o życiu rodzinnym chłopaka. Czułem, jak powoli opuszcza mnie drżenie wywołane świadomością, że ktoś we mnie celuje. Zacząłem się rozglądać. Wilson wyjechał na autostradę – nie kierował się w żadne określone miejsce, ale dobrze mnie znał i wiedział, że potrzebuję czasu, by wziąć się w garść, zanim bardziej szczegółowo określę cel.

Dion spojrział w lusterko wsteczne, żeby popatrzeć na mnie.

Zauważył, że go obserwuję, zarumienił się i opadł na fotel. Odpowiadał na pytania Wilsona związane z edukacją. Chłopak właśnie ukończył szkołę średnią i zamierzał na jesieni zacząć studia. Chętnie rozmawiał z Wilsonem – życzliwemu kamerdynerowi trudno się było oprzeć. W końcu radził sobie nawet ze mną. W porównaniu z tym zwyczajni ludzie nie sprawiali najmniejszych problemów.

– To musiało być wielkie wydarzenie – powiedział Wilson do chłopaka w odpowiedzi na opowieść o niedawnym wyścigu. – A teraz, jeśli mi wybaczysz, powinienem spytać pana Leedsa, dokąd chce się udać.

– To jeszcze pan tego nie wie? – Dion wydawał się zdezorientowany.
– Dokąd w takim razie jechaliśmy?

– Jeździliśmy dookoła – wyjaśniłem. – Potrzebowałem czasu do namysłu. Dionie, twój brat mieszkał z tobą i waszą matką, prawda?

– Tak. Zna pan greckie rodziny...

Zmarszczyłem czoło.

– Nie jestem pewien.

– Trzymamy się blisko. – Chłopak wzruszył ramionami. – Wyprowadzka, żeby zamieszkać samodzielnie... cóż, tego się po prostu nie robi. Do diabła, zakładam, że nawet gdyby Panos się ożenił, i tak zamieszkałby w pobliżu. Przyciąganiu greckiej rodziny nie można się oprzeć.

Klucz do trupa Panosa mógł się znajdować w jego rodzinnym domu. A w każdym razie, gdybyśmy się tam udali, zasugerowalibyśmy Zen, że nadal czegoś szukamy, co mogłoby ją skłonić do powstrzymania się przed kolejną konfrontacją.

– Pojedźmy tam, Wilsonie – powiedziałem. – Chcę porozmawiać z rodziną.

– Ja jestem rodziną! – stwierdził Dion.

– Z resztą rodziny. – Wyjąłem telefon i wybrałem numer. – Chwileczkę.

Musiałem odczekać kilka sygnałów, zanim ktoś odebrał.

– Elo, ziom – powiedział Yol.

– Wydaje mi się, że to już nie jest modna fraza, Yol.

– Ja przywrócę jej popularność, ziom.

– Nie wiem... Zresztą nieważne. Jestem niemal pewny, że nasi źli goście to Exeltec.

– Hm. Co za pech. Miałem nadzieję, że to jedna z pozostałych dwóch firm. Poczekaj, wyjdę i wtedy porozmawiamy.

– Nie byłem pewien, czy w ogóle pozwolą ci odebrać telefon.

– To kłopotliwe. – Usłyszałem odgłos zamykanych drzwi. – Ale udało mi się wywalczyć trochę swobody, bo formalnie rzecz biorąc, nie zostałem aresztowany, jedynie podlegam kwarantannie. Federalni pozwolili mi tu zorganizować przenośne biuro, ale nikt nie może wejść do budynku ani go opuścić, dopóki ich nie przekonamy, że to coś nie jest zaraźliwe.

– Przynajmniej możesz rozmawiać.

– Do pewnego stopnia. To kłopotliwe, ziom. Jak mam udzielać wywiadów prasie w ramach promocji nowego albumu?

– Odosobnienie jedynie doda ci aury tajemniczości. Możesz mi powiedzieć coś więcej o Exeltecu?

– Wszystko jest w dokumentach, które ci wysłałem – wyjaśnił. – Oni... cóż, to złe wieści. Miałem przeczucie, że to oni. Przyłapaliśmy ich na próbie wprowadzenia szpiegów udających inżynierów szukających pracy.

– Yo, oni zatrudnili zawodowego zabójcę.

– Tego, o którym wspomniałeś wcześniej?

– Tak. Napadła mnie w przejściu między budynkami. Celowała do mnie.

– A niech to diabli.

– Nie zamierzam spokojnie czekać i pozwolić, żeby coś takiego się powtórzyło. Wyślę ci mailem listę instrukcji.

– Instrukcji? A czego będą dotyczyły?

– Jak nie dopuścić, żebym został zabity. – Wziąłem laptopa od Tobiasa. – Yol, muszę cię o coś spytać. Czego nie mówisz mi o tej sprawie?

Zapanowała cisza.

– Yol...

– Nie zabiliśmy go. Przysięgam.

– Ale go obserwowaliście. Śledziliście jego komputer. Inaczej, kiedy

się pojawiłem, nie mielibyście tak po prostu listy wszystkich rzeczy, które robił w ciągu ostatnich kilku miesięcy, gotowych do wydrukowania.

– Fakt – przyznał Yol.

– A on próbował wyjawić wasze informacje. Opublikować w internecie wszystko, co wiązało się z projektem.

Siedzący z przodu Dion odwrócił się i obserwował mnie uważnie.

– Niektórym z inżynierów nie podobało się moje zaangażowanie – powiedział Koreańczyk. – Uważali, że się sprzedali. Panos... ten gość nie myślał o konsekwencjach. Opublikowałyby wyniki naszych badań w ogólnie dostępnym miejscu, żeby wszyscy terroryści o nich wiedzieli. Nie rozumiem takich ludzi, tych ich WikiLeaks i otwartego oprogramowania.

– Bardzo trudno mi uwierzyć, że się go po prostu nie pozbyliście.

Dion poblądł.

– Nie robię takich rzeczy – warknął Yol. – Wiesz, ile kosztuje firmę dochodzenie w sprawie morderstwa?

Naprawdę chciałem mu uwierzyć. W pewnym sensie musiałem mu uwierzyć. Inaczej równie dobrze mogłem skończyć tę misję jako kolejne zwłoki.

– Po prostu postępuj zgodnie z instrukcjami w moim mailu – poleciłem mu i rozłączyłem się.

Ignorując Diona, zacząłem pisać mail, a na drugiej połowie ekranu wciąż odtwarzałem nagrania z kamer monitoringu. Audrey stanęła za moim siedzeniem i patrzyła mi przez ramię, jak piszę.

– Nie powinnaś odpinać pasów – powiedziała Ivy.

– Jeśli się rozbijemy, Steve-O z pewnością wyobrazi sobie dla mnie jakieś rozkosznie okropne blizny. – Audrey wskazała na to, co pisałem. – Rozpuścić pogłoski? O Exeltec? To sprawi, że będą jeszcze bardziej zdesperowani.

– Na to liczę – odparłem.

– Ale wtedy na naszych plecach pojawi się jeszcze większa tarcza celownicza – mruknęła Audrey. – Co ty planujesz?

Nie odpowiedziałem jej. Dokończyłem pisanie instrukcji i wysłałem maila do Yola.

– Dionie – odezwałem się, choć kątem oka wciąż oglądałem nagranie na laptopie. – Czy wasza rodzina jest religijna?

– Mama – odparł z przedniego siedzenia. – Ja jestem ateistą.

W jego głosie brzmiał upór, jakby to było coś, czego w przeszłości musiał bronić.

– Panos?

– Ateista. Mama oczywiście nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

– Kto jest kapłanem waszej rodziny?

– Ojciec Frangos. A dlaczego pan pyta?

– Bo sadzę, że ktoś się pod niego podszył, kiedy odwiedził wieczorem szczątki twojego brata. Albo też ojciec Frangos jest zamieszany w kradzież zwłok.

Dion parsknął.

– On ma z dziewięćdziesiąt lat. Jest tak pobożny, że kiedy matka powiedziała mu, że idę w ślady brata, pościł przez trzydzieści sześć godzin i modlił się za mnie. Sądzę, że sama myśl o świadomym złamaniu jednego z przykazań zabiłaby go na miejscu.

Dzieciak chyba już przestał się mnie bać. Dobrze.

– Spytaj go, co myślał o bracie – zasugerowała Ivy z tylnego siedzenia.

– Wydaje się, że go lubił. – J.C. chrząknął.

– Naprawdę? Sam to wydedukowałaś, co? Stevenie, chciałabym dowiedzieć się o Panosie czegoś, co nie przeszło przez kanały Yola. Jeśli ci się uda, skłoń dzieciaka do mówienia.

– Twój brat – zwróciłem się do Diona. – Wydaje się, że naprawdę nie lubisz firmy, dla której pracował.

– Kiedyś była w porządku. Zanim zrobiła się z niej taka korporacja. Wtedy zaczęły się kłamstwa, wymuszenia. Wszystko obracało się wokół pieniędzy.

– W przeciwieństwie do innych miejsc pracy – zauważyła Audrey – w których wcale a wcale nie chodzi o pieniądze.

Zignorowałem jej uwagę.

– A jednak twój brat nadal tam pracował. Nie mógł więc być zbyt rozdarty z powodu zmian w I3. Przypuszczam, że chciał mieć udział w odrobinie tej gotówki.

Dion odwrócił się na siedzeniu i posłał mi spojrzenie, które mogłoby usmażyć jajko.

– Panosa zupełnie nie obchodziły pieniądze. Został w tym miejscu tylko z powodu ich zasobów.

– Czyli... potrzebował sprzętu I3. A zatem ich pieniędzy.

– No tak, ale nie chodziło o pieniądze. Mój brat zamierzał dokonać wielkich rzeczy. Leczyć choroby. Robił rzeczy, o których nie wiedzieli nawet pozostali, ci zdrajcy. On...

Dion urwał, od razu odwrócił się do przodu i nie reagował na dalsze zachęty.

Popatrzyłem na Ivy.

– Widzę tu poważnie rozwinięty kult bohatera. Podejrzewam, że gdybyś spytał, dowiedziałbyś się, że Dion zamierzał studiować biologię i podążać śladami brata. Filozofia, nawyki... możemy się wiele dowiedzieć o Panosie, obserwując jego brata.

– Czyli – odezwał się J.C. – chcesz powiedzieć, że Panos był irytującym du...

– Tak czy inaczej – przerwała mu Ivy – jeśli to prawda, że Panos pracował nad projektami, o których nie wiedział nawet Garvas i pozostali, to może być prawdziwa tajemnica, którą pragnie odzyskać Yol.

Pokiwałem głową.

– Stephenie – odezwał się Tobias, wskazując na ekran laptopa. – Sądzę, że będziesz chciał to zobaczyć.

Pochyliłem się i cofnąłem nagranie. Tobias, Audrey i J.C. stłoczyli się dookoła, ignorując narzekania Ivy, że żadne z nas nie zapięło pasów. Patrzyłem, jak na małym ekranie, teraz już w normalnym tempie, ktoś opuszcza łazienkę w kompleksie medycznym.

Sprzątaczką. Ciągnąc duży pojemnik na śmieci na kołach, skierowała się do biura koronera, otworzyła drzwi i zniknęła w środku.

– Czy na świecie nikt już się nie przejmuje bezpieczeństwem? – warknął J.C., wskazując na ekran. – Popatrz na ochroniarza! Nawet na nią nie spojrzął.

Zatrzymałem nagranie. Kamera była ustawiona pod takim kątem,

że nie mogliśmy się dobrze przyjrzeć postaci, nawet kiedy przewinąłem i znów zatrzymałem.

– Niezbyt wysoka – powiedział Tobias. – Ciemne włosy, kobieta. Nic więcej nie widzę. A reszta?

J.C. i Audrey potrząsnęli głowami. Zatrzymałem obraz na ochroniarzu. Nie był to ten, którego poznaliśmy. Niższy mężczyzna siedział na stanowisku ochrony i czytał książkę w miękkich okładkach. Cofnąłem, żeby zobaczyć, którędy sprzątaczką dostała się do budynku, ale musiała wejść od tyłu. Zauważyłem jednak, jak strażnik naciska przycisk – być może otwierał tylne drzwi dla kogoś, kto nacisnął brzęczyk, by poprosić o ich odblokowanie.

Przewinęliśmy do przodu i zobaczyliśmy, jak sprzątaczką opuszcza biuro koronera i odwiedza każde pomieszczenie wzdłuż korytarza. Kimkolwiek była, pilnowała, żeby zachowywać się tak jak zwykle. Szybko posprzątała pozostałe biura i zniknęła w korytarzu, wciąż ciągnąc duży pojemnik na śmieci.

– W tym koszu z całą pewnością można by ukryć zwłoki – stwierdził J.C. – Przecież strażnik mówił, że nikt nie wchodził do tych pomieszczeń!

– Personel sprzątający zwykle uważa się za „nikogo” – zauważył Tobias. – A drzwi do kostnicy były zamknięte. Liza mówiła, że nawet ochroniarz nie mógłby się dostać do środka, więc najprawdopodobniej sprzątaczką nie wchodzi do tego pomieszczenia, a jeśli już, to pod nadzorem.

– Czy na pendrivie masz nagrania z innych nocy? – spytała Audrey.

– Dobry pomysł.

Po krótkich poszukiwaniach znalazłem nagrania z dwóch poprzednich nocy. Jak odkryliśmy, o mniej więcej tej samej porze każdej nocy kompleks odwiedzała sprzątaczką i zajmowała się podobnymi czynnościami. Ale jej pojemnik na śmieci był mniejszy i z całą pewnością był to ktoś inny. Owszem, kobieta, o podobnej sylwetce, ale jaśniejszych włosach.

– Czyli najpierw podstawili kapłana, a później sprzątaczką – stwierdziła Audrey.

– To powinno być niemożliwe – mruknął J.C. – Powinni mieć zasady

postępowania w takich sytuacjach.

– I co z tego? – spytała Audrey. – To nie jest ściśle strzeżony obiekt, J.C. Lata spokoju bez żadnych incydentów sprawiają, że człowiek zaczyna się robić niedbały. Poza tym ludzie, którzy to przeprowadzili, znali się na swojej robocie. Zorganizowali fałszywe dowody tożsamości, znali godziny wejścia i wyjścia sprzątaczk. Jest tak samo ubrana i nawet wysprzątała wszystkie biura, żeby nikt nie nabrał podejrzeń.

Jeszcze raz odtworzyłem nagranie, zastanawiając się, czy to Zen we własnej osobie. Sylwetka pasowała. Jak to wcześniej powiedziała Audrey? Ludzie są zazwyczaj zabezpieczeni o wiele słabiej niż strategie szyfrowania – czy też w tym przypadku środki bezpieczeństwa – które stosują. Do niczego by nie doszło, gdyby strażnik podniósł wzrok na sprzątaczkę. Ale on tego nie zrobił – a właściwie dlaczego miałyby? Czy w tych biurach w ogóle było cokolwiek, co ktoś mógłby chcieć ukraść?

Tylko zwłoki z ukrytym planem broni masowej zagłady.

Kiedy w końcu wjechaliśmy na osiedle, stłumiłem ziewnięcie. A niech to. Miałem nadzieję, że w czasie jazdy uda mi się zdrzemnąć. Nawet pół godziny dobrze by mi zrobiło. Teraz nie miałem na to żadnych szans. Dlatego odpisałem na wiadomość zwrotną od Yola, mówiąc mu, że tak, chciałem doprowadzić Exeltec do jeszcze większej gorączki, i tak, wiedziałem, co robię. Wydawało się, że kolejny zestaw instrukcji go udobruchał.

Podjechaliśmy do staroświeckiego białego domku, parterowego i wybudowanego na planie litery L. Otaczał go starannie przystrzyżony trawnik, a ściany porastały pnącza. Starannie pielęgnowana atmosfera zadbania pomagała ukryć fakt, że ten domek – z zewnętrznym deskowaniem, małymi oknami i dobudowanym garażem – swoje najlepsze lata miał już dawno za sobą.

– Nie robi pan krzywdy mojej rodzinie, prawda? – spytał Dion z przedniego siedzenia.

– Nie, ale mogę cię trochę zawstydzić.

Dion chrząknął.

– Przedstaw mnie. – Otworzyłem drzwi. – Jesteśmy po tej samej

stronie. Obiecuję, że kiedy odzyskam ciało twojego brata, nie pozwolę, by I3 zrobiło z nim coś nikczemnego. Właściwie, jeśli chcesz, pozwolę ci popatrzeć na kremację, a I3 nie będzie miało szans położyć na nim rąk.

Dion westchnął, ale również wysiadł z samochodu i ruszył ze mną w stronę domu.

14

– Miej oko na wszystko – powiedziałem do J.C., kiedy zbliżyliśmy się do domu. – Nie zapomniałem, że Zen jest gdzieś w okolicy.

– Może powinniśmy wezwać wsparcie – zaproponował J.C.

– Kolejnych Strażników Teksasu? – spytała Ivy.

– Strażników Czasu – warknął J.C. – I nie, my tu nie mamy materii temporalnej. Mówiłem o realnych ochroniarzach. Gdyby chudy wynajął paru, czułbym się o wiele bezpieczniejszy.

Potrząsnąłem głową.

– Niestety, nie mam na to czasu.

– Może powinieneś powiedzieć Zen prawdę. – Tobias musiał truchtać, żeby dotrzymać nam kroku. – Czy to mądre posunięcie, pozwolić jej sądzić, że mamy informacje, których potrzebuje?

Z tyłu Wilson odjeżdżał SUV-em – poleciłem mu jeździć do chwili, gdy poproszę go o odebranie. Lepiej by było, gdyby Zen nie postanowiła przesłuchać mojego służącego. Niestety, jeśli była zdeterminowana, odjazd nie zapewni mu bezpieczeństwa. Może rzeczywiście powinienem powiedzieć Zen, że nie mam tych informacji? Instynkt podpowiadał mi jednak, że im mniej wie o tym, co odkryłem, tym lepiej dla mnie. Musiałem po prostu obmyślić plan, w jaki sposób się nią zająć.

Dion zaprowadził mnie do domu, obejrzał się na mnie przez ramię, po czym z westchnieniem otworzył drzwi. Złapałem je i przytrzymałem dla aspektów, a sam wślizgnąłem się do środka jako ostatni.

Dom pachniał starością. Meblami, które wiele razy czyszczono na wysoki połysk, zwietrzałym potpourri i drewnem palonym w starym kominku. Staranne zagracenie sprawiało, że na każdej ścianie i każdym blacie moim oczom co chwila ukazywało się coś nowego – w korytarzu rząd rodzinnych zdjęć w zabawnych ramkach, w szklanej gablotce przy drzwiach zbiór ceramicznych figurek kotów, na półce nad kominkiem kolorowe świece o charakterze religijnym. Dom nie wyglądał, jakby ktoś w nim mieszkał, ale jakby został udekorowany. To było muzeum życia rodziny, której członkowie wiele przeżyli.

Dion powiesił okrycie obok drzwi. Było tam jedyne – reszta została starannie powieszona we wnęce na płaszcze. Ruszył korytarzem, wołając matkę.

Ja powoli wkroczyłem do salonu wyposażonego w chodnik ułożony na wykładzinie dywanowej i głęboki fotel z wytartymi podłokietnikami. Zatrzymałem się przy kominku i przyjrzałem uważnie wiszącemu na ścianie pięknemu krzyżowi ze szkła.

– Katolicy? – spytałem, zauważając pełne szacunku zachowanie Ivy.

– Blisko. Prawosławni tradycji greckiej. To portret cesarza Konstantyna.

Objąłem wzrokiem świece, obrazy i krzyż.

– Jest bardzo religijna.

– Albo po prostu bardzo lubi ozdoby. Czego szukamy?

– Klucza do odszyfrowania danych. – Odwróciłem się. – Audrey? Masz jakiś pomysł, jak on może wyglądać?

– Jest cyfrowy. Klucz jednorazowy jest tej samej długości co dane, które koduje. Dlatego Zen rzuciła się na tego pendrive'a.

Rozejrzałem się po pokoju. Wypełniało go tak wiele bibelotów, że pendrive mógł się ukrywać właściwie gdziekolwiek. Tobiasz, Audrey i J.C. zaczęli szukać. Ivy została przy mnie.

– Igła w stogu siania? – spytałem ją cicho.

– Możliwe. – Założyła ręce na piersi i zaczęła stukać jednym palcem o drugie ramię. – Chodźmy obejrzyć zdjęcia. Może coś z nich wywnioskujemy.

Pokiwałem głową i wyszedłem na korytarz prowadzący do kuchni, w którym wcześniej zauważyłem zdjęcia rodziny. Cztery w rzędzie

były oficjalnymi portretami każdego z członków. Zdjęcie ojca było dość stare, pochodziło z lat siedemdziesiątych – zmarł, kiedy chłopcy byli mali. Pod portretami matki i Diona wisiało coś, co wyglądało na ikony świętych.

Pod Panosem nie było niczego takiego.

– Symbol, że odrzucił wiarę? – Wskazałem na puste miejsce.

– Nic tak melodramatycznego. Zgodnie z prawosławnym zwyczajem razem ze zmarłym chowa się ikonę Chrystusa albo jego patrona. Obraz został zdjęty w czasie przygotowań do pogrzebu.

Pokiwałem głową i ruszyłem dalej, szukając zdjęć przedstawiających rodzinne interakcje. Zatrzymałem się przy takim, które musiało zostać zrobione niedawno. Uśmiechnięty Panos trzymał w ręku rybę, a jego matka – w okularach przeciwsłonecznych – obejmowała go z boku.

– Z tego, co o nim wiemy, był szczery i przyjazny – powiedziała Ivy.

– Idealista, który wraz z kolegami ze studiów założył własną firmę. „Gdyby się udało”, pisał przed kilkoma miesiącami na forum, „to każdy człowiek w każdym kraju mógłby mieć dostęp do ogromnych mocy obliczeniowych. Ich własne ciało zapewnia energię, magazynowanie danych, nawet przetwarzanie”. Inni użytkownicy zwracali uwagę na niebezpieczeństwa z tym związane. Panos się z nimi kłócił. Postrzegał to wszystko jako swego rodzaju rewolucję informacyjną, krok do przodu dla ludzkości.

– Czy w tych jego wiadomościach jest coś, co nie wydaje się nie na miejscu?

– O to spytaj Audrey. Ja skupiam się na Panosie jako człowieku. Kim był? Jak mógł się zachować?

– Nad czymś pracował. Leczenie chorób, czy nie tak mówił Dion? Pewnie był naprawdę zły, kiedy inni przerwali jego badania wirusów z powodu strachu przed nowotworami.

– Yol wie, że Panos zaszedł w swoich badaniach dalej, niż ujawniał. Dla mnie to jasne. Szpiegował Panosa i był tym wszystkim naprawdę zaniepokojony. Co sugeruje, że martwiło go niebezpieczeństwo większe nawet od tej drobnej wpadki z nowotworami. Dlatego właśnie cię ściągnął i dlatego tak rozpaczliwie pragnie, żebyś zniszczył ciało.

Powoli pokiwałem głową.

– A co z Panosem? Czego się możesz domyślać, jeśli chodzi o niego i klucz?

– Jeśli w ogóle go użył, przypuszczam, że dał go komuś z rodziny.

– Zgoda – powiedziałem, kiedy Dion w końcu wyszedł przez tylne drzwi i zaczął nawoływać matkę w ogródku.

Poczułem niepokój. Czyżby Zen dotarła tu przed nami? Ale nie, kiedy wszedłem do kuchni, zobaczyłem matkę, która przycinała drzewo w ogrodzie. Dion wyszedł do niej.

Zatrzymałem się na chwilę, stanąłem między Audrey a J.C.

– I jak – zapytała Audrey – czy w przyszłości będziemy mieli latające samochody?

– Nie przybyłem z twojej przyszłości. Ja pochodzę z równoległego wymiaru, a ty z jeszcze innego.

– A czy w twoim są latające samochody?

– To dane zastrzeżone – odparł J.C. – Mogę ci powiedzieć jedynie to, że mój wymiar zasadniczo przypomina ten... tyle tylko, że istnieję w nim ja.

– Innymi słowy, jest o wiele gorszy.

– Powinienem cię zastrzelić, kobieto.

– Spróbuj.

Stanąłem między nimi, ale J.C. tylko chrząknął.

– Nie kuś mnie – warknął do Audrey.

– Nie, poważnie mówię. Strzel do mnie. Dalej. A później, kiedy nic się nie stanie, bo oboje jesteśmy wyobrażeni, będziesz musiał dopuścić do siebie prawdę: że jesteś szalony, nawet jak na wytwór chorego umysłu. Że on wyobraził sobie ciebie jako magazyn informacji. Że tak naprawdę sam jesteś tylko pamięcią USB, J.C.

Spiorunował ją wzrokiem i odszedł ze spuszczoną głową.

– I jeszcze... – zawołała za nim.

Chwyciłem ją za ramię.

– Dosyć.

– Dobrze, jeśli ktoś od czasu do czasu sprowadzi go na ziemię, Steve-O. Nie możemy pozwolić, żeby fragmenty twojego umysłu za bardzo zadzierały nosa, nie?

– A co z tobą?

– Ja jestem inna.

– Ach tak? I nic by ci się nie stało, gdybym po prostu przestał sobie ciebie wyobrażać?

– Nie wiesz, jak to zrobić – powiedziała niepewnie.

– Jestem przekonany, że gdyby J.C. rzeczywiście do ciebie strzelił, mój umysł doprowadziłby to do logicznego końca. Zginęłabyś, Audrey. Dlatego uważaj, o co prosisz.

Spojrzała w bok i przestąpiła z nogi na nogę.

– No to... yyy... czego chcesz?

– W tej chwili nie mam nikogo, kto bardziej od ciebie nadawałby się na analityka danych. Informacje, które dał nam Yol. Zastanów się nad mailami, postami na forach i prywatnymi informacjami z komputera Panosa. Muszę wiedzieć, czego nie mówił.

– Czego nie mówił?

– Co jest ukryte, Audrey. Niespójności. Sugestie. Muszę wiedzieć, nad czym tak naprawdę pracował... poznać jego tajne projekty. Istnieje spora szansa, że gdzieś w internecie zostawił wskazówki.

– W porządku... zastanowię się nad tym.

Przeszła od niszowej specjalizacji – analiza pisma ręcznego – do czegoś większego. Miałem nadzieję, że to początek nowej tendencji. Zaczynało mi brakować miejsca dla aspektów, coraz trudniej było je pomieścić, zarządzać nimi, wyobrażać je sobie wszystkie naraz. Przypuszczałem, że dlatego właśnie Audrey upierała się przy udziale w tej misji – w głębi duszy wiedziałem, że jest konieczne, by moje aspekty zaczynały zdobywać nowe umiejętności.

Popatrzyła na mnie i skupiła wzrok.

– Właściwie, po zastanowieniu, mogę już teraz mieć coś dla ciebie.

Wirusy.

– Co z nimi?

– Panos spędzał mnóstwo czasu na forach poświęconych immunologii, rozmawiał o chorobach, brał udział w bardzo szczegółowych dyskusjach z ludźmi, którzy badają bakterie i wirusy. Nic z tego, co powiedział, nie jest szczególnie odkrywczym, ale kiedy spojrzeć na całość...

– Zajmował się składaniem genów drobnoustrojów. Nic dziwnego, że tam trafił.

– Ale Garvas powiedział, że porzucili wirusy jako sposób wprowadzania danych. Jednak kiedy I3 porzuciło tę część projektu, Panos zaczął się jeszcze częściej wypowiadać na te tematy. – Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się szeroko. – Doszłam do tego!

– Dobra robota.

– To znaczy pewnie ty do tego doszedłeś. – Założyła ręce na piersiach. – Jako wyimaginowana osoba mam problemy z odczuwaniem satysfakcji, że coś osiągnęłam.

– Wyobraź sobie swoją satysfakcję. Jesteś wyobrażona, więc wyobrażona satysfakcja powinna ci wystarczyć.

– Ale jeśli jestem wyobrażona i coś sobie wyobrażam, jest to podwójnie nierealne. Jak użycie kserokopiarki, żeby skopiować coś, co już zostało skopiowane.

– Właściwie – Tobias podszedł do nas powolnym krokiem – formalnie rzecz biorąc, wyobrażone poczucie satysfakcji musiałoby zostać wyobrażone przez pierwotnego wyobrażającego, więc nie byłoby iteracją, jak sugerujesz.

– To tak nie działa – sprzeciwiła się Audrey. – Zaufaj mi, jestem ekspertem w byciu wyobrażoną.

– Ale... jeśli wszyscy jesteśmy aspektami...

– Tak, ale ja jestem bardziej wyobrażona niż ty. Albo, no cóż, mniej. Ponieważ ja o tym wszystkim wiem.

Uśmiechnęła się triumfalnie, kiedy Tobias podrapał się po brodzie, próbując znaleźć w tym sens.

– Jesteś szalona – powiedziałem cicho, patrząc na Audrey.

– Że co?

Wtedy właśnie mnie to uderzyło. Audrey była szalona.

Jak każdy z moich aspektów. Już właściwie nie zauważałem schizofrenii Tobiasa, nie wspominając o tryfobii Ivy. Ale szaleństwo cały czas pozostawało obecne, choć w ukryciu. Każdy aspekt na coś cierpiał, czy to na strach przed zarazkami, technofobię czy megalomanię. Aż do tej pory nie uświadamiałem sobie, jaki jest problem Audrey.

– Myślisz, że jesteś wyobrażona – powiedziałem.

– Wielkie mi odkrycie.

– Ale nie dlatego, że rzeczywiście jesteś wyobrażona, tylko dlatego, że cierpisz na psychozę, która każe ci wierzyć, że jesteś wyobrażona. Sądziłabyś tak nawet gdybyś przypadkiem była realna.

Trudno było to dostrzec. Wiele aspektów akceptowało swój los, jednak nieliczni się z nim konfrontowali. Nawet Ivy robiła to z trudem. Ale nie Audrey, ona się z nim obnosiła i chełpiła. Ponieważ w głębi umysłu była prawdziwą osobą, która oszalała, i dlatego sądziła, że nie jest realna. Zakładałem, że była samoświadoma, ale zupełnie nie o to chodziło. Była równie szalona jak pozostali. Po prostu jej szaleństwo przypadkiem zgadzało się ze stanem rzeczywistym.

Spojrzała na mnie, wzruszyła ramionami i natychmiast próbowała zmienić temat rozmowy, pytając Tobiasa o pogodę. On oczywiście wspomniał o swoim urojeniu, które mieszkało w satelicie wysoko nad nami. Potrząsnąłem głową i odwróciłem się.

I zobaczyłem Diona stojącego w drzwiach z wyraźnie skrepowaną miną. Ile widział? Popatrzył na mnie, jak mógłby popatrzeć na nieznanego psa, który jeszcze przed chwilą gorączkowo szczekał, ale teraz wydawał się spokojny. Przez tę całą wymianę zdań byłem szaleńcem, chodzącym po pokoju i mówiącym do siebie.

Nie, nie zwariowałem, pomyślałem. Panuję nad tym.

Może to właśnie było moje prawdziwe szaleństwo. Wiara, że sobie z tym wszystkim poradzę.

– Znalazłeś matkę? – spytałem.

– Na podwórku. – Dion pokazał palcem za siebie.

– Chodźmy z nią porozmawiać – powiedziałem i precyzyjnie się obok niego.

15

Ivy i J.C. siedzieli na schodach do ogrodu. Ona głaskała go po plecach,

a on siedział ze zwieszonymi rękami i wpatrywał się w żuka pełznącego po ziemi. W jednej dłoni wciąż trzymał broń. Ivy spojrzała na mnie i potrząsnęła głową – to nie był dobry moment, by z nim rozmawiać.

Ruszyłem przez zadbany trawnik, a za mną Audrey i Tobias. Pani Maheras skończyła przycinanie drzewa i teraz przyglądała się swoim pomidorom, zdejmowała z nich robaki i wyrывała chwasty.

Nie podniosła wzroku, kiedy się zbliżyłem.

– Stephen Leeds. – W jej głosie brzmiał wyraźny grecki akcent. – Jak słyszałam, jest pan sławny.

– Tylko wśród ludzi, którzy lubią plotki. – Ukląknęłam. – Ładne pomidory. Dobrze rosną.

– Wyhodowałam sadzonki w domu. – Uniosła w dłoni jeden z soczystych, zielonych owoców. – Wiem, że pomidory rosną lepiej po ostatnich przymrozkach, ale chcę je mieć jak najszybciej.

Czekałem, aż Ivy podpowie mi, co mam powiedzieć, ale ona wciąż siedziała na schodach. Idiota, pomyślałem.

– Lubi pani pracę w ogrodzie?

Pani Maheras podniosła wzrok i popatrzyła mi w oczy.

– Cenię ludzi, którzy podejmują decyzje i postępują zgodnie z nimi, panie Leeds. Nie ludzi, którzy próbują prowadzić uprzejmą rozmowę na temat rzeczy, którymi wyraźnie się nie interesują.

– Niektóre części mojej osoby bardzo interesują się ogrodnictwem. Po prostu nie zabrałem ich ze sobą.

Patrzyła na mnie i czekała.

Westchnąłem.

– Pani Maheras, co pani wie o badaniach syna?

– Prawie nic. Okropne rzeczy.

Zmarszczyłem czoło.

– Ona myśli, że odciągnęły go od Kościoła. – Dion stał za mną i kopał grudę ziemi. – Cała ta nauka i zadawanie pytań. Niech niebiosa się nad nami zlitują, jeśli człowiek postanowi myśleć samodzielnie.

– Dionie – powiedziała – nie gadaj głupot.

Złożył ręce na piersi i spojrzał na nią wyzywająco.

Kobieta popatrzyła na mnie.

- Pracuje pan dla ludzi, którzy zatrudnili mojego syna.
- Chcę jedynie znaleźć jego ciało. Zanim wydarzy się coś niebezpiecznego. Co może mi pani powiedzieć o państwa kapłanie?
- Ojcu Frangosie? Dlaczego w ogóle pan o niego pyta?
- Jako ostatni widział ciało. Odwiedził biuro koronera wieczorem przed zniknięciem zwłok pani syna.
- Niech pan nie będzie śmieszny. Niczego takiego nie zrobił, był tutaj. Poprosiłam go o pobłogosławienie domu, a on nas odwiedził.
- Stojący z boku Tobias i Audrey popatrzyli po sobie. Mieliśmy świadka, że ojciec Frangos nie odwiedził ciała. Dowód, że ktoś się pod niego podszył. Ale co nam dawała ta wiedza?
- Czy Panos przed śmiercią coś pani dał? – spytałem.
- Nie.
- To mogło być coś trywialnego. Jest pani pewna? Nic nie przychodzi pani na myśl?
- Odwróciła się do roślin.
- Nie.
- Czy w ciągu ostatnich kilku miesięcy spędzał z kimś szczególnie dużo czasu?
- Tylko z ludźmi z tego okropnego laboratorium.
- Ukląknęłam obok niej.
- Pani Maheras – powiedziałem cicho. – Od badań pani syna zależy życie wielu ludzi. Jeśli coś pani ukrywa, może się okazać, że doprowadzi pani do katastrofy na skalę krajową. Nie musi pani oddawać tego mnie. Policja też się nada... albo jeszcze lepiej FBI. Ale proszę nie ryzykować.
- Popatrzyła na mnie, wargi miała zaciśnięte. Później jej twarz stężała.
- Nic dla pana nie mam.
- Westchnąłem i wstałem.
- Dziękuję.
- Ruszyłem w stronę schodów. J.C. pod wpływem Ivy nieco już się ożywił.
- I jak? – spytał.
- Odmawiała odpowiedzi. Jeśli nawet dał klucz matce, ona mi o tym

nie powie.

– Przybycie tutaj było błędem – mruknął J.C. – Odwróciło naszą uwagę od tego, co musimy zrobić.

Posłałem spojrzenie matce, która wciąż mi się przyglądała. Trzymała w ręku rydel.

– Przyznaj, chudy. Jeśli czegoś wkrótce nie zrobimy, świat dostanie raka. – Zawahał się. – Smeta, zabrzmiało głupio, kiedy wypowiedziałem to na głos.

– ...Smeta? – powtórzyłem.

– Przekleństwo z przyszłości.

– Dlaczego brzmi jak...

– Przekleństwa z przyszłości zawsze brzmią tak samo jak nasze. – J.C. przewrócił oczami. – Ale nimi nie są, więc można je wypowiadać w obecności świętoszków. – Pokazał palcem na Ivy, która wciąż siedziała obok niego.

– Chwileczkę – zauważyła Ivy. – Wydawało mi się, że pochodzisz z innego wymiaru, nie z przyszłości.

– Bzdura. Zawsze pochodziłem z przyszłości.

– Od kiedy?

– Od przyszłego wtorku. Posłuchaj, chudy, czy mam się powtarzać? Wiesz, jakie jest nasze następne posunięcie.

Westchnąłem i pokiwałem głową.

– Tak. Czas się włamać do Exeltecu.

Część trzecia

16

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł?

Ivy z trudem dotrzymywała mi kroku, kiedy wychodziłem przez frontowe drzwi domu.

– To nasz najlepszy trop, Ivy – powiedział J.C. – Nie mamy czasu na badanie nowych wątków. Exeltec ma ciało. Musimy odkryć, gdzie je trzymają, i wykraść je z powrotem.

Skinąłem głową.

– Klucz Panosa może być gdziekolwiek, ale jeśli zniszczymy zwłoki, klucz nie będzie miał znaczenia.

Kiedy sięgnąłem po telefon, zauważyłem, że przegapiłem połączenie od Yola. Skinieniem głowy kazałem J.C. pilnować nas, po czym wysłałem wiadomość do Wilsona, żeby nas odebrał, i oddzwoniłem do Yola. Koreańczyk odebrał.

– Cześć – powiedziałem.

– Nie mam czasu. – Głos Yola wydawał się stłumiony. – Jest źle, Legion. Naprawdę źle.

Zrobiło mi się zimno.

– Co się stało?

– Panos. – Yol mówił szybko, a pośpiech sprawiał, że jego akcent stawał się wyraźniejszy. – Coś wypuścił. Niech to diabli. To...

– Yol? – Zesztywniałem, a Ivy i Tobias tłoczyli się przy mnie, próbując usłyszeć rozmowę. – Yol!

Usłyszałem głosy na drugim końcu, a później zgrzyty.

– Jestem aresztowany – powiedział po chwili Yol. – Nie będę udzielał żadnych informacji ani żadnych nie przyjmę. Zabierają mi

telefon.

– Co wypuścił Panos, Yol?

– Nie wiemy. Federalni przypadkiem uruchomili ukryty plik na jego komputerze. Skasował całą zawartość i wyświetlił ekran, który z nas szydził, z tekstem, że już wypuścił swoją infekcję. Oni świrują. Nic więcej nie wiem.

– A rzeczy, o które cię prosiłem?

– Niektóre zrobiłem. Inne zacząłem. Nie wiem, czy uda mi się skończyć.

– Yol, moje życie zależy od tego, czy...

– Życie nas wszystkich jest zagrożone – warknął Yol. – Nie słuchałeś? To katastrofa. Niech to diabli! Są tutaj. Znajdź to ciało. Dowiedz się, co on zrobił!

Znów rozległ się szelest, a po chwili połączenie zostało zerwane. Miałem poczucie, że Yol się nie rozłączył – ktoś odebrał mu telefon. Federalni pewnie już wiedzieli, że jestem zamieszany.

Opuściwszy telefon, popatrzyłem na aspekty. Dostrzegłem też zbliżającego się Wilsona. Za naszymi plecami Dion wyszedł z domu, ręce trzymał w kieszeniach. Wydawał się zaniepokojony.

– Musimy ruszać – powiedział J.C., podbiegając do mnie. Wcześniej krążył po okolicy. – Zen może tu dotrzeć w każdej chwili.

– Jeśli to robi, pani Maheras będzie w niebezpieczeństwie. Zaskakuje mnie, że Zen jeszcze tu nie dotarła... a jeśli nie ona, to jakiś inny sługus Exeltecu. – Zmarszczyłem czoło. – Czuję się tak, jakbyśmy pozostawiali krok za nią. Nie podoba mi się to uczucie.

Zignorowałem czekający na nas samochód i ledwie zauważyłem podchodzącego bliżej Diona. Miast tego zamknąłem oczy.

– Tobiasie – szepnąłem.

– Zwróciłeś uwagę na urodę tego ogrodu? – zaczął mówić Tobias. – To begonie bulwiaste, trudne do wyhodowania, zwłaszcza w tych okolicach. Potrzebują dużo światła, ale nie bezpośredniego słońca, i są bardzo wrażliwe na przymrozki. Ach, pamiętam historię na ich temat...

Mówił dalej. Inne aspekty umilkły i wspólnie myśleliśmy. Nie zamierzałem ruszyć dalej z uczuciem, że coś przegapiłem. Coś, co

jedno z nas powinno zauważyć. Co to było?

– Zen – przerwał mi nagle J.C. – Jej zasadzka.

– Ludzie są zabezpieczeni o wiele słabiej – szepnąłem, otwierając oczy – niż środki bezpieczeństwa, które stosują.

Uniosłem rękę do ramienia, za które Zen mnie chwyciła, żeby odciągnąć mnie od budynku, a później wsunąłem dłoń pod kołnierz koszuli.

Moje palce musnęły metal.

– A niech to wszyscy diabli! – powiedział J.C.

Zen założyła mi pluskwę. O to chodziło w ataku w przejściu. Sprawiał wrażenie brawurowego, ale wcale tak nie było. Myślałem pośpiesznie, kiedy J.C. wyjaśniał innym aspektem, co się wydarzyło. Co powiedziałem na głos? Co wiedziała Zen?

Usłyszała, że zamierzam się włamać do Exeltecu. Ale co z instrukcjami, które wysłałem Yolowi? Czy wiedziała o nich?

Cały spocony przeszukałem wspomnienia. Nie. Jedynie zapisałem te informacje w mailu. Ale wiedziała, co powiedziałem pani Maheras. Wiedziała, że zabrąłem w ślepy zaułek.

– Jestem idiotą – stwierdził J.C. – Pomyśleliśmy, żeby cię wyszorować po restauracji, ale nie po rzeczywistym fizycznym kontakcie z zabójczynią?

– Dobrze ukrywała swoje zamiary – zauważyła Audrey. – Zamaskowała to jako gorączkową próbę zdobycia pendrive'a.

– Przynajmniej teraz pewnie nie powinniśmy się martwić, że przyjdzie i zrobi krzywdę pani Maheras.

Najpewniej. Gapiłem się na telefon. Jak mogliśmy tego nie dostrzec?

– Spokojnie, Stephenie. – Tobias położył mi dłoń na ramieniu. – Wszyscy popełniają błędy, nawet ty. Ten możemy wykorzystać... zabójczynie nas słucha, ale nie wie, że się tego domyśliłeś. Możemy nią manipulować.

Pokiwałem głową i odetchnąłem głęboko. Zen wiedziała o planie przeniknięcia do Exeltecu, co znaczyło, że nie mogłem go teraz zrealizować. Potrzebowałem czegoś nowego, czegoś lepszego.

Musiałem zatem polegać na planie, który zacząłem realizować z pomocą Yola. Zmusić właścicieli Exeltecu do gorączkowych działań

i wykorzystać to. Dlaczego moje misje ostatnio tak się kończyły? Popatrzyłem na aspekty, po czym podjąłem decyzję i wybrałem numer.

Ktoś odebrał.

– Cześć, kochanie – usłyszałem zmysłowy głos po drugiej stronie. – Miałam nadzieję, że dziś do mnie zadzwonisz.

– Bianca – powiedziałem.

Tobias jęknął.

– Tylko nie ona.

Zignorowałem go.

– Potrzebuję informacji – powiedziałem do kobiety po drugiej stronie.

– Jasna sprawa, misiaczku. – Jak ona mogła tak mrużyć? Byłem na wpół przekonany, że wykorzystywała do tego jakąś aplikację z efektami dźwiękowymi. – O czym? Twojej... randce wczoraj wieczorem? Mogę podać ci nazwiska ludzi, którzy cię wrobili.

– Nie o to chodzi. Coś się dzieje z firmą o nazwie I3 i ich rywalem, Exeltekiem. Możliwe, że wypuścili w świat zabójczego wirusa. Wiesz coś o tym?

– Hmm... Mogę się rozejrzeć. Ale to pewnie trochę potrwa.

– Docenię wszystko, co uda ci się znaleźć na Exeltec.

– Jasne. I jeszcze jedno, kochanie. Jeśli znów będziesz miał ochotę wybrać się na randkę, może zadzwonisz do mnie? Czuję się tak ogromnie urażona, że nawet o mnie nie pomyślałeś!

– A ty byś oczywiście przyszła.

Nie widziałem Bianki od trzech lat.

– Przynajmniej bym to rozważyła. A teraz naprawdę musisz mi dać coś dla gazet. Może o twojej randce?

– Zdobądź mi informacje o Exeltecu, a wtedy się wymienimy.

Rozłączyłem się i obejrzałem przez ramię. Dion stał obok mnie na chodniku. Miał zdezorientowaną minę.

– Czego zamierza się pan dowiedzieć? – spytał.

– Niczego. – Byłem w pełni świadom, że Zen tego wszystkiego słucha. – Bianca to koszmarne informator. Nigdy nie dostałem od niej najmniejszej pożytecznej informacji, a kiedy do niej dzwonię,

większość z tego, co powiedziałem, po paru minutach trafia do sieci.

– Ale...

Wybrałem numer kolejnego informatora i pytałem o podobne kwestie, choć tym razem nieco bardziej ogólnie. Później trzeciego. W ciągu kilku minut dopilnowałem, by już niedługo wszyscy, którzy interesowali się Exeltekim, przeczytali o ich powiązaniach z poważnym zagrożeniem bezpieczeństwa publicznego. Śledztwo w sprawie I3 i mój udział były ziarnem prawdy, które miało sprawić, że pogłoski wywołają gorączkę w mediach.

– Przypierasz ich do muru, Steve – powiedziała Ivy, kiedy Wilson w końcu podjechał. – Pracodawcy Zen już wcześniej byli zdesperowani. Kiedy to się rozejdzie, będą wściekli.

– Masz nadzieję, że skłonisz ich, żeby cię ignorowali i skupili się na ograniczaniu szkód w mediach? – spytał J.C. – Niezbyt sprytne posunięcie. Smagnięcie tygrysa biczem nie odwróci jego uwagi, jedynie go rozwścieczy.

Nie mogłem tego wyjaśnić, dopóki Zen słuchała. Dlatego wyjąłem notatnik i napisałem parę poleceń dla Wilsona, zakładając, że moje aspekty je zobaczą i się domyślą.

Ku mojemu zaskoczeniu pierwsza załapała Audrey. Uśmiechnęła się szeroko.

– Aha...

– Niebezpieczne. – Ivy założyła ręce na piersi. – Bardzo niebezpieczne.

Wilson opuścił szybę po stronie pasażera.

– Panie Leeds?

Skończyłem pisać i zajrzałem do środka przez okno, podając mu wiadomość.

– Mam dla ciebie kilka poleceń. Musisz tu zostać i pilnować pani Maheras. Boję się, że zabójczyni może spróbować ją dopaść. Właściwie najlepiej by było, gdybyś od razu zabrał ją na najbliższy posterunek.

– Ale kto będzie pana woził?

– Umiem prowadzić.

Wilson zrobił sceptyczną minę.

– To zabawne – zauważyła Audrey – jak ktoś może ci ufać, że uratujesz świat, ale jednocześnie sądzić, że wymagasz karmienia i wożenia.

Uśmiechałem się uspokajająco, kiedy Wilson popatrzył z góry na instrukcje w rękę, a później na mnie. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Proszę – powiedziałem do niego.

Wilson z westchnieniem skinął głową, po czym wysiadł z samochodu.

– Idziesz? – spytałem Diona, otworzyłem boczne drzwi SUV-a i poczekałem, aż moje aspekty wsiądą.

– Powiedział pan, że życie wielu ludzi może być zagrożone.

– Bo to prawda. – Zamknąłem drzwi za Audrey. – To, co wypuścił twój brat, może kosztować życie milionów ludzi.

– Powiedział, że to nie jest niebezpieczne. – W głosie Diona brzmiał upór.

A niech to. Dzieciak coś przede mną ukrywał. Czy on miał klucz? Niestety wolałem, żeby nic nie mówił, bo Zen wszystko słyszała. Cóż, tak czy inaczej, potrzebowałem go. Skoro już odprawiłem Wilsona, może mi się przydać dodatkowa para niewyimaginowanych rąk.

Usadowiłem się za kierownicą. Dion zajął miejsce pasażera z przodu.

– Panos nie zrobił nic złego.

– A co zrobił? – spytałem z rezygnacją.

Gdybym się nie dopytywał, Zen mogłaby to uznać za podejrzanę.

– Coś.

– Nie szczędzisz mi szczegółów.

– Nie chciał powiedzieć. Wydaje mi się, że nawet tego nie dokończył. Ale nie było niebezpieczne.

– Ja...

Urwałem i odwróciłem się, kiedy zadzwoniła komórka J.C. Jako dzwonek ustawił „America the Beautiful”. Pokręciłem głową, uruchomiłem silnik i zacząłem odjeżdżać – pozostawiając nieco przytłoczonego Wilsona na chodniku – kiedy J.C. odebrał.

– Hej, Ahmed. Tak, mam go tutaj. Wideo? Da się zrobić. Ej, ugotujesz

znów dla nas tę chińszczyznę?

– To było danie kuchni hinduskiej – powiedziała Kalyani przez głośnik. – Dlaczego uznałeś, że to chińszczyzna?

– Bo miało ryż, co nie?

J.C. ukląkł obok podłokietnika między siedzeniem kierowcy a pasażera i wyciągnął do mnie telefon.

– Ryż kokosowy, curry i... Nieważne. Panie Steve?

– Tak?

Popatrzyłem na telefon. Kalyani radośnie machała ręką, tym razem miała na sobie prostą koszulkę i džinsy. Jej bindi nie było tradycyjną czerwoną kropką, a czarną strzałką między brwiami. Musiałem spytać ją o znaczenie.

– Rozmawialiśmy – powiedziała. – I Arnaud chce ci coś powiedzieć.

Zwróciła telefon w stronę drobiazgowego Francuza. On pochylił się i zamrugał. Dzieliłem uwagę między niego a drogę.

– Monsieur. Rozmawiałem z Clivem i Mi Won. Nasza trójka miała na studiach zajęcia z chemii i biologii. Nie możemy sięgnąć zbyt głęboko... no, wiadomo dlaczego.

– Owszem.

Ignacio. Jego śmierć odebrała mi większość znajomości chemii.

– Tak czy inaczej, siedzieliśmy nad informacjami, które otrzymaliśmy. Mi Won się uparła, a my się w końcu z nią zgodziliśmy. Naszym zdaniem, choć oczywiście nie jesteśmy profesjonalistami, I3 i mężczyzna imieniem Yol cię okłamują.

– W której kwestii?

– Że zrezygnowali z prób wprowadzenia informacji do ciała za pomocą wirusów. Monsieur, Panos miał zbyt wiele środków, zbyt dobrze mu szło, by jego rzekomo „tajny” projekt został od nich odcięty. Badali tę opcję niezależnie od tego, co ci powiedzieli. Ponadto nie jesteśmy przekonani, że zagrożenie rakiem jest tak realne, jak wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Och, teoretycznie badania rzeczywiście mogły prowadzić w tym kierunku, ale z tego, co wyczytaliśmy w notatkach, I3 nie dotarło jeszcze do tego punktu.

– Czyli nie chcieli mi powiedzieć, na czym polegał prawdziwy kryzys – stwierdziłem. – Te bakterie czy wirusy, które Panos stworzył,

czymkolwiek są.

– To już musisz sam rozważyć. My jesteśmy naukowcami. Mówimy jedynie, że pod tym, co nam powiedziano, kryją się kolejne warstwy.

– Dziękuję. Tak podejrzewałem, ale potwierdzenie dużo mi pomogło. Czy to wszystko?

– Jeszcze jedno. – Kalyani odebrała telefon i odwróciła go w stronę swojej uśmiechniętej twarzy. – Chciałam przedstawić mojego męża, Rahula.

Obok niej pojawił się wąsaty Hindus o okrągłej twarzy i pomachał do mnie.

Przeszedł mnie dreszcz.

– Mówiłam panu, że jest dobrym fotografem, ale nie musi pan wykorzystywać go w ten sposób. On jest bardzo bystry. Robi dużo różnych rzeczy! Dobrze się zna na komputerach.

– Widzę go. Dlaczego go widzę?

– Dołączył do nas! – W głosie Kalyani brzmiała ekscytacja. – Czy to nie cudowne?

– Miło mi pana poznać, panie Stephenie – powiedział Rahul z melodyjnym hinduskim akcentem. – Będę bardzo pomocny, mogę to panu obiecać.

– Ja... – Przełknąłem ślinę. – Jak... ty...

– To bardzo źle – powiedziała z tyłu Ivy. – Czy kiedykolwiek zdarzyło ci się nieumyślnie zmaterializować aspekt?

– Tylko na początku – szepnąłem. – I zawsze wcześniej badałem nowy temat.

– Stary – mruknęła Audrey. – Kalyani dostaje męża, a ja nie mogę mieć nawet myszosczka? Totalnie niesprawiedliwe.

Zjechałem na pobocze, kierowca samochodu obok zatrąbił, kiedy gwałtownie zmieniłem pas. Auto się zatrzymało, a ja wyrwałem telefon z dłoni J.C. i wpatrzyłem się w nowy aspekt. To był pierwszy raz, kiedy pokazał mi się członek rodziny jednego z moich urojeń. Czuję, że to bardzo niebezpieczny precedens. Kolejny znak, że traciłem panowanie.

Rozłączyłem się, sprawiając, że ich uśmiechnięte twarze zniknęły, po czym rzuciłem telefon przez ramię do J.C. Cały spocony ruszyłem,

na co reakcją było trąbienie kolejnego kierowcy. Na pierwszym napotkanym zjeździe skierowałem się do miasta.

– Wszystko w porządku? – spytał Dion.

– Jasne – warknąłem.

Musiałem znaleźć jakieś miejsce, do którego mógłbym się udać i pomyśleć. Miejsce, które wydawałoby się naturalne, w którym mógłbym zwlekać i czekać na rozwój mojego planu, nie wzbudzając podejrzeń Zen. Zatrzymałem się przed restauracją Denny's.

– Muszę po prostu coś zjeść – skłamałem.

To się nada, prawda? Nawet człowiek ratujący świat musiał jeść.

Dion popatrzył na mnie.

– Na pewno wszystko...

– Tak. Po prostu potrzebny mi omlet.

17

Przytrzymałem drzwi restauracji dla moich aspektów i wszedłem za nimi. Wnętrze pachniało kawą i wypełniał je tłum ludzi jedzących późne śniadanie, co było idealne do moich celów. Mało prawdopodobne, by Zen próbowała wykreślić jakiś numer przy tak wielu świadkach. Z dużym trudem udało mi się skłonić kelnerkę do znalezienia nam stołu dla sześciorga – musiałem skłamać i powiedzieć, że na kogoś czekamy. W końcu usiedliśmy, Dion naprzeciwko mnie, a aspekty po obu stronach.

Uniosłem menu, palce od razu przyklepiły mi się do plamy syropu, ale nie czytałem. Próbowałem uspokoić oddech. Sandra nie przygotowała mnie na coś takiego. Członkowie rodziny aspektów, którzy pojawiali się niespodziewane, bez żadnego przygotowania z mojej strony?

– Pan jest wariatem – szepnął ktoś naprzeciwko. – To znaczy... prawdziwym wariatem.

Opuściłem menu – dopiero wtedy zorientowałem się, że trzymałem je do góry nogami. Chłopak nawet nie dotknął swojego.

– Wcale nie. Przyznam, mogę być odrobinę niepoczytalny. Ale nie jestem wariatem.

– To jedno i to samo.

– Może z twojej perspektywy. Ja postrzegam to inaczej, ale jeśli przyznamy, że to określenie odnosi się do mnie, w takim razie odnosi się również do ciebie. Im dłużej żyję, tym bardziej dochodzę do wniosku, że każdy jest na swój sposób neurotyczny. Ja panuję nad swoimi psychozami. A ty?

Ivy prychnęła, kiedy użyłem słowa „panować”.

Dion odchylił się do tyłu i rozważył moje słowa.

– Co mówią o moim bracie? Co według nich zrobił?

– Twierdzi, że coś wypuścił na świat. Jakiegoś wirusa albo bakterię.

– Nie zrobiłby tego – odparł natychmiast Dion. – Chciał pomagać ludziom. To inni byli niebezpieczni. Chcieli stworzyć broń.

– Powiedział ci to?

– W sumie to nie – przyznał chłopak. – Ale z jakiego innego powodu mieliby go zmusić, żeby zrezygnował ze swoich projektów? Dlaczego tak uważnie go obserwowali? Powinien pan sprawdzać ich, a nie mojego brata. To ich tajemnice są niebezpieczne.

– Typowa pseudointelektualna gadanina nastoletniego liberała – rzucił J.C. z prawej, spoglądając na menu. – Wezmę stek i jajka. Krwisty i na miękko.

Kiwałem w roztargnieniu głową, kiedy inni składali swoje zamówienia. Kelnerka nie powinna narzekać, że zajęliśmy tak wiele miejsc, bo zamawiałem dla pięciu osób. Żałowałem, że nie mogę poprosić jej, żeby dała moje jedzenie komuś innemu, kiedy już skończę sobie wyobrazać, jak moje aspekty zjadają wszystko ze swoich talerzy.

Skupiłem się na menu i odkryłem, że wcale nie czuję się głodny. Mimo wszystko zamówiłem omlet i rozmawiałem z kelnerką, kiedy dzieciak grzebał po kieszeniach. Wyraźnie nie chciał pozwolić, żebym za niego zapłacił. W końcu znalazł kilka zwiniętych banknotów i zamówił śniadaniowe burrito.

Czekałem na sygnał telefonu oznaczający, że Wilson wypełnił moje polecenia. Nie przyszła żadna wiadomość, a ja czułem, że niepokoję

się coraz bardziej. Otarłem serwetką pot ze skroni. Aspekty próbowały mnie uspokoić, Tobias opowiadał o pochodzeniu naleśników, a Ivy go zagadywała i udawała zainteresowaną.

– Co to? – Pochyliłem głowę w stronę Diona, który gapił się na kawałek papieru znaleziony wśród zwiniętych banknotów.

Od razu się zarumienił i próbował go schować.

Złapałem go za rękę, poruszając się z szybkością, jakiej sam się po sobie nie spodziewałem. J.C. pokiwał z uznaniem głową.

– To nic takiego – warknął Dion i otworzył dłoń. – W porządku. Niech pan go sobie weźmie. Idiota.

Nagle poczułem się głupio. Klucz Panosa nie znajdował się na kawałku papieru, ale na pendrivie albo innym elektronicznym nośniku danych. Cofnąłem rękę i przeczytałem napis na kartce. „1 Ezd 4, 41”.

– Mama wkłada mi je do kieszeni, kiedy składa pranie – wyjaśnił Dion. – Przypomnienie, żebym odrzucił pogańskie zwyczaje.

Zmarszczyłem czoło i pokazałem kartkę pozostałym.

– Nie rozpoznaję tej księgi.

– Pierwsza Księga Ezdrasza – powiedziała Ivy. – To z biblii prawosławnej. Księga apokryficzna, której większość pozostałych wyznań nie uznaje. Nie pamiętam tego wersu.

Sprawdziłem w telefonie.

– Prawda jest najmożliwsza – przeczytałem – i najmocniejsza[1].

Dion wzruszył ramionami.

– Z tym się pewnie mogę zgodzić. Nawet jeśli mama nie przyjmuje do wiadomości, czym w rzeczywistości jest prawda.

Postukałem palcami po blacie. Czułem się tak, jakbym był blisko czegoś. Odpowiedzi? A może jedynie właściwych pytań?

– Twój brat miał klucz, który umożliwiał odkodowanie informacji zmagazynowanych w jego ciele. Jak sądzisz, czy dałby go waszej matce?

Ivy przyglądała się uważnie Dionowi, by zobaczyć, czy zareaguje na wzmiankę o kluczu. Ja nie widziałem żadnej reakcji, Ivy też potrząsnęła głową. Jeśli był zaskoczony, że wiemy o kluczu, dobrze to ukrywał.

– Klucz? To znaczy co?

– Pendrive albo coś w tym rodzaju.

– Wątpię, by dał coś takiego mamie – powiedział chłopak, kiedy przyniesiono nasze jedzenie. – Ona nie znosi techniki i wszystkiego, co się z nią wiąże, szczególnie jeśli myśli, że pochodzi z I3. Gdyby dostała coś takiego, po prostu by to zniszczyła.

– Przyjęła mnie dość chłodno.

– A czego się pan spodziewał? Zatrudnia pana firma, która odciągnęła jej syna od Boga. – Dion pokręcił głową. – Mama jest dobrą kobietą, rozsądną, z porządnej europejskiej rodziny. Ale nie ufa technice. Jej zdaniem praca to coś, co robi się własnymi rękami. Nie to tępe gapienie się w ekran komputera. – Odwrócił wzrok. – Wie pan, myślę, że Panos zrobił to, co zrobił, żeby jej coś udowodnić.

– Zmieniając ludzi w urządzenia pamięci masowej?

Dion się zarumienił.

– To była zmyłka, zadanie, które musiał wykonać, żeby robić to, na czym mu zależało.

– To znaczy?

– Ja...

– Aha – powiedziała Ivy. – On coś wie. Rany, ten dzieciak nie umie kłamać. Zaczynaj dominować, Steve. Przyciśnij go.

– Lepiej mi powiedz. Ktoś musi wiedzieć, Dionie. Nie wiesz, czy możesz mi zaufać, ale komuś musisz powiedzieć. Co próbował osiągnąć twój brat?

Dion wpatrywał się w burrito.

– Choroby. Chciał je wyleczyć.

– Które?

– Wszystkie.

– Wzniosły cel.

– Tak, Panos też mi się do tego przyznał. Samym leczeniem miał się zająć ktoś inny, on za swoje zadanie uważał stworzenie metody podawania.

– Metody podawania? – Zmarszczyłem czoło. – Choroby?

– Nie. Lekarstwa.

– Ach... – Tobias pokiwał głową i pociągnął łyk kawy.

– Niech pan tylko o tym pomyśli. – Dion zamachał rękami, był wyraźnie podekscytowany. – Choroby zakaźne są fantastyczne. Niech pan sobie wyobrazi, co by było, gdybyśmy umieli zaprojektować szybko rozprzestrzeniającego się wirusa, który z kolei uodparniałby ludzi na inne choroby. Łapie pan przeziębienie i nagle nie może już pan zachorować na ospę, AIDS, polio... Po co wydawać miliardy na szczepienia i próby dotarcia do ludzi? Gdyby udało nam się wymyślić sposób, sama natura wykonałaby za nas to zadanie.

– To brzmi... niewiarygodnie – powiedziałem.

– Niewiarygodnie przerażająco. – J.C. pokazał nożem na chłopaka. – To brzmi jak próba użycia smarwata do walki z wiksiksami.

– Że co? – spytała Ivy z westchnieniem.

– Ścisłe tajne. Smeta, dobry ten stek. – Znów zajął się jedzeniem.

– No tak – mruknął Dion. – Wie pan, zamierzałem mu pomóc. Pójść na studia, w końcu założyć z nim nową firmę biotechnologiczną. Pewnie to marzenie też jest martwe. – Wbił widelec w jedzenie. – Ale wie pan, codziennie, kiedy wracał do domu, mama pytała: „Zrobiłeś dziś coś dobrego?”. A on się uśmiechał. Wiedział, że robi coś ważnego, nawet jeśli ona tego nie dostrzegała.

– Podejrzewam, że wasza matka była z niego bardziej dumna, niż to po sobie pokazywała.

– Pewnie tak. Nie jest taka zła, jak się czasem wydaje. Kiedy byliśmy młodszy, całymi dniami ciężko pracowała fizycznie, żeby utrzymać nas po śmierci taty. Nie powinienem narzekać. Po prostu... wie pan, ona myśli, że wie wszystko.

– Czym różni się od przeciętnego nastolatka. – Audrey uśmiechnęła się do Diona.

Pokiwałem głową i obserwowałem Diona, bawiąc się jedzeniem.

– Czy on dał ci ten klucz, Dionie? – spytałem.

Dzieciak pokręcił głową.

– Nie ma go – stwierdziła Ivy. – Jest zbyt kiepskim kłamcą, żeby ukryć to przed nami, taka jest moja fachowa opinia.

Dion znów ugryzł burrito.

– Powinien pan zacząć szukać jakiegoś zwariowanego urzędnika albo czegoś takiego.

– Urządzenia?

– Jasne. On na pewno wybudował coś, żeby je ukryć. Wie pan, cała ta sprawa z konstruktorami. Ciągłe przyklejał diody do różnych rzeczy, robił swoje własne identyfikatory i inne takie. Założę się, że ukrył to w taki sposób. Podnosi pan ziemniaka, on przewraca monetę, setka gęsi wznosi się w powietrze, a klucz spada panu na głowę. Coś w tym rodzaju.

Spojrzałem na swoje aspekty. Wydawały się sceptyczne, ale może coś w tym było. Nie urządzenie, jak opisał Dion, ale proces. A jeśli Panos wymyślił jakieś zabezpieczenia, które miały w razie jego śmierci wyjawić prawdę – ale z jakiegoś powodu nie zostały jeszcze uruchomione?

Zmusiłem się do zjedzenia kawałka omletu, choćby po to, by móc powiedzieć Wilsonowi, że to zrobiłem, kiedy z całą pewnością zapyta. Niestety wciąż nie usłyszałem sygnału telefonu. Zwlekałem, ile mogłem, ale w końcu uznałem, że Zen nabrałaby podejrzeń, gdybyśmy w końcu nie wyszli.

Wróciłem do SUV-a, otworzyłem boczne drzwi dla aspektów i przeszedłem na miejsce kierowcy. Właśnie usiadłem i zacząłem planować nasz kolejny ruch, kiedy poczułem na karku chłodny metal lufy pistoletu.

18

Dion, całkowicie nieświadomy sytuacji, wszedł na miejsce pasażera. Popatrzył na mnie i znieruchomiał, jego twarz pobielała. Spojrzałem w lusterko wsteczne i zobaczyłem Zen kucającą za moim fotelem, z pistoletem przyciśniętym do mojej głowy.

A niech to diabli. Czyli nie była gotowa zaczekać aż tak długo, jak miałem nadzieję. Telefon ciążył mi w kieszeni jak balast. Co zajmowało Wilsonowi tak wiele czasu?

– Jeśli można, proszę usiąść ze mną z tyłu, panie Leeds – powiedziała cicho Zen. – Młody Maherasie, zostań na miejscu.

Zakładam, że nie muszę was ostrzegać, jak bardzo jestem skłonna uciec się do przemocy?

Poczułem, że się pocę. Zobaczyłem w tylnym lusterku J.C., był czerwony jak burak. Siedział na siedzeniu, przed którym teraz kuciała Zen, ale aż do tej pory jej nie zauważył. Dwa razy miała nad nami przewagę, a J.C. nic nie mógł na to poradzić. Była w tym o wiele lepsza ode mnie.

J.C. wyjął pistolet, choć przecież nic nie mógł zrobić, i skinieniem głowy kazał mi wypełnić polecenie Zen. Przejście na tył ułatwiłoby mi zaatakowanie zabójcy.

Kiedy się ruszyłem, przeszła na kanapę na samym końcu – rozpychając Ivy i Audrey na boki – ale cały czas do mnie celowała.

– Pańska broń – poleciła.

Wyjąłem pistolet, jak to zrobiłem wcześniej w przejściu, i położyłem go na podłodze. Dlaczego w ogóle nosiłem to cholerstwo?

– Teraz telefon.

Podąłem go.

– Gratuluję znalezienia podsłuchu – zauważyła. – Omówimy tę kwestię bardziej szczegółowo, panie Leeds, kiedy wybierzemy się razem na spacer. Młody Maherasie, ty nie jesteś zamieszany w tę sprawę. Przejdź na miejsce kierowcy. Kiedy wyjdziemy, masz odjechać. Nie obchodzi mnie, co zrobisz, możesz nawet udać się na policję, ale trzymaj się z dala od nas. Nie lubię zabijać ludzi, na których nie mam zlecenia. To szkodzi interesom... rozdawanie zbyt wielu gratisów.

Dion aż zbyt gorliwie przeszedł na siedzenie kierowcy. Klucze pozostały w stacyjce.

– To dobrze – powiedział cicho J.C. – Puszczą chłopaka i wyprowadza nas na otwartą przestrzeń. – Zmarszczył czoło. – Nie rozumiem, dlaczego miałyby to zrobić, ale może to oznaczać, że jej zwierzchnicy zażądali, by nikogo nie zabijała.

Pokiwałem głową, pot spływał mi po karku.

Zen machnęła pistoletem, a ja otworzyłem boczne drzwi, wypuszczając swoje aspekty, najpierw J.C., a później Ivy i Tobiasa. Audrey uspokajająco położyła dłoń na moim ramieniu, a ja

pokiwałem głową i ruszyłem w stronę drzwi, by wyjść przed nią.

Zen rzuciła się do przodu, chwyciła mnie za ramię i szarpnęła do tyłu. Zatrzasnęła drzwi.

– Maheras. – Wycelowała do niego. – Jedź. Już.

– Ale...

– Ruszaj albo będziesz trupem!

Chłopak przycisnął gaz do dechy i przejechał przez krawężnik. Ja leżałem oszołomiony z boku, mrugałem i próbowałem się zorientować, co się wydarzyło. Zen...

Moje aspekty!

Krzyknąłem, odwróciłem się i przycisnąłem twarz do okna. Ivy i Tobias stali na parkingu i wydawali się skonsternowani. Zen poleciła Dionowi wyjechać z parkingu na ulicę, a później kazała mu jechać dalej z normalną prędkością – proszę, żadnych prób skłonienia policji, żeby nas zatrzymała.

Ledwie słuchałem. Wywabiła moje aspekty, a później oddzieliła mnie od nich. Pozostała jedynie Audrey, a i to tylko przypadkiem. Jeszcze chwila, a i jej by nie było. Odwróciłem się i spojrzałem oszołomiony na Zen, która usadowiła się wygodnie na siedzeniu obok zamkniętych drzwi i celowała do mnie.

– Starannie zbieram informacje. A tak na marginesie, wszystko, co napisano na pański temat w pismach psychologicznych, okazało się przydatne, panie Leeds.

Audrey osunęła się na podłogę między nami, objęła kolana rękami i jęczała. Jak na razie tylko ona mi pozostała i...

Chwileczkę.

J.C. Nie widziałem go przez okno. Odwróciłem się, rozejrzałem i oto był. Z bronią w ręku i zdecydowaną miną biegł chodnikiem. Z trudem dotrzymywał nam kroku.

Dziękuję, pomyślałem w jego stronę. Zareagował, kiedy pozostała dwójka została zaskoczona. Ominął grupkę ludzi i z nadludzką zręcznością przeskoczył nad ławką.

Audrey ożywiła się i wyjrzała przez okno.

– Rany – szepnęła. – Jak on to robi?

Samochód jechał z prędkością około sześćdziesięciu kilometrów na

godzinę. Nagle nie mogłem już udawać. J.C. zadyszał się i zatrzymał gwałtownie, twarz miał czerwoną. Osunął się na ziemię wyczerpany biegiem, do którego nie powinien być zdolny.

Iluzja. Musiałem podtrzymać iluzję. Audrey popatrzyła na mnie, a później jakby się skuliła, uświadamiając sobie, co właśnie zrobiła. Ale to nie była jej wina. W końcu sam bym zauważył, jak szybko jedziemy.

– Jest pan bardzo niebezpiecznym człowiekiem – powiedziała Zen.

– To nie ja trzymam broń.

Odwróciłem się twarzą do niej. Jak miałem sobie poradzić bez pomocy Ivy i Tobiasa w kontaktach z ludźmi? Bez J.C. do wyciągania mnie z niebezpiecznych sytuacji?

– Tak, ale ja jedynie od czasu do czasu zabijam jednostkę. Pan doprowadza do upadku firmy, niszczy życie setek ludzi. Moi pracodawcy są... zaniepokojeni tym, co pan zrobił.

– I myślą, że jeżeli mnie porwiesz, to coś pomoże? Nie znajdę klucza Panosa, jeśli cały czas będziesz do mnie celować, Zen.

– Zwłoki już ich nie interesują. – W głosie kobiety brzmiał lekki niepokój. – Odebrał im pan majątek i nasłał na nich rząd. Nie chcą być już powiązani z tym polowaniem. Pragną jedynie... zamknąć niedokończone sprawy.

Świetnie. Mój plan działał.

Aż za dobrze.

Próbowałem wymyślić, co jeszcze mógłbym powiedzieć, jednak Zen odwróciła się ode mnie i zaczęła wydawać Dionowi polecenia, jak ma jechać. Staralem się skłonić ją do mówienia, ale się nie dała, a nie miałem zamiaru próbować ataku. Nie bez rad J.C.

Może... może inne aspekty znajdą drogę do miejsca, do którego się udawaliśmy. W swoim czasie pewnie by to zrobiły.

Nie wiedziałem, ile mogło to zająć.

Audrey przez cały czas siedziała na podłodze między naszymi siedzeniami i chowała głowę między kolanami. Chciałem z nią porozmawiać, ale nie odważyłem się tego zrobić, kiedy Zen mnie obserwowała. Zabójczynie myślała, że oddzieliła mnie od aspektów. Gdybym dał jej do zrozumienia, że jeden z nich wciąż tu jest,

straciłbym wielką przewagę.

Niestety, w końcu dojechaliśmy na przedmieścia. Były tam nowe osiedla mieszkaniowe – postępująca ekspansja miasta powoli pochłaniała okoliczne wsie – ale również duże pola i zarośla wciąż czekające na apartamentowce i stacje benzynowe. Zen kazała wjechać w jeden z tych zagajników i poturlaliśmy się bitą drogą do samotnego domu z gatunku „moi przodkowie od pokoleń uprawiali tę ziemię”.

Budynek znajdował się na tyle daleko od sąsiadów, że nikt nie usłyszałby krzyków, strzały zaś zostałyby uznane za odgłos pozbywania się szkodników. Zen poprowadziła mnie i Diona do umieszczonego w ziemi wejścia do piwnicy i kazała nam zejść po schodach. W środku o ścianę opierały się worki, z których wysypywały się ziemniaki tak stare, że pewnie pamiętały wojnę secesyjną. U sufitu wisiała goła żarówka.

– Idę złożyć raport. – Zen odebrała Dionowi telefon. – Znajdźcie sobie wygodne miejsca. Spodziewam się, że spędzicie tu kilka tygodni, aż sytuacja moich pracodawców się unormuje.

Weszła po schodach na górę i zamknęła drzwi.

19

Dion odetchnął głęboko i oparł się plecami o ścianę z pustaków, po czym osunął po niej do pozycji siedzącej.

– Tygodnie? – spytał. – Uwięziony tu z panem?

– Do dupy, co? – odpowiedziałem po chwili.

Dion popatrzył na mnie, a ja przekląłem się za chwilę wahania przed odpowiedzią. Dzieciak wydawał się wykończony nerwowo – pewnie nigdy wcześniej nikt do niego nie celował. Pierwszy raz jest zawsze najgorszy.

– Nie sądzi pan, że spędzimy tu całe tygodnie, prawda? – domyślił się Dion.

– Ja... Nie.

– Ale ona powiedziała...

– Uczą ich tak mówić. – Wyciągnąłem pluskwę Zen spod kołnierzyka, a później na wszelki wypadek jeszcze ją zmiażdżyłem. Przeszedłem się po pomieszczeniu, szukając wyjść. – Zawsze należy mówić więźniom, że mają więcej czasu, niż w rzeczywistości go mają. Wtedy się rozluźniają i zaczynają planować, zamiast próbować od razu się wydostać. Nie można pozwolić, żeby wpadli w desperację, bo zdesperowani ludzie są nieobliczalni.

Chłopak jęknął cicho. Pewnie nie powinienem tego wyjaśniać. Odczuwałem brak obecności Ivy. Nawet kiedy nie kierowała mną bezpośrednio, jej obecność sprawiała, że lepiej radziłem sobie w kontaktach z ludźmi.

– Nie martw się. – Ukląkłem, żeby sprawdzić kratkę ściekową w podłodze. – Zakładam, że nie będziemy w prawdziwym niebezpieczeństwie, dopóki Zen nie postanowi wyprowadzić nas pojedynczo do lasu „na przesłuchanie”. To będzie oznaczać, że dostała polecenie, by nas zlikwidować.

Pomacałem kratkę. Zbyt mała, żeby się przez nią przecisnąć, a poza tym wydawało się, że i tak pod nią jest tylko nieduża jama wyłożona kamieniami. Ruszyłem dalej, wbrew sobie spodziewając się, że usłyszę komentarze aspektów analizujących naszą sytuację, mówiących mi, co zbadać, teoretyzujących, jak się wydostać.

Usłyszałem jedynie odgłos wymiotów.

Odwróciłem się do Diona i z zaskoczeniem zobaczyłem, że opróżnia żołądek na podłogę piwnicy. I tyle zostało ze śniadaniowego burrito, za które upierał się zapłacić. Zaczekałem, aż skończy, a później podszedłem, wziąłem stary ręcznik z zakurzonego stołu i przykryłem nim wymiociny, żeby stłumić smród. Ukląkłem i położyłem rękę na ramieniu chłopaka.

Wyglądał koszmarnie. Zaczerwienione oczy, blada skóra, pot na czole.

Jak z nim rozmawiać? Co się zwykle mówi w takiej sytuacji?

– Przykro mi.

Zabrzmiało to słabo, ale niczego innego nie umiałem wymyślić.

– Ona nas zabije – szepnął dzieciak.

– Może spróbować. Albo i nie. Zabicie nas to poważny krok, jej

pracodawcy najpewniej nie będą gotowi go podjąć.

Z drugiej strony przeze mnie byli bardzo zdesperowani. A zdesperowani ludzie bywają... no cóż, nieobliczalni.

Wstałem, pozostawiając chłopaka z jego przygnębieniem, i podeszedłem do Audrey.

– Musisz nas stąd wyciągnąć – szepnąłem do niej.

– Ja?

– Jesteś wszystkim, co mam.

– Wcześniej brałam udział tylko w jednej misji! Nie mam pojęcia o broni palnej, walce czy ucieczkach.

– Jesteś ekspertem od kryptografii.

– Ekspertem? Przeczytałeś jedną książkę o kryptografii. Poza tym, jak kryptografia ma nam pomóc? Dalej, pozwól mi zinterpretować znaki wydrapane na ścianach. Mówią, że już po nas!

Drżała z przerażenia. Sfrustrowany zostawiłem ją i zmusiłem się do dalszego zwiedzania pomieszczenia. Żadnych okien. Trochę gołej ziemi w miejscach, gdzie ściana z pustaków się zawaliła. Udało mi się wyciągnąć jeden, ale wtedy usłyszałem jęk podłogi nad nami. Kiepski pomysł.

Następnie spróbowałem z wyjściem, wspiąłem się po schodach i uderzyłem ramieniem o drzwi, żeby je sprawdzić. Niestety były mocne, a co gorsza, nie miały zamka – jedynie kłódkę po drugiej stronie, której nie mogłem dosięgnąć. Może udałoby mi się znaleźć coś, co posłużyłoby jako taran, i wyważyć drzwi, ale to z pewnością zwróciłoby uwagę Zen. Jej głos dochodził z góry przez podłogę. Wydawało się, że prowadzi lakoniczną rozmowę przez telefon, ale nie rozumiałem, co mówi.

Znów rozejrzałem się po pomieszczeniu. Może coś przegapiłem? Z całą pewnością, ale co? Dręczyła mnie samotność. Kiedy mijalem Diona, odkryłem, że wyraz jego twarzy jest czymś obcym, a emocje są równie nieczytelne jak grudy błota. Czy ta mina oznaczała szczęście? Smutek?

Przestań, powiedziałem sobie. Czułem, że się pocę. Nie jesteś aż tak kiepski. Nie było przy mnie Ivy, ale to nie czyniło mnie nagle niezdolnym do znalezienia wspólnego języka z przedstawicielami

własnego gatunku. Prawda?

Dion był zdenerwowany. To oczywiste. Wpatrywał się w kawałki papieru w dłoniach. Kolejne cytaty z Pisma, pozostawione przez matkę, które znalazł w kieszeniach.

Podniósł na mnie wzrok.

– Zostawiła tylko te numery wersów, więc nie wiem nawet, co mówi Pismo. Jakby w ogóle mogło mi pomóc. Ech!

Zacisnął pięść, po czym wyrzucił zmięte papierki. Rozsypały się i poleciały w dół jak konfetti.

Nagle poczułem, że jest mi równie niedobrze, jak wcześniej Dionowi. Musiałem coś powiedzieć, jakoś nawiązać z nim kontakt. Nie wiedziałem, dlaczego to czułem, ale nagle desperacko tego zapragnąłem.

– Tak bardzo boisz się śmierci, Dionie?

Pewnie nie wybrałem właściwych słów, ale mówienie było lepsze od ciszy.

– A dlaczego miałbym się jej nie bać? Śmierć to koniec. Nicość. Wszystko znika. – Popatrzył na mnie, jakby chciał rzucić mi wyzwanie. A kiedy nie zareagowałem, mówił dalej. – Nie powie mi pan, że wszystko będzie dobrze? Mama zawsze mówi, że dobrzy ludzie zostaną wynagrodzeni, ale Panos był jednym z najlepszych. Poświęcił życie, próbując leczyć choroby! I proszę, zginął w głupim wypadku.

– Dlaczego zakładasz, że śmierć jest końcem?

– Bo tak jest. Niech pan posłucha, nie zamierzam wysłuchiwać żadnego religijnego...

– Nie będę ci prawil kazań. Też jestem ateistą.

Dzieciak popatrzył na mnie.

– Naprawdę?

– Pewnie. W prawie piętnastu procentach... choć po prawdzie kilka części mnie upierałoby się, że są agnostykami.

– Piętnaście procent? To się nie liczy.

– Ach tak? To ty będziesz decydował, jak działa moja wiara lub jej brak? Co „się liczy”, a co nie?

– Nie, ale nawet gdyby to działało w taki sposób, gdyby ktoś mógł

być w piętnastu procentach ateistą, większość pana wciąż wierzy.

– Podobnie jak mniejszość ciebie pewnie wciąż wierzy w Boga.

Popatrzył na mnie, a na jego twarzy pojawił się rumieniec. Usiadłem obok niego, naprzeciwko miejsca, gdzie miał wypadek.

– Rozumiem, dlaczego ludzie chcą wierzyć. Nie jestem tylko nadąsanym dzieciakiem, jak pan pewnie myśli. Zastanawiałem się, zadawałem pytania. Dla mnie Bóg nie ma sensu. Ale czasami, kiedy patrzę na nieskończoność i myślę o tym, że mnie... już tutaj nie będzie, rozumiem, dlaczego ludzie postanawiają wierzyć.

Ivy pewnie by chciała, żebym spróbował nawrócić chłopaka, ale jej tu nie było. Dlatego zadałem pytanie.

– Myślisz, że czas jest nieskończony?

Dion wzruszył ramionami.

– Dalej – zachęciłem go. – Odpowiedz mi. Chcesz pocieszenia? Mogę mieć dla ciebie rozwiązanie... a w każdym razie mój aspekt Arnaud może je mieć. Ale najpierw odpowiedz, czy czas jest nieskończony?

– Wydaje mi się, że nie mamy takiej pewności. Ale tak, sądzę, że owszem. Nawet kiedy nasz wszechświat się skończy, wydarzy się coś innego. Jeśli nie tutaj, to w innych wymiarach. Inne miejsca. Inne wielkie wybuchy. Materia, przestrzeń, one będą trwały bez końca.

– Czyli jesteś nieśmiertelny.

– Może moje atomy. Ale to nie ja. Nie chcę żadnych metafizycznych bzd...

– To nie metafizyka, ale teoria. Jeśli czas jest nieskończony, to wszystko, co się może wydarzyć, wydarzy się... i już się wydarzyło. A to znaczy, że wydarzyłeś się wcześniej, Dionie. I my wszyscy też. Nawet jeśli nie ma Boga, nawet zakładając, że nie ma odpowiedzi, żadnej boskiej istoty, jesteśmy nieśmiertelni.

Zmarszczył czoło.

– Pomyśl tylko – powiedziałem. – Wszechświat rzucił kosmiczne kości i wylądował z tobą, na wpół przypadkowym zbiorem atomów, synaps i związków chemicznych. Razem tworzą twoją osobowość, wspomnienia i samo istnienie. Ale jeśli czas trwa wiecznie, w końcu ten przypadkowy zbiór się powtórzy. To może zająć setki bilionów lat, ale w końcu znów nadejdzie. Ty. Z twoimi wspomnieniami

i osobowością. W kontekście nieskończoności, dzieciaku, będziemy wciąż żyli, raz za razem.

– Ja... nie wiem, czy to jest pocieszające, jeśli mam być szczery. Nawet jeśli to prawda.

– Poważnie? Bo ja myślę, że to zadziwiające. Biorąc pod uwagę nieskończoność, wszystko, co jest możliwe, jest rzeczywistością. Dlatego też dojdzie nie tylko do twojego powrotu, ale do każdej twojej iteracji. Czasami będziesz bogaty. Czasami będziesz biedny. Właściwie jest prawdopodobne, że z powodu defektu mózgu kiedyś w przyszłości będziesz miał wspomnienia, które masz teraz, nawet jeśli w tej przyszłości nigdy nie przeżyłeś tych wspomnień. I w ten sposób znów będziesz sobą, całkowicie, i to nie z powodu jakichś mistycznych bzdur, ale czystej matematyki. Nawet najmniejsza szansa pomnożona przez nieskończoność jest sama w sobie nieskończona.

Wstałem, po czym kucnąłem, spojrzałem mu w oczy i położyłem dłoń na ramieniu.

– Każda wariacja możliwości, Dionie. W pewnym momencie ty, taki sam ty, z tymi samymi procesami myślowymi, urodzisz się w bogatej rodzinie. Twoi rodzice zostaną zabici, a ty postanowisz walczyć z niesprawiedliwością. Tak się stało. Tak się stanie. Prosiłeś o pocieszenie? Cóż, kiedy dopadnie cię strach przed śmiercią, kiedy nadejdą mroczne myśli, spojrzysz odważnie w ciemność i powiesz jej: „Nie będę cię słuchać, bo jestem nieskończonymi Batmanami”.

Dzieciak zamrugął.

– To... najdziwniejsza rzecz, którą ktokolwiek mi kiedykolwiek powiedział.

Mrugnąłem do niego, zostawiłem go zatopionego w myślach i wróciłem do Audrey. Nie byłem pewien, w ile z tego naprawdę wierzę, ale tak mi wyszło. Jeśli mam być szczery, nie wiem, czy wszechświat mógłby wytrzymać, gdyby każdy był nieskończonymi Batmanami.

Może sensem Boga było zapobieganie takim bzdurom.

Wziąłem Audrey pod ramię i odezwałem się cicho:

– Audrey, skup się na mnie.

Popatrzyła na mnie i zamrugwała. Płakała.

– Pomyślmy, w tej właśnie chwili – powiedziałem jej. – Przeszukamy wszystko, co wiemy, i wymyślmy, jak się stąd wydostać.

– Ja nie mogę...

– Możesz. Jesteś częścią mnie. Jesteś częścią tego wszystkiego, masz dostęp do mojej podświadomości. Możesz to naprawić.

Spojrzała mi w oczy i wydawało się, że przechodzi na nią część mojej pewności siebie. Pokiwała głową, a na jej twarzy pojawił się wyraz całkowitego skupienia. Pokiwałem zachęcająco głową.

Drzwi budynku na górze otworzyły się i zamknęły.

Dalej, Audrey.

Zen obeszła budynek, a później zaczęła otwierać kłódkę na drzwiach piwnicy.

Dalej...

Audrey uniosła gwałtownie głowę i popatrzyła na mnie.

– Wiem, gdzie jest ciało.

– Ciało? Audrey, mieliśmy...

– Firma Zen go nie ma. I3 go nie ma. Dzieciak nic nie wie. Ja wiem, gdzie ono jest.

Drzwi piwnicy się otworzyły. Do środka wlało się światło, otaczając sylwetkę Zen.

– Panie Leeds – powiedziała. – Musi pan ze mną pójść, żebym mogła pana przesłuchać. To nie potrwa długo.

Zrobiło mi się zimno.

20

– A niech to wszyscy diabli. – Audrey cofnęła się ode mnie. – Musisz coś zrobić! Nie pozwól, żeby cię zabiła.

Odwróciłem się twarzą do Zen – kobiety ubranej w elegancki kostium, jakby była dyrektorem finansowym wydawnictwa z siedzibą na Manhattanie, a nie płatnym zabójcą. Z udawaną nonszalancją zeszła po schodach. Ta postawa, w połączeniu z napięciem w głosie, powiedziała mi wszystko, co musiałem wiedzieć.

Miała mnie wyeliminować.

– Naprawdę są gotowi to zrobić? – spytałem ją. – Pozostaną pytania. Problemy.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Wyciągnęła pistolet.

– Czy musimy grać w tę grę, Zen? – Gorączkowo szukałem sposobu, żeby zyskać trochę czasu. – Oboje wiemy, jakie masz plany. Naprawdę zamierzasz wypełnić tak niekompetentne polecenie? Znajdziesz się w niebezpieczeństwie. Ludzie będą się zastanawiać, gdzie się podziałem.

– Jak zakładam, równie wielu będzie się cieszyć, że ma pana z głowy.

Zen wyjęła tłumik i założyła go na lufę, rezygnując z udawania.

Audrey zaczęła jęczeć. Dion mnie zaskoczył – wstał, by nie stawiać czoła śmierci na siedząco.

– Za bardzo ich pan przyparł do muru, panie Szalony. Wbili sobie do głów, że chce ich pan zniszczyć, więc zareagowali w sposób, w jaki reaguje każdy brutal, kiedy go zaczepić. Uderzą najmocniej, jak to możliwe, z nadzieją, że to rozwiąże ich problemy. – Uniosła broń. – Jeśli o mnie chodzi, umiem zatroszczyć się o siebie. Ale dziękuję za troskę.

Wpatrywałem się w lufę tego pistoletu, spocony, spanikowany. Bez nadziei, bez planów, bez aspektów...

Ale ona o tym nie wiedziała.

– Są wokół ciebie – szepnąłem.

Zen się zawahała.

– Niektórzy ludzie zakładają, że ci, których widzę, to duchy. Jeśli o mnie czytałaś, wiesz o tym. Robię rzeczy, do których nie powinienem być zdolny. Wiem rzeczy, których nie powinienem wiedzieć. Ponieważ mam pomoc.

– Jest pan po prostu geniuszem – powiedziała, ale jej spojrzenie uciekło w bok.

Tak, czytała o mnie. Ze szczegółami, jeśli wiedziała, jak odjechać bez moich aspektów. A nikt nie mógł wejść tak głęboko w mój świat i nie wyjść odrobinę... dotkniętym.

– Dogonili nas. Stoją za tobą na schodach. Czujesz ich tam, Zen? Jak cię obserwują? Dłonie na karku? Co z nimi zrobisz, jeśli się mnie pozbędziesz? Czy wytrzymasz z moimi duchami śledzącymi cię przez resztę twojego życia?

Zacisnęła zęby. Sprawiała przy tym wrażenie, jakby usilnie starała się nie obejrzeć przez ramię. Czy to działało?

Odetchnęła głęboko.

– Nie będą jedynymi duchami, które mnie nawiedzają, Leeds – szepnęła. – Jeśli istnieje piekło, już dawno zasłużyłam, by do niego trafić.

– Tak mówisz. Oczywiście tak naprawdę powinnaś zastanawiać się nad czymś innym. Jestem geniuszem. Wiem rzeczy, których wiedzieć nie powinienem. Dlaczego więc umieściłem nas tutaj w dokładnie tej chwili? Dlaczego chcę, żebyś była właśnie tu?

– Ja...

Celowała do mnie. Chłodny wiatr przeleciał wokół niej, zaszeleścił starymi workami ziemniaków.

Moja komórka zadzwieczała w jej kieszeni.

Zen prawie podskoczyła pod sufit. Zakłęła i położyła dłoń na kieszeni. Pociła się. Wysunęła rękę w moją stronę i strzeliła. Bez celowania. Z belki obok posypały się drzazgi. Dion spróbował się ukryć.

Zen – oczy miała tak rozszerzone, że wokół jej źrenic widziałem tylko białka – trzymała pistolet w drżącej dłoni i próbowała się skupić na mnie.

– Sprawdź telefon, Zen – powiedziałem.

Nie ruszyła się.

Nie! To nie mogło się tak skończyć. Tak blisko! Musiała...

Zadzwonił kolejny telefon. Jak zakładałem, ten należał do niej, brzęczał w drugiej kieszeni. Zen się zawahała. Spojrzałem jej w oczy. W tej chwili jedno z nas było szalone, obłąkane, na skraju wytrzymałości.

I to nie ja byłem wariatem.

Jej telefon przestał dzwonić. Po chwili rozległ się sygnał wiadomości. Czekaliśmy, patrząc na siebie w zimnej piwnicy, aż Zen

w końcu sięgnęła po komórkę. Wpatrywała się w nią przez kilka chwil, po czym roześmiała chrapliwie. Cofnęła się, wybrała numer i zaczęła rozmawiać przyciszonym głosem.

Wypuściłem najdłużej wstrzymywany oddech w życiu, podszedłem do Diona i pomogłem mu wstać. Popatrzył na Zen, która znów się roześmiała, tym razem głośniej.

– Co się dzieje? – spytał chłopak.

– Jesteśmy bezpieczni. Prawda, Zen?

Zachichotała szaleńczo, po czym rozłączyła się i popatrzyła na mnie.

– Cokolwiek pan powie, sir.

– „Sir”? – powtórzył Dion.

– Exeltec miał niepewną sytuację finansową. Rozpuściłem pogłoski, że jest przedmiotem śledztwa FBI i kazałem Yolowi pociągnąć za właściwe sznurki.

– Żeby byli zdesperowani? – spytał chłopak.

– Żeby doprowadzić do upadku firmy. – Wróciłem do Zen, mijając skołowaną Audrey. – Żeby mógł sobie pozwolić na jej wykupienie. Yol miał to załatwić, ale udało mu się jedynie w połowie. Poleciałem Wilsonowi zrobić resztę, on dzwonił do kolejnych inwestorów Exeltecu i wykupywał ich udziały.

Wyciągnąłem dłoń do Zen, a ona oddała mi mój telefon.

– Czyli... – powiedział Dion.

– Czyli jestem teraz właścicielem sześćdziesięciu procent udziałów w firmie. – Sprawdziłem wiadomość od Wilsona. – I wybrałem siebie na prezesa. To oznacza, że jestem szefem Zen.

– Sir.

Bardzo dobrze udawała, że odzyskała panowanie nad sobą, ale widziałem wzburzenie w drzeniu jej rąk i zbyt nieruchomym wyrazie twarzy.

– Chwileczkę – odezwał się chłopak. – Pokonał pan zabójcę za pomocą wrogiego przejęcia?

– Gram takimi kartami, jakie mam. Ale wątpię, żeby było tak bardzo wrogie... przypuszczam, że większość zainteresowanych z dużą radością opuściła statek.

– Ma pan oczywiście świadomość – powiedziała Zen rzeczowym głosem – że wcale nie zamierzałam pana zastrzelić. Miałam jedynie przestraszyć pana tak bardzo, by zdecydował się pan podzielić informacjami.

– Oczywiście.

Takie było oficjalne stanowisko, by ochronić ją i Exeltec przed zarzutami usiłowania zabójstwa. Moja umowa przejęcia z pewnością zawierała klauzule uniemożliwiające mi podjęcie kroków przeciwko nim.

Schowałem telefon do kieszeni, odebrałem od Zen swój pistolet i skinąłem na Audrey.

– Jedźmy po to ciało.

21

Pani Maheras wciąż przebywała w ogrodzie. Klęczała na ziemi – sadiła, nawoziła, troszczyła się o rośliny.

Podszedłem bliżej, a jej spojrzenie świadczyło, iż podejrzewa, że jej tajemnica wyszła na jaw. Mimo to ukląknęłam obok i podałam jej karton sadzonek kwiatów, którą wskazała.

Z oddali dobiegł odgłos syren.

– Czy to było konieczne? – spytała, nie podnosząc wzroku.

– Przykro mi, ale tak.

Wysłałem wiadomość do Yola, wiedząc, że federalni dostaną ją jako pierwsi.

Z tyłu podeszli do nas Audrey, Tobias, Ivy i przybity J.C. W moich oczach rzucali cienie i w blasku zachodzącego słońca zasłaniaли Diona. Znaleźliśmy ich idących drogą, wiele kilometrów od kryjówki Zen, gdy próbowali do mnie dotrzeć.

Byłem zmęczony. Rany, jaki byłem zmęczony. Czasami, w najgorętszych momentach, można o tym zapomnieć. Ale później, kiedy napięcie spada, wyczerpanie powraca i przygniata.

– Powinnam się domyślić – powtórzyła Ivy. Ręce miała założone na

piersi. – Naprawdę powinnam. Większość odłamów prawosławia otwarcie sprzeciwia się kremacji. Postrzegają ją jako zbezczeszczenie ciała, które powinno czekać na wskrzeszenie.

Skupialiśmy się na informacjach w komórkach Panosa i nawet przez chwilę nie pomyśleliśmy, że mogły istnieć inne powody, dlaczego ktoś miałby zabrać zwłoki. Powody tak ważne, by skłonić praworządną kobietę i jej kapłana do zrobienia skoku.

W pewnym sensie byłem pod głębokim wrażeniem.

– Kiedy była pani młodsza, pracowała pani jako sprzątaczką. Powinienem spytać Diona o pani życie, pani zawód. Wspominał o ciężkiej pracy i życiu poświęconym na zapewnienie utrzymania jemu i bratu. Nie spytałem, co pani właściwie robiła.

Wciąż sadziła kwiaty na grobie syna ukrytym w ogrodzie.

– Udawała pani sprzątaczkę, która pracuje w kostnicy. Zakładam, że jej pani zapłaciła i ją zastąpiła... po tym, jak kapłan umieścił taśmę na drzwiach. To naprawdę był on, nie ktoś, kto się pod niego podszywał. Razem posunęliście się bardzo daleko, żeby nie dopuścić do kremacji zwłok pani syna.

– Co mnie zdradziło? – spytała pani Maheras, gdy dźwięk syren się przybliżył.

– Doskonale naśladowała pani prawdziwą sprzątaczkę. Aż za dobrze. Sprzątnęła pani łazienkę i podpisała się na kartce wiszącej na drzwiach, żeby potwierdzić, że to pani zrobiła.

Pani Maheras po raz pierwszy podniosła na mnie wzrok.

– Nauczyłam się dokładnie naśladować podpis Lilii!

– Tak. – Uniosłem jeden z kawałków papieru z odniesieniami do Pisma, które wkładała do kieszeni syna. – Ale na tej rozpisce napisała pani również datę, a nie ćwiczyła pani naśladowania liczb Lilii.

– Ma pani bardzo charakterystyczne zero. – Audrey miała wyjątkowo zadowoloną z siebie minę. Tej sprawy nie rozwiązała jednak kryptografia, a staromodna analiza pisma ręcznego.

Pani Maheras westchnęła, wbiła szpadel w ziemię i pochyliła głowę, modląc się bezgłośnie. Ja również pochyliłem głowę, tak samo Ivy i J.C. Tobias się powstrzymał.

– Czyli znów go zabierzecie – szepnęła pani Maheras, kiedy

skończyła.

Spojrzała na ziemię przed sobą, na posadzone kwiaty i pomidory.

– Tak. – Podniosłem się i otrzepałem kolana. – Ale nie powinna mieć pani wielkich kłopotów z powodu tego, co pani zrobiła. Rząd nie uznaje zwłok za własność, więc to, co pani zrobiła, nie było kradzieżą.

– Słabe pocieszenie – mruknęła. – I tak go zabiorą i spalą.

– Prawda – rzuciłem od niechcienia. – Oczywiście, któż wie, jakie tajemnice ukrył pani syn w swoim ciele? Wprowadzał dane do swojego DNA i mógł tam ukryć wiele różnych informacji. Właściwa sugestia we właściwym czasie może skłonić rząd do bardzo długich poszukiwań.

Podniosła na mnie wzrok.

– Naukowcy nie doszli jeszcze do porozumienia, z ilu właściwie komórek składa się ludzkie ciało. Najpewniej rzędu bilionów. Może nawet więcej. Przeszukanie ich wszystkich mogłoby zająć całe dziesięciolecie, a wątpię, by rząd był skłonny to zrobić. Jeśli jednak uznają, że w ciele może się kryć coś ważnego, najpewniej na wszelki wypadek wezmą je na przechowanie, gdyby pewnego dnia musieli jednak przeprowadzić dokładne poszukiwania. Nie będzie to porządny pogrzeb, którego by pani chciała, ale nie będzie też kremacji. Wydaje mi się, że Kościół dopuszcza oddawanie organów, żeby pomóc innym? Może najlepiej spojrzeć na to w taki sposób.

Pani Maheras zaczęła się zastanawiać nad moimi słowami. Zostawiłem ją, a wtedy Dion podszedł, żeby ją pocieszyć. Wyglądało na to, że moje sugestie mają dla niej znaczenie, co mnie skonsternowało. Ja bym wolał raczej, by ktoś z mojej rodziny został skremowany, a nie po wsze czasy zamrożony. Jednak kiedy dotarłem do budynku i obejrzałem się, odkryłem, że pani Maheras wyraźnie się ożywiła.

– Miałaś rację – powiedziałem do Ivy.

– Czy ja kiedyś nie miałam racji?

– No nie wiem – mruknął J.C. – Czasami podejmujesz bardzo złe decyzje, jeśli chodzi o związki.

Wszyscy na niego spojrzeliśmy, a on natychmiast się zarumienił.

– Mówiłem o tym, że mnie rzuciła – sprzeciwił się. – Nie o tym, że

w ogóle się ze mną związała!

Z uśmiechem zaprowadziłem ich do kuchni. Cieszyłem się, że ich odzyskałem. Ruszyłem korytarzykiem ze zdjęciami na ścianach, kierując się w stronę wejścia. Chciałem wyjść na powitanie federalnym.

Nagle zatrzymałem się gwałtownie.

– Na ścianie jest pusta przestrzeń. Wygląda tak dziwnie. Każdą powierzchnię, blat i ścianę w tym miejscu pokrywa kicz. Za wyjątkiem tego miejsca.

Wskazałem na portrety rodziny, a później dwie ikony świętych. Dwa miejsca, puste poza małymi gwoździkami. Ivy powiedziała, że pani Maheras pewnie zdjęła ikonę patrona Panosa w czasie przygotowań do pogrzebu.

– Ivy, czy możemy bezpiecznie założyć, że Panos wiedział, iż po jego śmierci ten obraz zostanie zdjęty i umieszczony przy jego zwłokach?

Popatrzyliśmy po sobie. Sięgnąłem do gwoździa i pociągnąłem go. Stawiał dziwny opór. Szarpnąłem mocniej, a wtedy wyszedł – ale na końcu miał gałkę i przywiązany sznurek.

Za ścianą coś trzasnęło.

Poczułem nagły niepokój. Popatrzyłem na aspekty, ale wtedy pobliski włącznik światła – z płytą, na której był osadzony i całą resztą – wysunął się do przodu jak uchwyt na kubek na desce rozdzielczej samochodu. W części, która wcześniej kryła się w ścianie, migotały diody.

– A niech mnie diabli porwą – powiedział J.C. – Dzieciak miał rację.

– Nie przeklinaj – mruknęła Ivy, przyglądając się z bliska urządzeniu.

– A co się stało z przekleństwami z przyszłości? – spytała Audrey. – Całkiem mi się podobały.

– Coś sobie uświadomiłem. Nie mogę być Międzywymiarowym Strażnikiem Czasu. Bo gdyby tak było, to wy też musielibyście nimi być. A w coś tak głupiego raczej nie uwierzę.

Sięgnąłem do wysuniętego uchwyty i wyjąłem pendrive'a. Było na nim kilka znaków wypisanych flamastrem.

– 1 Krl 19,11-12 – przeczytałem.

– „Wtedy rzekł” – zacytowała Ivy cichym głosem – „»Wyjdź, aby stanąć na górze wobec Pana!«. A oto Pan przechodził. Gwałtowna wichura rozwalająca góry i druzgocąca skały przed Panem; ale Pan nie był w wichurze. A po wichurze – trzęsienie ziemi: Pan nie był w trzęsieniu ziemi. Po trzęsieniu ziemi powstał ogień: Pan nie był w ogniu. A po tym ogniu – szmer łagodnego powiewu”^[2].

Rozległo się walenie do drzwi. Popatrzyłem na swoje aspekty, schowałem pendrive’a do kieszeni i wepchnąłem uchwyt z powrotem w ścianę, zanim wyszedłem na powitanie agentów FBI.

1 Przekład na podstawie Biblii Gdańskiej (przyp. tłum).

2 Przekład za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.).

Epilog

Cztery dni później stałem samotnie w Białej Sali. Tobias zgodnie z obietnicą załatał dziurę w suficie. Całość była uspokajająco pusta.

Czy taki bym właśnie był bez aspektów? Pusty? Z pewnością tak się właśnie czułem, kiedy uwięziła mnie Zen. Z trudem byłem zdolny zrobić cokolwiek, żeby się ocalić. Żadnych planów, żadnej ucieczki. Jedynie gra na czas. Ivy czasami się zastanawiała, czy jeśli pewnego dnia zacznę sobie radzić samodzielnie, przestanę potrzebować jej i pozostałych aspektów.

To, co się wydarzyło, kiedy ich utraciłem, świadczyło, że na ten dzień przyjdzie nam długo poczekać – o ile w ogóle nadejdzie.

Drzwi się uchyliły. Audrey wślizgnęła się do środka, miała na sobie niebieski jednoczęściowy kostium kąpielowy. Podbiegła do mnie i wręczyła mi arkusz papieru.

– Śpieszę się na imprezę nad basenem. Ale skończyłam to odkodowywać. Nic wielkiego, kiedy już dostaliśmy klucz.

Na pendrivie znaleźliśmy dwie rzeczy. Pierwszą był spodziewany klucz do odkodowania danych w ciele Panosa. Zwłoki zostały zabrane przez rząd, a ja przekonałem ich, by na jakiś czas umieścili je w lodzie. W końcu mogą się w nich znajdować niezmiernie ważne dane, a pewnego dnia klucz może się odnaleźć.

Yol zaproponował mi niebotyczną sumę za odnalezienie klucza. Odmówiłem, choć zmusiłem go do odkupienia ode mnie Exeltecu za inną wygórowaną kwotę, więc wyszedłem na swoje.

CDC nie znalazło potwierdzenia, że Panos wypuścił na świat jakikolwiek patogen, i w końcu uznało, że wiadomość na jego komputerze była pustą groźbą, która miała wywołać panikę w I3. Wcześniej tego ranka Dion wysłał mi podziękowanie od matki za

powstrzymanie rządu przed spaleniem ciała. Nie powiedziałem im jeszcze, że ukradłem pendrive'a.

Zawierał klucz i... drugi plik. Nieduży dokument tekstowy, również zaszyfrowany. Gapiliśmy się na niego przez pewien czas, zanim uświadomiliśmy sobie, że klucz wypisano na samym pendrivie. Rozdział dziewiętnasty 1 Księgi Królewskiej. Hasłem dla kryptogramu zaszyfrowanego kluczem prywatnym mógł być dowolny ciąg liter lub cyfr – choć użycie znanego tekstu, na przykład cytatu biblijnego, nie było szczególnie bezpieczne.

Audrey wyszła, ale zostawiła uchylone drzwi. Widziałem stojącego na zewnątrz Tobiasa, opierał się o ścianę z rękami założonymi na piersi. Miał na sobie swój typowy sportowy garnitur bez krawata.

Uniosłem kartkę, czytając prostą wiadomość, którą pozostawił Panos.

Pewnie nie żyję.

Nie powinienem być zaskoczony, ale nie sądziłem, że oni jednak się na to zdecydują. Moi przyjaciele, wiesz?

Tu się pomylił. Na ile ktokolwiek mógł to ocenić, rzeczywiście zginął w wypadku.

Wiedziałeś, że każdy człowiek jest chodzącą dżunglą bakterii? Każdy z nas jest małym, indywidualnym biOMEM. Dokonałem zmiany. Nazywa się Staphylococcus epidermis. Szczep bakterii, który każdy z nas nosi. Przeważnie jest nieszkodliwy.

Nie wprowadziłem wielkich zmian. Tylko coś dodałem. Kilka mega danych wprowadzonych do DNA. I3 mnie obserwuje, ale nauczyłem się wykonywać swoją pracę, nawet pod nadzorem. Obserwowali jednak, co wysyłam, więc postanowiłem wykorzystać ich narzędzia przeciwko nim. Umieściłem informacje w bakteriach na własnej skórze i uścisnąłem im wszystkim ręce. Założę się, że w tej chwili na całym świecie znajdziecie szczepy moich zmienionych bakterii.

Nie robi niczego szkodliwego. Ale jeśli to znalazłeś, masz klucz do odkodowania tego, co ukryłem. Ty decydujesz, Dionie. Pozostawiam to w Twoich rękach. Opublikuj klucz na tym pendrivie, a wszyscy dowiedzą się, jakie badania prowadziłem. Będą wiedzieć, czym zajmuje się I3, i wszyscy będą mieli równe szanse.

Przez chwilę wpatrywałem się w kartkę, po czym złożyłem ją w milczeniu i wsunąłem do tylnej kieszeni. Podeszedłem do drzwi.

– Zrobisz to? – spytał Tobias, kiedy go mijalem. – Opublikujesz to?

Wyjąłem pendrive'a i uniosłem go.

– Czy Dion nie wspominał o założeniu nowej firmy z bratem? Leczeniu chorób? Czynieniu dobra każdego dnia?

– Coś w tym rodzaju.

Rzuciłem pendrive w powietrze i złapałem go.

– Schowamy to i wyślemy mu w dniu ukończenia studiów. Może to jego marzenie nie jest tak martwe, jak sądzi. A poza tym powinniśmy uszanować życzenia jego brata. – Zawahałem się. – Ale najpierw spróbujemy sami dotrzeć do tych danych i sprawdzić, czy mogą być niebezpieczne.

Jak się domyślały moje aspekty, federalni powiedzieli, że cała sprawa z nowotworem była ściemą Yola, próbą skłonienia mnie, bym potraktował swoje zadanie jako pilne. Ale nie mieliśmy pojęcia, nad czym właściwie pracował Panos. Jakimś cudem ukrył to nawet przed ludźmi z I3.

– Formalnie rzecz biorąc – zauważył Tobias – te informacje należą do Yola.

– Formalnie rzecz biorąc – znów schowałem pendrive'a do kieszeni – należą również do mnie, bo jestem w części właścicielem firmy. Uznajmy to za mój udział.

Minąłem go i skierowałem się w stronę schodów.

– Co najzabawniejsze – powiedziałem, kładąc dłoń na balustradzie – poświęciliśmy cały ten czas na poszukiwanie zwłok... jakby one były jedynym źródłem informacji. Tymczasem one znajdowały się na wszystkich, których spotkaliśmy.

– Nie mogliśmy wiedzieć – zauważył Tobias.

– Oczywiście, że mogliśmy. Panos nas ostrzegł. Tamtego dnia, kiedy badaliśmy I3... ogłosił to wszem wobec, na jednym z haseł, które wydrukował i powiesił na ścianie.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Informacja – pomachałem palcami... i bakteriami, które zawierały dane Panosa – dla każdego.

Tobias się roześmiał, a ja, również z uśmiechem, wyruszyłem na poszukiwanie czegoś do zjedzenia.

Podziękowania

Przede wszystkim chciałbym podziękować Moshe Federowi, który zredagował dla mnie tę książkę, razem z Nieprzeniknionym Peterem Ahlstromem, który zajął się dodatkową redakcją. Na podziękowania zasługują Isaac Stewart i Kara Stewart za pomoc przy tym i wielu innych projektach. Howard Tayler pewnego dnia pomógł mi podczas burzy mózgów przy obiedzie i przybijam mu za to piątkę.

Do czytelników beta tego tomu należą: Mi'chelle Walker, Josh Walker, Kalyani Poluri, Rahul Pantula, Kaylynn ZoBell, Peter & Karen Ahlstrom, Ben & Danielle Olsen, Darci & Eric James Stone, Alan Layton, Emily Sanderson i Kathleen Dorsey Sanderson.

Uwielbiam okładkę Jona Fostera – jak na razie zrobił dla mnie pięć okładek, a ta jest chyba moją ulubioną. Na podziękowania zasługuje wydawnictwo Subterranean, a szczególnie Yanni Kuznia, Bill Schafer, Morgan Schlicker i Gail Cross.

Jak zawsze dziękuję cudownej rodzinie, szczególnie zaś trzem bardzo podekscytowanym – i zajęтым – chłopcom.

Brandon Sanderson

Legion: Kłamstwa patrzącego

Danielowi Wellsowi i Gregowi Creerowi.

1

– No tak... – J.C. opierał dłonie na biodrach i wpatrywał się w budynek. – Nikt poza mną się nie przejmuję, że gabinet tego lekarza znajduje się w slumsach?

– To wcale nie są slumsy. – Ivy wyciągnęła rękę, by pomóc mi wysiąść z limuzyny.

– Jasne – mruknął J.C. – A tam na rogu wcale nie stoją dilerzy.

– J.C., te dzieciaki mają może sześć lat.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Wcześniej zaczynają, co nie? Podli mali przedsiębiorcy.

Ivy przewróciła oczami, ale Tobias – czarnoskóry mężczyzna, który ze względu na wiek zaczynał mieć problemy z chodzeniem – jedynie roześmiał się na całe gardło. Z moją pomocą wydostał się z limuzyny i poklepał J.C. po plecach. Obaj przez całą drogę żartowali.

J.C. uśmiechnął się szeroko, zdradzając, że przynajmniej część tej błazenady była świadoma.

Spojrzałem z ukosa na budynek. Choć była to typowa budowla o charakterze użytkowym, jakie często spotykało się na przedmieściach, po drugiej stronie ulicy rzeczywiście znajdował się lombard, a obok warsztat samochodowy. Nie były to slumsy, ale prestiżowa lokalizacja też z całą pewnością nie. Może więc J.C. miał trochę racji.

Postukałem w okno limuzyny od strony pasażera. Szyba opuściła się, ukazując młodą blondynkę z krótkimi włosami. Cioteczna wnuczka Wilsona znów mu towarzyszyła w ramach nauki zawodu. Racja. Żałowałem, że tego dnia nie zostawiłem jej w domu – kiedy odwiedzam dziennikarzy, często bywam odrobinę bardziej... nieobliczalny.

Popatrzyłem nad nią w stronę wysokiego, dystyngowanego mężczyzny na miejscu kierowcy.

– Może byś tu zaczekał, Wilson, zamiast jechać na stację obsługi? Na wypadek gdybyśmy pomylili adres albo coś w tym rodzaju.

– Dobrze, panie Leeds – odparł Wilson.

Jego cioteczna wnuczka skwapliwie przytaknęła. Wilson czuł się swobodnie w tradycyjnym stroju kamerdynera, ona jednak wyglądała niezręcznie w płaszczu i czapce szofera. Jakby bawiła się w przebieranki. Słuchała, kiedy z tyłu rozmawiałem z halucynacjami? Przyzwyczailem się do Wilsona, ale nie czułem się dobrze, odsłaniając się przed kimś z zewnątrz. To znaczy byłem przyzwyczajony, że ludzie widzieli moje... dziwactwa, kiedy przebywałem w miejscach publicznych. Ale to wydawało się inne. Jakby ktoś wszedł z buciarami.

Odwrociłem się i wkroczyłem z aspektami do budynku użytkowego, który cechowała znajoma sterylność. Nie całkiem jak szpital, ale był szorowany dość często, by wypełniała go ta biaława woń. Pierwsze drzwi po prawej nosiły numer 16 – tam właśnie mieliśmy spotkać się na rozmowę.

J.C. zajrzał do środka przez okienko obok wejścia.

– Nie ma recepcji. Tylko jedno duże pomieszczenie. W takich miejscach wchodzisz do środka i od razu ktoś cię łapie. Tracisz przytomność, a później... BUM... trzy nerki.

– Trzy? – powtórzyła Ivy.

– Pewnie. Nielegalni handlarze organami potrzebują nieświadomych kurierów.

– A jak bardzo będziesz nieświadomy, kiedy obudzisz się z nacięciem na brzuchu? Nie pobiegiesz od razu do lekarza?

J.C. zmrużył oczy.

– To oczywiste, że lekarz jest we wszystko zamieszany.

Spojrzałem na Tobiasa, który wciąż się uśmiechał. Wskazał głową na obraz na ścianie korytarza.

– To dzieło Alberta Bierstadta. *W górach Sierra Nevada*. Oryginał znajduje się w Instytucie Smithsona, jako jedno z najsłynniejszych dzieł grupy Hudson River School. – Jego uspokajający ton kontrastował z wesołą, ale wciąż głęboko zakorzenioną paranoją J.C. – Zawsze zachwycał mnie sposób, w jaki chmury rozstępują się, by rozświetlić mroczną dziczą: odzwierciedlenie Stworzenia przez

soczewkę amerykańskiego Dzikiego Zachodu. To środkowe światło nieubłagane przyciąga nasze spojrzenia, jakby przyjmowało nas w niebie.

– Albo – zauważyła Ivy – chmury nadciągają i krajobraz mrocznieje, gdy Bóg się wycofuje i pozostawia ludzi w ciemnościach.

Zaskoczony spojrzałem ostro na Ivy. Zwykle to ona była religijna i stawiała w obronie wszystkiego, co chrześcijańskie i święte. Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

Zapukałem i drzwi się otworzyły, ukazując wysoką, dojrzałą Azjatkę o kwadratowej twarzy i wyraźnych zmarszczkach mimicznych.

– Ach, pan Leeds. Doskonale.

Gestem zaprosiła nas do środka, a J.C. – oczywiście – poszedł przodem.

Prześlizgnął się pod jej ramieniem, zwinnie unikając dotknięcia realnego człowieka, a później rozejrzał się z ręką na pistolecie. W końcu pokiwał głową, dając znać, że możemy wejść.

Dziennikarka przygotowała dla nas szereg krzeseł i stała przy wejściu dość długo, by pozwolić nam wszystkim wejść. Odrobiła pracę domową. Choć czekała zbyt długo – nie widziała aspektów – jej wysiłek pomógł zachować iluzję, za co byłem wdzięczny.

Ivy i Tobias usiedli, a J.C. wciąż rozglądał się po pomieszczeniu. Spore okna po prawej wychodziły na ulicę, gdzie przy limuzynie stał Wilson. Lewą stronę zajmowało duże akwarium z rybami morskimi. Resztę wystroju zaprojektowano w stylu „kryjówka pisarza”, z regałami i ciemnozielonymi dywanami.

Podszedłem do okna i skinąłem na Wilsona, który w odpowiedzi mi pomachał.

– Dziś troje? – spytała kobieta.

Odwróciłem się i zmarszczyłem czoło.

– Śledziłam pańskie spojrzenie.

Wskazała na krzesła, na których siedzieli Ivy i Tobias, a później na miejsce, gdzie przed chwilą stał J.C. – choć on poszedł już sprawdzić, czy regały nie ukrywają tajnych przejść.

– Tylko troje – odparłem.

– Ivy, Tobias, J.C.?

– Widzę, że odrobiła pani pracę domową.

– Lubię być przygotowana. – Kobieta usiadła na swoim krześle. – Na wypadek gdyby Liza panu nie powiedziała, jestem Jenny.

To była Jenny Zhang, dziennikarka i popularna autorka. Specjalizowała się w pikantnych biografiach znanych postaci, które balansowały między informacją, rozrywką i podglądactwem. Dostawała nagrody, ale tak naprawdę była kolejnym pismakiem, któremu udało się wydostać z okopów chwytliwych nagłówków i zyskać nieco poważania.

Żałowałem, że obiecałem Lizie przysługę w postaci rozmowy z jednym z jej przyjaciół, ale utknąłem. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że Jenny nie zatrzyma mnie zbyt długo, a jej późniejsza książka nie będzie zbyt nieprzyjemna.

Wskazała na krzesła, ale pozostałem obok okna.

– Jak pan sobie życzy. – Wyjęła notatnik i wskazała na moje aspekty.

– J.C., Tobias, Ivy. Id, ego, superego.

– Cudownie – jęknęła Ivy. – Jedna z tych. Powiedz jej, że już to przerabialiśmy. Nie pasuje.

Zwróciłem się do Jenny.

– Nie jesteśmy wielbicielami tego profilu psychologicznego.

– To Ivy się skarży? – spytała Jenny. – Jest skarbnicą pańskiego pojmowania ludzkiej natury... uzewnętrznił w niej pan swoje umiejętności społeczne i zrozumienie związków. Podobno jest bardzo cyniczna. Zastanawiam się, jak to o panu świadczy.

Przestąpiłem z nogi na nogę.

– Ej – powiedział J.C. – To było niezłe.

– Ale stworzył pan również uosobienie spokoju i rozluźnienia. – Jenny wskazała ołówkiem w stronę jednego z krzeseł. Pomyliła ich ze sobą, ale tym razem wyraźnie miała na myśli Tobiasa. – Mówi pan, że on jest historykiem, ale jak często jego znajomość historii okazuje się użyteczna?

– Często.

– Słyszałam coś innego. Twierdzi pan, że ma pan ograniczone miejsce w danym zespole aspektów. Wyobrażanie sobie zbyt wielu

jednocześnie jest trudne, więc za każdym razem zabiera pan tylko kilkoro. Jednak zawsze bierze pan tę trójkę. J.C., pańska paranoja i instykt samozachowawczy, jest logicznym wyborem. Podobnie jak Ivy, która pomaga panu radzić sobie z zasadami społecznymi świata zewnętrznego. Ale dlaczego Tobias?

– Ona wie zbyt wiele – stwierdziła Ivy. – Coś jest nie tak z tym wywiadem.

– Naprawdę musimy panikować? – odezwał się Tobias. – Czyli przeczytała wcześniejsze profile psychologiczne Stephena. Z pewnością powinniśmy się tego spodziewać. Nie mielibyśmy więcej podejrzeń, gdyby nie miała swoich teorii na temat naszej natury?

Przez jakiś czas stałem przy oknie, aż w końcu J.C. pokiwał głową i usiadł. Był zadowolony. Odsunąłem się od okna, ale nie usiadłem. Podszedłem do akwarium. Było ekstrawaganckie, z różnobarwnymi koralami i pięknym oświetleniem. Tyle pracy poszło na stworzenie czegoś, co właściwie było więzieniem.

Jenny pisała w notatniku. Co ją tak zafascynowało? Prawie się nie odzywałem.

Patrzyłem, jak ryby podgryzają koral, próbując zjeść to, co je ograniczało.

– Nie ma pani innych pytań? – zwróciłem się w końcu do Jenny. – Wszyscy pozostali chcą wiedzieć, jak odróżniam realność od halucynacji. Albo chcą wiedzieć, jakie to uczucie, przyjąć wiedzę... a później objawić ją w postaci aspektu.

– Co się stało z Ignaciem? – spytała Jenny.

Odwróciłem się do niej gwałtownie. Tobias uniósł dłoń do ust i sapnął cicho.

– Wspominał pan o Ignaciu we wcześniejszych wywiadach. – Jenny wpatrywała się we mnie z uniesionym ołówkiem. – Jeden z pańskich ulubionych aspektów. Chemik? A jednak nie zaangażował go pan do niedawnej sprawy z bakteriami pożerającymi olej silnikowy. Interesujące.

Ignacio. Podobnie jak Justin, on nie... nie był już jednym z moich aspektów.

Tobias odchrząknął.

– Widzieliście, że ona ma na półce książkę Algernona Blackwooda? Oryginalne wydanie Arkham House, moje ulubione. Dotyk papieru... zapach... to zapach czystej tradycji.

– Zamarł pan – zauważyła Jenny. – Czy może pan utracić aspekty, panie Leeds?

– Oryginalne wydania Arkham House są... są rzadkie... choć to zależy od tego, co chce się przeczytać. Kiedyś miałem egzemplarz *Dark Carnival* Bradbury’ego, choć okładka...

– Co się stało? – spytała Jenny. – Po prostu się wyprowadzili?

– Okładka... nieładnie... się... zestarzała...

– Ivy... – szepnąłem.

– Już, już. – Wstała. – W porządku, ona zachowuje się, jakby to było niewinne pytanie, ale ja tego nie kupuję. Wiedziała, że to cię poruszy. Popatrz tylko, jak mocno ściska ten ołówek, jak zależy jej na twojej odpowiedzi.

– Przepraszam. – Tobiasz otarł czoło chusteczką. – Nie jestem teraz zbyt pomocny, prawda?

– Ona nas prowokuje. – J.C. również wstał. Położył dłoń na ramieniu Ivy. – Co robimy?

– Próbuje wytrącić nas z równowagi – uznała Ivy. – Steve, musisz odzyskać kontrolę nad rozmową.

– Ale jak dużo ona wie? Naprawdę się domyśliła, co się stało z Ignaciem? Rzadko mówisz o takich sprawach. – Tobiasz przechylił głowę. – Stan mówi... Stan mówi, że ona musi pracować dla nich.

– Nie pomagasz, Tobiasz! – Ivy spiorunowała go wzrokiem.

– Cicho – rzuciłem. – Wszyscy bądźcie cicho.

Uciszyli się. Spojrzałem w oczy Jenny, która siedziała i spokojnie bawiła się ołówkiem. Udawana nonszalancja.

Zawsze, kiedy wspomniano Ignacia albo Justina, zaczynałem się rozklejać. Musiałem nad tym zapanować.

Nie byłem szalony.

– Nie lubię rozmawiać na ten temat. – W końcu podszedłem i zająłem miejsce, które dla mnie przygotowała.

– Czemu nie?

– Poproszę kolejne pytanie.

– Czy stracił pan inne aspekty poza Ignaciem?

– Mogę tu siedzieć przez cały dzień, Jenny. Powtarzając raz za razem te same słowa. Chce pani w taki sposób zmarnować wywiad?

Ołówek przestał się poruszać.

– Dobrze. W takim razie inne pytanie. – Przejrzała papiery. – We wszystkich wywiadach utrzymywał pan, że nie jest pan szalony, że zgodnie z pańską definicją „szaleństwo” to granica, za którą stan psychiczny jednostki utrudnia jej prowadzenie normalnego życia. Granica, której pan nigdy nie przekroczył.

– Zgadza się. Media udają, że „szaleństwo” to magiczny stan, który istnieje albo nie. Struktura i chemia ludzkiego mózgu są niewiarygodnie skomplikowane, a pewne cechy, które, jeśli występują w stopniu skrajnym, są uznawane przez społeczeństwo za szaleństwo, mogą występować u wielu tak zwanych normalnych ludzi i ogromnie pomagać im w osiągnięciu sukcesu.

– Czyli zaprzecza pan, że choroba psychiczna jest chorobą?

– Tego nie powiedziałem.

Spojrzałem na aspekty. Ivy siedziała ze sztywno skrzyżowanymi nogami. Tobiasz wstał i podszedł do okna, patrząc w miejsce, gdzie – jak mu się wydawało – widział astronautę Stana w satelicie. J.C. stanął niedbale przy drzwiach, z dłonią opartą na broni.

– Mówię jedynie – kontynuowałem – że definicja słowa „szaleństwo” jest ruchomym celem i ogromnie zależy od osoby, o której mówimy. Jeśli ktoś myśli w inny sposób niż pani, ale te wzorce nie zakłócają jego życia, dlaczego mielibyśmy próbować go „naprawić”? Mnie nie trzeba naprawiać. Gdyby tak się stało, znaczyłoby to, że przestałem panować nad swoim życiem.

– To fałszywa dychotomia – stwierdziła Jenny. – Może pan jednocześnie potrzebować pomocy oraz panować nad życiem.

– Nic mi nie jest.

– A pańskie aspekty nie utrudniają panu życia?

– Zależy od tego, jak irytujący jest J.C. w danej chwili.

– Ej! Nie zasłużyłem na to.

Cała nasza trójka spojrzała na niego.

– ...dzisiaj – dodał. – Byłem grzeczny.

Ivy uniosła brew.

– W drodze tutaj powiedziałaś, cytuję: „Policja nie powinna odnosić się tak rasistowsko do ciapatych, bo to nie ich wina, że urodzili się w Chinach czy gdzieś tam”.

– Widzisz, jestem grzeczny... – J.C. zawahał się. – Powinienem ich nazwać „ciapatymi Amerykanami” czy coś w tym rodzaju?

– Pańskie id się sprzeciwia?

Jenny przeniosła wzrok ze mnie na J.C. Dobrze sobie radziła ze śledzeniem mojej uwagi.

– On nie jest moim id. Proszę nie udawać, że on może w jakiś sposób wyrażać moje ukryte pragnienia.

– Nie jestem pewien, czy on może wyrazić cokolwiek – dodała Ivy. – Gdyż wymagałoby to z definicji czegoś więcej poza chrząknięciami.

J.C. przewrócił oczami.

Wstałem i znów podszedłem do akwarium. Zawsze się zastanawiałem... czy ryby wiedziały, że są w klatce? Czy mogły pojąć, co się z nimi stało i że cały ich świat był sztuczny?

– Może więc moglibyśmy prześledzić pański stan, panie Leeds – powiedziała Jenny. – Trzy lata temu, podczas ostatniego wywiadu, powiedział pan, że czuje się pan o wiele lepiej niż kiedykolwiek. Czy wciąż tak jest? Przez te lata się panu polepszyło czy pogorszyło?

– To tak nie działa. – Patrzyłem, jak malutkie czarno-żółte rybki pływają między sztucznymi żółtymi koralowcami. – Nie „polepsza” mi się ani nie „pogarsza”, bo nie jestem chory. Po prostu jestem tym, kim jestem.

– I nigdy wcześniej nie uważał pan swojego... stanu... za dolegliwość? Pytam, ponieważ bardzo wczesne raporty pokazują coś innego. Opisują przerażonego człowieka, który twierdził, że otaczają go demony i szepczą do niego polecenia.

– Ja...

To było dawno temu. „Znajdź cel” nauczyła mnie Sandra. „Zrób coś z głosami. Spraw, by ci służyły”.

– Ej – odezwał się J.C.. – Idę na stację benzynową po suszoną wołowinę albo coś w tym rodzaju. Ktoś jeszcze coś chce?

– Czekaj! – Odwróciłem się gwałtownie od akwarium. – Mogę cię

potrzebować.

– Co? – J.C. trzymał dłoń na kłamce. – Potrzebować jako celu kolejnych żartów? Z pewnością przeżyjesz.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Stałem oniemiały. Naprawdę wyszedł, pomyślałem. Zwykle J.C. był nieposłuszny, kiedy próbowałem zostawić go w domu – albo jeśli sprzeciwiałem się jego ćwiczeniom z bronią. Nigdy wcześniej tak po prostu nie... poszedł sobie.

Ivy podbiegła do drzwi i wyjrzała.

– Chcesz, żebym za nim poszła?

– Nie – szepnąłem.

– No tak – odezwała się Jenny. – Mówiliśmy, że się panu pogarsza?

Ja... ja...

– To pokolec czarny. – Tobias podszedł do mnie i wskazał na małą czerwono-czarną rybkę. – Wydaje się czarny, ale tak naprawdę jest ciemnobrązowy, czasami nawet ciemnofioletowy. Ryba piękna, ale trudna do hodowania. Jego nazwa pochodzi od tej plamy na ogonie, bo wygląda trochę, jakby przebił go kolec.

Odetchnąłem głęboko. J.C. zachowywał się jak zawsze. Zbyt wiele rozmawialiśmy o aspektach – a on nie znosił, kiedy mu przypomniano, że nie jest prawdziwy. Dlatego wyszedł.

– Ostatnio być może przeżyłem kilka trudnych chwil – powiedziałem do Jenny. – Potrzebuję czegoś, by skupić aspekty i umysł.

– Sprawy? – Jenny wyjęła kilka kartek z za notatnika. – Być może będę mogła z tym pomóc.

Położyła kartki na stoliku przed sobą.

– Ach. – Ivy podeszła do mnie. – O to jej chodziło, Steve. To wszystko wstęp. Ona chce cię zatrudnić.

– Wytrącała cię z równowagi. – Tobias pokiwał głową. – Może chciała uzyskać lepszą pozycję przetargową.

To była znajoma sytuacja. Rozluźniłem się, podszedłem i usiadłem na krześle naprzeciwko Jenny.

– Całe to zamieszanie, żeby zaproponować mi sprawę? Ech, ludzie. Wie pani, że mogłaby mnie pani po prostu spytać.

– Ma pan w zwyczaju odsyłać nieotwarte listy, Leeds. – Dziennikarka zachowała jednak dość przyzwoitości, by się zarumienić.

– Co to... – Przejrzałem tekst. – Maszyna, która może wykorzystywać duże zbiory danych, żeby dokładnie przewidywać ludzkie pragnienia, co do minuty, obejmująca chemię mózgu wraz z wcześniejszymi decyzjami, usuwająca potrzebę dokonywania większości wyborów...

Ivy czytała mi przez ramię.

– Dość interesujące. Pewnie będzie zależeć od tego, ile będzie skłonna zapłacić i czego dokładnie od nas chce.

Zwróciłem się do Jenny.

– Czego pani ode mnie potrzebuje?

– Musi pan ukraść...

Poczułem wibracje w kieszeni. Z roztargnieniem spojrzałem na telefon, spodziewając się wiadomości od J.C. Pewnie wysłał mi zdjęcie, jak próbuje się napić bezpośrednio z automatu do napojów na stacji benzynowej, albo coś równie absurdalnego.

Jednakże wiadomości nie wysłał J.C., lecz Sandra. Kobieta, która nauczyła mnie, jak wykorzystywać aspekty, kobieta, która przyniosła mi zdrowie psychiczne. Kobieta, która wkrótce potem zniknęła.

Wiadomość brzmiała po prostu: „POMOCY”.

2

Wypadłem z pomieszczenia, a za mną Ivy i Tobias. Czekający na ulicy Wilson i jego wnuczka zobaczyli, że coś się dzieje, i mężczyzna otworzył mi drzwi. Gestem zaprosiłem Ivy i Tobiasa do środka. J.C.? Gdzie był J.C.?

Nie ma czasu. Usiadłem na tylnym siedzeniu limuzyny.

– Proszę zaczekać! – Jenny stała w drzwiach budynku. – A co z moim wywiadem?! Obiecano mi całą sesję!

– Zaczniemy od nowa innym razem!

– Ale sprawa! – Uniosła papiery. – Muszę zobaczyć, jak pańskie

aspekty reagują na tę sytuację. Nie intryguje pana...

Zatrzasnąłem drzwi. W zwykły dzień być może byłbym zaintrygowany. Nie teraz. Uniosłem telefon, by pokazać go Ivy i Tobiasowi.

– Jesteś pewien, że to od niej? – spytała Ivy.

– Z numeru, który tamtego ranka zostawiła na stole. Zachowałem go na liście kontaktów w każdym telefonie, który od tamtej pory miałem.

W przeszłości próbowaliśmy go wysledzić, ale w rejestrach zawsze pojawiał się jako nieprzypisany.

Wilson wsiadł do samochodu od strony pasażera, a jego cioteczna wnuczka założyła czapkę szofera i usiadła za kierownicą. Uruchomiła silnik.

– Dokąd, proszę pana? – spytała.

Popatrzyłem na Tobiasa i Ivy.

– To może być ktoś inny, kto podszywa się pod jej numer – zauważyła Ivy. – Bądź ostrożny.

„Czy to naprawdę ty?” – napisałem do niej.

„Hotel Przeznaczenie”, odpisała. Tak nazywała hotel Cramrid, gdzie się poznaliśmy. Później dostałem kolejną wiadomość – ciąg cyfr i bezsensownych znaków.

„Co?” – napisałem do niej.

Żadnej odpowiedzi.

– Proszę pana? – spytał Wilson. – Odjeżdżamy?

– Zabierz nas do domu – odpowiedziałem.

Jego wnuczka wyjechała na ulicę i zawróciła, kierując się w stronę, z której przyjechaliśmy.

– Co to za liczby? – Ivy spojrzała w stronę Tobiasa. – Rozpoznajesz je?

Pokręcił głową.

– Sandra martwi się, że ten telefon może nie należeć do mnie – wyjaśniłem. – To szyfr. Często robiła takie rzeczy.

Pozostała dwójka popatrzyła po sobie. Oboje byli obecni w czasie, kiedy znałem Sandrę – a przynajmniej byli wśród licznych cieni i widm, które widziałem w tamtym czasie. Ale nie byli do końca sobą, dopóki Sandra nie nauczyła mnie tworzenia aspektów. Skupiania

uwagi, medytacji, dzielenia umysłu. W sposób naturalny przeobrazili się z cieni i szepczących głosów w wyraziste jednostki.

– Powinniśmy to zignorować – stwierdziła Ivy. – Ona znów z tobą pogrywa, Steve. Jeśli to w ogóle ona.

– Jeśli on to zignoruje, Ivy – powiedział łagodnie Tobias – będzie go to dręczyć przez resztę jego życia. Wiesz, że musi się tym zająć.

Ivy usiadła wygodniej i zaplotła ręce na piersiach. Blond włosy upięte w ciasny kok i sztywny kostium ze spodniami sprawiały, że można ją było łatwo uznać za bezduszną. Ale kiedy wyjrzała przez okno, w kącikach oczu miała łzy.

Tobias położył jej dłoń na ramieniu.

Co dziwne, poczułem się nie na miejscu. Powinienem ją pocieszyć, zapewnić, że nie szukałem lekarstwa ani sposobu, by się jej pozbyć. Zawsze obiecywałem Ivy, że to nie był cel moich poszukiwań Sandry.

Niczego takiego nie zrobiłem. Wpatrywałem się za to w ekran telefonu. „POMOCY”. Przed dwunastu laty Sandra ocaliła mnie przed koszmarem, którym stało się moje życie. Czy odważyłbym się mieć nadzieję, że znów z nią będę? Czy odważyłbym się mieć nadzieję, że uda się jej coś poradzić na to, że się pogrążyłem, moim aspektem się pogarszało, moje...

Obraz na ekranie zasłonił inny, kiedy pojawiła się nowa wiadomość.

„Stary. STARY! Nie mów mi, że właśnie widziałem, jak odjeżdżacie”.

„Jedziemy do domu”, napisałem do J.C. „Weź ubera albo co”.

„Kupiłem ci pączka i w ogóle. Z posypką”.

„I jeszcze go nie zjadłeś?”.

„Jasne”, odpisał. „Ale wiedziałem, że pewnie to zrobię, więc kupiłem dwa. Nie mogę obiecać, że drugi przeżyje drogę do domu. To niebezpieczne czasy, chudy, i smakowity pączek nie powinien włączyć się sam po tak paskudnej okolicy”.

„J.C., Sandra właśnie wysłała mi wiadomość. Potrzebuje pomocy”.

Na odpowiedź czekałem dobre półtorej minuty.

„Zostań w domu do czasu, aż tam dotrę”, napisał.

„Spróbuję”.

„Chudy, mówię ci, zaczekaj”.

Schowałem telefon do kieszeni. Wysłał mi jeszcze trzy wiadomości, ale zignorowałem je. Chciałem, żeby J.C. się pośpieszył, a najlepszym sposobem, by go do tego skłonić, było przekonanie go, że zamierzam samotnie zmierzyć się z czymś niebezpiecznym.

Nie, żeby mógł cokolwiek zrobić. Był halucynacją, nie prawdziwym ochroniarzem. Choć... była ta jedna sytuacja, kiedy poruszał moją ręką – jakby ją kontrolował. I tamta sytuacja, kiedy wypchnął mnie z samochodu...

Po drodze wysłałem wiadomość do Kalyani, więc kiedy wróciłem do rezydencji, aspekty czekały przy oknach. Gdy znaleźliśmy się w pobliżu domu, otworzyłem drzwi samochodu. Wnuczka Wilsona krzyknęła i zatrzymała samochód.

Ruszyłem przez trawnik.

– Chcesz, żebym przygotowała Białą Salę? – spytała Ivy, zbliżając się do mnie.

– Nie mamy na to czasu. Sprowadź Audrey, Ngozi, Armanda i China.

– Jasne.

Dotarliśmy do frontowych drzwi, a ja odetchnąłem głęboko, przygotowując się. Wiedziałem, że będą tam wszystkie moje aspekty. To mogło – musiało – być męczące.

– Panie Leeds? – Wilson podszedł do mnie. – Czy mógłbym coś z panem omówić?

– Czy to może poczekać?

Otworzyłem drzwi.

Uderzyło mnie jak nagły ciężar – jakby ktoś wsunął mi do kieszeni sztabki ołowiu. Około pięćdziesięciu osób stojących w środku i mówiących jedna przez drugą. Niektóre były spanikowane. Inne podekscytowane. Kilka sprawiało wrażenie udręczonych. Wszystkie powtarzały to samo imię. Sandra.

Tobias dołączył do mnie, wydawał się zdyszany. Po tym krótkim spacerze od samochodu? Naprawdę się starzał. Co... co się działo, kiedy jeden z moich aspektów umierał ze starości?

– Czy możesz uciszyć ten tłum? – poprosiłem go.

– Z całą pewnością.

Tobias wszedł między zgromadzonych i zaczął wyjaśniać. Jego

uspokajający głos zadziałał na większość osób, choć kiedy wszedłem po schodach reprezentacyjnego przedsionka, jedna kobieta oderwała się od pozostałych i pobięła za mną.

– Hej! – Audrey, pulchna i ciemnowłosa, była dość niezwykła nawet jak na aspekt. – Sandra wróciła, co? Sprawii, że przestaniesz być szalony? Chciałabym dostać wcześniejsze ostrzeżenie, jeśli mam zniknąć na zawsze. Mam plany na dzisiejszy wieczór.

– Randka?

– Oglądanie ciurkiem *Kochanych kłopotów* i zjedzenie z siedemnastu misek prażonej kukurydzy. Formalnie rzecz biorąc, to raczej nie mogę przybrać na wadze, skoro i tak nic nie ważę?

Uśmiechnąłem się słabo, kiedy dotarliśmy na górę.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Nie. Weź to i zobacz, czy uda ci się zorientować, co znaczy ten ciąg liczb.

Rzuciłem jej telefon.

Który oczywiście złapała niezgrabnie i upuściła na podłogę. Skrzywiłem się. Audrey spojrzała na mnie z zawstydzeniem, ale to nie była jej wina. Mój umysł zmusił ją, żeby go upuściła – bo nie była realna. Rzuciłem telefon w pustą przestrzeń. Od dawna nie popełniałem już tego rodzaju błędów.

Podniosłem telefon – ekran popękał, ale nie za bardzo – i pokazałem Audrey wiadomość od Sandry. Audrey była naszym najbliższym odpowiednikiem kryptologa. Właściwie, kiedy przeczytałem jeszcze kilka książek na ten temat, zrobiła się całkiem niezła.

– Co sądzisz? – spytałem.

– Daj mi parę minut. Te znaki w ciągu są najpewniej symbolami wieloznacznymi... ale co zastępują... – Zapisała ciąg długopisem na własnej ręce. – Zamierzasz się zająć tym bałaganem? – Wskazała na aspekty na dole.

– Nie.

– A zamierzasz przynajmniej policzyć, kto się nie pojawił?

Po chwili wahania wychyliłem się przez balustradę i szybko policzyłem. Już czułem początki bólu głowy. Nie było Armanda, co

mnie nie dziwiło. Rzadko opuszczał swój pokój, lub też „królestwo na wygnaniu”, jak go określał. Przyszła Ngozi, co było dobre. Wciąż miała maseczkę i rękawiczki, ale Kalyani nad nią pracowała – i ostatnio zaczęły wychodzić. I to naprawdę na dwór.

Popatrzmy... nie ma Arnauda, który pewnie siedzi w swoim pokoju, jak zwykle niczego nieświadomy. Nie ma Leroya. Pojechał na wakacje na narty? Lua też się nie pojawił. Może jest na podwórku i pracuje nad paleniskiem? Budował na podwórku swoją „chatę z epoki kamiennej”, wykorzystując jedynie takie techniki, które pozwalały mu pracować samodzielnie.

Ruszyłem korytarzem na piętrze do pokoju Arnauda. Światło nad drzwiami się paliło, co oznaczało, że nie chciał, by mu przeszkadzano, więc zapukałem. W końcu otworzył, drobny łysiejący mężczyzna mówiący z francuskim akcentem.

- Och! Monsieur!
- Jak urządzenie, Arnaud?
- Proszę wejść i zobaczyć!

Otworzył drzwi, wpuszczając mnie do laboratorium. Okna zasłonięto szczelnymi roletami, bo w ostatnim czasie często wywoływał klisze. Na stole roboczym leżały starannie poukładane elementy maszyneryi. Cygaro w popielniczce sugerowało, że pomagał mu Ivans. Był jedynym aspektem, który wciąż palił.

Do ściany przyklejono serię zdjęć. Rezydencja zimą.

– Na razie udało mi się sprawić, żeby cofnął się w przeszłość o najwyżej sześć miesięcy. – Arnaud podszedł do urządzenia leżącego na stole: dużego, staromodnego aparatu fotograficznego, podobnego do tych, które widzi się na starych filmach. – Jak zakładałeś, najważniejszym elementem jest lampa błyskowa. Ale wciąż jeszcze się nie domyśliłem, w jaki dokładnie sposób przenika czas.

Wziąłem aparat, poczułem jego ciężar w dłoniach. Aparat, który mógł robić zdjęcia z przeszłości. Urządzenie było częścią jednej z moich najbardziej niebezpiecznych spraw.

– Wyposażyłem go w film natychmiastowy – stwierdził Arnaud. – Powinno zadziałać. To pokrętko tutaj? Nastawia się nim czas. Najbardziej wyraźne wychodzą na krótki dystans czasowy, najwyżej

kilka dni. Im bardziej cofam się w przeszłość, tym bardziej rozmazane wychodzą zdjęcia. Nie wiem, jak rozwiązał to pierwotny wynalazca, ale jak na razie nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Może wiąże się to z faktem, że gdy próbujemy zmusić światło do przeniknięcia w przeszłość, chwile stapiają się ze sobą i rozmywają.

– Wystarczy, Arnaud. Jest fantastyczny. – Spojrzałem w bok i zauważyłem kilka odbitek na podłodze, przeciętych na pół. – A to co?

– Och. – Arnaud przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie zawstydzony. – Pomyślałem, że byłoby dobrym pomysłem, gdyby Armando je obejrzał, bo to on jest ekspertem od fotografii. Znam się na fizyce, ale nie na dobrych ujęciach. Armando zgodził się ze mną i zniszczył kilkanaście moich zdjęć, bo nie były dość „znaczące”.

Z westchnieniem schowałem aparat do torby, którą wskazał mi Arnaud. Część mnie wiedziała już, że urządzenie będzie gotowe. Spędzałem wieczory w tym pokoju, wykonując polecenia Arnauda dotyczące napraw. Ale te przecięte zdjęcia były nowością.

Robiłem się bardzo, ale to bardzo zmęczony wyskokami Armanda. Każdy z moich aspektów był na swój sposób wyzwaniem, ale żaden nie był tak otwarcie nieposłuszny.

Założyłem aparat na ramię.

– Dobrze sobie poradziłeś, Arnaud. Dziękuję.

– To ja dziękuję! Miło mi to słyszeć. – Zawahał się przy drzwiach, kiedy je otwierałem. – Czy mógłbym... wrócić teraz do Francji? I swojej rodziny?

Zamarłem.

– Wrócić?

– Tak, Étienne. Rozumiem, jak ważna była nasza praca w tym miejscu, i była naprawdę zajmująca. Ale moje zadanie się skończyło, prawda? Mógłbym teraz wrócić?

– Chcesz... wyjechać. Już nie być aspektem?

– Jeśli to nie jest zbyt wielki kłopot.

– Ja... – Żaden z moich aspektów nigdy nie chciał odejść, poza wyjazdem na krótkie wakacje. – Pozwól, że porozmawiamy o tym później. To znaczy nie zatrzymam cię tu wbrew twojej woli, ale aparat nie jest jeszcze ukończony. Może... może moglibyśmy załatwić... żeby

twoja rodzina tu przyjechała... albo żebyś na jakiś czas wracał do Nicei?

– Dziękuję.

Zamknąłem drzwi. Czułem niepokój. Wilson podszedł do mnie z tacą bardzo potrzebnej lemoniady.

– Panie Leeds, naprawdę muszę z panem porozmawiać o pewnej drobnej kwestii. Tak naprawdę mało znaczącej, ale nie chcę, by za bardzo się pan rozproszył..

Pociągnąłem długi łyk lemoniady i zsunąłem torbę z aparatem z ramienia.

– Czy mógłbyś zanieść aparat do samochodu, Wilson? Muszę porozmawiać z Armandem. Później znajdę czas, żeby porozmawiać z tobą, dobrze?

Ja po prostu... Sandra. Musiałem skupić się na Sandrze.

Sandra wysłała mi wiadomość.

Idąc w stronę należącego do Armanda pokoju na poddaszu, znów sprawdziłem telefon. Nic nowego od Sandry, jedynie kilka wiadomości od J.C., narzekającego, że jego kierowca ubera miał na oknie nalepkę „Strefa wolna od broni palnej”.

„Jakby to cokolwiek znaczyło”, pisał J.C. „Nie można naklejką zanegować konstytucji, chłopie”.

Następny brzmiał: „I tak, zjadłem twojego pączka”.

Pokręciłem głową i zapukałem do drzwi poddasza. Armando nie odpowiedział. Czyżby znów nałożył na mnie „królewskie sankcje słuchowe”? Otworzyłem drzwi, spodziewając się, że na mnie nawrzeszczy. Armando twierdził, że jest prawowitym cesarzem Meksyku i...

Jego pokój został zdewastowany.

A na ścianach były ślady krwi.

3

Wyłobienia w gipsie, jak ślady pazurów dzikiej bestii. Pościel została

rozszarpana. Stylowe nocne fotografie miast z całego świata – cenna kolekcja Armanda – leżały w strzępach na podłodze.

I krew. Rozbryzgi na właściwie każdej powierzchni. Nagle poczułem, że mój umysł opuszczają myśli. Wiedza i doświadczenie rozpraszały się jak dym ze zgaszonej świecy.

Armanda uzyskałem przed ośmioma laty, kiedy zajmowałem się poszukiwaniami zaginionej osoby. Pewna kobieta zniknęła, ale ciągle wrzucała do sieci selfie przy słynnych budowlach – choć nagrania z monitoringu wskazywały, że nie odwiedziła żadnej z nich. Wykorzystałem technikę Sandry, przeczytałem ciurkiem kilka książek o manipulowaniu obrazem i wyobraziłem sobie te informacje jako zasób w moim wnętrzu. Nie stworzyłem Armanda świadomie, tak samo jak świadomie nie nadawałem aspektom osobowości, ale on był skutkiem. Na początku żartowaliśmy obaj z jego roszczeń do tronu Meksyku, podobnie jak teraz żartowałem z J.C.

Teraz czułem, jak ten zasób wypływa ze mnie jak krew z moich żył. Zrobiło mi się zimno i zatoczyłem się do tyłu przerażony sceną rzezi w jego pokoju. Nie mogłem... Musiałem...

To zniknęło.

On zniknął. Upadłem na kolana i wydałem z siebie cichy jęk, który zmienił się w okrzyk cierpienia. Wiatr wpadający przez otwarte okno wypchnął na korytarz strzępy podartych zdjęć.

Mi Won przybyła jako pierwsza. Westchnęła, ale – jak zawsze profesjonalna – weszła do środka, by sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje jej zdolności medycznych. Kolejne aspekty przychodziły stopniowo, zbierały się wokół mnie, choć w tej chwili... w tej chwili wydawało się, że nikt nie żyje. Grupa cieni. Ledwie sylwetki.

– Panie Leeds! – Wilson wbiegł po schodach. Przeszedł przez kilka aspektów i ukląkł obok mnie. – Stephenie? Proszę. Co się stało?

Powoli rozluźniłem ręce. Wypuściłem powietrze i poczułem, jak wypełnia mnie dziwny spokój. Musiałem zachować panowanie. Tego... tego nauczyła mnie Sandra.

– Wilsonie – sam byłem zaskoczony, jak spokojnie brzmiał mój głos – o czym chciałeś ze mną porozmawiać?

– Och, nieważne! Proszę pana? Co się stało? Dlaczego pan krzyknął?

– Zajrzał do środka.

– Co widzisz? – szepnąłem.

– Proszę pana? Wygląda jak zawsze. Pusty pokój gościnny. Łóżko starannie pościelone, z żółtą kołdrą.

– Jakies zdjęcia na podłodze?

– Nie, proszę pana. Chciałby pan... żebym udawał, że tam są?

Pokręciłem głową.

– Proszę pana, jeśli wolno mi tak powiedzieć, ostatnio bardzo dziwnie się pan zachowywał. To znaczy dziwniej. Dziwniej niż zwykle. – Stary kamerdyner załamał ręce.

Z tyłu, na szczycie schodów prowadzących na strych, stała jego wnuczka i popatrywała na nas niepewnie.

– Czy to ja do tego doprowadziłem? – spytał Wilson.

– Doprowadziłeś? – Zamrugąłem.

– Z powodu... dzisiaj, proszę pana.

– Dzisiaj?

– Moja emerytura, panie Leeds. Rozmawialiśmy o tym. Pamięta pan? Miałem na nią przejść miesiąc temu, ale poprosił mnie pan, żebym został. Ale dzisiaj, proszę pana, dziś kończę siedemdziesiąt lat.

– Absurd. Nie możesz być...

Emerytura? Rozmawialiśmy o tym?

Ledwie sobie przypominałem...

Mi Won wyszła z pokoju Armanda i pokręciła głową. Pozostałe aspekty odzyskały pełnię kolorów, a moje uszy nagle wypełniły ich podenerwowane rozmowy. Ivy precyzyjnie się między nimi, po czym ruszyła w stronę pokoju. Mi Won złapała ją za rękę.

– Przykro mi – powiedziała Mi Won. – On odszedł?

– Odszedł? W jaki sposób? – Ivy odwróciła się do mnie. – Justin i Ignacio nie poszli sobie, tak po prostu. Stali się czymś innym, czymś przerażającym. To się znowu dzieje, prawda, Steve?

Podniosłem się z trudem, opierając się o ścianę.

– Nie mogę... nie mogę sobie teraz wyobrazić wszystkich was jednocześnie. Idźcie do swoich pokoi. Wszyscy, którzy nie biorą udziału w misji. Ngozi, Ivy, Tobias.

– Potrzebujesz mnie? – spytał Chin... Chowyun Chin. Na nosie miał

okulary przeciwsłoneczne, jak zawsze, niezależnie od pory dnia.

Zwróciłem się do niego.

– Sandra zawsze lubiła zagadki, więc może będziesz mi potrzebny do złamania jakiegoś kodu komputerowego. Chcę, żebyś czekał w gotowości razem z Audrey, blisko jej telefonu. Ale myślę... myślę, że dziś poradzę sobie tylko z kilkorgiem z was. Proszę.

– Jasne. Zainstalowałeś te nowe programy?

Uniosłem telefon. Ulepszaliśmy go.

– Uszkodziłeś ekran?

– Przykro mi.

Westchnął, ale później wycofał się wraz z pozostałymi. Pięćdziesiąt postaci, każda wyraźna, każda stanowiąca fragment mojego umysłu. Ludzie, którzy mieli własne życie, przeszłość, rodziny, namiętności. Czasami było tego tak dużo. Kalyani uścisnęła mnie i wróciła do Rahula. Ivans przybił mi żółwika. Oliver dał mi przytulić swojego pluszowego corgi, co robiłem zawstydzająco długo, zanim w końcu mnie opuścili.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak oni się poczuli, gdy odkryli, że po raz pierwszy od wielu lat zaczynam tracić panowanie. I że Sandra powróciła – postać, która dla nich była jedynie legendą.

Wilson przyglądał się bezradnie, ale jego wnuczka – Barb – wyglądała na wyraźnie wstrząśniętą. Ivy patrzyła na nią i kręciła głową.

Szkolił ją od wielu miesięcy, przypominałem sobie. Ponieważ przechodzi na emeryturę. Opuszcza mnie.

– Wilsonie – powiedziałem. – Ja... rozumiem...

Przerwałem, kiedy coś zobaczyłem. Odejście większości aspektów pozostawiło rzucającą się w oczy postać, stojącą na korytarzu i ściskającą w ręku notatnik. Była wysoką Azjatką w swobodnym kostiumie ze spodniami. Jenny Zhang. Dziennikarka.

Rzuciłem się w jej stronę, przepchnąłem obok Wilsona i złapałem ją za ramiona.

– Jak się tu dostałaś?! – krzyknąłem.

Czułem się zdradzony i zażenowany. Jak śmiała mnie widzieć, kiedy byłem najbardziej odsłonięty?!

– Złamał pan obietnicę – warknęła. – Muszę to zapisać. Do książki.

– Steve? – odezwała się Ivy.

– Jakiej książki? – zwróciłem się do Jenny. – Nie dałem ci pozwolenia na napisanie książki! Wtargnęłaś na teren prywatny!

– Steve, myślę, że ona nas widzi.

Znieruchomiałem i popatrzyłem Jenny w oczy. A ona odwróciła się i spojrzała prosto na Ivy.

Nagle zrobiło mi się zimno.

– Wilsonie, czy widzisz osobę, którą teraz trzymam?

– Panie Leeds? Czy to jeden z pańskich aspektów?

– Czy ją widzisz?

– Nie. Chyba że chciałby pan, żebym... udawał.

A niech to diabli.

– Co robiliśmy dzisiaj w ciągu dnia? – spytałem Wilsona. – Dokąd pojechaliśmy?

– Proszę pana? Razem z Barb zawiozłem pana do biedniejszej dzielnicy i zatrzymaliśmy się przy opuszczonym budynku. Muszę przyznać, że się martwiłem, choć ucieszyłem się, kiedy kazał mi pan zostać. Przez jakiś czas stał pan w pustym pomieszczeniu, a później nagle wybiegł.

Puściłem Jenny, która spokojnie poprawiła żakiet.

Uniosłem dłoń do głowy. To niemożliwie. Przecież nie byłem wariatem. Aspekty... mnie przed tym chroniły. To one były szalone, a ja je organizowałem. Ja... umiałem ocenić, co było prawdziwe...

– Czy Sandra była prawdziwa? – spytałem Wilsona.

– Tak, proszę pana. Nigdy wcześniej pan w to nie wątpił... Panie Leeds? To wszystko z powodu mojego odejścia, prawda? Przepraszam. Ale ja naprawdę już nie mogę tego robić. Nie po tej sprawie z tamtym zabójcą, a później pożarze w ubiegłym roku. Za to Barb jest bardzo podekscytowana, że będzie mogła panu pomagać. Dobrze sobie z tym poradzi, proszę pana.

Stałem tam, aż odgłos kroków zapowiedział nadejście Tobiasa. Ivy podbiegła do niego i coś szepnęła, a stary historyk pokiwał głową i przeczesał dłonią swoje białe włosy. Później się uśmiechnął.

– Nic się nie stało – powiedział. – On ma prawo być trochę

zdenerwowany. Przecież w końcu znaleźliśmy Sandrę!

Ivy szepnęła coś jeszcze, a wtedy Tobias spojrział w stronę pokoju Armanda i ponuro zacisnął wargi. Później znów się uśmiechnął, podszedł i złapał mnie za ramię, łagodnie, ale stanowczo.

– Siła, Stephenie. Przejdziemy przez to. Poradzisz sobie. Zawsze sobie radziłeś.

– Armando... – szepnąłem.

– Stało się. Musimy tylko się upewnić, że to się nie powtórzy. Skup się. Sandra wróciła.

Spojrzałem na Ivy, która znacząco nie patrzyła na pokój Armanda.

– Myślę... myślę, że może się myliłam. Masz rację, Steve. Musimy znaleźć Sandrę. Może wróciła nie bez powodu, może ktoś na górze się nami opiekuje.

W pobliżu Jenny wszystko zapisywała. Jak, do diabła, ją stworzyłem? I dlaczego?

– Wilsonie? – Pokazałem mu telefon. – Tak, wiem, że ekran jest popękany. Nie o to chodzi. Wiadomość.

– „Pomocy” – przeczytał, opuszczając okulary i mrużąc oczy. – I seria liczb i liter. Od... Sandry?

Westchnąłem z ulgą. Czyli wiadomość była prawdziwa. Chyba że... chyba że Wilson też był halucynacją.

Nie mogłem wpaść w tę króliczą norę. Musiałem wierzyć, że pozostał mi choć cień zdrowia psychicznego.

Zwróciłem się do Ivy.

– Gdzie Ngozi?

– Nie widziałeś, jak się cofa? Widok krwi... chyba poszła się przewietrzyć.

Moja specjalistka od kryminalistyki panicznie bała się zarazków i nie mogła znieść widoku krwi. Mój mózg bywał dziwnym miejscem.

– Sprawdź, czy uda ci się ją znaleźć – powiedziałem do Ivy. – Chcę ją mieć przy sobie. Ty, ona, ja, Tobias, J.C., kiedy już nas dogoni.

Ivy pokiwała głową i odbiegła.

– I ja – zauważyła Jenny.

– Ty nie.

Ruszyłem w stronę schodów. Tobias szedł obok mnie i trzymał dłoń

na moim ramieniu, jakbym to ja był kruchym staruszką, a nie on. Minęliśmy Barb, a ja obrzuciłem ją uważnym spojrzeniem. Krótkie jasne włosy, zuchwały uśmiech. Taka młoda.

– Nie przestraszyłem cię? – spytałem.

– Szczerze mówiąc, to naprawdę interesujące. Jest pan taki szalony.

– Uruchom samochód i zaczekaj na mnie.

Odbiegła, a ja spojrzałem na Wilsona.

– Czy ona umie przynajmniej zrobić lemoniadę?

– Z mojego własnego przepisu, proszę pana. I muszę powiedzieć, że sprawnie się do tego zabrała. – Zawahał się. – Może mógłbym poczekać jeszcze dzień albo dwa.

– Nie. W końcu musiało do tego dojść, Wilsonie. Dałeś mi więcej niż to, co konieczne. Pewnie więcej, niż ktokolwiek powinien dawać.

Już dopilnowałem, żeby w banku czekała na niego ładna sumka – zrobiłem to przed laty, a on z jakiegoś powodu wciąż się mnie trzymał. Może to on był wariatem.

Ruszyłem w dół po schodach z Tobiasem. Wilson odprowadzał nas z góry wzrokiem.

– Proszę pana! – zawołał za mną. – Gdyby z jakiegoś powodu dziś wieczorem zrobił pan sobie wolne od walki z terrorystami albo teleportowania kotów, z radością zobaczyłbym pana na przyjęciu. Urządza je mój brat.

– Przyjęcie? – Obejrzałem się przez ramię. – Z prawdziwymi ludźmi?

– Takie są najlepsze, proszę pana.

– Jasne. Raczej nie. Ale i tak dziękuję.

4

Nie zawsze miałem takie problemy z prawdziwymi ludźmi. Jeszcze... – ile, półtora roku wcześniej? – chodziłem na randki. Wszystkie były katastrofami, ale przynajmniej próbowałem.

Ivy twierdziła, że podświadomie sabotowałem te kontakty. Miała

mnóstwo teorii na temat przyczyn i żadna mi nie pochlebiała.

Znalazłem Audrey, China i kilkoro pozostałych w sali gier. W tym miejscu mogli przebywać razem, żeby wzajemnie się wspierać i stawiać czoło temu, co miało nadejść. Stormy mieszał drinki. Wchodząc do środka, spiąłem się i próbowałem zachować skupienie. Sandra. Sandra wiedziała, jak mi pomóc.

Szczerze mówiąc, pogrążałem się od wielu miesięcy. Może lat. Ale mogłem to odwrócić.

Audrey siedziała koło barku z nogami opartymi na pufie, podjadała karmelki w czekoladzie i oglądała filmiki z kotami na telefonie. Od kiedy J.C. dostał telefon, reszta też chciała – poza Harrisonem, który bał się nowych technologii.

– Popatrz tylko. – Audrey pokazała mi kota miauczącego, kiedy jego właściciel otwierał puszkę kociej karmy, i urywającego gwałtownie za każdym razem, kiedy właściciel przestawał. – Uwielbiam to.

Stałem i patrzyłem na nią.

– Co? – spytała.

– Doszło do katastrofy – szepnąłem. – Aspekty ulegają zepsuciu, Audrey.

– Aha. Nie mogę się zdecydować, czy odejdę następną, bo wiem zbyt wiele, czy byłoby większą ironią losu, gdybym zniknęła jako ostatnia.

– Miałaś...

– Spokojnie. – Pokazała mi kawałek papieru. – Złamałam go. Potrzebowałam klucza do szyfru, a okazał się nim numer pokoju w hotelu, w którym się poznaliśmy. Kiedy już to miałam, nie trwało długo. To współrzędne GPS.

Z ulgą wziąłem papier.

– Gdzie to?

– Miejskie tereny targowe. Dziś jest tam występ na wolnym powietrzu. Zaczyna się za jakieś pół godziny. – Audrey sprawdziła telefon. – Dokładnie o zachodzie słońca.

To pasowało do Sandry. Schowałem papier do kieszeni i odwróciłem się do wyjścia.

– Ej – powiedziała Audrey – czy myślisz... może mógłbyś wyobrazić sobie, że mam strzelbę albo coś? – Zagryzła wargi. – Na wypadek, no

wiesz, gdyby wszystko poszło w diabły? I... koszmary przyszły...

– Do tego nie dojdzie.

– A jeśli tak się stanie?

– Włam się do pokoju J.C.

– Żeby uruchomić nieuniknione pułapki? Wiesz, że on je ma. Nawet jeśli my ich nie dostrzegamy, ma je.

Miała rację. Pewnie założył miny pod podłogą albo coś w tym rodzaju.

Audrey roześmiała się, kiedy Stormy przyniósł jej mimozę, a ja wyszedłem. W ustach miałem gorzki posmak. Jeśli Audrey się martwiła, było bardzo źle.

W korytarzach rezydencji panowała dziwna cisza, kontrastująca z wcześniejszym niepokojem. Idąc w stronę drzwi, nie minąłem nikogo, prawdziwego ani wyobrazonego. Dom wydawał się niesamowicie pusty i prawie zacząłem się martwić, że oni wszyscy po prostu... zniknęli. Później usłyszałem krzyki Ivansa dochodzące z oranżerii, gdzie zebrała się inna grupka.

Próbowałem się uspokoić, oddychając głęboko, i wyjrzałem na zewnątrz. Dostrzegłem Ivy i Ngozi w pobliżu przeciwległego żywopłotu. Ivy bardzo się pilnowała, żeby nie objąć Ngozi ramieniem, ale jej postawa emanowała zachętą. W końcu kobiety podeszły do mnie.

Ngozi wciąż miała maskę chirurgiczną i rękawiczki, ale kiedy podeszła do mnie, odsłoniła twarz. Zawsze zapominałem, jak była wysoka, pewnie ze dwanaście centymetrów wyższa ode mnie. Mówiła z wyniosłym akcentem, nigeryjskim ze śladami brytyjskiego wykształcenia.

– Przepraszam... spanikowałam.

– Poradzisz sobie? – spytałem.

– Tak. Jeśli jesteś pewien, że mnie potrzebujesz.

Nie byłem pewien. Nie mogłem być pewien, czego miała wymagać ta sprawa – ale miałem przecucie. Sprawy, w które była zamieszana Sandra, nigdy nie należały do prostych. A gdyby nie udało nam się znaleźć niczego pod współrzędnymi, które wysłała nam Sandra, Ngozi miała największe szanse na zbadanie miejsca zbrodni.

– Jestem pewien, że cię potrzebuję. Ale na terenach targowych mogą być tłumy. Zamierzasz ześwirować, jak poprzednio?

– Zależy. Czy tym razem ktoś spróbuje zarazić mnie trądem?

– Jeden człowiek na ciebie kichnął, Ngozi.

– A słyszałeś to kichnięcie? Wiesz, jak wiele zarazków może się znajdować w jednym nieprzerwanym kichnięciu? Wyrzuconych w powietrze, wiszących jak malutkie miny, lepiących się do twarzy, skóry, przenikających do organizmu... – Zadrżała i uniosła dłoń w rękawiczce, żeby powstrzymać moje narzekania. – Mogę to zrobić, Stephenie Leedsie. Zrobię. To... wyjątkowa sprawa.

Ivy i Ngozi podeszły do limuzyny, która wciąż parkowała przy krawężniku. Barb polerowała ozdobę maski, ale zostawiła otwarte tylne drzwi, na wypadek gdyby aspekty chciały wejść do środka. Tobias już siedział wewnątrz i czytał grubą książkę, żeby nie myśleć o naszych kłopotach. W sumie było nas troje. Z trojgiem mogłem sobie poradzić.

Czworo, pomyślałem, sprawdzając komórkę. J.C. nie odpowiadał, więc wysłałem do niego wiadomość. „Postanowiłeś jeszcze pójść do kina czy co?”.

Wkrótce dostałem odpowiedź. „Głupi uber zatrzymał się i wziął innego klienta, a później pojechał w przeciwną stronę. W końcu udało mi się wysiąść na rogu Siedemnastej i State”.

Westchnąłem. „J.C., wsiadłeś do przypadkowego ubera?”.

„...Może”.

„Co ty sobie w ogóle myślałeś?”.

„Mam na sobie strój maskujący. Nie widzą mnie. Pomyślałem, że mogę pojechać we właściwym kierunku, a później wysiąść i wsiąść do następnego”.

J.C. nigdy nie przyznałby się, że nie jest prawdziwy. Inny aspekt mógłby trochę pokombinować, wsiąść do wyimaginowanego ubera, ale J.C.... cóż, J.C. miał swoje zasady. Próbował być prawdziwy.

Albo mój mózg próbował uczynić go prawdziwym. Albo... nie wiedziałem. Głowa mnie bolała, a kiedy próbowałem stworzyć odpowiedź, padł na mnie duży cień. Odwróciłem się i zobaczyłem Luę – ważącego sto pięćdziesiąt kilo Samończyka – który próbował czytać

mi przez ramię. Zamiast tradycyjnego stroju specjalisty od survivalu miał na sobie skautowską koszulkę. Racja, pomyślałem. Tego wieczoru było spotkanie ich zastępu. Całkowicie ominął go chaos wewnątrz.

– Hej, szefie – powiedział. Wskazał brodą na mój telefon. – Potrzebujesz mnie? Mogę naśladować J.C. Wezmę duży nóż. Będę piorunował wszystkich wzrokiem.

– Nie trzeba. Ale dziękuję.

– Pewien jesteś? Jeśli kogoś mamy śledzić, ja umiem śledzić ludzi.

– Nie opuścimy miasta... mało prawdopodobne, żebym utknął w dziczy albo coś w tym rodzaju.

– Żaden problem, szefie. – Później Lua zacisnął mi dłoń na ramieniu. – Hej. W przetrwaniu nie chodzi tylko o robienie butów z pnączy albo pieca z kamieni i błota, wiesz? Miej oczy szeroko otwarte, szefie. I wyprostowane plecy.

– Ja... Jest mi trudno, Lua. Każdego dnia coraz trudniej. Mój własny mózg walczy przeciwko mnie.

– Nie. My jesteśmy twoim mózgiem. I walczymy u twojego boku.

Zanim odszedł, ścisnął moje ramię, a później mnie przytulił.

A ja, jeśli mam być szczery, poczułem się trochę lepiej, kiedy usiadłem w samochodzie.

„Spotkaj się z nami na terenach targowych przy Trzydziestej”, napisałem do J.C. „Tak może być prościej”.

„Możliwe”, odpisał. „A nie możesz poczekać?”.

„Spotkaj się tam z nami. Nie wsiadaj do ubera zamówionego przez kogoś innego. Wyślę po ciebie taksówkę”. W mieście było paru kierowców, którzy byli gotowi przyjąć spore kwoty za podjechanie w określone miejsce, otworzenie drzwi, zamknięcie ich i przejechanie pustą taksówką w inne miejsce. Od razu powinienem to zrobić dla J.C. Zrobiłbym, gdybym myślał jaśniej.

„Dobrze”, odpisał. „Ale bądź ostrożny. Ta cała sprawa jakoś mi śmierdzi”.

Powiedziałem cicho Barb, dokąd chcę jechać, a ona ruszyła. Ale ja wciąż wpatrywałem się w telefon.

– Musisz powiedzieć J.C., co się wydarzyło, Stephenie – powiedział siedzący obok mnie Tobias.

Nie zrobiłem tego. Na razie. Przynajmniej jeden z nas mógł jeszcze przez chwilę udawać, że nie straciliśmy Armanda. Zablokowałem telefon i schowałem do kieszeni kurtki.

5

Zanim dotarliśmy na tereny targowe – które o tej porze roku były zdeptanym kawałem pola we wschodniej części miasta – zapadł już zmrok. Duży tłum ludzi zebrał się jakby w oczekiwaniu na koncert – często je tu organizowano – ale na razie kręcili się między budkami z jedzeniem i piciem. Występ miał się zacząć dopiero za kilka minut.

Barb zatrzymała się przy krawężniku, żebyśmy mogli wysiąść. W roztargnieniu kupiłem bilety dla nas wszystkich – bez chwili namysłu zapłaciłem za aspekty – i poprowadziłem nas między ludzi. Tłum sprawiał, że niewiele było widać, ale ze sceny umieszczonej w głębi pola słyszeć było zapowiedzi.

Nienawidziłem tłumów. Od zawsze. Moim aspektem trudno było podtrzymać iluzję, kiedy ludzie kręcili się dookoła, zderzali się ze sobą, oddychali tym samym zatęchłym powietrzem, a ich rozmowy tworzyły brzęczącą kakofonię.

Może więc Ngozi nie bez powodu bała się zarazków. Trzymała się najbliżej mnie, patrzyła przed siebie i opierała dłoń na moim ramieniu. Biorąc pod uwagę całą sytuację, byłem z niej dumny.

Z przodu konferansjer ucichł i na scenie pojawiły się jaskrawe rozbłyśki światła.

– To fajerwerki? – spytała Ivy zza naszych pleców.

– Nie. – Tobias uskoczył na bok, z trudem unikając zderzenia z małą dziewczynką, która przebiegła obok z lodem w dłoni. – Czytałem o tym. – Wskazał na kawałek wolnej przestrzeni przed nami.

Schroniliśmy się przed tłumem obok niewielkiej szopy – magazynu sprzętu dla obsługi terenów targowych. Wreszcie mogłem się przyjrzeć występowi. Na scenie stali ludzie w odzieży ochronnej, którzy rzucali roztopiony metal na czarne ogniotrwałe tło.

Efekt był oszałamiający i tłum na chwilę jakby zniknął. Nawet moja troska o Sandrę się rozproszyła. Artyści zanurzali czerpaki w wiadrze z metalem i wyrzucali w górę płonące wiry. Kiedy metal uderzał w ścianę, rozpryskiwał się na zewnątrz, wybuchając tysiącem migoczących iskier. Spadały falami, jak stopiony deszcz.

Przypominało to fajerwerki, ale było bardziej pierwotne. Żadnego prochu ani dymu. Jedynie wiadra, pewna dłoń i być może niezdrowy brak troski o własne bezpieczeństwo.

– Nazywają to Da Shuhua – powiedział Tobias. – Zawsze chciałem zobaczyć taki występ na własne oczy. Wedle opowieści, przed setkami lat kowale z Nanchuanu nie mieli pieniędzy na fajerwerki. Dlatego wymyślili coś innego, wykorzystując to, co mieli pod ręką.

Artyści rzucali wiry z gorączkową energią, czerpak po czerpaku – jakby chcieli wyprzedzić grawitację i za jednym zamachem wyrzucić cały ogień w górę. Wybuchy iskier tworzyły wzory w powietrzu, jak malutkie duszki ozywające do krótkiego istnienia – jedna wspaniała chwila życia i chwały, zanim pokonało je zimno.

– To nie może być bezpieczne – stwierdziła Ngozi.

– Cudowność i nieodpowiedzialność często idą ręką w rękę, Ngozi – odparł Tobias. Spojrzałem na niego, widziałem iskry odbijające się w jego oczach. – Nazwę Da Shuhua można przetłumaczyć jako „drzewne kwiaty”, co sugeruje, że uderza się w drzewo, a wtedy pojawiają się kwiaty. Bierze się coś zwyczajnego i sprawia, by stało się niezwykle. Wystarczą dwa tysiące stopni.

Oglądaliśmy pokaz, aż ogłoszono przerwę. Tłum w pobliżu zaczął się rozpraszać, ludzie ruszali w kierunku sprzedawców jedzenia albo pobliskich karuzeli. Sięgnąłem po telefon i pokazałem go pozostałym. Współrzędne wskazywały miejsce na skraju terenów targowych.

– Powinniśmy być ostrożni – odezwała się Ngozi. – Co by powiedział J.C.?

– Pewnie coś trochę rasistowskiego lub groźnego – zauważył Tobias.

– Nie, nie, powiedziałaby coś w rodzaju... – Ivy zaczęła mówić chrapliwym głosem: – „Zatrzymajcie się. Rozejrzyjcie się bardzo uważnie. Widzicie to? Widzicie to? Czy to... faworki?”.

Ngozi zaśmiała się krótko. Ale miała rację, powinniśmy zachować

ostrożność. Na szczęście byłem na to przygotowany. Obszedłem zapyłone pole i w końcu zatrzymałem się w niewielkiej – ale bezpiecznej – odległości od współrzędnych. Jeśli wierzyć mapie na telefonie, naszym celem była wąska ścieżka biegnąca w pobliżu zdeptanej trawy. Ta ławka, pomyślałem. Wysłałem wiadomość Barb, a później zająłem miejsce przy krzakach, skąd mogłem obserwować ławkę, za bardzo się przy tym nie zbliżając.

– Ngozi. – Wyjąłem lornetkę, z której mogła skorzystać. – Przyjrzyj się temu miejscu. Powiedz mi, co widzisz. Udawaj, że to miejsce zbrodni.

– A co to da? – spytała Ivy. – Nie może tak po prostu udawać, że są tam ślady krwi.

– Kryminalistyka nie służy wyłącznie do badania zabójstw – rzuciła w zamyśleniu Ngozi, sięgnęła do mojej torby ręką osłoniętą chusteczką i wyjęła drugą lornetkę. – Różne gałęzie kryminalistyki zajmują się badaniem sposobów, w jaki nauka przenika się z prawem, albo wykorzystaniem nauki w służbie prawa. – Rozejrzała się po okolicy. – Zwykle zaczynam od pytania. Co w tej scenie jest dziwnego, nie na miejscu...?

Wyjąłem aparat i spróbowałem zamocować go do statywu – co mi się nie udało. A niech to diabli.

– Czy to dlatego, że stracił pan Armanda? – spytała Jenny. – Teraz, kiedy nie ma pan już eksperta od fotografii, nie potrafi się pan nawet posłużyć statywem?

Gwałtownie podniosłem wzrok. Tak, stała tam, aspekt z notatnikiem.

– Jak się tu dostałaś? – spytałem ostro.

– Uberem.

Jasne, ona umiała sobie z tym poradzić i się nie zgubić. Westchnąłem i zrezygnowałem ze statywu. I tak pewnie go nie potrzebowałem.

– Jak ma pan zamiar go użyć? – Jenny robiła notatki, mrużąc oczy. – Czy najważniejsza nie jest lampa błyskowa... która pozwala robić zdjęcia przeszłości? Stoimy zbyt daleko, żeby się udało.

Miała rację, ale prawdą było też, że gdybym spróbował zrobić

zdjęcie, najprawdopodobniej upuściłbym to cholerstwo. Utrata aspektu sprawiała, że stawałem się dziwnie niekompetentny, szczególnie zaraz po jego odejściu. W końcu inni odrobinę to rekompensowali.

Mimo wszystko wiedziałem, że zmieniłem się na zawsze. Z drugiej strony akceptowałem to. Ngozi nadal się przyglądała, a ja wstałem, ominąłem spojrzeniem Jenny – próbując ją ignorować – i popatrzyłem na nadchodzącą Barb z czapką szofera pod pachą.

– Rany. Widział pan te iskry? To było niesamowite.

– Chciałbym, żebyś zrobiła dla mnie coś, co może być niebezpieczne.

– Jasne!

Próbowałem nie pozwolić, by jej naiwny entuzjazm mnie zraził. Powinienem się cieszyć, że chciała mi pomóc, nie ignorować. Po prostu ona robiła wrażenie takiej, jak pozostali. Zwyczajni ludzie. Którzy traktowali mnie jako rodzaj cyrkowej atrakcji.

– W pobliżu tego wózka z hot dogami jest ławka. Widzisz ją? – Podałem jej aparat. – Zostaw tu czapkę i kurtkę, za bardzo rzucają się w oczy. Idź tam i udawaj, że robisz zdjęcia sceny i tłumu, ale uwzględnij ławkę w każdym ujęciu.

– Super.

– A oto najważniejsza sprawa. – Podniosłem aparat i pokazałem jej pokrętło na lampie błyskowej zmieniające porę dnia... w przeszłości... której robiła zdjęcia. – Po każdym zdjęciu przekręć to o jedną kreskę, dobrze? To bardzo ważne.

Przewróciła oczami, co nie dodało mi otuchy, po czym podała mi czapkę i kurtkę szofera. Odeszła powoli, przyglądając się aparatowi, który był łatwiejszy w obsłudze, niż się wydawało. Arnaud po prostu lubił estetykę retro. Teoretycznie ta... no... rzecz z... yyy... innymi rzeczami... nie potrzebowała... być przekręcona... albo...

Cóż, byłem względnie pewien, że aparat będzie robić zdjęcia nawet w rękach kogoś, kto nie znał się na robieniu zdjęć.

– Sprytne – zauważyła Jenny. – Wykorzystuje pan prawdziwego człowieka, żeby zrobić to, czego pan nie potrafi.

– Ja jestem prawdziwym człowiekiem.

– Wie pan, co mam na myśli. – Zapisała coś w notatniku. – Dlaczego zawsze upiera się pan, żeby wszystko robić samodzielnie? Gdyby miał pan zespół prawdziwych asystentów, nie tylko od czasu do czasu szoferą zmuszonego do pomocy, o ile więcej mógłby pan osiągnąć?

Tobias usiadł na głazie i czekał, Ivy zaś zażądała, żebym pokazał jej telefon i sprawdził, gdzie jest J.C. – aplikacja śledziła samochód, który po niego posłałem. Znajdował się przy pobliskich światłach, choć najwyraźniej utknął w gęstym ruchu ulicznym wokół imprezy.

Kiedy Barb robiła zdjęcia, zaczęła się następna część drzewnych kwiatów. Cóż, dzięki temu miała lepszą przykrywkę. Ngozi przyglądała się uważnie, żeby sprawdzić, czy ktoś zareagował na obecność Barb, więc ja również sięgnąłem po lornetkę. Naturalnie, Ngozi mogła coś dostrzec tylko, jeśli ja to widziałem.

Przyglądałem się iskrom. Tym razem wydawały się bardziej... gwałtowne. Wściekle. Rozbłyśki z aparatu Barb i jego niezwyklej lampy błyskowej robiły wrażenie jaskrawych, rażących.

Nie widziałem śladu Sandry.

Barb wróciła i podała mi zdjęcia, które zaczynały się pokazywać.

– Świetnie – powiedziałem z roztargnieniem, przeglądając zdjęcia. – Idź zaczekać w samochodzie. Pilnuj tego aparatu.

– I tyle? Tylko to mam zrobić?

– Poza czekaniem w samochodzie? Tak.

Wzięła czapkę i kurtkę i odeszła, mamrocząc pod nosem. Podniosłem wzrok i zobaczyłem Jenny, która przyglądała mi się uważnie. Zrobiła kolejną notatkę.

– W porządku – powiedziała Ngozi, kiedy usiadłem na głazie obok Tobiasa. – Zobaczmy...

Choć robiło się ciemno, zdjęcia – wszystkie poza pierwszym – przedstawiały dzień. Daty na dole wskazywały, że każde kolejne sięgało pół godziny dalej w przeszłość. Było ich w sumie osiem, co oznaczało dane z czterech godzin.

Miałem nadzieję, że Ngozi coś wymyśli, traktując tę okolicę jak miejsce zbrodni. Przejrzałem zdjęcia jedno po drugim, żeby mogła na nie spojrzeć, a później mieliśmy przeanalizować każde z nich pod kątem...

To była Sandra.

Zamarłem, unosząc przedostatnie zdjęcie. Wąska twarz, niemal widmowe rysy. Włosy miała dłuższe i proste, ale to była ona. Siedziała na ławce i sięgała do kosza na śmieci obok.

Ivy westchnęła. Jenny robiła notatki. Ngozi zsunęła maskę z twarzy i zdjęła rękawiczkę chirurgiczną, po czym dotknęła zdjęcia czubkami palców. Tobias położył dłoń na moim ramieniu i je ścisnął.

Była tutaj. Naprawdę tu była, przed niecałymi czterema godzinami. Ale dokąd się udała?

– Wysłała ci wiadomość – powiedziała Ngozi – a później wrzuciła coś do kosza na śmieci.

– W takim razie idźmy po to! – Nagle przestało mnie obchodzić ryzyko.

– Zaczekaj chwilę. – Ngozi zmusiła mnie do sprawdzenia ostatniego zdjęcia. – Powiedziałam, żebyś poczekał. Tobiasie, powstrzymaj go.

Zadrżała i znów włożyła rękawiczkę, a Tobias mnie przytrzymał. Nie ścisnął mnie mocno, ale w jego dotyku było coś zdecydowanego.

– Popatrzcie tutaj – mówiła dalej Ngozi. – Ten mężczyzna kupujący hot doga? Wrócił na kolejnym zdjęciu i raz jeszcze na tym.

Usiadłem i zmrużonymi oczyma wpatrywałem się w zdjęcia. Ivy zasugerowała, żebym poświecił telefonem.

Za nami ludzie wzdychali i zachwycali się kolejną porcją iskier w powietrzu.

– No tak... – powiedziałem. – Lubi hot dogi?

Ngozi uniosła brew, zerkając w moją stronę.

– Albo to – mruknąłem – albo i klient, i sprzedawca są w to zamieszani.

– Popatrz tutaj. – Ngozi wskazała na kolejne zdjęcie. – Szepcą do siebie. Zdecydowanie są zamieszani.

Poczułem ścisnięcie w sercu i obejrzałem się. Hot dogi sprzedawał ten sam młody czarnoskóry mężczyzna, co na zdjęciu.

– Przyglądają się miejscu zrzutu – stwierdziłem. – Może czekają, żeby mnie porwać?

– No cóż – zauważyła Ngozi – nie jest cię tak znów trudno znaleźć. Gdyby chcieli cię złapać, nie zrobiliby tego tutaj, wśród takich tłumów.

Przyszliby po ciebie do domu albo napadli na ulicy.

Ivy chrząknęła.

– Może chcą po prostu zobaczyć, co zrobisz?

– A może polują na Sandrę – powiedziała Ngozi. – Albo nie wiedzą, kto odpowie na jej wiadomości. Albo, co najbardziej prawdopodobne, są powiązani z tym wszystkim na sposób, którego nie potrafimy się domyślić, bo brakuje nam właściwych informacji.

Wróciłem do zdjęcia Sandry. Później wstałem i ruszyłem w stronę ławki.

Aspekty zerwały się i pobiegły za mną.

– Steve? – odezwała się Ivy. – Co ty robisz? Nie powinniśmy się nad tym zastanowić?

Nie chciałem się nad tym zastanawiać. Miałem dość zastanawiania się i zamartwiania. Może utrudniałem to bardziej niż konieczne. A może świadomie robiłem coś głupiego i chciałem to zrobić, zanim J.C. wróci, żeby mnie powstrzymać.

Tak czy inaczej, zignorowałem wściekłe aspekty i podszedłem do kosza. Sięgnąłem do środka, ignorując niedojedzone hot dogi – i usłyszałem, jak stojąca obok Ngozi zaczyna się krztusić.

Wyciągnąłem niewielką czarną torebkę, w której, jak się okazało, znajdował się smartfon. Do uruchomienia wymagał PIN-u – spróbowałem z numerem pokoju w Hotelu Przeznaczenie, który Audrey wykorzystała wcześniej, by złamać kod. Zadziałało i telefon otworzył się na galerii zdjęć, ukazując kilka selfie Sandry siedzącej na ławce. Ostatnie podpisała.

„To naprawdę ja. Oto twój dowód. Więcej wkrótce”.

– Sprzedawca hot dogów jest tuż obok – powiedziała stojąca obok mnie Ivy. – Ale nie widzę drugiego mężczyzny ze zdjęć. Potrzebujemy J.C. Gdzie on jest?

Odwróciłem się w stronę wózka z hot dogami i sprzedawcy.

– I się zaczyna... – Ivy westchnęła.

– Ngozi – powiedziałem cicho – zobacz, czy uda ci się zorientować, skąd przyszedł ten mężczyzna albo dla kogo pracuje.

– To tak nie działa! Nie jestem Sherlockiem Holmesem.

Zignorowałem jej narzekania i – kiedy błyski światła za naszymi

plecami wypełniły tereny targowe pomarańczowo-czerwonym migotaniem – podszedłem do mężczyzny za wózkiem z hot dogami, położyłem telefon Sandry na ladzie i popatrzyłem mu prosto w oczy.

– Jestem zmęczony – stwierdziłem. – I czuję się staro.

Mężczyzna wyprostował się, otwierając szerzej oczy. Włosy miał obcięte na jeża, był szczupły i umięśniony. J.C. mógłby mi powiedzieć, czy miał przy sobie broń, ale nawet ja zauważyłem, jak kiepsko pasował do roli sprzedawcy hot dogów.

– Proszę pana – odparł – nie jestem pewien, czy hot dog na to pomoże.

Zbyt oficjalnie, pomyślałem. Może wojskowy?

Westchnąłem i wytarłem ręce jedną z jego serwetek. Po czym wsunąłem dłoń do kieszeni. Zareagował natychmiast – sięgnął po broń, odsuwając fartuch i odsłaniając kaburę.

Znów uniosłem rękę, z rozczapierzonymi palcami, pokazując, że niczego nie wyjąłem. Skinąłem na jego pistolet.

– Możemy przestać się bawić. Już mówiłem. Robię się na to za stary.

– Stary? – powiedział w końcu mężczyzna, opuszczając rękę. – Nie wygląda pan tak staro, proszę pana.

– A jednak części mnie się zużywają. Jak samochód z popsutymi hamulcami i silnikiem z drugiej ręki. Wygląda i działa nieźle, dopóki się go nie przyciśnie, a wtedy... robi się chaos.

Zakręciłem telefonem na ladzie, a później odwróciłem się i odstraszyłem kogoś, kto też stanął w kolejce po hot doga.

– Myślę, że z nich dwóch on jest niższy stopniem – domyśliła się Ivy, przyglądając się sprzedawcy hot dogów. – Widzisz, jak bardzo jest zdenerwowany? Postawiono go tutaj, żeby patrzył uważnie i przysłał wiadomość, gdybyś się pojawił. Domyślam się, że nie miał nawiązywać żadnych bezpośrednich kontaktów z tobą.

– Kto cię przysłał? – spytałem. – I dlaczego po prostu nie zabraliście telefonu i nie uciekliście?

Mężczyzna się zamknął, właściwie stanął na baczność i nie odpowiadał, kiedy naciskałem coraz bardziej. Tak, z całą pewnością wojskowy.

– W takim razie pewnie powinienem sobie pójść? – spytałem,

sięgając po telefon.

Mężczyzna położył na nim rękę – nie zabrał go, ale też nie pozwolił mi z nim odejść.

– Czyli jednak chcesz porozmawiać? W takim razie...

– Może pan przestać już go zamęczać, panie Legion – odezwał się ktoś. Spojrzałem w bok i zobaczyłem zbliżającego się drugiego mężczyznę ze zdjęć: starszego, białego, z siwiejącą brodą. – On nie może odpowiedzieć na pańskie pytania.

– W takim razie kto może?

Mężczyzna wskazał na telefon. Który zaczął dzwonić.

Zmarszczyłem czoło, po czym odebrałem i uniosłem go do ucha.

– Halo?

– Hej – powiedziała Sandra z drugiej strony. – Dobrze znów usłyszeć twój głos.

6

Sandra.

Sandra.

Jej głos był głęboki i matowy, jak dźwięk samotnej wiolonczeli. Przypominał mi spokój, uciszone koszmary. Ciche rozmowy nocami, w migotliwym blasku świecy, bo nowoczesne oświetlenie nie było dla niej dość żywe.

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego wrzuciłaś tu ten telefon i przechodziłaś przez to wszystko? Dlaczego po prostu do mnie nie zadzwoniłaś?

– Potrzebowaliśmy bezpiecznego połączenia, Rhone.

Moje drugie imię. Zamknąłem oczy, wyobrażając sobie leniwe dni pod koniec, kiedy już uciszyłem i ucieleśniłem głosy. Dni, kiedy po prostu leżałem z Sandrą u boku i cicho rozmawialiśmy. Zawsze powtarzała, że nie jestem jakimś tam „Stephenem”. Że to zbyt pospolite imię.

– Moje połączenie jest bezpieczne – powiedziałem jej.

- Bezpieczne przed tobą, jak się obawiam.
- Czyli współpracujesz z tymi ludźmi? – Spojrzałem na dwójkę przy wózku z hot dogami.
- W pewnym sensie.
- Muszę się z tobą spotkać, Sandro. Ja... nie jestem tak silny jak wtedy, kiedy odeszłaś. Wszystko zaczyna się rozpadać.
- Wiem.
- Obserwowałaś mnie?
- Nie. Ze mną też się tak stało.
- Twoje aspekty. Jimmy, Orca, Mason... jak się mają?
- Odeszły.

Poczułem się tak, jakby uderzyła mnie w brzuch.

- Musisz pójść z tymi mężczyznami, Rhone – powiedziała. – Musisz mi zaufać. Pracują nad czymś, co może ci pomóc. Co pomogło mnie.

Im dłużej mówiła, tym bardziej niewłaściwie brzmiała. Jakby była pod wpływem narkotyków albo coś w tym rodzaju. Odsunąłem telefon od ucha i gestem wezwałem aspekty, by podeszły bliżej i też słuchały.

- Sandro? Co się stało z twoimi aspektami? Co się dzieje?
- Oddałam je. Dla zdrowia psychicznego. Odwiedź mnie, Rhone. Tak... jest lepiej.

Popatrzyłem na Ivy, która krótko skinęła głową. Wyciszyłem telefon i spojrzałem na dwóch mężczyzn. Młodszy był żołnierzem, ale starszy – kiedy już mu się przyjrzałem – nie robił wrażenia kogoś ze służb. Odrobinę zbyt pulchny, odrobinę zbyt rozluźniony w tym sportowym płaszczu, nawet jeśli zauważyłem pistolet w kaburze pod pachą. J.C. byłby ze mnie dumny.

- Co wy jej zrobiliście? – spytałem ostro.
- Powinien pan raczej spytać – odparł starszy z mężczyzn – co postanowiła sama ze sobą zrobić.
- To znaczy?
- Odnalazła spokój – stwierdził mężczyzna. – Panu też możemy to zaproponować. Pański mózg... bezpieczny wewnątrz pańskiej czaszki, niech pan tak na mnie nie patrzy... i nasza technika. Możemy uczynić świat bezpieczniejszym miejscem, a pański świat mniej szalonym,

a wszystko to dzięki naszemu opatentowanemu rozwiązaniu.

– Brzmi jak biznesmen – zauważył Tobias – przemawiający przed radą nadzorczą.

– Intrygujesz go. – Ivy zmrużyła oczy. – Może nawet bawisz.

Wyłączyłem wyciszenie i uniosłem telefon do ucha.

– Sandro? Chciałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy. Tylko ty i ja. Żadnych telefonów. Żadnych podsłuchujących.

– A jeśli poproszę cię o pomoc?

Poczułem nagłą potrzebę, by się jej odwdzięczyć. Przed laty uratowała mi życie, a ja rozpaczliwie pragnąłem spłacić dług. Wyrównać rachunki. Ponieważ w głębi duszy podejrzewałem, że ona odeszła, bo ja zbyt wiele brałem i w naszym związku brakowało równowagi.

Podpuszcza mnie, pomyślałem. Wie, jak się czuję, i podpuszcza mnie. Pomoc. Słowo, które tak trudno zignorować.

Odwróciłem się od dwóch mężczyzn i zacząłem mówić ciszej.

– Przetrzymują cię? Podają ci leki uspokajające?

– A jeśli powiem, że tak, przyjdiesz?

– Ja...

– Prawie wróciłam, wiesz? Dwa lata temu, kiedy zaczęło mi iść źle. Przyszłam w odwiedziny. Ale wyszłam, zanim z tobą porozmawiałam. Rhone... tobie się pogorszy. Jesteś taki jak ja, tylko kilka lat za mną. Mózg nie wytrzymuje obciążenia. Zaczynasz znów ich tracić. Chyba że się poddasz.

– Czemu?

– Doskonałemu światu.

– No, no – zauważyła Ivy – i to wcale nie brzmi złowieszczo.

– Sandro, to nie tak miało być. Wyobrażałem sobie... to znaczy... miałem taką wizję...

– Rhone, Rhone... Już powinieneś wiedzieć. Nasza dwójka jest aż za dobra w wyobrażaniu sobie różnych rzeczy. Ale czy nasze marzenia na jawie kiedykolwiek rozegrały się tak, jak chcieliśmy? Idź z Kyle'em.

– Ale...

– Wtedy się z tobą spotkam. Przyjdź.

Rozłączyła się.

A ja uświadomiłem sobie, że płaczę. Moja ręka opadła i prawie upuściłem telefon. Odwróciłem się w stronę mężczyzn.

– Panie Legion – powiedział starszy z mężczyzn, który pewnie był Kyle'em – paradygmat, wewnątrz którego pan żyje, można rozwinąć. Proszę, niech pan pozwoli, żebym przedstawił panu naturę naszej pracy i pozwolił, by przeddefiniowała pańską wizję tego, co jest możliwe.

– Przetrzymujecie ją.

– Odkryje pan, że nie zrobiliśmy niczego, co wykraczałoby poza granice moralności i etyki biznesu.

Uśmiechnąłem się szyderczo.

– Leeds. – Ngozi wzięła mnie za ramię.

Za naszymi plecami rozbłysło światło, a tłum zaczął wiwatować.

– Nie wiem, co jej zrobiliście – powiedziałem do Kyle'a. – Ale nie idę z wami. Odnajdę Sandrę. Uwolnię ją.

– A jeśli ona nie chce wolności?

Warknąłem.

– Nie możecie...

– Stephenie – odezwał się Tobias. – Może powinieneś się uspokoić. Głębokie oddechy, pamiętasz? Pozwól, że opowiem ci więcej o pokazie ogni. Posłuchaj mojego głosu. Pokazy są takie piękne, ponieważ...

Oddychałem głęboko, uspokajając się w rytm słów Tobiasa. Kyle i drugi mężczyzna się cofnęli, a ja odwróciłem się, by spojrzeć ponad tłumem na rozbłyśki iskier na tle ściany. Były piękne, jak powiedział Tobias. Słuchałem jego głosu, aż...

Co to był za dreszcz?

Spojrzałem w tłum. Większość oglądała pokaz, ale jedna postać ruszyła w moją stronę. Zmarszczyłem czoło, kiedy ten ktoś przeszedł przez parę ludzi – jakby ich tam nie było. Postać miała... miała głębokie oczodoły i blade, mleczone oczy bez źrenic.

Jej skóra stała się popielata, wręcz przezroczysta, i widać było przez nią cień czaszki. Ale i tak rozpoznałem tę twarz. Armando.

Armando – to, co z niego pozostało – zawył i rzucił się w moją stronę, unosząc duży nóż. Odskoczyłem i dopiero wtedy zorientowałem się, że nie celował we mnie.

Przerwał Tobiasowi w połowie zdania.

7

Tobias bezgłośnie osunął się na ziemię, nóż Armanda ociekał krwią. Przypominający upiorna mężczyzna rzucił się w moją stronę i ciął ostrzem, które odbijało pomarańczowo-czerwony blask iskier.

Przerażony uniosłem ręce, zatoczyłem się do tyłu i zostałem trafiony w ramię. Bolało. Rana chyba krwawiła.

Wpadłem na wózek z hot dogami, ledwie zauważyłem, że młodszy z mężczyzn wyciąga broń. Nie obchodziło mnie to, nie mogło mnie obchodzić. Armando zmienił się w koszmar. A Tobias...

Nie. Proszę. Nie Tobias.

Ivy krzyknęła, uklękła i próbowała pomóc Tobiasowi. Ngozi cofnęła się przerażona.

Zatoczyłem się.

NIE TOBIAS!

Armando znów się na mnie rzucił, a ja uciekłem. Odepchnąłem się od wózka z hot dogami i biegłem, przyciskając do piersi krwawiącą rękę. Ciepły płyn przemoczył koszulę aż do skóry. Przeciskałem się przez tłum, przewracając ludzi w rozpaczliwej próbie utrzymania się przed Armandem.

Płynął za mną, bardziej duch niż człowiek czy aspekt. Przeszkody go nie zatrzymywały, bez trudu przenikał przez tłum ludzi. Nie chciało mu się udawać jak pozostałym. Nie musiał się starać, by oszczędzać moją psychikę.

Przecisnąłem się obok jakiejś rodziny i nagle znalazłem się z przodu tłumy, tuż pod sceną. Byłem tak dezorientowany, że uciekałem w przeciwną stronę.

Czerwone iskry uderzały o ścianę, migotały i znikaly. Obejrzałem się przez ramię. Promienny, niestały, dogasający blask oświetlał Armanda. Jego oczy były martwe, jak oczy topielca. Podążał za mną nieubłaganie, unosząc zakrwawiony nóż.

– Wytnę ich z ciebie – szepnął, a jego głos był jakimś sposobem słyszalny ponad okrzykami ludzi, którzy wiwatowali na widok przedstawienia lub wrzeszczeli na mnie. – Wytnę ich wszystkich.

Wpadłem na kogoś w tłumie i zostałem odepchnięty w drugą stronę. Ramię zabolalo, kiedy zderzyłem się z kolejną grupą, a oni pozbawili mnie tchu, ściskając między sobą. Armando przepłynął przez nich, jego twarz wyłoniła się na czyichś plecach jak plama przesączająca się przez ścianę.

Znów krzyknąłem, odepchnąłem od siebie ludzi, rękę przeszył mi ból. Przeciskałem się przez duszną, spoconą, rozwrzeszczaną, przerażającą masę. Wiłem się, krzyczałem, przepychałem i w końcu... wypadłem z tłumy na otwartą przestrzeń.

Armando wpadł na mnie z tyłu, popchnął ramieniem, rzucił na ziemię. Uderzyłem w betonowy chodnik i sapnąłem z bólu.

– Wytnę ich wszystkich.

Przetoczyłem się i wpatrzyłem w Armanda – od tyłu oświetlały go wybuchające w ciemności iskry. Wyszczrzył zęby.

I wtedy kula trafiła go w czoło.

Zatoczył się i potrząsnął głową. Rozległy się kolejne strzały, jak fajerwerki. Każdy trafił go w twarz, prawie nie było rozrzutu. Nigdy nie cieszyłem się tak bardzo na widok J.C. Wciąż unosząc przed sobą broń, podszedł do mnie i kucnął.

– Wiedziałem, że pewnego dnia będę musiał zastrzelić tego gościa.

Spojrzałem na Armanda, który leżał w rozrastającej się kałuży własnej krwi. J.C. gestem kazał mi wyciągnąć rękę, żeby mógł obejrzeć ranę, a ja zrobiłem to w odrętwieniu.

– No tak – J.C. wyciągnął bandaż z kieszeni – zamierzasz mi wytłumaczyć, dlaczego tak bardzo nie chciałeś mojego towarzystwa?

– Że... co?

– Zostawiłeś mnie w slumsach, uciekłeś z rezydencji, zanim zdążyłem do ciebie wrócić. Nawet moja taksówka w drodze tutaj utknęła w korku.

– Ten ostatni był prawdziwy.

– I tak mam wrażenie, że byłeś lekkomyślny. Celowo.

Wcale nie. Ja tylko... chciałem dotrzeć do Sandry. Próbowałem

wyjaśnić, ale wtedy wypełniło mnie wrażenie rozrywania. Nieprzyjemnie znajome, to samo wydarzyło się wcześniej, z Armandem. Strata. Informacje opuszczające mnie na zawsze.

Tym razem było o wiele gorzej. Grzmot w porównaniu z trzaskiem pękającej gałązki.

Jęknąłem i skuliłem się, kiedy opuszczały mnie na zawsze – te wszystkie przypadkowe informacje, które nie pasowały do kompetencji innych aspektów. Drobiazgi, które wiązały się ze wszystkim, co robiłem, wszystkim, czego się nauczyłem, połączone w jednym wspaniałym człowieku. Tobias...

Tobias odszedł.

– O co chodzi? – spytał J.C. – Czemu masz taką minę, chudy? Co się stało?

– Dopadł Tobiasa – wychrypiałem.

– Gdzie?

Wskazałem do tyłu na tłum.

J.C. ruszył biegiem, a ja podniosłem się z trudem i podążyłem za nim, pozostawiając trupa Armanda. Wątpiłem, żeby mógł się podnieść i znów nas zaatakować... ale nie miałem żadnych gwarancji. Koszmary nie przestrzegały zasad.

Do tego czasu prawdziwi ludzie zrobili wokół mnie wolną przestrzeń i cofali się, kiedy szedłem. W wielkim mieście człowiek mógł się do tego przyzwyczaić, nawet jeśli nie wyglądałem jak zwyczajny pijany bezdomny. Kilku miłosiernych samarytan spytało, czy potrzebuję pomocy, ale udało mi się ich zbyć i wrócić do wózka z hot dogami.

Dwaj mężczyźni już sobie poszli. Ngozi klęczała przy Tobiasie, ręce miała zalane krwią. Próbowwała go zabandażować i chwiała jej za to.

Nie wystarczyło. J.C. przykląkł na jedno kolano obok Tobiasa, pistolet zwisał w jego ręce. Ivy stała w pobliżu, obejmowała się jedną ręką, a w drugiej trzymała papierosa. A niech to. Rzuciła palenie przed laty. J.C. wstał i podszedł do niej, a ona przytuliła się do niego i płakała oparta o jego ramię.

A ja...

Patrzyłem na ciało.

Tobias był pierwszy. Uspokajający, pełen optymizmu głos wydobyty z cieni i koszmarów. Pamiętałem, jak pewnej nocy siedziałem na krześle przy zgaszonym świetle, otoczony szeptami – i wtedy usłyszałem go po raz pierwszy.

Był linią ratunkową mojego umysłu.

– Co... – zaczęła Ngozi. – Co teraz robimy?

– Musimy się ruszyć. – J.C. wciąż przytulał Ivy. Potrzebował pocieszenia tak samo jak ona. – Zwróciliśmy na siebie uwagę. Popatrz.

Choć pokaz iskier się skończył i ktoś zaczął już polewać scenę wodą, przez rzednący tłum przeciskali się ochroniarze. Kilku ludzi odwróciło się w moją stronę, gestykulując z ożywieniem.

– Nie możemy... tak po prostu go zostawić – stwierdziła Ivy.

– Istnieje rozwiązanie – szepnąłem. – Sposób, by to naprawić. Sandra. Ona wie.

Zatoczyłem się do wózka z hot dogami. Na ladzie leżały kartka i torebka z telefonem. Wiadomość brzmiała po prostu „Będziemy w kontakcie”.

Złapałem torebkę i wiadomość i – choć cierpiałem z tego powodu – pozostawiłem ciało Tobiasa. To było niewłaściwe. To było koszmarne. Zamierzałem jednak po niego wrócić. Zapewnić mu odpowiedni pogrzeb.

Będzie tu tak po prostu leżał, pomyślałem, a ludzie będą przez niego przechodzić. Nieświadomi, po czym depczą. Po wielkim człowieku, którego nie mogli zobaczyć, nie mogli poznać.

Musieliśmy się ruszyć.

Odszedłem niepewnym krokiem, wciąż przyciskając do piersi ranną rękę. Ochroniarze zawołali za mną. Przyśpieszyli kroku, żeby nas dogonić, ale wtedy zbliżyłem się do limuzyny, która wciąż stała zaparkowana przy krawężniku.

Barb otworzyła drzwi, a dwaj strażnicy się wycofali. Nagle przeszedłem z kategorii „przypadkowy pijany bezdomny” do „za to mi nie płacą”.

Wszedłem do środka i kopnięciem znów otworzyłem drzwi, kiedy Barb próbowała je za mną zamknąć. Ivy, J.C. i Ngozi weszli do środka i opadli na siedzenia.

Barb zjrzała do nas.

– Yyy... wszyscy w środku?

– Nie – szepnąłem. – Ale i tak możemy jechać.

– Pewnie! – odpowiedziała energicznie. – Mogę coś panu podać?

Wodę albo...

– Możesz się zamknąć.

Zatrzasnęła drzwi, być może nieco zbyt stanowczo. Brakowało mi Wilsona i...

Niech to wszyscy diabli, Tobias nie żył.

Położyłem się na siedzeniu, a J.C. ukląkł przy mnie i zaczął poprawiać bandaż.

– W porządku. – Ivy odetchnęła głęboko. – W porządku. Musimy mieć jakiś plan. Nie mogę uwierzyć, jak bardzo to boli... ale musimy mieć jakiś plan. Steve, to się nie może powtórzyć.

Samochód ruszył. Barb włączyła interkom.

– Jedziemy w jakieś określone miejsce?

– Nie – odpowiedziałem. – Po prostu jedź. Proszę.

Dokądkolwiek, byle daleko stąd.

8

Nie wiedziałem, co to za rodzaj telefonu.

Obracałem go w dłoniach, kiedy samochód wyjechał na autostradę. Obok mnie Ivy pomagała Ngozi oczyścić ręce z krwi, wykorzystując do tego celu zlew i wodę z barku.

Dlaczego było ważne, jaki to telefon? Ponieważ Tobias wiedział wszystko o telefonach. Nie tylko samych urządzeniach, ale też firmach, które je produkowały. Historia techniki była jednym z jego licznych małych dziwactw. Przyzwyczaiałem się, że mam tę wiedzę gdzieś z tyłu głowy, nie tak ważną, ale mimo wszystko... obecną.

Wysłałem Sandrze parę wiadomości, ale nie reagowała. W końcu zgodnie z sugestią J.C. napisałem, że włączę telefon za godzinę – po czym wyjąłem baterię, żeby nie dało się mnie łatwo wysledzić poprzez

aparatus, tak na wszelki wypadek.

– J.C. – powiedziała Ivy. – Zadzwoń do rezydencji.

Zrobił tak, wybrał numer Kalyani, a później uruchomił głośnik.

– Są jakieś wieści? – spytała natychmiast.

– My... – Ivy odetchnęła głęboko. – Straciliśmy Tobiasa.

Cisza.

– Straciliście – powiedziała w końcu Kalyani. – To znaczy... uciekł?

– Nie żyje – stwierdził J.C. – Odszedł.

Kalyani westchnęła.

– Nie możemy dopuścić, żeby coś takiego się powtórzyło – powiedziała Ivy. – Chcę, żebyś zebrała wszystkie aspekty i zaprowadziła je do Białej Sali. Daj nam znać, jeśli ktoś będzie nieobecny.

– Tak. Tak, jasne. Ale... Tobias. Jesteście pewni?

– Tak, niestety.

– Jak się czuje pan Steve?

Ivy spojrzała na mnie.

– Nie najlepiej. Oddzwoń do nas, kiedy wszyscy będą razem.

Patrzyłem prosto przed siebie, odrętwiały, i czułem jedynie ruch samochodu na drodze.

Musisz dotrzeć do Sandry, pomyślałem.

Ale czy ona potrafiłaby coś zrobić? Jej głos przez telefon, sposób w jaki mówiła, nie pasował do kogoś, kto zna odpowiedź. A przynajmniej tę właściwą.

Był to przynajmniej temat do zastanowienia, inny niż Tobias. Podniosłem wzrok i z zaskoczeniem stwierdziłem, że wszystkie moje aspekty zamarły. Jak rzeźby, nie ruszali się, nie oddychali. Kiedy sobie to uświadomiłem, ruszyli z szarpnięciem, Ngozi wycierała ręce i opowiadała J.C. o dwóch mężczyznach z budki z hot dogami.

Sprawdziłem telefon i odkryłem, że minęło pół godziny. Przez cały ten czas siedziałem oderwany od rzeczywistości, rozmyślając o Sandrze i Tobiasie.

Mój telefon zabrzączał. Dzwoniła Kalyani.

– Halo. – Przełączyłem się na głośnik.

– Wszyscy są obecni, panie Steve. Nikt nie zniknął. Wszyscy tu

jesteśmy. Nawet Leroy, który właśnie wrócił.

To oznaczało, że nie będzie koszmarów. Na razie.

– Co mamy zrobić? – spytała Kalyani.

Spojrzałem na telefon Sandry. Mieliśmy czekać, aż ona albo ten Kyle „będą w kontakcie”? A może mógłbym zrobić coś więcej?

– Jakie mamy opcje? – Spojrzałem na swoją ekipę.

– Starszy mężczyzna – zaczęła Ivy – Kyle, on brzmiał jak biznesmen.

Nie służby. Czyli...

– Czyli może są jakieś dane na temat jego samego i jego miejsca pracy. – Pokiwałem głową. – Ale musimy jakoś go odszukać. Ngozi. Czy masz jego obraz w umyśle?

– I to doskonały.

– Świetnie. Kalyani, nadal tam jesteś?

– Tak.

– Znajdź Turquoise’a.

Turquoise był jednym z moich starszych aspektów. Podszedł, a w jego głosie pobrzmiwała dziwna mieszanka teksańskiego akcentu i bełkotu ćpuna.

– Hej, stary. To było szaleństwo, co?

– Nie używaj tego słowa zbyt swobodnie w mojej obecności, Turquoise. Ngozi kogoś ci opisze. Możesz go narysować?

– Jasne. Jak jeden z tych gości. Z tych seriali.

– Zgadza się.

– Fajowo.

Skinąłem na Ngozi, która zaczęła opisywać Kyle’a. Okrągła twarz, przerzedzone włosy, wielkie przedramiona – jakby ćwiczył na siłowni – ale sylwetka bynajmniej nie muskularna. Duży nos.

Kalyani przeszła w tryb rozmowy wideo i pokazywała, co rysuje Turquoise. Ngozi podpowiadała, gdzie ma wprowadzić poprawki, z niewielką pomocą Ivy, a on doskonale sobie poradził. Mój umysł umiał szybko zapamiętywać skomplikowane szczegóły. Potrzebowaliśmy jedynie sposobu, by wydobyć te informacje.

– Fajowo – powiedział Turquoise, kiedy skończyliśmy. – Wygląda trochę jak kartofel, który udaje, że jest człowiekiem, i martwi się, że ktoś go przejrzy.

- Dziwny z ciebie gość, Turquoise – powiedziałem.
- Aha. Dzięki.
- Hej, Chin? – spytałem. – Słuchasz?
- Tu jestem. – Mój ekspert od komputerów pochylił się i pomachał do kamery.
- Możesz przepuścić ten rysunek przez jakieś oprogramowanie do rozpoznawania twarzy?
- Nie, ale i tak mogę ci powiedzieć, kto to jest.
- Co? Naprawdę?
- Pewnie. Ostatnio czytałem artykuł na jego temat. To Kyle Walters, tutejszy przedsiębiorca. Narobił trochę zamieszania wśród miejscowych firm technologicznych.
- Zmarszczyłem czoło i wrzuciłem nazwisko w Google.
- Prezes Przedsiębiorstwa Penitencjarnego Walters i Ostman.
- ...Przedsiębiorstwo Penitencjarne? – spytała Ngozi. – Chodzi o więzienie?
- Komercyjne więzienie – czytał Chin. – Trafił do mediów, kiedy kupił firmę tworzącą gry komputerowe. W pewnych kręgach była to całkiem spora sprawa.
- Powoli pokiwałem głową. Cokolwiek wiedział Chin, pochodziło ode mnie. Musiałem przeczytać o Kyle’u w czasie jednego z moich licznych szarów informacyjnych, kiedy próbowałem pochłonąć jak najwięcej wiadomości i artykułów do wykorzystania w przyszłości.
- Gry wideo i więzienia? – spytała Ivy. – Dziwne połączenie.
- Tak. – Przejrzałem artykuł. – Prezes firmy. Dlaczego zadał sobie tyle trudu i przyszedł osobiście mnie poznać?
- Spotkanie z tobą to interesujące doświadczenie – stwierdził Chin.
- Mówi się, że ma podejście praktyczne. Pewnie po prostu chciał cię zobaczyć osobiście.
- Zmarszczyłem czoło, wpatrując się w artykuł.
- O co chodzi? – spytała Ivy.
- Nic. Po prostu... chyba wiedziałem coś o tej budowli, przed którą stoi. – Spojrzałem na podpis pod rysunkiem. – „Wieża Eiffla”? Wygląda jak jakaś instalacja artystyczna.
- Jasne. I to duża. – Ivy pokręciła głową. – Dziwne.

– To jest „sztuka”? – wtrącił J.C. – Wygląda, jakby ktoś zapomniał ją ukończyć.

Siedziałem tam, czekając, aż Tobias nam wszystko wyjaśni, i znów poczułem się tak, jakby ktoś mnie uderzył. On odszedł. Odetchnąłem głęboko i dalej szukałem informacji na temat naszego Kyle’a Waltersa. Znalazłem kilka filmików z jego wypowiedziami na konferencjach branżowych – były pełne okrągłych słów.

Ale należały do niego więzienia. Co robił na tych konferencjach? To nie były nawet konferencje na temat bezpieczeństwa. „Zjazd Stosowanej Rzeczywistości Wirtualnej”, przeczytałem. Hm.

– Firma ma siedzibę w mieście? – spytałem. – Gdzie?

– Tutaj. – Ivy pokazała mi adres na swoim telefonie. – Należy do niego cały budynek w podmiejskim parku biznesu.

Fakt, że adres pojawił się na jej telefonie, oznaczał, że miałem go gdzieś z tyłu głowy, z czasów, gdy zapamiętywałem listy miejscowych przedsiębiorstw. Czyli nie utraciłem wszystkiego wraz z Tobiasem.

– Wydaje się, że zadziwiająco dobrze pan sobie radzi – powiedziała Jenny – kiedy minął początkowy szok. Czy może pan wyjaśnić, jak aspekty pozwalają panu wrócić do równowagi?

Zaskoczony uniosłem głowę. Oto była, siedziała naprzeciw mnie w limuzynie. J.C. z cudownym opanowaniem wyciągnął pistolet i wycelował w jej głowę.

– Czy to konieczne? – spytała.

– Jeden z aspektów właśnie oszalał i zabił jednego z moich najlepszych przyjaciół – stwierdził J.C. – Rozwalę twój mózg na tym siedzeniu, jeśli uznam, że to ocali kogoś innego.

– Nie przestrzegasz zasad – powiedziałem do niej. – Pojawianie się i znikanie? To niebezpieczne. Koszmary nie przestrzegają zasad.

Zacisnęła wargi i wydawało mi się, że po raz pierwszy zaczyna pojmować. Pokiwała głową, a J.C. spojrzał na mnie.

– Możesz schować broń – powiedziałem do niego. – To jasne, że ona nie jest koszmarem. Jeszcze nie.

Wypełnił polecenie, nieśpiesznie schował pistolet do kabury, po czym odchylił się do tyłu i cały czas obserwował Jenny. Żartowaliśmy sobie z J.C., ale muszę przyznać, że kiedy naprawdę mu na tym zależy,

potrafi od niechcenia kogoś zastraszyć. Ivy usadowiła się obok niego, założyła nogę na nogę i piorunowała Jenny wzrokiem. Ngozi przegapiła całą wymianę zdań, bo nagle zafiksowała się na tym, jak brudny był uchwyt na napoje.

– Wydaje mi się – powiedziała Jenny – że wszyscy chętnie celujecie z broni, ale bardzo niechętnie zadajecie trudne pytania.

– To znaczy jakie? – spytałem.

– Na przykład, dlaczego to się dzieje? Dlaczego traci pan aspekty? Co sprawia, że pańskie halucynacje zachowują się w taki sposób?

– Mój mózg jest przepracowany. Zbyt wiele aspektów, zbyt wiele się z nimi dzieje. Albo też jestem emocjonalnie niezdolny do radzenia sobie ze zmianami w życiu.

– Fałszywa dychotomia. Może istnieć trzecie rozwiązanie.

– Na przykład?

– Niech pan mi to powie. Ja tylko słucham.

– Wiesz oczywiście, że już mam aspekt psychologa. – Skinąłem w stronę Ivy. – Pyskuje mi, ale jest dobra w tym, co robi, więc kolejnego nie potrzebuję.

– Nie jestem psychologiem – sprzeciwiła się Jenny. – Jestem autorką biografii.

Zapisała coś w notatniku, jakby chciała potwierdzić swoje słowa.

Wyjrzałem przez okno i patrzyłem na mijane latarnie. Zjechaliśmy z autostrady i poruszaliśmy się słabo oświetloną osiedlową ulicą. Odcinki między latarniami były czarne – prawie jakby nic nie istniało, z wyjątkiem tych miejsc, gdzie latarnie tworzyły świat.

Nacisnąłem guzik interkomu.

– Barb, znajdź na nawigacji budynek biurowy o nazwie Przedsiębiorstwo Penitencjarne Walters i Ostman. To powinien być numer dwieście sześć. Zabierz nas tam.

– Przyjęłam, szefie.

– Proszę mi powiedzieć, panie Leeds. Czy chciałby pan zostać wyleczony?

Nie odpowiedziałem.

– Powiedzmy, że utraciłby pan nas wszystkich. Żadnych aspektów. Żadnej wiedzy. Żadnej wyjątkowości. Ale czy gdyby mógł pan być

normalny, przyjąłby pan taką wymianę?

Kiedy nie odpowiedziałem od razu, Ivy posłała mi zranione spojrzenie. Ale co mogłem zrobić? Czuć się dobrze. Być normalnym.

Robiłem wszystko, co w mojej mocy, by pozostać zdrowym na umyśle, by zepchnąć swoje psychozy na aspekty. Byłem najnudniejszy z nich wszystkich, celowo. Tak mogłem udawać. Ale czy to znaczyło... znaczyło, że zaakceptowałbym utratę aspektów?

Czy naprawdę mógłbym żyć bez nich?

– Już tęsknię za Tobiasem – powiedział cicho J.C. – On by przerwał tę ciszę. Powiedział coś, od czego bym się uśmiechnął.

– Opowiedz mi o nim – poprosiła Jenny. – Ledwie go znałam.

Robiła wrażenie, jakby chciała wślizgnąć się do środka, wydobyć informacje z mojego mózgu.

– Był cudowny – odparła Ivy. – Do każdego odnosił się spokojnie. Każdym się interesował.

– Uwielbiał tajemnice – dodała Ngozi. – Uwielbiał pytania. Był tą częścią nas, która cały czas chciała się uczyć.

– Przysięgam – zauważyłem – że połowa aspektów istnieje, bo coś zainteresowało go tak bardzo, że skłonił mnie do zagłębienia się w jakiś dziwaczny temat.

– Nienawidził żądać od ludzi pieniędzy za naszą pracę – powiedział J.C. – Zawsze chciał, żebyśmy robili to pro bono. Kiepski biznesmen. Ale dobry człowiek.

– Był szalony na swój własny cudowny sposób – stwierdziła Ivy. – Pamiętajcie, jak zachowywali się ludzie, kiedy dowiadywali się, że jedna z twoich halucynacji ma własną halucynację?

Uśmiechnąłem się. Może... może mógłbym wyobrazić sobie astronautę Stana, przyjaciela Tobiasa. Zwykle nie miałem takiej kontroli.

Inni wciąż wspominali, opowiadali historie o Tobiasie. Jenny siedziała i zapisywała je wszystkie. I rzeczywiście czułem się lepiej, rozmawiając o tym. Wspominając. Może choć raz rzeczywiście pomogła.

W końcu podjechaliśmy do niedużego budynku biurowego – jakieś trzy piętra. Nie wiedziałem, czy Sandra była w środku, ale miałem

nadzieję, że znajdę przynajmniej informacje na temat tego, gdzie ją przetrzymywano.

Musiałem jedynie się włamać i je ukraść.

9

– To samo auto – zauważyła Ngozi, spoglądając przez lornetkę przez okno naszej limuzyny. – Wielki srebrny SUV, który wcześniej parkował na ulicy przy wózku z hot dogami. W blasku latarni ledwie widzę tablicę rejestracyjną. – Zawahała się. – Ktoś z was słyszał o marce samochodów „Lexus”?

Aspekty potrząsnęły głowami. Ile jeszcze aspektów mógłbym utracić, zanim po prostu... przestałbym istnieć? Zmienił się w śliniącą się roślinę?

J.C. gestem poprosił o lornetkę. Ngozi wytarła ją chusteczką dezynfekującą, a dopiero później mu ją podała. Obejrzał budynek od góry do dołu.

– Nie da się ocenić ich poziomu zabezpieczeń. Oto co zrobimy: wracamy do domu, a ja zbieram z aspektów drużynę specjalistów: Chin, Lua, Marci.

– Wykorzystamy parę kontaktów, zdobędziemy plany budynku, a jeśli będziemy mieli szczęście, również dane firmy instalującej zabezpieczenia. Może uda się nam dowiedzieć, do kogo należał ten budynek, zanim Kyle go kupił, a jeśli uda się nam go przekupić, będziemy jeszcze lepiej wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Wrócimy za dwa dni, o trzeciej nad ranem, kiedy...

Otworzyłem drzwi i wyszedłem w ciemność.

– ...albo nie – dokończył J.C. z głośnym westchnieniem.

Zapukałem w okno od strony kierowcy i Barb opuściła szybę.

– Zaparkuj samochód w jakimś mało widocznym miejscu – powiedziałem i ruszyłem w stronę budynku.

J.C., Ivy, Ngozi i Jenny poszli za mną. Przebiegliśmy pochyleni przez ciemny trawnik. Większość budynku była mocno oświetlona, ale

reflektor po wschodniej stronie zapalał się co jakiś czas i na krótko. Dlatego zbliżyłem się z tej strony.

Jenny trzymała się z tyłu i wyglądała niezgrabnie, kiedy starała się ukryć za drzewem. Przynajmniej trzymała się zasad. Ivy robiła takie rzeczy już wcześniej i skradała się obok J.C. i mnie, a buty – niezbyt praktyczne do tego rodzaju zadań – trzymała w ręku. Najbardziej martwiłem się o Ngozi, ale kiedy kucnęła obok mnie przy krzakach, uśmiechała się.

– Minęło wiele czasu – szepnęła, kiedy kuliliśmy się w cieniu zarośli.
– Czuję się... Czuję się dobrze. Jakbym była zdolna to zrobić. Hm. Och! Nie dotykaj tych liści! Wiesz, jakimi chemikaliami je przyskają, żeby były takie zielone?

J.C. przyjrzał się ścianie budynku.

– Upierasz się, żeby zrobić to teraz?

– Jeśli Sandra jest tam w środku, chcę wiedzieć. Nie możemy odczekać dwóch dni, bo w tym czasie mogą ją przenieść.

Popatrzył na Ivy, która wzruszyła ramionami, po czym pokiwała głową. Odetchnął.

– Wszyscy jesteście wariatami.

– Ej! – sprzeciwiła się Ivy. – Ja tu jestem psychologiem. Ja mam prawo określać, kto z nas jest szalony, i tylko czworo z nas jest.

J.C. popatrzył na naszą piątkę, po czym z wahaniem wskazał na siebie.

– J.C. – Jej głos brzmiał beznamiętnie. – Ty jesteś kompletnym wariatem. Ile magazynów o broni prenumerujesz?

– ...Wszystkie – przyznał.

– W ilu językach?

– ...We wszystkich?

– A iloma z tych języków się posługujesz, poza angielskim?

– ...Żadnym. – Wysunął lornetkę przez krzaki i rozejrzał się. – Ale umiem posługiwać się zdjęciami. Nie są po kanadyjsku, czy czymś tam.

Zwróciłem się do Ivy.

– W takim razie kto jest zdrowy na umyśle. Ja?

– Boże broń. To Ngozi. Widziałeś, jakimi chemikaliami przyskają te

rośliny? Naprawdę powinieneś jej uwierzyć.

Ngozi pokiwała głową, ale J.C. jedynie się roześmiał. A ja... ja się lekko uśmiechnąłem. Trudno mi było czuć jakąkolwiek wesołość po tym, co się wydarzyło, ale zrozumiałem, że wciąż jej potrzebuję.

Dziękuję, Ivy, pomyślałem.

– To jak wchodzimy do środka? – spytałem.

– Przewody wentylacyjne? – zasugerowała Ngozi.

J.C. przewrócił oczami.

– A widziałaś kiedyś przewód wentylacyjny, przez który mógłby się przecisnąć dorosły? To znaczy jednocześnie dość duży i na tyle wytrzymały, żeby nie załamać się pod ciężarem człowieka w środku?

– Jasne. Wiele razy. W telewizji.

– Aha, w takim razie, kiedy następnym razem będziemy robić analizę kryminalistyczną, powtórzę „powiększ” tak z milion razy.

– Przyjęłam do wiadomości.

– Całe szczęście – J.C. znów uniósł lornetkę – to miejsce nie wygląda na zbyt mocno pilnowane. Nie widzę żadnych zewnętrznych kamer, ale pamiętajcie, że mogli je bez trudu ukryć, a ciemne okna sugerują, że jeśli patrolują wewnątrz, to rzadko. Oczywiście te nowoczesne lokale nie potrzebują patroli, wszystko jest okablowane w taki sposób, że alarm uruchamia się w chwili, kiedy choćby dmuchniesz na niewłaściwe drzwi.

– Najlepiej postąpić tak, jak zawsze powtarza Audrey... poszukać błędu ludzkiego, zamiast próbować złamać maszyny.

Pokazał palcem, a wtedy zauważyłem uchylone okno na parterze zablokowane książką – być może ktoś chciał wpuścić do środka trochę świeżego powietrza.

– Wszyscy wchodzimy jednocześnie – stwierdził J.C. – Jeśli obserwują okolicę przez kamery, rozciągnięcie się jest gorsze. Tak przynajmniej mamy szansę, że ochroniarz będzie patrzył w inną stronę, kiedy będziemy biec. Gotowi?

Pokiwaliśmy głowami.

J.C. wskazał palcem za siebie w stronę Jenny, która przyglądała się nam z pewnej odległości – może bała się podejść bliżej.

– A ona?

– Zignorujcie ją – odparłem. – Ona... nie pokaże się na kamerach. Ma, no, kamuflaż.

– Nie laska pisarka. – J.C. przewrócił oczami. Znów pokazał palcem. – Ona.

Spojrzałem po raz kolejny. Po trawniku przemykała Barb. Przybyła zdyszana i kucnęła obok mnie.

– W porządku! Wślizgujemy się do środka? Podoba mi się. Co mam dla pana zrobić?

– Wracaj do samochodu.

– Ale...

– Wracaj do samochodu, odjedź i idź na przyjęcie urodzinowe wuja. To dziś wieczorem, prawda? Zjedz kawałek tortu, Barb.

– Potrzebuje pan...

– Wezwę taksówkę. Idź.

Spochmurniała, ale pokiwała głową i odeszła. Jeśli odsłoniła mnie przed ochroną w środku... Potrząsnąłem głową, spojrzałem na ekipę – i napotkałem jednomyślne spojrzenia dezaprobaty.

– Że co? Nie potrzebujemy prawdziwych ludzi.

– Ona mogłaby zrobić pewne rzeczy, których my nie potrafimy – zauważyła Ngozi.

– Ja bym nie odprawił kogoś nastawionego tak entuzjastycznie – dodał J.C.

Ivy ścisnęła moją rękę.

– A jeśli na tym polega problem, Steve? Jeśli nie możesz żyć tylko z nami? Może to wszystko dzieje się właśnie dlatego, że skupiłeś się na swoim wnętrzu?

– Że co? Jesteście tak obrażeni tylko dlatego, że odprawiłem swojego szofera?

Wszyscy byli wariatami.

Zresztą. Może nie chciałem, żeby ktoś patrzył, jak przechodzę przez... cokolwiek się ze mną działo. Nie można już przeżywać załamania nerwowego bez świadków?

– Chodźmy – powiedziałem.

I nie dając im szansy na sprzeciwienie się, ruszyłem biegiem w stronę budynku. Pozostali podążyli za mną, nawet Jenny. Zdyszany

dotarłem do ściany i zbliżyłem się ostrożnie do otwartego okna. Było to jedno z tych, których dolne skrzydło podnosiło się i opuszczało, a przez szkło widziałem wewnątrz przypominające składzik. Na podłodze stały wiadra, a ze środka dochodził słaby zapach środków czystości. Może właśnie dlatego postanowili je wywietrzyć.

Podciągnąłem okno i wślizgnąłem się do środka. Udało mi się nie narobić przy tym hałasu ani nie przewrócić żadnego z wiader, choć kiedy się wyprostowałem, uderzyłem głową o półkę, niewidoczną w ciemnym pomieszczeniu. Zobaczyłem wszystkie gwiazdy i przez chwilę zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale udało mi się powstrzymać krzyk.

Przytrzymałem okno dla pozostałych. J.C. pochwalił mnie gestem, kiedy wszedł do środka. Pewnie nie widział, jak uderzyłem się w głowę, ale doszedłem do wniosku, że radziłem sobie lepiej niż w przeszłości. Nasze treningi na coś się przydawały.

Ivy rzeczywiście przewróciła jedno z wiader, ale na szczęście hałas był słyszalny wyłącznie dla mnie; i tak posłała mi ponure spojrzenie. J.C. pomógł wejść Ngozi, Jenny była ostatnia.

Odłożyłem książkę, oparłem na niej skrzydło okienne i podszedłem do drzwi. Odetchnąłem głęboko i uchyliłem je. Jeśli mieli je podłączone do alarmu, zdradziłbym swoją obecność.

Światło za drzwiami było o wiele jaśniejsze, niż się spodziewałem. Zamrugalem w jaskrawym, sterylnym blasku. Korytarz wydawał się pusty, ale J.C. wskazał do góry na niewielką wypukłość na suficie, półkulę z błyszczącego czarnego szkła. Kamera monitoringu.

Cofnąłem się do pokoiku i z cichym trzaskiem zamknąłem drzwi. Po chwili namysłu wybrałem numer Kalyani.

– Zawołaj China – powiedziałem cicho.

– Tak, szefie? – odezwał się po chwili.

– Przeniknęliśmy do siedziby Przedsiębiorstwa Penitencjarnego. Udało nam się dostać do środka, ale na korytarzach są kamery monitoringu.

Chin zaśmiał się cicho.

– Jesteś zaskoczony, że korporacja, która zajmuje się prowadzeniem więzień, ma podstawowe zabezpieczenia?

- Ostatnio jest lekkomyślny – wtrącił J.C. – Bardziej niż zwykle.
- W porządku. Popatrz na swój telefon, szefie. Widzisz aplikację o nazwie SAPE? To wzmacniacz analizy sygnału. Uruchom ją i ustaw, żeby przekazywała dane do mojego laptopa.
- Gotowe. – Nacisnąłem kilka guzików i patrzyłem na dane pojawiające się na ekranie.
- Hm... Widoczna sieć Wi-Fi dla gości... ukryta wymiana sygnałów bez podanego identyfikatora... W porządku, super. Używają kamer bezprzewodowych AJ141.
- To dobrze?
- W pewnym sensie. Te kamerki wysyłają sygnały z powrotem do centralnego punktu nadzoru, jasne? A siedzący tam strażnik przegląda obraz z kolejnych kamer.
- Możesz ją zhakować?
- Nie ma szans. Musielibyśmy bezpośrednio się do niej podłączyć, co, jeśli się jeszcze nie domyśliłeś, wymagałoby wejścia w jej pole widzenia. Jednak obserwuj sygnał na swoim telefonie. Widzisz ten nagły wyskok?
- Jasne. Co to?
- To ping z centrali, który sprawia, że kamera się resetuje i zaczyna nadawać. Niezgrabne. Pewnie skonfigurowali nowe kamery, żeby działały ze starszym systemem zabezpieczeń. Co znaczy, że choć nie możesz włamać się do systemu...
- Możemy zobaczyć, kiedy jedna z ich kamer nadaje. – Uśmiechnąłem się. – Niezła robota, Chin.
- No tak. Nie dajcie się złapać, dobrze? Mamy już dość złych wieści na dzisiaj.
- A skoro o tym mowa... – odezwała się nieśmiało Kalyani. – Panie Steve?
- Zrobiło mi się zimno.
- O co chodzi?
- Lua zniknął.
- Chyba mówiłaś, że macie wszystkich!
- Tak myśleliśmy, ale on wybiegł na zewnątrz, żeby wziąć coś ze swojej chatki na tyłach. I nie wrócił! Wysłaliśmy cztery osoby razem,

żeby go poszukały, ale on zniknął.

Oparłem się plecami o ścianę, zrobiło mi się niedobrze. Nie. Nie znowu...

– Ej, Ahmed? – J.C. zwrócił się do Kalyani, pochylając się nad telefonem.

– Proszę, nie nazywaj mnie tak.

– Jasne. Przepraszam. Wiesz, próbowałem być zabawny... – Odetchnął głęboko. – W skrzynce pod trzecią cegłą na ścieżce prowadzącej od tylnego wejścia jest klucz. Weź go.

– Do czego? – spytała Kalyani.

– Otwiera moją szafkę z bronią, tę w głównym holu, w której trzymam zapasowe strzelby na wypadek ataku na dom. Rozdaj je pozostałym i schowajcie się, dobrze? Zbierzcie się w jednym pomieszczeniu, zabarykadujcie drzwi... i bądźcie ostrożni. Jeśli Lua zmieni się w koszmar, może zignorować rzeczy w rodzaju zamków i barykad. Ale strzelba powinna mimo wszystko zadziałać.

– Ja... – Głos Kalyani drżał. – W porządku. W porządku, tak zrobimy.

– Dobrze. Uważaj na siebie. – Spojrzał na mnie z nietypową dla siebie rezerwą, po czym wyjął pistolet z kabury pod pachą. – Chyba miałeś rację, chudy. Czekanie dwa dni, żeby tu wejść, nie wchodziłoby w grę.

– Chciałby mi pan powiedzieć – odezwała się z boku Jenny – jak się pan z tym czuje?

Podskoczyłem i nagle poczułem nieuzasadnioną złość na nią. Stała i gryzmoliła, jakby zupełnie jej nie obchodziło, co się dzieje z pozostałymi.

– Albo się zamkniesz – powiedziałem – albo dojdzie do wymiany ciosów.

– Fałszywa dychotomia. Istnieją więcej niż dwa rozwiązania. Moglibyśmy...

– Odejdź... – Wskazałem na okno.

– Co takiego? – Opuściła notatnik.

– Odejdź. Już. Albo przysięgam, że J.C. cię zastrzeli. Złam zasady, wyjdź, zniknij, nie obchodzi mnie, w jaki sposób. Ale odejdź!

Zniknęła w mgnieniu oka.

Zadrzałem i poczułem mdłości. Pozostałe aspekty stały w milczeniu.
– Nie róbcie takich zawiedzionych min – warknąłem. – Nie prosiłem o nią. Nie chciałem jej. Nie wiem nawet, jaką specjalność miała sobą przedstawiać.

Zaczekałem, aż kamera na zewnątrz przejdzie przez pełen cykl i obliczyłem, ile czasu mieliśmy między kolejnymi transmisjami. Półtorej minuty. Mnóstwo czasu.

J.C. poprowadził nas na korytarz.

10

Kamery rozmieszczono równomiernie w korytarzach, ale za pomocą telefonu mogłem wyłapać najbliższe sygnały. Wszedłem w rytm, czekałem pod jedną kamerą, kiedy wciąż była wyłączona, po czym ruszałem szybko, gdy kolejna przestawała nadawać. Po drodze naciskałem na klamki z nadzieją, że znajdę otwarte drzwi, a za nimi dostęp do komputera.

Nie miałem szczęścia, ale Ngozi zauważyła coś przez okno jednego z biur – mapę obiektu na przeciwległej ścianie. Zrobiłem zdjęcie telefonem, po czym udałem się do miejsca za rogiem, na podeście schodów, którego – jak sądziliśmy – nie obejmował zasięg dwóch najbliższych kamer.

Tam odetchnąłem przez chwilę, a aspekty zebrały się wokół telefonu, by przyjrzeć się mapie. Serce biło mi szybko, a koszula była mokra od potu ze zdenerwowania. Ale jak na razie żadnych alarmów.

To nic nie znaczy, przypomniałem sobie. Alarm mógł być cichy i ostrzegać jedynie ochronę budynku. Mimo to całe biuro wydawało się niesamowicie ciche. Puste, ale jasne, jaskrawo oświetlone.

– Tutaj. – J.C. wskazał na zdjęcie mapy obejmującej cztery kondygnacje.

Napis nieco większymi literami głosił: „Badania obiektów i cele”.

– Założymy się, że ona tam jest? – spytał J.C.

Pokiwałem głową. Weszliśmy po schodach – omijając kamerę na

środku kolejnego biegu – i dotarliśmy na najwyższe piętro w pobliżu cel. Niestety, tu natrafiliśmy na pierwszych żywych strażników. Wyrząłem za róg i zobaczyłem ich na korytarzu. Opierali się o ścianę i rozmawiali cicho o futbolu, a przy pasach mieli tasery.

Cofnąłem się i spojrzałem na korytarz za plecami, ale według mapy prowadził jedynie do miejsca nazwanego CENTRUM OBRAZOWANIA.

Wycofałem się na schody, poza zasięg kamer.

– Jakies pomysły? – szepnąłem do aspektów.

– Mógłbyś pokonać dwóch strażników – stwierdził J.C.

Marne szanse.

– Wątpię, żebyśmy mogli ich przekonać, biorąc pod uwagę okoliczności – zauważyła Ivy.

– Cóż – odezwała się Ngozi. – Tam jest przewód wentylacyjny, biegnie wzdłuż tamtego korytarza po lewej.

– A ty znowu? – J.C. zmrużył oczy. – Nie zmieścilibyśmy się.

– Nie zamierzałam sama tam wchodzić...

* * *

Czekałem zdenerwowany, ukryty na schodach, i ledwie ważyłem się oddychać, gdy w korytarzu nad nami rozległo się pomiaukiwanie.

Minęło zaledwie kilka minut, zanim dwaj mężczyźni podeszli, porzucając posterunek. Zdezorientowani przeszli tuż obok moich schodów, po czym ruszyli dalej korytarzem i skręcili w lewo. Pewnie nie powinni opuszczać swoich stanowisk, ale to było coś zupełnie naturalnego. Kogo by nie zainteresowały odgłosy wydawane przez zagubionego kotka?

Mieli odkryć, że dźwięki dochodzą z przewodu wentylacyjnego, w którym ukryliśmy się – za rogiem i poza zasięgiem wzroku – telefon Sandry odtwarzający filmik z kotkami, który wcześniej oglądała Audrey. Włączenie telefonu Sandry było ryzykowne, ale uruchomiliśmy go w trybie samolotowym i połączyliśmy bezpośrednio przed Bluetooth z moim telefonem, żeby wgrać filmik z kotem.

Usłyszałem mężczyzn w korytarzu, wołających kotka w przewodzie wentylacyjnym. Prześlizgnąłem się obok nich i wyszedłem za róg. Z bijącym sercem przeszedłem pod znakiem głoszącym OBSZAR ZABEZPIECZONY – PRZEBYWANIE OBIEKTÓW. Jeszcze kawałek. Sandra. Słyszałem... słyszałem jej głos przed sobą. Śpiewający. Ta stara kołysanka, którą ona zawsze...

Wszystko wypełnił biały blask.

Korytarz rozpląnął się w świetle. Potknąłem się, a J.C. krzyknął, uniósł broń i obrócił się na pięcie. Zostaliśmy na chwilę oślepieni.

Światło zniknęło i znalazłem się w zupełnie innym miejscu. Zamiast na korytarzu leżałem na podłodze w nieznanym mi pomieszczeniu. Była to duża, otwarta sala z betonowymi ścianami, wysokim stropem i przemysłowym oświetleniem.

Co się wydarzyło? Zostałem... teleportowany, jakimś sposobem?

Przede mną stał Kyle Walters – łysiejący, nieco przypakowany mężczyzna w sportowym płaszczu, którego spotkałem wcześniej na terenach targowych. Zamrugąłem i popatrzyłem na niego, a później na gromadkę techników za jego plecami. Skąd się wzięli? Co się działo?

– Panie Leeds – powiedział – witamy w przyszłości więziennictwa.

11

Kyle wyciągnął rękę, by pomóc mi wstać. Emanował fałszywą przyjaznością, uśmiechał się jak człowiek, który zamierzał być moim najlepszym przyjacielem do chwili, kiedy sprzeda mi bardzo porządny używany samochód.

Moje otoczenie zmieniło się ze sterylnej korytarza w starszy magazyn. Nie obskurny, ale zużyty. Betonowe podłogi z kawałkami dywanu w miejscach, gdzie ustawiono terminale komputerowe. Już nie pachniało środkami czystości, ale trocinami i czymś obiadem podgrzewanym w kuchence mikrofalowej. Nie było brudno, ale... prawdziwie?

Prawdziwie. Tamten drugi budynek był zbyt doskonały, może nawet zbyt standardowy. Takie biura infiltrują bohaterowie filmów. Zbyt doskonały, sztucznie stworzony świat. Czy Chin nie wspominał, że ten człowiek kupił firmę zajmującą się produkcją gier komputerowych?

Ale jak sprawił, że poczułem się, jakby znajdował się w środku? Nie miałem na sobie żadnego sprzętu.

– Co mi zrobiłeś? – spytałem.

– Zabrałem cię do przyszłości, Steve! – Kyle nie był człowiekiem, który pytał o zgodę, zanim przeszedł na ty. – Nieźle sobie poradziłeś.

– Sztuczki z miauczeniem jeszcze nie widzieliśmy – powiedziała jedna z techniczek za jego plecami. Włosy miała związane w kucyk. – Pomysłowe.

– I odkrył pan, jak wykorzystać lukę kamer – dodał inny. – Jak na razie udawało się to jedynie specjalistom od zabezpieczeń. Wszyscy pozostali próbują czegoś sztampowego w rodzaju przyklejenia zdjęcia korytarza przed kamerą.

– Ale jak to zrobiliście? – spytałem. – Nie mam hełmu ani niczego w tym rodzaju. Jak umieściliście mnie w wirtualnym świecie?

– Używamy określenia „holodek” – stwierdził jeden z techników.

– Wcale nie – poprawił go szybko Kyle. – Zignoruj ich. Używamy zastrzeżonego określenia, które nie narusza niczyich praw autorskich.

Poklepał mnie po ramieniu i objął ręką.

J.C. wskazał na dwóch mężczyzn kręcących się w pobliżu przeciwległej ściany. Jednym był ten drugi gość od wózka z hot dogami, a obaj mieli pistolety kaliber 9 mm.

– Wcale mi się to nie podoba – stwierdziła Ivy. – Czyli wszystko, co zrobiliśmy... wejście, unikanie kamer... nie było prawdziwe?

Ty też nie jesteś, pomyślałem. I większość mojego życia nie jest.

Zwróciłem się do Kyle'a.

– Zmieniacie rzeczywistość wirtualną w... więzienia?

– Naturalna reakcja na obecne bodźce rynkowe. – Kyle zaczął mnie prowadzić. – Proszę, pozwól, że ci to wyjaśnię. Wiesz, ile kosztuje roczne utrzymanie więźnia w Stanach Zjednoczonych?

– Dużo. Jakies dwadzieścia albo trzydzieści...

– Przeciętnie kosztuje trzydzieści tysięcy dolarów! A w niektórych stanach może osiągnąć aż sześćdziesiąt tysięcy. Rocznie za jednego więźnia! A czy więźniowie mają przynajmniej dobre warunki? Nie! Wśród przestępców szerzy się przemoc. Warunki życia są koszmarne. Więzienia są przepełnione, brakuje obsługi i funduszy. Krótko mówiąc, wydajemy mnóstwo pieniędzy na kiepski produkt. Czy to rozsądne?

– Rozwiązaniem powinno być sprawienie, by do więzień trafiało mniej ludzi.

– Wspaniała wizja, Steve! Cieszę się, że mamy ludzi takich jak ty, którzy dogłębnie rozważają kwestie moralne. Ale w prawdziwym świecie potrzebujemy także ludzi takich jak ja... i trochę praktycznych zastosowań.

– Nadal nie powiedziałeś mi, jak zanurzyłeś mnie w nim bez mojej wiedzy.

Kyle zaprowadził mnie do okna wychodzącego na nieduże pomieszczenie, w którym na pryczy spokojnie spał mężczyzna. Ivy i Ngozi tłoczyły się obok nas. J.C. zachowywał spokój, trzymał się z tyłu i piorunował wzrokiem ochronę.

– Nadajniki na suficie. – Kyle wskazał w górę. – Możemy je uruchomić, a obiekt nawet się nie zorientuje, że przenosi się do wirtualnego świata. To kwestia kluczowa. Jeśli oni myślą, że to jest prawdziwe, otwierają się wszelkiego rodzaju możliwości. Tak wygląda przyszłość, Steve. To zmienia paradygmat. Zmienia reguły gry, a właściwie wprowadza zupełnie nową grę.

Znów spojrzałem przez okno. Czuję mdłości.

– W tej chwili ten mężczyzna opracowuje skomplikowany plan ucieczki z celi więziennej, w której wydaje mu się, że się znajduje. Zaproponowaliśmy mu starannie wykalkulowane cele, wyraźne haczyki, które mógłby wykorzystać, by przybliżyć się do możliwości ucieczki. Jest zajęty, jest podekscytowany. Myśli, że mu się uda... a tymczasem my płacimy równowartość niecałych dziesięciu tysięcy rocznie, żeby go tu utrzymać.

– Starannie wykalkulowane cele. Na przykład jakie? – spytałem.

– Nasz podstawowy plan więzienia będzie zawierał liczne

potencjalne drogi ucieczki – wyjaśnił jeden z techników. – Pracujemy nad misją wykopania tunelu, misją wymagającą zaprzyjaźnienia się ze strażnikami i trzecią, która wykorzystuje do ucieczki pojemniki na brudną pościel. Ale jeśli więzień woli, może znaleźć się na szczycie więziennej hierarchii, zdominować różne frakcje i w końcu przeprowadzić się do apartamentu wewnątrz więzienia, w którym będzie żył jak król.

– A co z zanikiem mięśni? – spytała Ivy. – Odleżynami. Mogę wymienić kilkanaście problemów, które się z tym wiążą.

Powtórzyłem jej uwagi, a Kyle jedynie się wyszczerzył.

– Bystrzak z ciebie, Steve. Pracujemy nad tymi kwestiami... mamy nadajniki, które pozwalają ciału się poruszać, podczas gdy mózg myśli, że jest w prawdziwym świecie. Byłoby idealnie, gdyby udało się nam doprowadzić do połączenia biernych i czynnych interakcji, by stworzyć zrównoważone, stabilne, przyjazne dla środowiska i korzystne dla zdrowia rozwiązanie kwestii penitencjarnej.

– Gra wideo dla więźniów.

– Owszem, i dużo więcej! W naszych symulacjach satysfakcja więźniów wzrasta nawet dziesięciokrotnie. To prawda, że producenci gier komputerowych byli pionierami tej technologii... ale nikt nie zadawał sobie najważniejszego pytania.

– To znaczy?

– Jak możemy skłonić władze, by zainwestowały w to kupę pieniędzy? – Kyle uśmiechnął się szeroko. Często to robił. – Więziennictwo to taka przykra sprawa dla opinii publicznej. Nie chcą o tym myśleć. Nie chcą mieć z tym nic do czynienia. Nikt nie chce mieć więzienia na osiedlu, ale wszyscy chcą, żeby zajęto się „tymi ludźmi”. Cóż, my możemy się nimi zająć.

Kyle postukał grzbietem dłoni w okno.

– Na razie potrafimy symulować jedynie proste więzienie, ale mamy plany. Co by było, gdyby więzień mógł uciec w świecie wirtualnym, ale nie wiedziałby, że znajduje się w symulacji? Moglibyśmy obserwować i sprawdzić, czy powróci na drogę przestępstwa. Jeśli tak... cóż, niech sobie żyje w swoim świecie występku, gdzie nikomu nie robi krzywdy. Ale jeśli okaże się, że się

zresocjalizował albo może od początku był niewinny, możemy go po prostu wypuścić. To doskonały system.

– To oszustwo – szepnąłem.

– A gdzie wolałbyś raczej żyć? W fałszywym więzieniu, gdzie myślisz, że jesteś wolny, czy w prawdziwym więzieniu, w którym każdy dzień jest męczarnią? Naprawdę, kiedy ten projekt zostanie uruchomiony, ludzie będą błagać, żeby ich wypuścić.

– Jednak coś jest nie w porządku, prawda? – Ivy zmrużyła oczy, wpatrując się w Kyle'a. – Spytaj go, dlaczego cię potrzebuje.

– Skoro jest taki wspaniały, to dlaczego porwaliście Sandrę?

– Porwaliśmy? Steve, Sandy sama do nas przyszła. I zasugerowała, żebyśmy zwrócili się do ciebie.

– Mogliście wysłać list.

– Wysłaliśmy siedem.

Zawahałem się. Siedem?

– Może od czasu do czasu powinniśmy odbierać pocztę – stwierdził J.C. – No wiesz, jak za starych dobrych czasów.

Kyle odchrząknął.

– Próbowaliśmy zwrócić twoją uwagę przez nasze kontakty, próbowaliśmy dzwonić, nawet wysłaliśmy Gerry'ego, żeby zapukał do twoich drzwi.

– Jak usłyszałem, „nie przyjmuje pan nowych klientów” – stwierdził technik. – Nie udało mi się nawet wejść do środka.

Rzeczywiście minęło sporo czasu od kiedy ostatni raz wziąłem sprawę. Personel dostał polecenie, by odsyłać wszelkich proszących o pomoc.

Podszedłem do okna i popatrzyłem na więźnia. Leżał tam z zamkniętymi oczami i spał. Ale w innym miejscu był przytomny.

– Czy Sandra jest w jednym z tych pomieszczeń?

– Tak. Ale tym zajmiemy się później. Spytałeś, co jest nie tak z naszym systemem... i cóż, jest kilka błędów. Jak się okazuje, ludzkie mózgi bardzo łatwo dostrzegają, kiedy coś jest nie tak. Trzeba zadbać o tak wiele szczegółów, a moc obliczeniowa potrzebna do symulowania rzeczywistości jest ogromna. Kiepsko sobie radzimy, a niedoskonałości się piętrzą. Normalni ludzie wytrzymują

w symulacji najwyżej kilka godzin, zależnie od chemii ich mózgów.

– Mózg w końcu odrzuca rzeczywistość – dodała techniczka. – Podobnie jak mógłby odrzucić przeszczepiony narząd.

– Wszystko się wali – stwierdził Kyle. – Wydostają się, a symulacja przyjmuje się ponownie dopiero po dwóch-trzech dniach. – Zawahał się. – Rekord pobytu Sandy w symulacji to osiemdziesiąt siedem dni bez przerwy.

J.C. zagwizdał cicho.

– Dzisiaj rano znowu wyleciała – powiedział jeden z techników – i wyszła na wycieczkę na tereny targowe, żeby się z panem skontaktować. Chciała zrobić to osobiście. Po tym, jak z panem porozmawiała, poprosiła o ponowne wprowadzenie do środka. U niej symulacja przyjęła się od razu. Jak zawsze.

– Jakimś sposobem – dodał Kyle – jej mózg potrafi załatać dziury w naszym oprogramowaniu. Transmitujemy Sandy jedynie koncepcje, a ona tworzy resztę, dodając szczegóły. Musimy się dowiedzieć, jak to robi, bo to może być klucz. Jeśli uda nam się zmusić mózgi naszych obiektów do tworzenia własnej rzeczywistości, nie będziemy musieli doskonale jej odtwarzać... wystarczy, że popchniemy ich we właściwym kierunku, a ich umysły wykonają całą robotę.

– Pan jest taki sam – zauważył technik. – Włączyliśmy symulację w chwili gdy wszedł pan przez okno, a pański mózg stopił realny świat z naszym fałszywym, uzupełniając szczegóły, które były niewłaściwe albo w zbyt niskiej rozdzielczości. Jeśli mam być szczery, pański mózg jest niesamowity.

Pomasowałem się po głowie, przypominając sobie chwilę, kiedy, wchodząc przez okno, wpadłem na półkę. Przez chwilę miałem przed oczami rozbłysk bieli. Czy to był ten moment?

Ngozi podeszła do najbliższego terminala i przyglądała się sprzętowi – ale nie byłem pewien, co moglibyśmy o nim powiedzieć pod nieobecność China. Do diabła, to coś mogło być poza jego zasięgiem. Bezprzewodowa transmisja halucynacji bezpośrednio do mózgu? To było raczej na poziomie „fizyki teoretycznej” Arnaud.

Spojrzałem w bok, żeby posłuchać, co Tobias ma do powiedzenia o tej sytuacji. Ale Tobiasa nie było. Już nie.

– Czyli potrzebują naszego mózgu – stwierdziła Ivy. – Umiesz tworzyć własną rzeczywistość, Steve, a oni chcą wiedzieć jak.

– Ale mają już Sandrę – odparłem. – Dlaczego potrzebują mnie?

– Spróbuj zrozumieć chorobę, mając tylko jednego pacjenta – stwierdził Kyle. – Albo badać działanie leku na jednym obiekcie. Jesteś niewiarygodnie rzadkim znaleziskiem, Steve. Twój umysł jest wart miliony. Chcemy jedynie, żebyś spędził trochę czasu w symulacji. Najwyżej kilka lat.

Kilka lat?

– Nie ma mowy. Już jestem bogaty. Co moglibyście mi zaproponować za życie w waszym pudełku?

– Sandra uwolniła się od aspektów – powiedział Kyle.

Ivy spojrzała na mnie ostro.

Kyle się uśmiechnął.

– Widzę, że jesteś zainteresowany. Tak, spytała, czy moglibyśmy powstrzymać halucynacje. Stworzyć rzeczywistość, w której jest od nich wolna. – Zawahał się, a ja odniosłem wrażenie, że widzę oznaki niepewności. – Nie... poszło tak, jak się spodziewaliśmy.

– Kiedy umieściliśmy ją w symulacji – wyjaśnił technik – dodała coś do programu, sprawiając, że pojawiły się w nim jej aspekty. I oddziaływały na świat, który stworzyliśmy... Nałożyła kolejną rzeczywistość na naszą wirtualną rzeczywistość, i dostosowała kod. Ale ona chciała, żeby aspekty zniknęły... i okazało się, że mogliśmy jej w tym pomóc.

Zadrzałem. Coś w tonie jego głosu mnie zaniepokoiło.

– Tak czy inaczej – powiedział Kyle – Sandy okazała się bardzo pomocna. Pokazuje nam, jak mózg przeobraża własną rzeczywistość. Nie jesteśmy do końca pewni, dlaczego i jak nasze programy wchodzą w interakcję z jej aspektami, ale tak się dzieje... widzimy mnóstwo bardzo ciekawych interakcji między naszą techniką a jej mózgiem. Jedno jest pewne. Możemy pomóc ci uwolnić się od nich, jak to zrobiła ona. Koniec z aspektami, koniec z koszmarami. Koniec z głosami.

Ivy wydawała się przerażona. J.C. jednak spojrzał mi w oczy i pokiwał głową. Nigdy nie chciał być aspektem. Rozumiał, że przynajmniej częściowo pragnąłem, by wszystko było... normalne.

– Pozwól mi porozmawiać z Sandrą.

Kyle się skrzywił.

– I widzisz, na tym właśnie polega problem. Ona jest moją jedyną kartą przetargową. Z pewnością rozumiesz, że nie mogę jej oddać, nie dostając nic w zamian? Posłuchaj, zawrzyjmy umowę. Uściśnijmy sobie ręce. Daj mi kilka dni danych i pozwól, żebym ci udowodnił, że potrafię stworzyć rzeczywistość, w której nie masz aspektów. Ja w zamian pozwolę porozmawiać ci z Sandrą.

– To śliski gad, Steve – powiedziała Ivy. – Nie wierzę, że w ogóle to rozważasz. Dlaczego go słuchamy?

Zamknąłem oczy. Ale to było dziwnie kuszące. Kiedy ostatnio próbowałem uciec, Joyce zaczęła narzekać, że nigdy nie zabieram jej na misje, Armando zadzwonił do mnie siedemnaście razy, a w schowku znalazłem Ivansa popijającego hotelowe wino. A do tego wszystkiego pojawił się J.C. – „na wszelki wypadek”.

Moje życie było tak wypchane fałszywymi ludźmi, że nie miałem miejsca na nikogo ani nic innego. Ale to spojrzenie Ivy. I ta propozycja... to byłby jedynie kolejny poziom fałszerstwa. Nie byłbym normalny, bo nic z tego nie byłoby realne.

– Żadnej umowy.

Odwróciłem się do wyjścia. Moje trzy aspekty dołączyły do mnie, kiedy ruszyłem w stronę frontowego wejścia dużego, pustego pomieszczenia.

– Dobrze. – Kyle westchnął. – Gerry, spróbuj z programem izolującym.

Obróciłem się na pięcie.

– Nie możesz...

– Steve, włamałeś się do mojego biura. Jesteś intruzem. Mam wszelkie prawo zatrzymać cię na chwilę, żeby się upewnić, że nie jesteś niebezpieczny. Aż do przybycia władz. – Uśmiechnął się. – Następnym razem może nie zadzieraj z gościem, do którego całkiem dosłownie należy więzienie.

Rzuciłem się w jego stronę, ale pomieszczenie wypełnił biały błysk.

Potknąłem się o kamień i upadłem na ziemię. Po prawej piaszczysta plaża, którą lizały łagodne fale, po lewej dżungla. Moje aspekty kręciły

się dookoła, J.C. trzymał dłoń na pistolecie, a Ngozi sapnęła przerażona, że nagle znalazła się w tak dzikim miejscu.

Bezludna wyspa.

12

– Ten szmaciarz! – krzyknął J.C. – Ta gnida. Może sobie nas za darmo badać!

Ivy pomogła mi się podnieść, ale miałem problem ze spojrzeniem jej w oczy. Usiadłem na skale przy brzegu, czułem się wyczerpany. Byłem tak zmęczony. Zmęczony byciem obiektem badań. Zmęczony wyobrażaniem sobie świata, w którym wszyscy żyli – mieli przyjaciół, zakochiwali się, odwiedzali rodzinę. Poza mną.

Zmęczony byciem kierownikiem średniego szczebla swojego własnego życia.

– Nie wierzę! – krzyknął J.C. – Nie mogę... Elo, Ngozi. W porządku?

Pokręciła głową.

– Nie. To koszarne. Gdzie są moje rękawiczki? – Sięgnęła do kieszeni.

– Jasne – zgodził się J.C. – ale... no... tu przecież nie ma ludzi, prawda? Czyli żadnych zarazków.

– Tyle że nie jesteśmy tak naprawdę na plaży! Jesteśmy w tamtym śmierdzącym magazynie, obok stołu z sześcioma starymi pojemnikami po chińszczyźnie na wynos. Zaraz przypadkiem dotknę jednego z nich.

– To co robimy? – Ivy spojrzała w stronę J.C.

– Nie patrz na mnie – odparł. – Ja umiem tylko strzelać do ludzi i opowiadać inteligentne dowcipy.

– Odpuść sobie. Twoje dowcipy nie są inteligentne.

Ukryłem twarz w dłoniach, patrzyłem na nadpływającą falę i czułem nadchodzący ból głowy.

– Myślę, że Steve przez jakiś czas będzie niedysponowany – zauważyła Ivy. – Może będziemy musieli rozwiązać to sami. Ngozi,

masz jakiś pomysł?

– Cóż, tam na piasku są odciski stóp. Może to jedna z tych „misji”, o których mówili technicy.

Patrzyłem, jak fala nadpływa, pozostawia trochę piasku i znika. Wszystko znów zniknie, kiedy nadejdzie przypływ. A później powróci. Tysiące małych wersji Syzyfa, powtarzających się, aż piasek zostanie całkowicie starty.

– Steve. – Ivy podeszła do mnie. – Pójdziemy śladem tych odcisków stóp. Wrócimy za minutę. Nic ci nie będzie?

Nie odpowiedziałem.

– Po prostu tu zostań, dobrze?

Odeszli. Jakąś częścią siebie zauważyłem, że zachowywali się trochę dziwnie. Prawie nigdy mnie nie opuszczali. A teraz wyruszyli, by zwiedzać?

Może, pomyślałem, są podekscytowani, że mogą rzeczywiście wejść w interakcję ze światem. Tutaj wszystko jest fałszywe. Może dla nich to lepiej.

Albo... czy Kyle zamierzał im coś zrobić? Żeby udowodnić, że mógł zostawić mnie tu samego? Jak długo zamierzał mnie tu trzymać? Jak długo mógł?

Na moim ramieniu zacisnęła się dłoń. Podskoczyłem, odwróciłem się i zobaczyłem stojącego za mną Lua. Lua! Zniknął z rezydencji i stał się koszmarem.

Z krzykiem zsunąłem się ze skały, wyrwałem z jego uścisku i wpadłem do wody. Podniosłem się z chlupotem całkiem przemoczony. W ręku trzymałem telefon – z jakiegoś powodu, którego nie potrafiłbym wyrazić – jakby to była broń. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że coś było nie tak. Lua nie wyglądał jak koszmar, nie miał martwych oczu ani zapadniętych policzków. Wyglądał zupełnie jak jego normalne wcielenie.

– Przepraszam, szefie. Nie chciałem się do ciebie podkraść. – Wielki Samończyk założył ręce na piersi. Miał na sobie dzinsy i flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami. Przyjrzał się niebu, później lasowi, a później skale, na której siedziałem. – Bezludna wyspa. Spośród wszystkich miejsc, w których mogłeś wylądować.

– Ona... nie jest prawdziwa.

– A co jest?

Zachichotał. Nigdy nie śmiał się na całe gardło, ale też nigdy nie widziałem, by był wściekły. Właściwie trudno mi było go sobie wyobrazić jako koszmar, jakim stał się Armando.

– Mają tu wszystkie wytarte klisze – powiedział Lua. – Ta zatoka jest prosto z jakiegoś cholernego filmu Disneya, łącznie z... a jakże!... masztem zatopionego statku. W tle plemienne bębny. Tajemnicze odciski stóp. Chcesz się założyć, że jeśli zaczniemy kopać, gdzieś na tej plaży znajdziemy skrzynię ze skarbami? – Ruszył w stronę lasu. – Wydostańmy cię stąd.

– Wydostać? – Poszedłem za nim przez plażę. – Jak?

– Wcześniej zasugerowali, że mogą otworzyć jedynie niewielką przestrzeń. Co najwyżej budynek. I tak sobie myślę, że jeśli wypłyniesz na morze, oddalisz się od wyspy, całość się rozpadnie. – Zaczął zrywać pnącza wiszące na drzewie.

– Lua? Skąd wiesz, co mi wcześniej powiedzieli? Nie było cię tam.

– Wiem to, co ty wiesz, szefie. A ty wiesz to, co ja wiem.

– To tak nie działa.

– Dlaczego?

– Bo tak. Bo w ten sposób zachowuję zdrowie psychiczne. Tak ustawiła to Sandra.

Lua chrząknął.

– I jak na tym wyszła?

Ukląkł, zaczął skręcać pnącza, żeby zwiększyć ich wytrzymałość, a później owinął je wokół leżącej na ziemi niewielkiej kłody.

– Luo, to niezgodne z zasadami. Nie zabrałem cię na tę misję.

Wciąż owijał kłodę, po czym przywiązał do niej drugi kawał drewna, który wyciągnął z poszycia.

– Szefie – powiedział cicho – musisz zobaczyć, co jest prawdziwe.

Cofnąłem się – to właśnie powiedział Armando. Sięgnąłem po leżący kij, żeby użyć go jako broni. Szarpnąłem mocno, ale utknął w poszyciu.

Lua stał się trochę przezroczysty, jakby nie był do końca obecny.

– Pewnie – powiedział, nie przerywając pracy – mamy różne

sposoby zmuszenia cię, żebyś stawiał temu czoło. Armando zawsze był trochę pomyłony. I miał pomyłone rozwiązanie.

Spojrzałem w stronę, gdzie zniknęli pozostali. Naprawdę nie chciałem zostać sam na sam z potencjalnym koszmarem.

– Nie zwracaj na nich uwagi. Zostali wciągnięci w symulację, rozumiesz? Płyną z jej prądem. – Szarpnął za kłode i wyciągnął z poszycia kompletny katamaran z kawałków drewna i pnączy. – Nie jest to moje najlepsze dzieło – zauważył – ale całkiem niezłe, jeśli wziąć pod uwagę, co miałem do dyspozycji.

Gapilem się na niego. To było poważne naruszenie zasad.

– Tutaj to ty tworzysz zasady, szefie.

Wciąż był trochę przezroczysty, a ja miałem nieodparte wrażenie, że przez jego zarys – jakby był oknem – dostrzegam betonową podłogę i biurka z komputerami.

Głosy.

„Wstał i chodzi. Mózg przestał tłumić jego ruchy, nawet kiedy każemy mu to zrobić. To coś nowego”.

„Jak odczyty?”.

„Interesujące. Zupełnie inne od Sandry – i zupełnie inne niż wtedy, kiedy się włamał. Odczyty oznaczają jednak, że dodaje aspekty do symulacji. Program powinien wchodzić z nimi w interakcję, tak samo, jak to zrobiliśmy z aspektami Sandry”.

– Mógłbym tu żyć – powiedziałem do Luy. – Mógłbym pozwolić, żeby stworzyli mi rzeczywistość i po prostu... popłynąć z jej prądem.

– Czy nie tak właśnie robisz?

Uśmiechnął się, odwrócił i pomachał do pozostałej trójki, która wracała wzdłuż plaży. Z wyraźną dumą wskazał na łódź.

– Luo, co to wszystko znaczy? Dlaczego to się ze mną dzieje? Jak mogę to powstrzymać?

– Myślisz, że wiem? Jestem tym, czym mnie stworzyłeś... gościem, który może wydostać cię z wyspy. W ostatecznym rozliczeniu wszyscy tylko próbujemy pomóc.

Stanął za łodzią i napał na nią całym swoim ciężarem, popychając ją po piasku w stronę wody.

J.C. i Ivy podeszli, by mu pomóc, a Ngozi skarżyła się, że w wodzie

jest „pełno zwierząt”. W końcu weszła na pokład, a J.C. i Ivy dołączyli do niej. Lua czekał, by zepchnąć łódź na wodę. Gestem wskazał mi ostatnie miejsce w katamaranie.

Wszedłem do ciepłej wody.

– Mogą wepchnąć mnie do innego wirtualnego świata, jeśli ucieknę z tego.

– E tam. Przejrzysz go.

– To szaleństwo. Nie wiem nawet, co jest prawdziwe w mojej własnej sypialni.

– Powiedz mi jedno. Kto jest silniejszy, szefie? Gość, który nigdy nie chodzi na siłownię, czy gość, który wczoraj spróbował pobić swój rekord w wyciskaniu na ławce, ale mu się nie udało?

Popchnął mnie w stronę łódki, a wydawał się jeszcze bardziej przezroczysty niż wcześniej.

Kiedy usiadłem, zorientowałem się, że są tylko cztery miejsca.

– Nie idziesz z nami?

– Muszę tu zostać. – Mocno popchnął łódkę. – Złamałem zbyt wiele zasad. Ale nie martw się o mnie. Mam robotę. – Mrugnął. – Infolinia firmy ubezpieczeniowej. Coś nudnego. Normalnego.

Zepchnął nas na wodę i pomachał, kiedy podnieśliśmy wiosła i zaczęliśmy wiosłować. Patrzyłem, jak znikał, i przygotowałem się na uczucie rozrywania, utratę wiedzy i informacji. Ale tym razem było to bardziej... bardziej jak subtelne zanikanie. Jak usypianie.

Symulacja rozciągała się na niewiele ponad pięć metrów w głąb zatoki. Przez chwilę wiosłowaliśmy, po czym nagle staliśmy znów całą czwórka w magazynie. Wyciągnąłem rękę i wytarłem łzy z oczu.

– To było koszmarne – jęknął Gerry... technik... ze swojego miejsca przy komputerach. – Nie podążył za żadną ścieżką misji. Po prostu wszystko popsuł.

– Mnóstwo ciężkiej pracy poszło na marne – poskarżyła się techniczka.

– To aspekty – stwierdził Kyle. – Pomagają mu oszukiwać. Musimy je usunąć. Bez nich będzie bezradny.

– Nie – sprzeciwiłem się. – Posłuchaj. Ja...

– Nie martw się, Steve – powiedział Kyle. – To nie są prawdziwi

ludzie. Żadna strata. Scenariusz z mafią, Gerry.

Pomieszczenie wypełnił rozbłysk bieli i teraz staliśmy w staromodnym kasynie obok wirującej ruletki.

Przez drzwi wpadł do środka mężczyzna.

– Wielki Salamadra tu jest! – krzyknął. – On wie...

Jego ciało przeszły kule. Upadł na ziemię, a do pomieszczenia wpadła grupa mężczyzn. Zaczęli strzelać do wszystkich wokół.

13

Ivy została trafiona jako pierwsza. Ścisnęła moje ramię, patrząc na ranę w brzuchu. Później zaczęła się osuwać.

– Nie. Nie, nie, nie! – krzyknąłem.

Ukląknęłam obok niej.

Pomieszczenie przeszły kule. Ngozi rzuciła się w poszukiwaniu schronienia, ale została trafiona w czoło i upadła. J.C. kopniakiem przewrócił stół, złapał Ivy i zaciągnął ją za osłonę.

Dołączyłem do nich, pociski wyrywały drzazgi z pobliskich stołów. Ludzie krzyczeli, ale J.C. wyjątkowo nie odpowiedział ogniem. Przyciskał dłoń do rany Ivy.

– Ej. Ej, zostań z nami. Ivy?

– Steve – szepnęła. – Steve!

Kuliłem się za przewróconym stołem.

– Musisz obiecać – zwróciła się do mnie – że nie porzucisz pozostałych. Że nie pozwolisz, żeby skończyli tak, jak my.

– Obiecuję – szepnąłem.

Uśmiechnęła się zakrwawionymi wargami.

– To było kłamstwo.

Skinęła na J.C. i próbowała usiąść. Pomógł jej, a wtedy go pocałowała. Intymny ostatni pocałunek pośród nawały ognia. Stół niewiele nam pomógł. Kula przebiła drewno i trafiła J.C. w ramię, ale on przeciągał pocałunek, aż Ivy odeszła.

Z szacunkiem opuścił jej ciało z powrotem na ziemię. Później

popatrzył na mnie, jego ramię krwawiło.

– Będziesz musiał sam sobie z tym poradzić, chudy.

– Nie mogę, J.C. Nie mogę.

– Pewnie, że możesz. Miałeś wspaniałego nauczyciela.

– Nie...

– A jak myślisz, dlaczego przez ten cały czas cię szkoliłem?

Wiedziałem. – Postukał się w głowę. – Zobacz, co jest prawdziwe.

Poradzisz sobie.

– J.C....

Unióś pięść w moją stronę.

– Na szczęście.

Uniosłem pięść i przybiliśmy żółwika. J.C. uśmiechnął się szeroko, wyjął jeden pistolet z kabury pod pachą, a drugi z ukrytej kabury nad kostką. Wstał.

I od razu trafiła go jakaś setka pocisków. Padł z powrotem na ziemię, nie oddając nawet jednego strzału.

– Nie! – krzyknąłem. – NIE!

Wydałem z siebie chrapliwy wrzask, jęk bólu i frustracji. Wściekłości. Kołysałem się do przodu i do tyłu, a kule demolowały pomieszczenie. Ale mnie nie robiły krzywdy. Nie były prawdziwe.

Nie... prawdziwe.

Strzelający zrobili się nieco przezroczyści. Drzazgi lecące ze stołów, rozsypane żetony, leżące trupy. Wszystko... zbladło. Huk wystrzałów zmienił się w brzęczenie. Zastąpiły go głosy.

„Musimy się dowiedzieć, dlaczego nadal stoi i się porusza”.

„Może moglibyśmy go związać”.

Widziałem ich zebranych dookoła. Przyglądali mi się. Cienie wznoszące się nade mną, wszyscy poza jednym mężczyzną przy biurku z komputerem. Chin, pomyślałem. Potrzebuję cię.

Wstałem. Później, dla efektu, pobiegłem pochylony przez kasyno, jakbym próbował uchronić się przed kulami. Dzięki temu w realnym świecie znalazłem się blisko biurka.

Wirtualne kasyno bladło coraz bardziej i dostrzegałem szczegóły realnego świata. Kyle, uśmiechnięty, jakby bawiła go moja bezradność. Zbliżający się dwaj strażnicy, może obawiający się, że

zrobię sobie krzywdę albo na coś wpadnę.

Ekran komputera.

– Jasne – powiedział Chin w moim uchu. – To proste. Niezły interfejs użytkownika, jak na coś, co musi być wczesną wersją.

– Nadajniki znajdują na suficie tego magazynu – dodał Arnaud. – Nad całym pomieszczeniem.

– Naciśnij ten przycisk nadawania – polecił Chin – i zmień cel z „jeden obiekt” na „całe pomieszczenie”. Widzisz ten zaznaczony kwadracik na dole? Ten z napisem „tryb debugowania”? Sugeruję, żebyś go wyłączył, to powinno powstrzymać ich przed wykorzystaniem backdoorów, które wbudowali, żeby wydostawać się z symulacji. Powodzenia.

Rzuciłem się w stronę komputera, odepchnąłem Gerry'ego na bok i kliknąłem zgodnie z radami China.

Strażnik z budki z hot dogami rzucił się w moją stronę, ale poruszał się zbyt wolno, żeby mnie powstrzymać. Nagle wszyscy znaleźliśmy się razem w środku. Kyle, dwaj strażnicy, Gerry i reszta techników. Staliśmy w tym kasynie otoczeni trupami. Gangsterzy przestali strzelać i przeglądali teraz szczątki.

– Do diabła. – Gerry ruszył w stronę niewidocznego teraz komputera, ale jego ręce poruszały się w pustej przestrzeni. – Do diabła!

Strażnik od hot dogów złapał mnie za rękę.

– To nic ci nie da. Nadal jesteś w naszym więzieniu.

Zwisłem w jego uchwycie i spojrzałem na martwego J.C. na podłodze. Mruknąłem coś cicho.

– Co takiego? – Strażnik potrząsnął mnie za ramię. – Co powiedziałaś?

– To nie jest twoje więzienie – mruknąłem głośniej. – Jest moje.

Poderwałem się gwałtownie i uderzyłem tyłem głowy w nos strażnika. Kiedy krzyknął z bólu, obróciłem się, złapałem go za ramię i rzuciłem na ziemię. Podniosłem się z jego pistoletem, wyciągnąłem go przed siebie, wycelowałem i odbezpieczyłem – dokładnie tak, jak uczył mnie J.C.

Dziękuję, pomyślałem.

Nacisnąłem spust i wystrzeliłem trzy razy, powalając wirtualnych gangsterów, którzy przeszukiwali pomieszczenie. Tak naprawdę wcale się nimi nie przejmowałem, ale chciałem, żeby pozostali zaczęli strzelać. I rzeczywiście, reszta gangsterów uniosła broń.

Inni ludzie – jeden strażnik, Kyle, czworo techników – z krzykiem rzucili się za przewrócone stoły.

– To nie jest prawdziwe! – krzyknął Kyle. – Pamiętajcie, to nie jest prawdziwe!

To nie miało znaczenia. Wiele razy znajdowałem się w takiej sytuacji. To, co brzmiało prawdziwie, co wyglądało prawdziwie, było prawdziwe – choćby logika podpowiadała, że jest inaczej. Nawet Kyle pobiegł w stronę drzwi do łazienki, gdzie mógł się schronić przed ostrzałem.

Szedłem przez pomieszczenie. Sberta żetonów obok mnie wybuchła, gdy trafiła ją kula. Pociski przeszywały mnie na wylot. Uniosłem dłoń do miejsca, gdzie Armando ranił mnie nożem, ale dotykałem jedynie gładkiej, nienaruszonej skóry ramienia. Kiedy zacząłem ignorować tę ranę?

Strażnik – jeden z prawdziwych ludzi – wycelował we mnie, więc musiałem postrzelić go w ramię. Krzyknął, a ja podszedłem od niechcienia i kopnięciem odrzuciłem jego broń. Pchnąłem go na ziemię i wyjąłem drugi pistolet z kabury na jego udzie.

Jeszcze raz dzięki, J.C.

Wstałem i strzeliłem w dwóch kierunkach, zabijając jednocześnie dwóch gangsterów. Technicy krzyczeli gdzieś w pobliżu, ale jedyna osoba, która naprawdę mnie obchodziła, ukrywała się w łazience. Podszedłem do ściany obok i precyzyjnie się przez nią. Nie przebiłem, po prostu przepchnąłem się na drugą stronę. Kiedy to zrobiłem, wirtualny świat stał się dla mnie jeszcze mniej materialny.

W łazience Kyle odwrócił się gwałtownie w moją stronę, ale bez trudu go podciąłem, stanąłem na jego nadgarstku – zmuszając go do upuszczenia pistoletu – i kopnąłem broń na bok. Pochyliłem się płynnym ruchem i przycisnąłem dwie lufy do jego skroni.

– Dwa pistolety, Kyle – szepnąłem. – Jeden jest prawdziwy, jeden jest fałszywy. Umiesz je rozróżnić? Czy czujesz ich chłód na skórze?

Wpatrywał się we mnie, pot spływał po jego twarzy.

– Śmierć w jednej dłoni – szepnąłem – gra w drugiej. Z którego powinienem wystrzelić? Prawy czy lewy? Chciałbyś wybrać?

Próbował coś wykrztusić, ale nie umiał nawet sformułować zdania. Leżał i trzął się, aż wstałem. I od niechcienia postrzeliłem go w bok.

Kyle wrzasnął i zgiął się wpół, spomiędzy jego palców płynęła krew.

– Skłamałem, Kyle. – Odrzuciłem broń. – Oba pistolety są fałszywe. Zdobyłem je w symulacji. Ale nie umiałeś tego ocenić, prawda?

Wciąż jęczał z bólu.

– Nie martw się. Rana nie jest prawdziwa. Czyli w rzeczywistości niczego nie straciłeś. Prawda?

Wyszedłem z symulacji. Sześcioro nieprzytomnych ludzi leżało na podłodze, byli uwięzieni w symulacji. Po moich aspektach – J.C., Ivy, Ngozi – nie pozostał żaden ślad. Nagle poczułem wibrację telefonu. Dzwoniła Kalyani.

Nie odebrałem. Po chwili dostałem wiadomość.

DO WIDZENIA, PANIE STEVE.

Jakimś sposobem wiedziałem, co się działo. Niektórzy z nich zwrócili się przeciwko pozostałym, zmieniając się w koszmary. Każąc im się zebrać, jedynie ułatwiłem masakrę. Schowałem telefon i postanowiłem, że nie chcę wiedzieć, kto z nich wybrał tę drogę.

Wiedziałem jedynie, że kiedy wrócę, nikt nie pozostanie. Skończyło się.

Wyczerpany szedłem wzdłuż ściany i zaglądałem przez okna. Każde pokazywało celę do badania pacjentów.

Sandra przebywała w ostatniej, siedziała z zamkniętymi oczami na niskim taborecie. Sprawdziłem wyświetlacz na ścianie, zmieniłem kilka ustawień i otworzyłem drzwi.

Wkroczyłem do świata Sandry.

14

Jej ostatnia halucynacja przybrała postać długiego mola w nocy,

sięgającego w głąb spokojnego morza. Papierowe łódeczki ze świeczkami unosiły się na wodzie, podskakiwały i zderzały się ze sobą.

Niezbyt oświetlały morze, ale kontrastowały z nim. Ogień na wodzie. Kruche światełka o krok od zgaśnięcia.

Szedłem wzdłuż nabrzeża, słuchając, jak ciche fale chlupoczą o pale, i czując woń morskiej wody i wodorostów. Sandra była sylwetką siedzącą na końcu mola. Nie odwróciła się, kiedy usiadłem obok niej.

Oczywiście była starsza, niż pamiętałem. Im starszy się robiłem, tym większy wstrząs czułem na widok oznak upływu lat na twarzach ludzi, których kiedyś znałem. Ale wciąż była Sandrą – ta sama długa twarz, te same oczy, które jakby wiecznie śniły. Piękne wrażenie opanowania i spokoju.

– Rozpoznajesz to? – spytała.

– Tamto miejsce na wybrzeżu, dokąd pojechaliśmy. Z ulicznymi muzykami w dokach. – Słyszałem odległy, cichy jazz. – Kupiłeś naszyjnik.

– Łańcuszek. I to ty mi go kupiłeś. – Uniosła dłoń do szyi, ale nie miała go na sobie.

– Sandro...

– Rozpada się, prawda? – Wciąż wpatrywała się w ocean. – Ty też tracisz nad nimi panowanie?

– Tak.

– Myślałam się. Kiedy uczyłam cię przed laty. Myślałam, że nad tym zapanujemy, ale nie da się. Pewnie... pewnie to bez znaczenia. To wszystko wytwór naszych umysłów.

– A czy to ważne, że to jedynie wytwór naszych umysłów?

W końcu popatrzyła na mnie i zmarszczyła czoło.

– Czy to ważne? – powtórzyłem. – Tak, to wszystko wytwór mojego umysłu. Ale ból też jest „wytworem mojego umysłu”. Miłość jest „wytworem mojego umysłu”. Wszystkie rzeczy, które liczą się w życiu, są niemierzalne. To wytwory naszego umysłu! Fakt, że są wymyślone, nie czyni ich nieważnymi.

– A jeśli panują nad twoim życiem? Dominują je? Odbierają ci

wszystko, co mogłoby być prawdziwe albo trwałe?

Objąłem gestem jej symulowany świat.

– To jest lepsze?

– Czuję tu spokój. Po raz pierwszy w życiu.– Zawahała się i spojrzała mi w oczy. – Po raz drugi.

– Powiedziałaś mi, że muszę mieć cel, Sandro. Czy taki jest cel? Siedzenie tutaj? Samotnie?

– Nie mam wyboru. – Objęła mnie. – Och, Rhone. Dziś znów próbowałam wyjść. Odwiedziłam tereny targowe, żeby do ciebie zadzwonić. Wróciły jako szept. Ciebie też to czeka. Odbiorą ci zdrowe zmysły. Chyba że zrobisz... coś... żeby nad nimi zapanować.

Malutkie, unoszące się na papierze światełka kołysały się na oceanie i w tej właśnie chwili dostrzegłem ciemne płycizny pod spodem... i martwe oczy patrzące z wody.

Sandra ścisnęła mnie mocniej. Przyciągnąłem ją do siebie, ale jednocześnie widziałem całe dziesiątki trupów w wodzie, pochowanych w głębinach. Jej aspekty.

– Och, Sandro – szepnąłem.

– To spokój. Jedyne spokoj, jakiego mogę zaznać.

Zamknąłem oczy, by nie widzieć tej grozy. Taka strata... udręka, gdy fragmenty wyrywały się z jej wnętrza. Doskonale wiedziałem, przez co przeszła. Pewnie byłem jedynym żyjącym człowiekiem, który mógł się w pełni wczuć w to, co ona czuła.

– Moje też są martwe – szepnąłem.

– W takim razie możesz uciec.

– A jeśli nie chcę? Jeśli chcę je odzyskać?

– To tak nie działa. Kiedy umierają, odchodzą na dobre. Nawet jeśli stworzysz nowe, aspekty, które miałeś, już nie powrócą.

Obejmowaliśmy się... nie wiem, jak długo. Może wiele godzin. W końcu cofnąłem się i – patrząc w jej oczy – zrozumiałem, że nie miała dla mnie odpowiedzi. A w każdym razie takich odpowiedzi, które chciałbym usłyszeć.

W jej oczach kryła się nieopisana pustka. Słyszałem to wcześniej w jej głosie, przez telefon. Tak wiele utraciła, widziała tak wiele koszmarów. To doprowadziło ją do tego stanu. Straszliwego

odrętwienia. Niczym realna wersja stania się koszmarem.

Przez krótką chwilę byłem w stanie przejrzeć iluzję, halucynację. Znajdowałem się w niewielkim pomieszczeniu, a Sandra – to była ona, żywa i prawdziwa – siedziała na stołeczku na podłodze obok mnie. Choć nasze otoczenie było wytworem wyobraźni, ona była prawdziwa. Zawsze była prawdziwa. Byłem tego pewien bardziej niż czegokolwiek innego.

– Zostań – poprosiła mnie Sandra.

– Przed laty – powiedziałem cicho – kiedy mnie opuściłaś... zdręczałem się, Sandro. A jednak moje aspekty nie były zdolne rozwiązać tej jednej najważniejszej tajemnicy. Dokąd się udałaś? Dlaczego odeszłaś?

– Rhone... Teraz to nie ma znaczenia. Zostań. Jeśli musimy być sami, bądźmy sami razem.

Zignorowałem jej błagania.

– Wiesz, w głębi duszy zawsze podejrzewałem, że wiem, dlaczego odeszłaś. Zbyt wiele od ciebie oczekiwałem. To był powód, prawda? Nie mogłaś radzić sobie jednocześnie ze swoimi aspektami i moimi problemami.

Wstałem, żeby odejść, ale nie puszczałem jej dłoni.

– Teraz chyba rozumiem twoją decyzję. Nie to, dlaczego odeszłaś... ale dlaczego musiałaś odejść. Czy to ma sens?

– Następnym razem pójdzie szybciej, Rhone – szepnęła. – Jeśli wyjdiesz na zewnątrz, jeśli znów wydobędziesz się spośród szeptów i koszmarów, następny zestaw aspektów szybko się zdegeneruje. Zginą po kilku miesiącach. Mnie się to przytrafiło.

Skrzywiłem się i odwróciłem głowę, ale wciąż trzymałem ją za rękę.

– Albo zostaniesz tutaj w spokoju, albo wyjdiesz i będziesz cierpieć. Fałszywa dychotomia, pomyślałem.

– I nie ma trzeciej możliwości? Ścieżki pomiędzy tymi dwiema?

– Nie.

– Mylisz się.

Puściłem jej rękę i odwróciłem się, żeby odejść.

– Nie odeszłam dlatego, że zbyt wiele ode mnie oczekiwałeś. Rhone? Stephenie? Nie uważałam, że zbyt wiele ode mnie żądasz ani nic

w tym rodzaju. Odeszłam, bo zaczynałam się rozpadać i martwiłam się, że jeśli zostanę, jakimś sposobem cię zarażę.

Znów odwróciłem się w jej stronę, kobiety siedzącej na końcu drewnianego molo sięgającego w głąb bezkresnego oceanu. Pod jej stopami dryfowały leniwie trupy.

Wróciłem do niej, pochyliłem się i... ona mnie pocałowała. To stare, znajome muśnięcie warg, a później napiętność, jej dłoń na mojej szyi, przyciągająca mnie do siebie. Pozwoliłem, by powróciły uczucia, których pilnie strzegłem, przepłynęły przeze mnie, napiętność i nawet ból. Przyciskałem usta do jej warg, pozwoliłem, by moja skóra dotykała jej, by moja dusza – na chwilę – dotknęła jej.

Wciąż ją kochałem. To również było prawdziwe.

W końcu przerwała pocałunek, cofnęła głowę o kilka centymetrów i patrzyła mi w oczy.

– Nauczyłaś mnie, że muszę mieć cel w życiu. Próbowałem rozwiązywać zagadki kryminalne, ale w głębi duszy przez cały czas wiedziałem, że to nie wystarczy. – Wziąłem ją za rękę. – Ale teraz, w tej chwili, mam prawdziwy cel. Misję.

– Co?

– Znajdę sposób, Sandro. A kiedy to zrobię, obiecuję, wrócę. Zrobię dla ciebie to, co ty zrobiłaś dla mnie. Przyniosę ci odpowiedzi.

Potrząsnęła głową.

– Rhone...

Uścisnąłem jej dłoń, wstałem i opuściłem ją, idąc wzdłuż molo. To było dziwne, nie mieć wokół siebie gromadki aspektów, ale czułem – już – pojawiające się głosy. Znajome tony znikwały zastąpione przez syki i grozę.

Wróciłem do magazynu, czując rodzącą się frustrację i panikę. Skąd mi się wziął pomysł, że mógłbym jej pomóc? Nie umiałem pomóc samemu sobie.

Zamknąłem drzwi. Szepty syczały do mnie. Na razie je zignorowałem, powróciłem do leżących ciał Kyle'a i pozostałych. Zabezpieczyłem ich pistolety – rozładowałem je i schowałem do szuflady biurka – po czym wyłączyłem urządzenie wywołujące halucynacje.

Kyle natychmiast usiadł, trzymając się za bok. Pomacał go ostrożnie. Posłał mi wściekłe spojrzenie.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziałem mu. – Nie kontaktuj się ze mną. Nie obserwuj mnie. – Ruszyłem w stronę drzwi. – Ale zamierzam powrócić, odwiedzić przyjaciółkę. Kiedy to zrobię, będziecie mogli badać mój mózg, ale jedynie w czasie, który będę z nią spędzał. Jeśli spróbujecie znów mnie uwięzić, poniesiecie konsekwencje.

Kyle pokiwał głową.

– Cieszę się, że dostrzegłeś korzyści, jakie daje nasza rewolucyjna nowa...

– Zamknij się.

Wyszedłem w mrok, ręce trzymałem w kieszeniach i czułem się jak wyżęty. Większa część mnie zginęła tej nocy. I nie miałem pojęcia, co zrobić z częściami, które pozostały.

Byłem sam. Rzeczywiście sam.

Odkryłem, że mnie to nie obchodzi. Szedłem w stronę ciemnego parkingu, ale zawahałem się, kiedy zobaczyłem, że w pobliżu coś się porusza, chowa za krzakiem. Wyglądało jak... człowiek.

– Jenny? – spytałem wstrząśnięty.

Aspekt zniknął, kiedy go zobaczyłem.

Westchnąłem, ale byłem odrobinę zaskoczony, że któryś przetrwał. Stałem tam, aż – niespodziewanie – zatrzymała się obok mnie moja limuzyna. Barb opuściła szybę i wyjrzała na zewnątrz.

– Skończyliśmy tu, proszę pana?

– Kazałem ci odjechać.

– Wujek Wilson ostrzegł mnie, że czasami bywa pan... trudny. Pomyślałam, że nie mogłabym pana porzucić, nawet jeśli zachowywał się pan irytująco. – Uniosła termos. – Lemoniady?

– Ja... – Objąłem się ramionami. – Dziękuję.

Wyskoczyła i otworzyła mi drzwi, ale tył limuzyny wydawał się ogromny bez aspektów. Groźny i zimny.

– Mógłbym usiąść z przodu?

– Och! – Otworzyła przednie drzwi pasażera. – Pewnie. Ale co z...

– Nie przejmuj się nimi. – Usiadłem. – Zawieź mnie... zawieź mnie na róg Pięćdziesiątej Trzeciej i Adams.

– Czy to nie tam...?

– Tak.

Wziąłem od niej kubek lemoniady, która rzeczywiście smakowała prawie tak jak ta Wilsona. Barb wyjechała limuzyną na ulicę i ruszyliśmy przez ciemne miasto. Było już po jedenastej, dochodziła północ. Po krótkiej jeździe zatrzymaliśmy się przy starym budynku, gdzie po raz pierwszy spotkałem „reporterkę” Jenny. Teraz widziałem go takim, jakim naprawdę był. Porzucony stary budynek, w którym niegdyś mogły mieścić się biura.

– Zaparkuj tutaj. – Wskazałem na krawężnik. – Kawalek dalej...

Wysiadłem i przeszedłem na tył pustego samochodu, sięgnąłem do torby na podłodze. W końcu wyjąłem aparat. Sprawdźmy... – pomyślałem. Która to była godzina...

Dostrajanie trochę trwało. Barb musiała podjechać jeszcze do przodu, a ja musiałem odpowiednio ustawić pokrętło aparatu. W końcu zrobiłem zdjęcie, na którym po chwili ukazało się wnętrze tego właśnie samochodu wcześniej tego dnia.

Przedstawiało mnie, Tobiasa, J.C. i Ivy. Śmialiśmy się z czegoś głupiego, co powiedział J.C., Ivy trzymała go za ramię, a Tobias uśmiechał się szeroko. Poczułem łzy w kącikach oczu.

Barb zajrzała do środka, spojrzała mi przez ramię.

– Co widzisz? – spytałem.

– Pana, samego.

– Wciąż potrafię ich sobie wyobrazić, we właściwych warunkach. – Dotknąłem zdjęcia czubkami palców. – Są gdzieś wewnątrz mojego mózgu. Jak mam do nich dotrzeć?

– Mnie pan pyta? – Barb nagle się ożywiła. – Och! Zupełnie zapomniałam. Proszę, to dla pana. Powiedział, żebym to panu dała, kiedy pan dziś skończy.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła niewielką kopertę. Wewnątrz znajdowało się małe zaproszenie na przyjęcie Wilsona z okazji urodzin i przejścia na emeryturę. Na dole napisano „Dla pięćdziesięciu dwóch osób”. Z uśmiechniętą buźką.

– Powiedział, żeby nie czuł się pan zobowiązany. Ale chciał, żeby pan wiedział, że będzie pan mile widziany.

Dotknąłem łez na policzkach i spojrzałem na zegarek.

– Za piętnaście dwunasta? W ogóle jeszcze trwa?

– Założę się, że tak. Zna pan Wilsona i jego upodobanie do kieliszka czegoś mocniejszego przed snem. Będzie siedział z rodziną przy kominku i opowiadał różne historie. – Spojrzała na mnie z ukosa. – Tylko kilka jest o panu.

„Zna pan Wilsona”. Naprawdę? On po prostu zawsze był pod ręką z lemoniadą.

– Nie mogę pojechać – powiedziałem. – Ja tylko...

Nie dokończyłem sprzeciwu. Barb musiała wyczuć, że nie mówię poważnie, bo przeszła na miejsce kierowcy i pojechała do domu Wilsona. On spędzał wiele nocy w rezydencji, spał w niej, ale miał własny dom. A przynajmniej pokój w domu brata, w którym czasem się zatrzymywał. Nie byłem pewien, kto tak naprawdę był właścicielem.

Barb wjechała na podjazd – limuzyna ledwie się na nim mieściła – i poprowadziła mnie przez garaż skromnego domu. Weszła i okazało się, że mówiła prawdę – usłyszałem dochodzący ze środka śmiech. Widziałem ciepły blask ognia płonącego na kominku, ludzi siedzących przy nim i rozmawiających, pijących cydr i lemoniadę – która najwyraźniej była ważna również dla nich.

Zawahałem się na progu, a Barb poszła do kuchni po ciasto, po czym rzuciła czapkę szofera na blat i podeszła do kominka. Pochyliła się nad fotelem i wkrótce podniosła się z niego znajoma chuda postać.

Wilson wydawał się szczerze uradowany na mój widok. Szybko do mnie podszedł.

– Proszę pana! Proszę wejść. Pamięta pan Doris i Stanleya? I małego Baileya... cóż, już nie tak małego, ale nadal tak go nazywamy. I...

– Przepraszam. – Odwróciłem się do wyjścia. – Nie powinienem tu przychodzić, przeszkadza ci, kiedy spędzasz czas z rodziną.

– Proszę pana. – Wilson złapał mnie za ramię. – Stephenie? Ale ty jesteś rodziną.

– Ja...

– Nie przejmuj się pozostałymi! – Szerokim gestem objął, jak pewnie sądził, moje aspekty. – Mamy mnóstwo krzeseł! Powiedz mi tylko, ilu

potrzebujesz. Proszę, przez te lata byłeś dla mnie taki dobry. Z przyjemnością cię ugoszczę.

– Dziś jestem sam – szepnąłem i pomacałem kieszeń kurtki, gdzie schowałem zdjęcie. – Tylko ja.

– Sam? – spytał Wilson. – Proszę pana, co się stało?

– Możemy o tym porozmawiać kiedy indziej? Myślę... myślę, że chętnie zjadłbym kawałek tortu.

Wilson uśmiechnął się i wkrótce już siedziałem przy kominku z jego rodzeństwem, bratanicami i bratankiem. Słuchałem, jak opowiada swoją wersję sprawy z teleportującym się kotem, która, jak musiałem przyznać, była jedną z lepszych. Nie zjadłem dużo tortu, ale cieszyłem się ciepłem, śmiechem i – no cóż – realnością tego wszystkiego.

„Wszystkie rzeczy, które liczą się w życiu, są niemierzalne...”.

Odkryłem, że niechcący okłamałem Wilsona, bo nie byłem sam. Dostrzegłem Jenny w kuchni – mój najnowszy aspekt i jednocześnie ostatni. Znow wyjęła notatnik i coś w nim gorączkowo zapisywała.

Epilog

Tamtego wieczoru nie wróciłem do rezydencji.

Nie mogłem tam pojechać i stawić czoła pustce... albo czemuś gorszemu. Szaleństwu, ceniom powracającym do życia, by mnie dręczyć. Ja tylko... potrzebowałem jeszcze kilku godzin, żeby wrócić do siebie.

Całe szczęście Wilsonowie mieli pokój gościnny, który oddali mi na noc. Udałem się do niego, gdy opowieści się skończyły, i włączyłem komputer stacjonarny, który tam stał. Trochę poczytałem, przejrzałem kilka stron Wikipedii na podstawowe tematy, które kiedyś były mi znane. Żeby sprawdzić, czy w moim mózgu coś pozostało.

Odkryłem, że luki są przypadkowe. Wydawało się, że większość wiedzy zniknęła, ale później trafiałem na coś w internecie i zanim się zorientowałem, moje palce wystukiwały ciąg słów. Kiedy zaczynałem się w nie zagłębiać, nie umiałem odnaleźć informacji w mózgu – ale przecież to ja napisałem te słowa, więc musiałem je znać.

Tak było, kiedy byłem młodszy, przed Sandrą i aspektami. Mój mózg magazynował całą tę wiedzę, ale nie wiedział, jak z niej korzystać.

Osunąłem się na krzesło przytłoczony i zużyty, sfrustrowany i wściekły.

– Czy ona ma rację? – powiedziałem do małej, pustej sypialni. – Obiecałem, że znajdę rozwiązanie, ale jaką mogę mieć nadzieję? Sandra wie o tym o wiele więcej ode mnie, a nie udało jej się znaleźć rozwiązania.

Żadnej odpowiedzi.

Wyjąłem zdjęcie z kieszeni i oparłem je o klawiaturę.

– Czy to naprawdę koniec? Utraciłem ich na zawsze? Ivy, J.C.,

Tobiasa? Zniknęli, bo mój mózg nie miał ochoty się męczyć?

– Nie zniknęli – powiedziała Jenny.

Obróciłem się z krzesłem i zobaczyłem ją w cieniach przy drzwiach. Uniosła notatnik.

– Mam ich tutaj.

– Jak to możliwe, że wciąż żyjesz?

– Kazałeś mi odejść. Kazałeś mi sobie pójść, złamać zasady. Tak zrobiłam. Zachowałeś mnie.

– Nie jesteś prawdziwym aspektem. Nie przywołałem cię.

– Oczywiście, że to zrobiłeś. Pytanie brzmi: „dlaczego?”. – Podeszła do mnie, wyciągając rękę z notatnikiem. – Czego ode mnie oczekiwałeś? Jakie są moje kompetencje, Stephenie Leedsie?

Odwróciłem wzrok od jej notatnika.

– Skończę, powtarzając ten cykl. Albo to, albo szaleństwo.

– Fałszywa dychotomia – szepnęła.

Udawanie, że istnieją tylko dwie możliwości, choć mogły istnieć trzy. Albo więcej. Spojrzałem na wypełniony zapiskami notatnik. Na szczycie kartki napisano „Tobias”.

Nie robiła notatek na temat mnie, ale na temat aspektów.

Trzecie rozwiązanie, pomyślałem. Sposób, by zinternalizować aspekty i pozwolić im wciąż żyć? Sposób, by żyć w pokoju z głosami, dać im ujście inne niż tylko wrzeszczenie na mnie, które próbowałem ignorować?

– Jestem ekspertem – powiedziała cicho Jenny – od nich. Od ciebie. Sumą doświadczenia z dziesięciu lat życia z nimi i z tym twoim niewiarygodnym, szalonym mózgiem. – Znów podała mi notatnik. – Pozwól, by znów żyli.

Wziąłem go z wahaniem.

– To już nie będzie to samo.

– Spraw, by było tak samo.

– Nie będzie realne.

– Spraw, by było realne.

Rozpłynęła się. Pozostawiając w mojej dłoni notatnik wypełniony zapiskami. Historie, żywoty. Nie czułem wrażenia rozrywającej straty. Informacje wciąż były w mojej głowie. Jej wiedza. Moja wiedza.

Patrzyłem na świecący ekran komputera. To się nie uda, pomyślałem. To się nie może udać.

...Prawda?

Usiadłem z notatnikiem pod ręką, choć go nie potrzebowałem. Musiałem tylko wiedzieć, że tam jest. Zacząłem pisać.

„Nazywam się Stephen Leeds” – napisałem – „i jestem całkowicie zdrowy na umyśle. Z kolei moje halucynacje są zupełnie szalone”.

Pisałem przez wiele godzin. Słowo po słowie po słowie. Niedługo przed świtem zobaczyłem cień odbijający się w ekranie. Odwróciłem się, ale nikogo tam nie było, jednakże kiedy znów spojrzałem na ekran, wydawało mi się, że widzę go za sobą. Prawie – ale nie do końca – poczułem dłoń na ramieniu. Nie odrywając wzroku od ekranu, sięgnąłem do góry i dotknąłem dłoni. Dłoni starego mężczyzny.

„Dobra robota, Stephenie”, rozległ się w moim umyśle znajomy głos, nie do końca realny. „Dobra robota! Może napiszesz o wyjeździe Ivy i J.C. do Paryża? Zawsze chciała tam pojechać. Oczywiście coś pójdzie nie tak. Może skok na diamenty? Jest tam Regent, na wystawie w Luwrze. Podobno to najczystszy diament na całym świecie...”.

Uśmiechnąłem się. Sandra się myliła. Nie chodziło o to, by nad nimi zapanować, lecz o to, by wypuścić je na swobodę.

Pisałem pośpiesznie. Moje przygody się skończyły. Nareszcie i całe szczęście.

Ale moje halucynacje... cóż, one zawsze pakują się w tarapaty.

Podziękowania

Moja cudowna żona, Emily, jak zawsze dostaje podziękowanie za radzenie sobie z czasami chaotycznym życiem zawodowego pisarza. Chciałbym podziękować Moshe Federowi, redaktorowi z wydawnictwa Tor, za zachęcanie mnie do pracy nad tym projektem od samego początku. Urzędujący i Nieprzenikniony Peter Ahlstrom jak zawsze świetnie sobie radził jako mój asystent, a mój agent Joshua Bilmes również zasługuje na pochwałę.

Szczególne podziękowania dla wydawnictwa Subterranean Press, za pierwsze wydanie Stephen'a Leedsa. Bill Schafer, Yanni Kuznia, Morgan Schlicker i Gail Cross byli ludźmi, z którymi świetnie mi się współpracowało.

W wydawnictwie Tor na podziękowania zasługują Devi Pillai, Rachel Bass, Rafal Gibek, Patty Garcia, Lucille Rettino i Greg Collins. Redakcją zajmowała się Terry McGarry, a korektą Kirsten Brink i Janine Barlow. Piękną okładkę stworzyła Miranda Meeks.

Dziękuję Isaacowi Stewartowi za projekt winietek. Howard Tayler pewnego dnia pomógł mi podczas burzy mózgów przy obiedzie i przybijam mu za to piątkę.

Anat Errel ogromnie pomogła ze szczegółami dotyczącymi Jerozolimy. Do czytelników alfa i beta zaliczali się Kaylynn ZoBell, Danielle & Ben Olsen, Karen & Peter Ahlstrom, Dan Wells, Alan Layton, Ethan Skarstedt, Darci & Eric James Stone, Alan Layton, Emily Sanderson, Kathleen Dorsey Sanderson, Brian T. Hill, Dominique Nolan, Mi'chelle & Josh Walker, Kalyani Poluri, Rahul Pantula, Ravi Persaud, Becca Reppert, Darci & Brandon Cole, Gary Singer, Ted Herman, Deana Covell Whitney, Ross Newberry, Mark Lindberg, Paige Vest, Sumejja Muratagic-Tadic, Jory Phillips, Anthony Pero, Tyler

Patrick, Drew McCaffrey, Trae Cooper, Brian Magnant, Paige Phillips, Alice Arneson, Bao Pham, William Juan, Jacqui Hopson, Evgeni Kirilov, Megan Kanne i K. Abigail Parsons. Wśród czytelników gamma znaleźli się Chris „Gunner” McGrath, Glen Vogelaar, Richard Fife, Hillary Argyle, Nikki Ramsay i Eric Petrie.

Ta książka nie powstałaby bez Adama Horne’a, Kary Stewart, Emily Grange, Kathleen Dorsey Sanderson i wszystkich pozostałych z Dragonsteel Entertainment.

Jak zawsze dziękuję cudownej rodzinie, szczególnie zaś trzem bardzo podekscytowanym – i zajęтым – chłopcom.

Brandon Sanderson